



JULIE GARWOOD



Bieguny  
uczuć



# **Garwood Julie**

## **Bieguny uczuć**

**Sophie Rose, dziennikarka z Chicago, przeprowadza się do małej miejscowości na Alasce. Z dala od zgiełku dużego miasta pracuje w lokalnej gazecie opisując miejscowe osobowości. W tajemniczych okolicznościach zostaje zamieszana w morderstwo. Ufając swojemu dziennikarskiemu instynktowi próbuje znaleźć winnego zbrodni, co doprowadza do zamachu na jej życie. W tym momencie do akcji wkracza przystojny agent FBI Jack MacAlister. Pośród niebezpieczeństw w bezlitosnych ostępach Alaski budzi się między nimi uczucie, lecz jego finału nikt nie przewidział.**

*Wpis do dziennika numer 1 Chicago*

*Dzisiaj świętujemy. Fundacja wreszcie przyznała nam duże stypendium na sfinansowanie badań. Ciężko pracowaliśmy, żeby to osiągnąć. Jest nas czterech, wszyscy z doktoratami, ale zachowujemy się jak nieodpowiedzialni nastolatkwie - ciągle śmiejemy się i wygłupiamy. Wieczorem pewnie spijemy się jak świnie. Każdy z nas ma inną przeszłość i wykształcenie. Kirk przyjechał z St. Cloud z Minnesoty, gdzie prowadził szeroko zakrojone badania nad szarymi wilkami z Camp Ripley. Bardzo nam się przyda jego ekspertyza dynamiki w rodzinnym stadzie wilków.*

*Erie wywodzi się z prestiżowego instytutu badawczego TNI z Chicago. Jest najmłodszy, ale ma najwyższy stopień naukowy. Sam nazywa siebie szczurem laboratoryjnym, gdyż dużo czasu spędził, pracując nad badaniami do dwóch projektów finansowanych przez firmę Kenton Pharmaceutical Company. Jest biologiem i chemikiem, a jego wiedza z zakresu immunologii doskonale „uzupełnia pozostałe nauki.*

*Brandon, nasz kierownik, przez jedenaście lat mieszkał w Północnej Dakocie. Obserwował i opisał przypadki wilków, które przemieszczały się ponad trzy tysiące kilometrów. Jego celem jest użycie obroży z nadajnikami radiowymi, które chciałby założyć dwóm różnym parom samców i samic alfa, żebyśmy*

**2**

*mogli zapisywać trasy ich wędrówki. Interesują go głównie zwyczaje wilków.*

*Ja jestem jedynym specjalistą od zachowań, ale także biologiem. Moje prywatne cele różnią się od pozostałych, ale mam nadzieję, że nie będą z nimi kolidować. Wszyscy jesteśmy zainteresowani dynamiką wewnątrz stada, ale mnie ciekawią także efekty stresu u poszczególnych osobników. Ekstremalnego stresu...*

1

Zabił go niedźwiedź polarny. Największy przeklęty niedźwiedź polarny, jakiego kiedykolwiek widziano w okolicach Prudhoe Bay w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, albo przynajmniej tak mówiono.

Chociaż tak naprawdę to zabiła go arogancja. Gdyby William Emmett Harrington był inny, prawdopodobnie nadal by żył. Ale był nieuleczalnym narcyzem i samochwałą.

Jedyny temat rozmów, jaki interesował Williama, to on sam, a jako że nie osiągnął niczego znaczącego przez dwadzieścia osiem lat życia, był potwornie nudną osobą.

William żył ze spadku, ogromnego funduszu, jaki założył dla niego dziadek Henry Emmett Harrington, który musiał przeczuwać, że przekazał potomstwu gen lenistwa, gdyż jego syn, Morris Emmett Harrington, nie przepracował w swoim życiu ani jednego dnia. A William radośnie poszedł w ślady ojca.

Tak jak wszyscy mężczyźni z rodu Harringtonów, William był piekielnie przystojny i wiedział o tym. Nie miał najmniejszych problemów z uwodzeniem kobiet i nigdy nie spotykał się drugi raz z tą samą. Traktował seks jak wyścig, który musiał wygrać, by udowodnić, że jest najlepszy. Nigdy nie dbał o zaspokojenie partnerki. Liczyła się jedynie jego przyjemność.

Byłe kochanki wymyślały dla niego przeróżne przydomki, jak: Świnia, Szybki Numerek. Ale tym, który najczęściej był powtarzany za jego plecami, był: Pan Minutka. Wszystkie kobiety, które poszły z nim do łóżka, doskonale wiedziały, co to znaczy.

4

Poza zaspokajaniem własnych potrzeb William miał jeszcze jedno hobby - bieganie. Zrobił z niego pełnoetatową pracę, ponieważ, tak jak w seksie, był niebywale szybki. W ciągu zeszłego roku zdobył pierwsze miejsce w biegach w sześciu stanach dwadzieścia cztery razy i teraz przygotowywał się do biegu na pięć kilometrów w swoim rodzinnym mieście Chicago, żeby zdobyć dwudzieste piąte trofeum. Wierzył, że moment przekroczenia przez niego mety będzie wydarzeniem tak atrakcyjnym, iż każdy w Chicago zechce o tym przeczytać. Zadzwoił więc do Chicago Tribune i zasugerował, żeby główny artykuł niedzielnego wydania poświęcić właśnie jego osobie. Wspominał przy tym kilkakrotnie, że jest bardzo fotogeniczny i jego kolorowe zdjęcie w znaczny sposób wzbogaciłoby artykuł.

Jeden z lokalnych redaktorów z Tribune odebrał jego telefon i cierpliwie wysłuchał tyrady a potem przełączył go do działu rozrywki, który z kolei połączył go z felietonistą sportowym, a ten odesłał go do redaktora działu Zdrowie i Fitness, który to słuchając opowieści Williama, zdażył napisać artykuł na temat pięciu najsilniejszych alergenów dręczących Chicago. Żaden z dziennikarzy nie był ani pod wrażeniem, ani zainteresowany tematem. Ostatni, z którym William rozmawiał, zasugerował, żeby zadzwonił, kiedy zdobędzie już dziewięćdziesiąt dziewięć tytułów i będzie startował po setne trofeum.

Jednak William się nie zrażał. Natychmiast zadzwonił do Chicago Sun Times i nakreślił swój pomysł na artykuł, który także i tu został odrzucony.

William zrozumiał, że jeśli chce oglądać swoje nazwisko w prasie, będzie musiał obniżyć oczekiwania, dlatego zadzwonił do Illinois Chronicle, małej, ale popularnej gazety, która skupiała się głównie na sprawach lokalnych i rozrywce.

Redaktor główny, Herman Anthony Bitterman, był weteranem dziennikarstwa. Przez trzydzieści lat pracował w sekcji zagranicznej The New York Timesa i zgromadził kilka prestiżowych nagród, w tym RFK Journalism

Award<sup>1</sup> oraz Polk Award<sup>2</sup>. Lecz kiedy jego niewydarzony zięć uciekł z kolejną kobietą, na dokładkę instruktorką jogi swojej żony, Marissy, Herman odszedł z Timesa i wraz z żoną przeprowadził się do Chicago, jej miasta rodzinnego, w którym mieszkała ich córka ze swoimi czterema latoroślami.

Herman był jednak dziennikarzem z powołania i nie potrafił zbyt długo żyć bez pióra w dłoni. Kiedy nadarzyła się okazja, przyjął pracę w Chronicie, żeby zapewnić sobie odskocznię od nudy i ucieczkę przed hordą rozpuszczonych wnuczek.

Podobało mu się Chicago. Kiedy poznał Marissę studiował na Northwestern University. Po zdobyciu dyplomu obydwój wrócili do Nowego Jorku, jego miasta rodzinnego, gdzie mógł podjąć pracę w Timesie. Powrót do Chicago był wielką zmianą. Tak długo mieszkał na Manhattanie w ciasnym apartamencie z dwiema sypialniami, że przyzwyczajenie się do dwupiętrowego domu z czerwonej cegły zajęło mu trochę czasu. Narzekał jedynie na spokój i ciszę. Brakowało mu tego, że już nie zasypiał przy piskach hamujących samochodów, wyciu klaksonów i zawodzeniu syren alarmowych.

W takim spokoju, panującym nawet w redakcji, Herman miał kłopot z doprowadzaniem do końca jakiegokolwiek pracy. Przyniósł więc z domu stary telewizor, który włączał na cały dzień z głośnikiem na pełen regulator.

Kiedy zadzwonił do niego William Harrington, Herman wyciszył telewizor i podniósł słuchawkę. Słuchając Harringtona, zdążył zjeść kanapkę z włoską kiełbaską i papryką obficie polaną ketchupem i popił to lodowatym piwem.

Pół minuty wystarczyło Bittermanowi, żeby zdiagnozować Williama Harringtona. Facet był egomaniakiem.

**<sup>1</sup> The Robert F. Kennedy Award for Excellence in Journalism - Nagroda Dziennikarska imienia Roberta F. Kennedy'ego, przyznawana w USA od 1968 roku; w środowisku dziennikarskim nazywana „Pulitzerem biedaków”. Przypisy tłumaczki.**

**<sup>2</sup> Polk Award - Nagroda dziennikarska imienia George'a Polka przyznawana corocznie przez Long Island University w Nowym Jorku. Jedna z bardziej pożądaných nagród dziennikarskich w Stanach Zjednoczonych ustanowiona po raz pierwszy w 1948 roku.**

- Czerwone, tak? Zawsze zakłada pan czerwone skarpety i czerwoną koszulkę? I białe spodenki. Tak, to ciekawe... Nawet zimą biega pan w krótkich spodenkach?

Jego pytanie zachęciło Harringtona do przedłużenia wywodu, dzięki czemu Bitterman miał czas na dokończenie kanapki. Pociągnął solidny łyk piwa i dopiero wtedy pozwolił sobie przerwać Harringtonowi potok entuzjastycznych opinii na własny temat.

- Jasne... Zrobimy ten materiał. Czemu nie? Zapisawszy wszystkie dane kontaktowe, Bitterman rozłączył się, a potem zgniótł brązową torbę papierową po lunchu i wrzucił ją do kubła na śmieci.

Wstał z miejsca i podszedł do drzwi, co było nie lada wyczynem, zważywszy na fakt, że niemal każdy centymetr podłogi zastawiony był stosami skrzynek piwa sięgającymi prawie do sufitu. Od kiedy drzwi nie były już zablokowane, jego biuro przestało być uznawane za niebezpieczne w razie potencjalnego pożaru. Zgromadził tyle piwa Kelly's Root, gdyż w jego odczuciu było to najlepsze piwo, jakiego kiedykolwiek spróbował. Kiedy usłyszał, że browar ów wycofuje się z rynku, Herman zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby każdy uzależniony od piwa korzennego, czyli wykupił tyle butelek napitku, ile był w stanie udźwignąć.

- Blondyna! - wrzasnął. - Mam dla ciebie kolejny temat. Ten będzie naprawdę ciekawy.

Sophie Summerfield Rose próbowała zignorować Bittermana, jako że właśnie robiła ostatnie szlify w artykule, który miała mu zaraz przesłać mailem.

- Hej, Sophie, zdaje się, że Bitterman cię woła. - Przez ściankę jej boksu przewiesił się Gary Warner, nieprzyjemny facet i do tego biurowy szpicel.

Jego uśmiech przywodził Sophie na myśl lisa z wyszczerzonymi zębami, jakiego widziała kiedyś w kreskówce. Zresztą Gary wyglądał trochę jak lis. Miał długi, spiczasty nos, a jego cera była matowa, podobnie jak długie, posklejane włosy. Fryzura na tak zwanego czeskiego piłkarza nigdy nie była specjal-



nie stylowa, ale Gary uwielbiał to cięcie i używał takiej ilości lakieru do włosów, że były zupełnie sztywne.

- Jesteś'iu dziś jedyną kobietą i do tego jedyną blondynką w całej redakcji, więc jestem pewien, że „Blondyna” dotyczy ciebie. - Miał przedni ubaw z, jak mu się zdawało, przezabawnej obserwacji.

Sophie nie odpowiedziała. Bez względu na to jaki Gary potrafił być nieprzyjemny, a opanował tę sztukę do mistrzostwa już wiele lat temu, postanowiła nie dać mu się wyprowadzić z równowagi. Ostrożnie odsunęła swój fotel, żeby nie uderzyć ponownie o szafkę z aktami, która była tak poobijana, jakby ją ktoś potraktował kijem bejsbolowym.

Chronicie miało swoją siedzibę w dawnym magazynie. Budynek był ogromny, z szarego kamienia, z szarymi, cementowymi podłogami i szarymi ceglanyimi murami oraz szarym sufitem, który, jak podejrzewała, mógł być kiedyś biały. Lampy były niemal tak stare jak cały budynek. Na parterze znajdowała się drukarnia. Na pierwszym piętrze mieściły się dystrybucja i inne departamenty, a na drugim redakcje. Przestrzeń była ogromna, jednak każdy z szarych boksów, nie wyłączając tego, który zajmowała Sophie, był wielkości lodówki.

Chronicie mogło być wywołującym depresję miejscem pracy, ale nie było. Na ścianie nad szarymi szafkami z aktami wisiały kolorowe plakaty, a każdy z boksów był udekrowany przez jego właściciela. Niektórzy byli bardziej kreatywni od innych, ale każdy starał się nadać mu odrobinę przytulniejszy wygląd.

Boks Gary'ego był udekorowany na wpół zjedzonymi kanapkami i ciastkami, z których część miała co najmniej tydzień. Nie pozwalał ekipie sprzątającej dotykać się do swojego biurka i Sophie podejrzewała, że nigdy nie było ono sprzątane. Nie zdziwiłoby jej, gdyby pod tymi śmieciami znalazła karaluchy, ale Gary'emu to by nie przeszkadzało. Prawdopodobnie był z nimi spokrewniony.

Nadal przewieszał się przez ściankę jej boks, a że był

postawnym mężczyzną, miała wrażenie, że lada chwila panele pod nim runą. Kiedy Sophie wstała z fotela, Gary znalazł się zdecydowanie za blisko, bo poczuła duszący zapach jego płynu po goleniu.

Wyłączyła komputer i upewniła się, że widział, jak to robi, bo nie chciała, żeby w nim szperał, kiedy będzie w biurze Bittermana. Nie dalej jak tydzień temu nakryła go, jak próbował złamać hasło dostępu do jej poczty. Zdażył już przeszukać jej biurko. Dwie szuflady były odsunięte, a on nawet nie zadał sobie trudu, żeby odłożyć część dokumentów na miejsce, gdzie je zostawiła. Kiedy zażądała od niego wyjaśnień, co robi przy jej biurku, powiedział, że jego komputer się zepsuł i właśnie sprawdzał, czy jej sprzęt działa.

Bitterman znowu krzyknął i Sophie, czując się trochę jak mysz biegnąca przez labirynt, pośpiesznie pomknęła slalomem między boksami w stronę biura mieszczącego się na końcu podłużnej sali. Wyobraziła sobie kawałek żółtego sera zwisający na sznurku przed drzwiami szefa. Czyż nie taka nagroda czekała mysz na końcu labiryntu?

- Hej, Sophie, miałaś ostatnio jakieś wieści od ojca? -krzyknął za nią Gary.

Zadał jej to samo pytanie jakieś dziesięć minut po tym, jak zaczęła pracę w Chronicie, dzięki czemu tak szybko przestała go lubić. Gary nie tylko był wścibski, ale potrafił być naprawdę chamski. Zwykle ludzie, którzy poznawali Sophie, unikali tematu jej ojca, Bobby'ego Rose'a, ale nie Gary. Właśnie zaczęła pisać swój pierwszy artykuł, kiedy Gary wrzasnął ponad ścianką jej boksu.

- Hej, Sophie Rose! Ups, chciałem powiedzieć Sophie Summerfield. Zapomniałem, że nie używasz nazwiska ojca. Zgaduję, że nie chcesz, żeby ludzie dowiedzieli się, kim jesteś. Ja też bym nie chciał, gdyby mój stary był złodziejem. Co ostatnio zwędził? Słyszałem, że zwiął z furą pieniędzy. Jeśli go jeszcze kiedyś zobaczysz, to powiedz mu, że kumpel Gary z chęcią zaciągnąłby u niego pożyczkę. Kilka milionów byłoby w sam raz...

Nie odpowiedziała mu wtedy, ani sto innych razy, kiedy pytał o jej ojca, więc i w tej chwili nie zamierzała tego robić. Nie tylko Gary był zainteresowany odnalezieniem jej ojca. Regularnie odwiedzali ją ludzie z FBI, IRS<sup>3</sup>, CIA i innych agencji rządowych, których nazwy składały się z inicjałów. Wszyscy oni chcieli wiedzieć, gdzie jest Bobby Rose, i wszyscy chcieli tego, co do niego należało.

Usłyszała, że Gary jeszcze raz zadał głośno swoje pytanie, ale nadal go ignorowała i obesła ostatni boks, za którym było już biuro Bittermana.

- Zamknij drzwi, dobrze? - rozkazał Bitterman, nie racząc podnieść na nią wzroku.

Miała wielką ochotę trzasnąć drzwiami i z pewnością na kilka sekund przyniosłoby to jej satysfakcję. Ale istniało prawdopodobieństwo, że ze szczęściem, jakie ostatnio miała, stłukłaby szybę w drzwiach i Bitterman kazałby jej zapłacić za wstawienie nowej. Poza tym lubiła swojego szefa. Mimo ciągłych wrzasków był dobrym człowiekiem. Kochał swoją żonę i rodzinę, troszczył się o pracowników, a przynajmniej o większość z nich.

Przyjmując pracę w *Chronice*, postawiła jeden warunek: Bitterman nie będzie jej zmuszał do mówienia czy pisania o jej ojcu, co *nota bene* było powodem rezygnacji z poprzedniej posady. Bitterman dał jej słowo i jak dotychczas go dotrzymywał. Nawet posunął się o krok dalej, chronił ją jak mógł przed, jak ich nazywał „pieprzonymi wrednymi szmaciarzami i dupowłazami - absolutnie odmawiał nazywania ich dziennikarzami - którzy bez przerwy ścigali ją w kwestii udzielenia wywiadu". Bitterman próbował także ochronić Sophie przed FBI, cytując wszystkie poprawki do ustaw rządowych, jakie pamiętał, a które mogłyby zapewnić jej prawo do świętego spokoju. Niestety poniósł sromotną klęskę.

<sup>3</sup> **IRS - Internal Revenue System - agencja rządowa USA zajmująca się ściąganiem podatków.**

Nie, nie będzie dzisiaj trzaskać drzwiami. Nieważne, jak bardzo ją wkurzył, Sophie potraktuje pana Bittermana z należytym szacunkiem. Delikatnie zamknęła drzwi, ominęła skrzynkę z piwem i czekała, aż oderwie wzrok od sterty papierów, nad którymi się pochylał.

- Musi mnie pan przestać nazywać „Blondyną”. To seksis-towskie i chamskie. Pracuję dla pana na tyle długo, że powinien pan znać moje imię. Ale tak na wszelki wypadek pozwolę je sobie przypomnieć. Sophie, Sophie Summerfield Rose. To chyba nie jest takie trudne do zapamiętania, prawda?

- Nie, nie jest - zgodził się. - I używasz nazwiska panińskiego matki do podpisywania artykułów. Summerfield, racja?

Jako że właśnie przypomniła mu całe swoje nazwisko, nie czuła potrzeby odpowiadania na to pytanie.

Bitterman nie mógł nie zauważyć, że nadal stała naburmuszona.

- No dobrze, już nigdy więcej „Blondyny”. Obiecuję.

- Dziękuję.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym powiedział:

- Sophie, wszyscy w Chicago i tak wiedzą że jesteś córką Bobby'ego Rose'a.

- Tak, jestem jego córką - potwierdziła. - Jednakże nie sędzę, żeby wszyscy w Chicago o tym wiedzieli i dlatego podpisuję artykuły nazwiskiem panińskim matki.

Chciał się odchylić do tyłu na krześle, ale skrzynki z piwem skutecznie mu to uniemożliwiły.

Sophie nie miała już ochoty ciągnąć dalej tematu swojego ojca.

- Skończyłam już ten tekst o pladze termitów, o który pan prosił - powiedziała szybko. - Jest fascynujący. Przesłałam go pocztą elektroniczną. Ma pan dla mnie jeszcze coś równie obrzydliwego do zbadania i opisania? Jakies pasożyty?

Coś o ściekach? A może o zwyczajach godowych żuków gno-j arków?

Zaśmiał się.

- Sophie Rose, czyżbym słyszał cynizm w twoim głosie? Zdaje się, że tak. Wyczuwam go doskonale, bo moje osiem wnuczek często tak do mnie mówi. Ale nie muszę wysłuchiwać go od moich pracowników. Nawet tych ulubionych. Uśmiechnęła się.

- Ma pan cztery wnuczki, nie osiem. Sięgnął po butelkę piwa.

- Kiedy wszystkie jednocześnie czegoś ode mnie chcą, to zdaje się, jakby było ich osiem. I tak, mam dla ciebie coś innego. Zadzwoił facet, który nazywa się William Harrington, i podrzucił pomysł na artykuł. Brałaś kiedyś udział w biegu na pięć kilometrów?

Wyjaśnił jej zawiłości tej historii, która zaciekawi ludzkość, powiedział, jak długi według niego powinien być tekst, i wręczył jej swoje notatki.

- Zadzwoń do niego i umów się przed biegiem. Może udałoby ci się zrobić kilka zdjęć? Tak, zrób jakieś przed i po biegu. Harrington zapewniał, że jest fotogeniczny. W ogóle zdaje się, że dla niego dobry wygląd jest bardzo ważny.

- A Matt nie powinien zrobić tych zdjęć? Zawsze gada, że jest oficjalnym fotografem w Chronicie. Nie chciałabym go zdenerwować. Wie pan, jaki potrafi być. - Nie powiedziała słowa „neurotyczny”, ale tak właśnie pomyślała. - Im bardziej się ekscytuje, tym jego głos staje się wyższy. Przy takiej częstotliwości mógłby tłuc szkło. A z tymi wszystkimi butelkami piwa korzennego mogłoby to się skończyć prawdziwą katastrofą.

Bitterman przytaknął.

- Masz rację. Matt powinien robić te zdjęcia, gdyby tu nadal pracował, ale złożył mi wymówienie. Wczoraj wieczorem dał mi rezygnację i powiedział, że nie ma ochoty przez kolejne dwa tygodnie tkwić w tym szambie. To jego słowa, nie moje. Powiedział, że to strata jego cennego czasu. Właśnie tak... jego cennego czasu. Błyskawicznie opróżnił swój boks. - Bitterman pomachał dłońmi, jedną nad drugą, jak profesjonalny krupier w kasynie sygnalizujący coś do kamery pod sufitem. - Nie

wiem, czy ma nagraną jakąś następną robotę. Powiedział mi, że chce robić ważne zdjęcia do ważnych artykułów. Sophie nie znała dobrze Matta. Pracowała z nim przy okazji dwóch artykułów i w obydwu przypadkach nagle wpadał w histerię jak czterolatek.

- Szczerze mówiąc, i tak był z niego kiepski fotograf - stwierdził Bitterman. - Zawsze ucinał ludziom czubki głów, a poza tym ty masz lepszy aparat niż ten rupieć, którego mamy na składzie w redakcji. Myślę, że Jimmy Olsen w filmie „Superman” mógł używać podobnego. A te zdjęcia, które zrobiłaś w zeszłym miesiącu z przeróbki kuchni, były dobre, naprawdę dobre.

- Zrobię, co mogę - odpowiedziała. Przyglądała się notatkom, próbując odszyfrować jego bazgrały. - Nie mogę roz-czytać... Kiedy jest ten bieg?

- W sobotę. - Uniósł dłoń w geście powstrzymującym wszelkie „ale”, które mogłaby w tej chwili zgłosić. - Wiem, co zaraz powiesz. Zostało mało czasu.

Zaśmiała się.

- Mało czasu? Jutro jest sobota. Wzruszył ramionami.

- Co ci mogę powiedzieć? To oczywiście, że nie byliśmy pierwszym wyborem Harringtona... ani drugim czy trzecim, jak można się domyślać. Facet dopiero teraz zadzwonił.

- Nie będę miała czasu, żeby zebrać materiały.

- Ten numer niedzielny mamy już zamknięty, więc nie puścimy tekstu przed następną niedzielą i jeśli Harrington okaże się świrem, to może nawet sprawi, że artykuł stanie się znacznie ciekawszy. Tutaj nie zapracujesz na Pulitzera. Rób co się da, a jeśli się nie uda, jeśli facet jest prawdziwym szajbusem, to puścimy coś innego. Czas nas goni, więc lepiej się pośpiesz.

Już zamykała za sobą drzwi, kiedy powiedział:

- Znasz zasady. Spotkaj się z nim w miejscu publicznym, a najlepiej weź ze sobą kogoś znajomego. Lepiej dmuchać na zimne.

Zawsze mówił te same słowa, kiedy umawiała się na spot-

kanie z klientem. Lepiej dmuchać na zimne. Ten rytuał był nawet uspokajający. Sophie uznała, że Bitterman ma podwójną osobowość. W jednej chwili wyszczekuje rozkazy jak wściekły doberman, a w następnej odgrywa rolę opiekuńczej matki. A przynajmniej tak sobie wyobrażała zachowanie matki, gdyż nie miała w tym względzie wielkiego doświadczenia.

Sophie wpisała w przeglądarce „William Harrington” i po chwili na ekranie ukazały się informacje na jego temat. Facet miał własną stronę internetową, bloga i, zgodnie z jakimś wpisem, wkrótce będzie miał nagranie wideo na MySpace, YouTube i na Facebooku. Napisał długi esej o swoim dzieciństwie, o wakacjach spędzonych w Europie - który powinien być interesujący, ale nie był - i o swojej kampanii fitness.

Sophie nie powinna mieć żadnych problemów z rozpoznaniem Harringtona. Na jego stronie internetowej była cała masa fotografii.

Zrobiła kilka notatek na temat jego kolejnych wygranych w biegach na pięć kilometrów i postanowiła do niego zadzwonić. Musiał czekać na telefon, bo odebrał po pierwszym dzwonku. Sophie myślała, że kilka minut zajmie jej ustalenie godziny i miejsca spotkania, ale Harrington był gadułą i trzymał ją na linii przez dobre piętnaście minut, zanim w końcu udało mu się znaleźć miejsce w grafiku na ich wywiad.

- Oczywiście zdaje sobie pani sprawę z tego, że bieg jest jutro, więc będziemy musieli spotkać się jeszcze dziś wieczorem. Mam nadzieję, że jest pani rannym ptaszkiem, bo start jest dość wcześnie, a chyba będzie pani chciała przy tym być, prawda? Z fotografem - dodał pośpiesznie. - Bieg odbywa się w parku Lincolna, więc może spotkajmy się dziś wieczorem gdzieś w okolicy.

- To może w Cosmo Pub? - zapytała i podała adres.

- Nigdy nie byłem w Cosmo. Chadzam raczej do restauracji wyższej klasy. Pub jest kilka przecznic od miejsca, z którego jutro zacznie się bieg. Moglibyśmy spotkać się tam o siódmej. Nie, lepiej o szóstej trzydzieści, żebyśmy mieli więcej czasu.

Czy szósta trzydzieści pani pasuje? Muszę położyć się wcześniej spać, bo chcę być jutro w najwyższej formie, zwłaszcza że będę filmowany.

- Ktoś filmuje bieg?

- Nie, będą filmować mnie, jak biegnę - skorygował. - Kamera będzie przy mnie przez całą drogę.

- Zamierza pan zamieścić to nagranie na swojej stronie internetowej?

- Oczywiście.

Facet najwyraźniej mówił poważnie. Kto oprócz Williama Harringtona zechciałby to oglądać?

- Czyli płaci pan komuś, kto sfilmuje cały bieg? - zapytała, nadal niedowierzając.

- Dwadzieścia pięć zwycięstw to naprawdę coś imponującego. A przynajmniej dla kilku bardzo ważnych osób tak jest. Po wersji próbnej na mojej stronie pojawi się następny film i bez wątplenia będzie on równie imponujący.

Dwadzieścia pięć zwycięstw to ogromne osiągnięcie. Nie sądzi pani?

Start w maratonie bostońskim - to jest imponujące, a ukończenie takiego biegu to dopiero prawdziwe osiągnięcie.

Ale bieg na pięć kilometrów? Nie za bardzo. Jednak Sophie zachowała tę opinię dla siebie, gdyż nie chciała zgasić entuzjazmu Harringtona, ani go rozzłościć. Ten facet miał ego wielkości stanu Illinois, ale był uprzejmy i zdawał się nieszkodliwy.

Prawdziwym wyzwaniem było nakłonić go żeby przestał mówić o sobie. Czas uciekał nieubłaganie, a było już po trzeciej.

- Co miał pan na myśli, mówiąc, że będzie kolejne nagranie wideo po próbnym? Jakim próbnym?

- Zostałem zaproszony do udziału w Projekcie Alpha - powiedział z dumą. - Zapraszają do niego tylko najbardziej wysportowanych, a ja zamierzam pobić rekord w tym biegu. I to o kilka minut. Proszę więc wziąć ze sobą stoper, jeśli mi pani nie wierzy.

Kiedy wreszcie zrobił krótką pauzę na oddech, Sophie wykorzystwała okazję.

- Tak wiele będziemy mieli do omówienia dziś wieczorem



- powiedziała najszybciej, jak potrafiła. - Do zobaczenia o szóstej trzydzieści w Cosmo.  
Kiedy się rozłączała, on nadal mówił. Szybko zebrała swoje rzeczy i pomknęła do windy. W pośpiechu omal nie zderzyła się z dostawcą, który ciągnął wózek z kolejną porcją skrzynek piwa Kelly's Root. Bez słowa wskazała mu drogę do biura Bittermana.

*Wpis do dziennika numer 2 Chicago*

*Jesteśmy gotowi wyjechać na północ. Po latach studiowania arktycznych wilków w niewoli Brandon i Kirk będą w końcu mieli możliwość obserwować te piękne zwierzęta w ich naturalnym środowisku. Erie i ja jesteśmy nowicjuszami, ale też jesteśmy podekscytowani. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dowiemy się znacznie więcej na temat socjalizacji tego pod-gatunku oraz jego adaptacji w środowisku, co szczególnie mnie interesuje. Nie myślimy o czekającym nas zimnie, ale cieszymy się wizją informacji, jakie uda nam się dostarczyć środowisku naukowemu o tych tajemniczych stworzeniach. Mamy nadzieję, że będą one warte poświęceń, na jakie być może będziemy musieli się zdobyć.  
Kto wie? Może staniemy się sławni?*

2

Miał wielką ochotę na cheeseburgera. Agent Jack MacAlister właśnie zakończył mordercze dwudniowe tajne zadanie w jednej z najgorszych dzielnic Chicago i był zmęczony, brudny i straszliwie głodny. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, kiedy wchodził do baru, było natknięcie się na napad rabunkowy z użyciem broni.

Jednym celnym strzałem w serce Jack powalił napastnika, który jako zakładniczkę trzymał jakąś nastolatkę. Cienka strużka krwi spłynęła po brudnym podkoszulku złodzieja.

Jack nie musiał zabijać drugiego z napastników. Kilka szybkich ruchów i był w stanie rozbroić gościa, który leżał już twarzą do podłogi. Przytrzymał go tam stopą, którą postawił mu na karku.

Partner Jacka, Alec Buchanan, usłyszał strzał, kiedy jeszcze był na zewnątrz. Natychmiast wyciągnął broń i sprawnie ukrył się za maską swojego samochodu, by po chwili podbiec do drzwi lokalu. W restauracji zapanował chaos i panika. Nastolatka, drąc się ile sił w płucach, uciekała przed Jackiem. Kiedy się odwróciła i zobaczyła Aleca, jej wrzaski, chociaż zdawało się to niemożliwe, stały się jeszcze głośniejsze. Wyraźnie bała się ich obydwu tak samo jak tych facetów, którzy byli gotowi ją zabić.

Jack uniósł odznakę.

- FBI! - krzyknął. - Jesteś bezpieczna. Możesz przestać krzyczeć. Pani także - dodał, zwracając się do kobiety, która histerycznie wachlowała się tłustą serwetką i podskakiwała w górę, jak przy robieniu pajacyka.

**18**

Alec także wyciągnął swoją odznakę z kieszeni i trzymał ją w górze, torując sobie drogę do partnera. Przykucnął obok ciała.

- Niezły strzał - zauważył, kiedy zobaczył, któredy weszła kula.

- Nie miałem wyboru - odparł szeptem Jack, żeby tylko Alec go usłyszał. Facet, którego trzymał unieruchomionego na podłodze, zaczął się wić. - Spróbuj wstać, a znowu cię powalę.

Alec postawił mocno nogę na plecach obezwładnionego napastnika, żeby przestał się ruszać.

Trzy wozy policyjne na syrenach zahamowały z piskiem na parkingu przed knajpą. Żeby nie oberwać kulki, Jack i Alec nie opuszczali swoich odznak. Obaj dopiero co skończyli tajne zadanie i z przetłuszczonymi, długimi włosami i zmierzwionymi brodami, wyglądali bardziej jak szaleńcy-mordercy niż jak agenci FBI.

- Nie chcesz wiedzieć, co się stało? - spytał Jack Aleca, pokazując głową w stronę martwego mężczyzny na podłodze.

- Domyślam się, że nie zrozumiał twójego zamówienia.

- Był czymś naćpany. Bóg jeden wie czym. Bez wątpienia zabiłby tę dziewczynę. - Spojrzał w dół i przeniósł ciężar ciała na nogę, którą dociskał pojmanego. - Ten ma tak rozszerzone źrenice, że wyglądają jak spodki.

Alec dostrzegł jakiegoś nastolatka, który podnosił do góry telefon komórkowy. Zaciekawilo go, jak długo chłopak filmuje całe zajście. Zaklął pod nosem i odwrócił się plecami do chłopaka.

- Właśnie spaliliśmy naszą tajną tożsamość. Ile postawisz na to, że w ciągu godziny będziemy w internecie?

Jack wzruszył ramionami.

- I tak dzisiaj skończyliśmy zadanie.

Jack i Alec odsunęli się na bok, kiedy policja wkroczyła do środka.

Pierwszy oficer ukląkł obok ciała.

- To Jessup - zawołał do pozostałych.

Kilku policjantów zbliżyło się, żeby się lepiej przyjrzeć.

- Sukinkot - powiedział jeden z nich. - Nigdy nie sądziłem, że w końcu ktoś go dopadnie.
- Kim jest ten Jessup? - zapytał Jack. Oficer klęczący na podłodze podniósł wzrok.
- To jeden z głównych dostawców prochów. Od lat próbujemy go złapać. Wygląda na to, że zaczął próbować własny towar.

Do środka weszli sanitariusze z noszami i wkrótce maleńki bar zrobił się ciasny. Jack oparł się o ladę i zwrócił do Aleca:

- Nadal jesteś głodny?

Alec wziął do ręki laminowane menu.

- Mógłbym coś zjeść.

Trzy godziny później, po wypełnieniu raportów i przekazaniu sprawy policji, wreszcie znaleźli się w drodze do kwatery głównej. W chwili, kiedy weszli do środka, kazano im się natychmiast udać do biura zwierzchnika. Nie byli tym zaskoczeni, gdyż już otrzymali wiadomość na telefon, która składała się z trzech krótkich słów, które mówiły same za siebie: Moje biuro. Natychmiast.

Margaret Nie-Waż-Się-Mówić-Mi-Maggie Pittman siedziała za masywnym biurkiem. Przed nią grupka agentów uformowała półkole i wszyscy z zaciekawieniem wpatrywali się w ekran jej komputera.

- Popatrzcie, kto do nas zawitał - powiedziała zaciągając, jak robią to w Arkansas. - Agent Gwiazdor i jego przyboczny Agent Napierdalanka.

- YouTube? - zapytał Alec.

Wszyscy agenci w pokoju zgodnie kiwnęli głowami.

- Już wystarczy - Pittman rozpedziła grupkę znad biurka. - Koniec tej rozrywki. Wracajcie do pracy, a ja tymczasem porozmawiam z naszymi gwiazdami. - Gdyby się uśmiechała, jej komentarz byłby pewnie zabawny. - Panowie, proszę tu podejść. Agencje MacAlister, przypuszczam, że będzie pan w stanie wyjaśnić, co tu się dzieje. - Palcem postukała monitor.

Cholera, ten gówniarz nagrał wszystko. Jack mimowolnie skrzywił się, kiedy zobaczył siebie nonszalancko opartego o maskę samochodu Aleca. Miał skrzyżowane nogi i wgrzyzał się w cheeseburgera, kiedy obok niego technicy sądowi przewozili ciało zapakowane w czarny worek.

- Czy wie pan, jak to wygląda? Zabił pan człowieka, drugiego zmasakrował i powalił na ziemię, a potem ze smakiem zajadał się pan cheeseburgerem, wygrzewając się w popołudniowym słońcu i zachowywał tak, jakby to na panu nie zrobiło najmniejszego wrażenia. Tak to właśnie wyglądało.

Jack sądził, że skończyła.

- Na swoją obronę mogę... - zaczął.

- Wszyscy wiemy, że na tym polega nasza praca, i staramy się nie brać jej za bardzo do siebie, ale opinia publiczna niekoniecznie to zrozumie, agencie MacAlister. Ludzie oczekują od nas wrażliwości. Tak, agencie Buchanan, powiedziałam wrażliwości. Ludzie nie chcą, żebyśmy byli obojętni czy zblazowani po tym, jak kogoś zastrzelimy.

Wrażliwi? - pomyślał Jack. Mówiła poważnie?

Alec pracował z agentką Pittman jako zwierzchnikiem nieco dłużej niż on, więc Jack spojrzał na partnera, by sprawdzić jego reakcję. Ale nie znalazł ratunku. Alec miał kamienny wyraz twarzy.

- W takim razie co uważa pani za właściwe zachowanie? - zapytał Jack.

Spojrzała na niego, mrużąc jedno oko.

- Powiem wam, co nie jest właściwe. Wpieprzanie cheese-burdera, kiedy przewożą obok ciała w worku!

Miał przeczucie, że to jeszcze nie koniec. I miał rację.

- Usiądźcie. Obaj. Mam już dość zadzierania głowy do góry. Zaczekała, aż obaj usiedli po drugiej stronie biurka.

- Zwierzchnicy nie będą zachwyceni, kiedy zobaczą to nagranie. - Westchnęła i mówiła dalej: - Pewnie już widzieli.

Jednak społeczeństwo, a przynajmniej ludzie, którzy widzieli ten film, zrobili z was gwiazdy filmowe.

- Gwiazdy filmowe? - powtórzył Alec.
  - To idiotyczne - powiedział Jack w tym samym momencie.
  - Właśnie tak, staliście się gwiazdami. Jak do tej pory ten krótki filmik obejrzało już ponad dwa tysiące ludzi i spora część z nich oddała na niego głosy. Pozostaje mieć nadzieję, że kiedy się domyjecie i pozbędziecie tych długich włosów i brudu, wasz fanklub was nie rozpozna.
- Jack jęknął.
- Fanklub? Pani chyba żartuje? Pittman wbiła w niego wzrok.
  - Czy ja wyglądam, jakbym żartowała, agencie MacAlister? Jack nie odezwał się, wiedząc już, że agentka Pittman lubi sama sobie odpowiadać.
  - Nie, nie żartuję - wypaliła. - Kolejną kwestią są media. Będą się starali zrobić z wami wywiad, ale my sobie tego nie życzymy, prawda?
- Odczekała dobre dziesięć sekund, zanim sobie odpowiedziała.
- Nie, nie życzymy sobie tego. Całe szczęście już skończyliście swoje ostatnie zadanie i, ma się rozumieć, nie będzie teraz żadnej tajnej pracy przez długi, długi czas. Obaj macie unikać wszelkiej uwagi opinii publicznej, dopóki sprawa nie ucichnie i ludzie nie znajdą sobie nowego, interesującego tematu. Dotarło? Obaj weźmiecie sobie teraz wolne na jakiś czas.
  - Nie zamierzałem...- zaczął Alec.
  - Agencie Buchanan, myślał pan, że to była tylko propozycja z mojej strony? Pozwolę sobie w takim razie wyjaśnić to nieporozumienie od razu. Ma pan teraz wakacje. I pan też, agencie MacAlister. To nie kwestia wyboru. A, i macie nie opuszczać Chicago podczas urlopu.
  - Dlaczego nie nazwie tego pani po imieniu? - zapytał Alec.
  - Co pan sugeruje?
  - Odsunięcie od wykonywanych obowiązków. Pokręciła głową.
  - Odsunięcie znaczyłoby, że uważam, iż zrobiliście coś złego.

- Ile czasu mamy być na wakacjach? - zapytał Jack i skrzyżował ręce na piersi.
  - Kiedy będziecie spędzać wakacje w Chicago - powiedziała z naciskiem - codziennie rano macie meldować się telefonicznie albo mailowo. Nie wolno wam rozmawiać z mediami, a to wyklucza także mówienie im, gdzie powinni sobie wsadzić swoje mikrofony, agencje MacAlister. Macie być gotowi wrócić do pracy dwadzieścia cztery godziny po tym, jak was poinformujemy i dlatego właśnie macie się trzymać blisko, na wypadek gdybym was potrzebowała. Jack już chciał się wyklócać, ale Alec odezwał się pierwszy.
  - Kiedy zaczynają się nasze wakacje?
  - W tej chwili.
- Wychodzili już z biura, kiedy Pittman zawołała:
- Agencje MacAlister?
  - Tak?
  - Dobra robota.
- Co u...?! Skinął głową i wyszedł z biura.
- „Dobra robota?” Co chciała przez to powiedzieć? - spytał Aleca, kiedy byli w windzie. - Pracujesz dla niej dłużej, więc może mi wyjaśnisz, czy to był cynizm, czy może siliła się na humor?
  - Żadne z dwojga - odparł Alec. - Wykonałeś dziś dobrą robotę i ona to docenia. Sam widziałeś. Ten gówniarz nagrał wszystko, od chwili kiedy te naćpane łotry weszły do baru, do momentu kiedy było po wszystkim. Zapobiegłeś jatce.
  - Powinniśmy byli zabrać telefon temu gówniarzowi, zanim zamówiliśmy cheeseburgery.
- Alec zaśmiał się.
- Tak, to nas zgubiło. A to nawet nie były dobre cheeseburgery.
- Drzwi windy otworzyły się na poziomie B w garażu. Alec poszedł w jedną stronę, a Jack w drugą.
- O której się spotykamy jutro wieczorem? - zawołał Jack.
  - Postaraj się być około dziewiątej i weź pieniądze, Jack.



Dużo kasy. Zamierzam odegrać się na tobie za poprzednią przegraną..

Jack zaśmiał się.

- Tak, jakby to było możliwe...

*Wpis do dziennika numer 3 Fairbanks*

*Dziś wieczorem przyjechaliśmy do Fairbanks. Jest wiosna, ale nadal zimno.*

*Wszyscy przywieźliśmy dodatkowy ekwipunek. Brandon zapewniał nas, że wszystko, czego będziemy potrzebowali, jest już w obozie i czeka na rozpakowanie. Jutro polecimy do Barrow, a stamtąd będziemy mieli spory kawałek do przejścia do stacji badawczej. Brandon pokazał nam zdjęcia. Laboratorium jest obszerne, jak na ogólnie przyjęte standardy, i łączy się z dwoma pomieszczeniami, w których będziemy mieszkać.*

*Poza pracą naukową każdy z nas ma przydzieloną inną funkcję. Erie został wyznaczony na naszego lekarza. Podczas zimowych miesięcy może być tak, że w razie jakiegoś wypadku nie będzie możliwe otrzymanie pomocy z zewnątrz.*

*Dlatego zgromadził w laboratorium całą masę leków i środków opatrunkowych. Ale i tak wszyscy wiemy, że pracując w tak odizolowanym od świata miejscu, wystawiamy się na spore niebezpieczeństwo.*

*Kirk zajmuje się bronią. Nie mamy zamiaru krzywdzić zwierząt. W końcu to my jesteśmy intruzami, a nie one, ale na wypadek gdybyśmy natknęli się na grizli, odgłos wystrzału z karabinu powinien go odstraszyć. Żaden z nas nie opuści bezpiecznej bazy bez odpowiedniego zabezpieczenia. Arktyczne lisy często mają wściekliznę i zabijemy każdego wściekłego, którego napotkamy.*

*Tak, to będzie wyzwanie. Ale stawimy mu czoło.*

3

Sophie wiedziała, że nie zdąży, ale w czasie lunchu poplamiała sobie bluzkę sosem z sałatki i musiała iść do domu przebrać się, zanim spotka się z Williamem Harring-tonem w Cosmo. Poza tym musiała też wziąć dyktafon. W dni takie jak ten, kiedy ganiała w tę i z powrotem jak wariatka, najbardziej żałowała, że nie ma już samochodu. Będzie musiała przebiec na szpilkach trzy przecznice, żeby wsiąść w kolejkę elektryczną, a o tej porze dnia pociąg z pewnością będzie pełen ludzi wracających z pracy.

Wskoczyła do wagonu w chwili, kiedy drzwi już się zamykały. W środku było duszno i śmierdziało starym środkiem do dezynfekcji. Sophie powoli przycisnęła się na koniec wagonu. Dwóch nastolatków próbowało wciągnąć ją w rozmowę, ale zignorowała ich i poszła dalej. Minęła mężczyznę w średnim wieku, który śmierdział whisky i najwyraźniej od bardzo dawna nie miał w rękach mydła. Pomyślała, że poszczęściło się jej, kiedy znalazła za nim wolne miejsce i z ulgą usiadła. Jednak pijak odwrócił się do niej. Miał na wpół przymknięte powieki i ściągało go nieco w lewo, ale wyprostował się i ruszył do niej. Uczepił się drążka nad głową i starał się zwrócić na siebie uwagę, wydając dziwne odgłosy i rzucając jej poządlive spojrzenia. Mógfby być krewnym Gary'ego: miał niemal identycznie, chytre spojrzenie.

Dwóch nastolatków wykazało się rycerskością. Poderwali się, podeszli do mężczyzny i zagrodzili mu dostęp do Sophie. Nie pozwolili mu też wsiąść, kiedy ona wysiadała.

**26**

Uśmiechnęła się do chłopców z wdzięcznością, chociaż ich miły gest nie był jej wcale potrzebny. Sophie umiała o siebie zadbać. Mąż jej najlepszej przyjaciółki był agentem FBI i nauczył ją wszystkich sztuczek samoobrony. Poza tym Sophie nosiła przy sobie gaz pieprzowy i zdjęła z niego dłoń, dopiero kiedy była na przystanku.

Do spotkania pozostało jej pół godziny. Na szczęście jej mieszkanie przy parku Lincolna znajdowało się dosłownie dwie przecznice od Cosmo, o czym celowo nie wspomniała Haring-tonowi. Zaledwie kilka osób, poza ludźmi z wszelkich agencji, wiedziało, gdzie mieszka, a przynajmniej tak jej się zdawało. Bardzo zależało jej na tym, żeby jej życie prywatne pozostało takim.

Mieszkanie dostała od ojca na szesnaste urodziny i jak tylko stała się pełnoletnia, przepisał na nią własność. Postawił jednak jeden warunek: nie mogła go sprzedać, co oznaczało, że tak naprawdę do niej nie należało. Ale przynajmniej nie miało hipoteki i za to była wdzięczna. Ojciec zapłacił za nie gotówką, a kiedyś, gdy była jeszcze nastolatką, Sophie nie pytała go o pochodzenie tych pieniędzy. Była za bardzo zajęta martwieniem się, czy po aresztowaniu ojca nie zostanie zabrana przez opiekę społeczną. A co do tego, że w końcu go aresztują, nie miała wątpliwości. W tamtym czasie w jej głowie zwyczajnie nie zagościła myśl o pieniądzach, czy o tym, w jaki sposób ojciec mógł prowadzić tak ekstrawagancki styl życia, nie wykonując żadnej pracy. Wówczas ekstrawagancja była dla niej chlebem powszechnym. Sophie nie znała innego stylu życia.

Dopiero po ukończeniu uniwersytetu zaczęła rozumieć kwestie etyczne. Zdopingowana przez dwie najlepsze przyjaciółki, przestała wreszcie brać pieniądze od ojca, a to oznaczało drastyczne zmiany w stylu życia. Kiedy zepsuł się jej samochód, musiała go sprzedać i zacząć chodzić pieszo lub korzystać z komunikacji miejskiej, żeby dostać się do miasta. Jej życie stało się cięższe, ale z pewnością dużo prostsze i Sophie nawet to polubiła. Była dumna z siebie, że stała się silną, niezależną kobietą, która wszystko zawdzięczała tylko sobie.

Postanowiła, że dzisiejszy dzień będzie jej kolejnym sukcesem. Kiedyś bardzo się spóźniała, ale walczyła z tym złym nawykiem. Po krótkiej wizycie w mieszkaniu udało jej się dotrzeć do baru pięć minut przed czasem.

Do Cosmo przychodzili bardzo różni ludzie. Zawsze można tu było spotkać młodych menedżerów popijających białe wino lub martini, pracowników budowlanych relaksujących się po ciężkim dniu pracy przy zimnym piwie i zakąskach, oraz pary i samotników z okolicy, którzy wpadali tu na jednego i żeby dowiedzieć się ostatnich nowin. Bar był znany z piwa podawanego w temperaturze dwa stopnie wyżej od temperatury zamrażania. Właściciel lokalu, Cosmo, podobnie jak wcześniej jego ojciec, był fanatykiem temperatury. Serwowano tu także duży wybór wina z kalifornijskich winnic i piwo beczkowe warzone w miejscowym browarze. Tutejszy grill słynął z hamburgerów *jalapeño*, które /dawały się być z każdym rokiem coraz ostrzejsze. Cosmo nie było pretensjonalnym miejscem i prawdopodobnie dlatego Sophie lubiła tu przychodzić. Miało swój klimat, a klienci mogli czuć się swobodnie, przychodząc tu w stroju służbowym lub džinsach.

Knajpka urządzona była eklektycznie. Część umeblowania była współczesna i lśniąca: chromowane stoły i krzesła z grubymi, czarnymi poduszkami na siedziskach; a obok pod ścianami stały stoły i pluszowe, pikowane kanapy.

Uwagę w lokalu przykuwał sufit. Cosmo fascynował się astronomią, a ponieważ pracował w barze niemal każdej nocy, postanowił przenieść kawałek nieba do środka. Pomalował łukowate sklepienie na ciemny granat, na tym umieścił żółte centki, które miały wyglądać jak planety, i przeciągnął między belkami białe światełka choinkowy. Sufit był jego własnym, oszałamiającym kawałkiem gwiazdzistego nieba.

Cosmo zauważył Sophie w chwili, kiedy przekroczyła próg lokalu. Wykrzyknął jej imię, żeby zwrócić na siebie uwagę, posłał jej całusa, a potem poklepał się kilka razy po piersi, pokazując w ten sposób, jak jego serce szaleńczo dla niej bije.

Zapałał sympatią do Sophie po tym, jak napisała entuzjastyczny artykuł o jego barze. Cosmo był tak zachwycony, że wyciął sobie tekst i oprawił w ramki. Zawiesił go tuż za barem, gdzie wszyscy mogli go zobaczyć. Sophie zauważyła jakiś napis doczepiony obok jej artykułu. Dużą czcionką Cosmo napisał: „Brak piwa Kelly's Root”.

Sophie przedzierała się przez tłum gości, poszukując Williama Harringtona. Znalazła go na samym końcu lokalu na pluszowej kanapie. Wyglądał na zaniepokojonego.

- Pan Harrington?

Poderwał się na nogi i wyciągnął do niej rękę.

- Pani jest Sophie Summerfield? - zapytał. Był wyraźnie zaskoczony.

Nie rozumiała jego reakcji.

- Tak, to ja - odparła. - Spóźniłam się?

- Nie, ależ skąd, to ja przyszedłem wcześniej. - Nadal stał jak zamurowany.

- Możemy usiąść i zabrać się do pracy? - zasugerowała. Prześliznęła się między stołem a kanapą i zaczęła, aż on zajmie miejsce po przeciwnej stronie, a potem wyciągnęła dyktafon.

- Pierwszy raz go używam, więc proszę o cierpliwość - powiedziała.

Normalnie takie małe, lśniące cacko byłoby potwornie drogie, ale ten konkretny model został przeceniony, więc była w stanie go kupić. Było to narzędzie pracy, dlatego Sophie liczyła na to, że Bitterman zrefunduje jej ten zakup.

Sprawdziła, czy baterie są naładowane, i położyła dyktafon na środku stołu.

Harrington wpatrywał się w nią intensywnie.

- Czy coś się stało? - zapytała.

- Wiedziałem, że jest pani młoda - powiedział. - Słyszałem to przez telefon w pani głosie, ale nie spodziewałem się, że jest pani taka ładna. - Sophie nie odpowiedziała, więc zapytał: - Była pani zaskoczona moim wyglądem?

Czyżby oczekiwał, że zrewanżuje mu się komplementem?

- Widziałam pańskie zdjęcia na stronie internetowej - odparła - więc nie jestem zaskoczona. Możemy zacząć?

- Może zechciałaby pani najpierw czegoś się napić? Nalegał, żeby zamówiła, więc poprosiła o mrożoną herbatę. Dla siebie zamówił wodę gazowaną.

- Nie piję alkoholu ani kofeiny na dzień przed biegiem. Wie pani, jaki to dystans, prawda? To pięć kilometrów. Nie mogę być ospały, bo to mogłoby wpłynąć na mój wynik i dlatego pijam wodę.

- Może opowie mi pan o swoim pierwszym biegu? Przez kolejną godzinę nie udało jej się zadać następnego pytania ani w ogóle dojść do słowa. Odkąd zaczął mówić, nie przerwał ani na moment. Był przeraźliwie nudny, ale bez względu na to czy tego chciała, czy nie, zamierzał opowiedzieć jej o wszystkich dwudziestu czterech biegach, od startu po metę. Pamiętał wszystkie szczegóły. Gdyby miała stary typ dyktafonu, musiałyby zużyć do tej pory przynajmniej dwie taśmy. Dobry reporter umiałby mu przerwać i przejąć kontrolę nad wywiadem, pomyślała Sophie. Albo przynajmniej starałby się słuchać tego, co mówi rozmówca. Na swoją obronę mogła powiedzieć, że kilka razy próbowała przerwać Harringtonowi i starała się też z uwagą go słuchać, ale jego monotony głos uspiłby nawet kogoś cierpiącego na bezsenność. Był przy dziesiątym biegu, kiedy już kompletnie odjechała i zaczęła myśleć o wszystkich przyziemnych sprawach, jakie chciała załatwić w ten weekend.

Kiedy już ułożyła sobie w głowie plan działania, zaczęła marzyć o ponownej podróży do Europy. Po skończeniu uniwersytetu była na takiej wyprawie, ale nie obejrzała wszystkiego, co chciała. Następnym razem z chęcią zwiedziłaby Hiszpanię i Portugalie, Rejs po rzece mógłby być relaksacyjnym sposobem na podziwianie piękna tych krajów. Przydałyby się jej takie spokojne wakacje. Albo mogłaby zarezerwować sobie pobyt w snobistycznym spa w StBarts, o którym czytała w Vogue...

Szybko jednak powróciła do rzeczywistości. Na tę chwilę nie miała nawet wystarczająco dużo pieniędzy na koncie, żeby

kupić sobie bilet lotniczy. Chyba że postanowi przez miesiąc albo dwa nic nie jeść.

- Moim znakiem rozpoznawczym są czerwone skarpety

- z rozmyślań wyträcił ją Harrington.

- Tak, wspominał pan o tym. Czerwone skarpety, białe spodenki i czerwony podkoszulek.

- A czy mówiłem już, że moje skarpety są wyjątkowe? Mają cieniutki biały pasek u góry. Tylko jeden sklep sprzedaje takie, a ja wykupiłem ponad sto par. Nigdy mi ich nie zabraknie

- dodał, a potem wzruszył ramionami. - Chyba jestem trochę przesądny. Czy notuje pani to wszystko?

- Tak. - Sophie wskazała na dyktafon.

- W porządku. W takim razie może porozmawiamy chwilę o odciskach. Czytelnicy będą pewnie chcieli wszystko o nich wiedzieć. Niektóre były naprawdę paskudne. Był jeden taki...

*Nienawidzę mojej pracy. Przynajmniej w tej chwili. I naprawdę nienawidzę być biedną. Ale kto lubi być biedny?* - zapytała samą siebie. Może Gandhi albo Matka Teresa nie mieliby nic przeciwko, ale obydwójce uważa się za świętych, a Sophie z pewnością święta nie jest.

Harrington zakończył opowieść na temat obrażeń stóp i, bez najmniejszej przerwy na złapanie oddechu, przeszedł do nowego tematu. A raczej starego...

- Wróćmy zatem do biegów, dobrze? Teraz może ranek mojego jedenastego biegu...

Zabij mnie, łaskawy Boże...

Czy jęknęła na głos? Harrington albo nie zauważył, albo nie zrobiło na nim wrażenia to, jak przewróciła oczami.

Sophie wzięła potężny, oczyszczający wdech i wyobraziła sobie, że jest na zajęciach jogi. Wyrzuci wszelką negatywną energię i będzie myślała wyłącznie pozytywnie. Jutro wieczorem jest umówiona na kolację z Regan Buchanan i Cordie Kane, swoimi najlepszymi przyjaciółkami od przedszkola. Już nie może się doczekać spotkania z nimi. Regan była w podróży służbowej i dzisiaj wieczorem wraca do Chicago. Cordie pracowała nad doktoratem z chemii i Sophie nie widziała się z nią



ponad dwa tygodnie. Zastanawiała się właśnie, gdzie będą jadły, kiedy uświadomiła sobie, że Harrington przestał mówić i patrzy na nią wyczekująco.

- Przepraszam. Czy mógłby pan powtórzyć ostatnie...

- Pytałem, czy pani się z kimś spotyka.

- Och... Nie... - odparła. A potem, żeby nie zadał jej kolejnego osobistego pytania, zaczęła przekopywać torebkę, wyciągnęła z niej notes i otworzyła go. - Przez telefon wspomniał pan, że zaproszono go do udziału w jakimś bardzo wyjątkowym projekcie i mówił pan też coś o testach próbnych. Jeśli dobrze pamiętam, nazwał pan go Projektem Alfa. O czym dokładnie pan mówił?

- Nie pamiętam żebym mówił coś o projekcie czy testach.

- Spuścił wzrok na stół, co było wyraźnym sygnałem, że nie mówi prawdy.

Sophie nie była na tyle zainteresowana, żeby dalej drążyć.

- W porządku. W takim razie to wszystko.

Właśnie chowała do torby notes, kiedy Harrington sięgnął przez stół i wziął do ręki jej dyktafon.

- Jak to się wyłącza?

- Ja to zrobię - powiedziała.

- Nie, już widzę. - Nacisnął jeden przycisk, a potem drugi.

- Już nie nagrywa. Nie chcę, żeby to, co zamierzam pani powiedzieć, zostało gdziekolwiek nagrane. To jest całkowicie poufne. Czy tak mówią reporterzy?

- Prawdę mówiąc... - zaczęła, ale przerwał jej gestem dłoni.

- Ufam, że nie powie pani tego nikomu. To wielka tajemnica. - Pochylił się i odezwał szeptem: - To coś jak olimpiada. Przynajmniej tak mi to wyjaśniono.

Odłożyła torebkę na miejsce obok i poświęciła Harringtonowi całą uwagę.

- Co jest jak olimpiada?

Rozejrzał się nerwowo dookoła, żeby upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje.

- Jestem w doskonałej formie i dlatego zostałem zakwalifikowany.

Robił się już irytujący.

- Zakwalifikowany do czego?

- Do testów - wyjaśnił. - Coś jak kwalifikacje przed olimpiadą... Rozumie pani. Testy fizyczne zajęły trzy długie dni i przysięgam pani, że pobrali mi chyba połowę krwi do analizy. A, i miałem zrobione prześwietlenia całego ciała oraz rezonans magnetyczny. Nie powiedzieli mi, do czego potrzebne im były te wszystkie badania, ale sądzę, że upewniali się, czy nie mam większych problemów zdrowotnych. Szukali czegoś, co mogłoby mi utrudnić zadanie lub całkowicie mnie zdyskwalifikować. - Uśmiechnął się i dodał: - To naprawdę coś wielkiego. Jedynie kilku zostaje wybrańcami. - Napił się wody i jeszcze raz rozejrzał po sali. - Mam nadzieję, że rozumie pani, co mam na myśli i nie ocenia mnie mylnie. Nie chcę, żeby pomyślała pani, że się przechwalam, ale chyba widzi pani, dlaczego zostałem wybrany, prawda? Proszę tylko na mnie spojrzeć.

W duchu przysięgła sobie, że jeśli napnie przed nią bicepsy, to wstanie i wyjdzie. Na szczęście tego nie zrobił.

- Do czego został pan wybrany, panie Harrington?

- William - poprawił ją. - Proszę, porzućmy formalności. Czuję, że się do siebie zbliżymy.

*Chcesz się założyć?* Sophie niecierpliwie odrzuciła grzywkę z oczu i pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiała frustracja, kiedy już po raz nie wiadomo który powtórzyła pytanie:

- Do czego zostałeś wybrany, Williamie? Pan Gadatliwy nagle zaczął się wykręcać.

- Naprawdę nie powinienem o tym rozmawiać.

- To ty zacząłeś ten temat.

- Wiem, ale nie wolno mi nic na ten temat mówić, dopóki to się nie zakończy.

Postanowiła nie naciskać. Spojrzała na zegarek. Była już prawie dziewiąta. Harrington mówił o sobie, o swoich dwudziestu czterech biegach i odciskach przez ponad dwie godziny, a teraz, kiedy wreszcie temat zaczął być bardziej interesujący, stał się powściągliwy. To wszystko brzmiało tak dziwacznie, że nawet pomyślała, że wymyślił to sobie, żeby ją zatrzymać na dłużej.

- Rozumiem, Williamie - powiedziała. - Skoro nie możesz o tym mówić...
- To tajne - zdradził.
- Tajne... W takim razie wygląda na to, że skończyliśmy. Dziękuję ci za wywiad.
- Masz ochotę na kolejnego drinka? - zapytał podnosząc rękę, żeby zwrócić uwagę kelnera.
- Nie, dziękuję.

Biedny kelner obserwował ich już od ponad godziny i spoglądał z nieukrywaną złością. Nieprzyjaznym gestem rzucił im na stół rachunek. Mrożona herbata i woda gazowana nie prorokowały wielkiego napiwku.

Sophie była głodna, ale nie chciała jeść z Harringtonem. Zaczeka, aż wróci do domu, zdejmie buty i zrelaksuje się na kanapie, czekając, aż podgrzeje się kolacja w mikrofalówce.

- Powiem ci, co zrobię - odezwał się konspiracyjnym szeptem. - Jeśli pójdziesz ze mną jutro na kolację, wtedy ci wszystko zdradzę. Zapewniam, że będziesz zachwycona.
- Zachwycona kolacją z tobą czy tym, co od ciebie usłyszę? Uśmiechnął się.
- Mam nadzieję, że jednym i drugim. Zgadzasz się?
- Przykro mi. Mam już plany na jutrzejszą kolację... i na niedzielną też.
- W takim razie w poniedziałek?

Sophie rozważała za i przeciw. Z jednej strony będzie musiała kolejny wieczór cierpieć, wysłuchując jego tokowania o sobie, ale z drugiej strony... A jeśli mówi prawdę? A jeśli faktycznie istnieje jakiś tajny klub, do którego kwalifikują się tylko nieliczni wybrańcy? Jaki cel miałyby taki klub? I jeśli wszyscy do niego należący muszą być superatletami, czy to jakiś klub supermenów? O co w tym wszystkim może chodzić?

Nie, to jakieś szaleństwo. To muszą być bzdury. A może...?

- Zgoda. Zjem z tobą kolację, ale...
- Tak? - odezwał się ochoczo.
- Zjemy ją tutaj, w Cosmo. O siódmej trzydzieści w poniedziałek.

- Nie, nie. Nie chcę tutaj jeść. Chciałbym zabrać cię do jakiejś pięciogwiazdkowej restauracji. Może do Nuvay albo J'Adore? Obie są wyśmienite. Podaj mi swój adres, a wyślę kierowcę, który przyjedzie po ciebie o siódmej. Niczym się nie martw - dodał, machając lekceważąco dłonią. - Stać mnie na to, by zaprosić cię na kolację w każdym miejscu na świecie.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Williamie, jakkolwiek kusząca by była twoja propozycja, nadal wolałabym zjeść tutaj albo wcale. Decyzja należy do ciebie.

- Nie lubię barowego jedzenia - powiedział, wydymając wargi.

Sophie z wielką chęcią zjadłaby w jakiejś drogiej restauracji, jednak w Cosmo czuła się bezpieczna. O Williamie Harringtonie wiedziała niewiele poza tym, że był egocentrykiem.

Najwyraźniej z jej milczenia wywnioskował, że nie będzie się z nim więcej targować.

- W porządku. Zjemy tutaj - dał za wygraną. - Gdybyś nie była taka ładna, to bym sobie nie zaprzętał tobą głowy, ale mam słabość do kształtnych blondynek. A te twoje cudowne niebieskie oczy... Jesteś oszałamiająca - powiedział, bezceremonialnie odwracając głowę, po czym wzruszył ramionami. - Domyślam się, że już to kiedyś słyszałaś. - Przeniósł wzrok na jej stopy, a potem powoli przesunął go w górę po jej ciele. - Wiesz, Sophie, kobiety nie muszą zbyt wiele robić, żeby mnie zauroczyć.

Postanowiła zignorować jego lubieżny uśmiech.

- Gdzie chciałbyś się spotkać jutro przed biegiem? - zapytała niecierpliwie.

Ustalenie miejsca i godziny zajęło mu kolejne dziesięć minut. Dopiero wtedy Sophie była wolna i mogła wrócić do domu. Wstał i podał jej rękę, żeby pomóc wyjść zza stołu.

- W takim razie do jutra - powiedział. Potrząsnęła jego dłonią.

- Dobrej nocy.

Ruszyła do drzwi, spoglądając na zegarek. Prawie trzy godzi-

ny. Nie do wiary, pomyślała. Gdyby nie szansa na ciekawszą historię, nie spędziłaby z tym mężczyzną ani sekundy dłużej. Był nie do zniesienia. I co on sobie myślał, mówiąc: „kształtna”? Sugerował, że według niego wygląda na dużą? Zdrową? Pulchną? Czy może hojnie obdarowaną przez naturę? Od momentu kiedy usiedli przy stole, co chwila spoglądał na jej piersi. A ten komentarz, że nie zawracałby sobie nią głowy, gdyby nie uważał, że jest ładna? To miał być komplement? Facet był niewiarygodnie bezczelny, a to jego rozbuchane ego...

Sophie uspokoiła się, kiedy dotarła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Nietypowe jak dla niej było to, że piątkowy wieczór spędzała w domu. Prawdę mówiąc, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz została w domu, więc postanowiła wykorzystać tę sytuację. Nadrobi zaległości w mailach i pójdzie wcześniej spać.

Lecz czas zawsze zdawał się przeciekać Sophie między palcami i tego wieczoru nie było inaczej. Położyła się do łóżka dobrze po pierwszej w nocy, co byłoby nawet w porządku, gdyby nie fakt, że musiała następnego dnia wstać o świcie na drugą rundę z Williamem Harringtonem.

*Wpis do dziennika numer 22 Obóz arktyczny*

*Razem z Brandonem znowu wyruszyliśmy na poszukiwania. To był wyjątkowo mroźny dzień, ale zastosowaliśmy wszelkie środki ostrożności, żeby nie nabawić się odmrożeń. W zeszłym tygodniu Erie i Kirk zauważyli stado wilków, które przemierzało nasz płaskowyż, i podążyli za nim, żeby zobaczyć, gdzie się osiedli. Brandon i ja nie zamierzamy rozstawiać sprzętu monitorującego, dopóki nie będziemy mieli pewności, że znaleźliśmy właściwe stado, które zapewni nam stały dopływ próbek.*

Harrington nalegał, żeby spotkali się dwie godziny przed biegiem. Czekał na nią w wyznaczonym miejscu na przeciwko fontanny, która była jedną z ulubionych fontann Sophie. Miała kształt płaczącej wierzby, a woda łagodnie spływała w dół po jej gałęziach.

Właśnie wykonywał ćwiczenia rozciągające, kiedy do niego podeszła. Tak jak zapowiedział, miał na sobie swój uniform: białe spodenki, które jej zdaniem były zbyt obcisłe, czerwony podkoszulek, czarne adidasy i czerwone skarpetki z cienką białą obwódką u samej góry. Zrobiła parę fotografii, kiedy zaczął gadać i proponować różne pozy do zdjęć. Sophie nie była rannym ptaszkiem, ale Pan Egocentryczny zdawał się nie zauważać tego, że była małomówna, albo wcale go to nie obchodziło. Bo jak mógłby cokolwiek zauważyć, kiedy ani na chwilę nie przestawał mówić i wydawać poleceń.

- Czy na mecie będziesz miała gotowy aparat? Czy wiesz, gdzie się ustawić? Myślę, że schody po drugiej stronie ulicy będą najlepszym miejscem. To ważne, żeby udało ci się zrobić dobre zdjęcie, prawda? Zwłaszcza że ma się ono pojawić na stronie tytułowej gazety. Bo tak będzie, prawda? - zapytał ostrzejszym tonem.

- Nie wiem. Muszę to sprawdzić... Nie dał jej dokończyć.

- Obiecano mi pierwszą stronę.

- Naprawdę? Skoro tak, to myślę...

- To chyba oczywiste - znowu jej przerwał.

- Rozumiem. - Nie rozumiała, ale tylko na taką reakcję było ją w tej chwili stać. I chociaż to dziwne, jej odpowiedź zdawała się go satysfakcjonować.

- A teraz w kwestii zdjęć - zaczął. - Musisz być gotowa. Profesjonalny fotograf by to wiedział. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego to ty robisz zdjęcia. Powinnaś przyprowadzić jednego z fotografów pracujących dla gazety. Czy masz w ogóle pojęcie, jak to się robi? Zrób przynajmniej jedno zdjęcie na starcie, a kiedy będę przekraczał linię mety, musisz uchwycić odpowiedni kąt promieni słonecznych za moimi plecami. Tylko proszę, uważaj, żeby słońce nie było dokładnie za moimi plecami, bo zdjęcie wyjdzie prześwietlone, a nie chcielibyśmy tego, prawda? Musisz być w pełnej gotowości, żeby nie przegapić ujęcia.

Przysięgała sobie, że jeśli jeszcze raz powie jej, że musi być gotowa, to zacznie krzyczeć.

- Tak, już o tym wspominałeś. - Jakies dwadzieścia razy, dodała pod nosem. - I zapewniam, że będę gotowa.

Zachowywał się tak, jakby w ogóle się do niego nie odezwała.

- Wiem, co możemy zrobić. Masz przy sobie swoje wizytówki?

Znalazła jedną na dnie portmonetki i podała mu ją. Na wizytówce nie było adresu pracy, tylko jej imię i nazwisko oraz numer telefonu komórkowego. Zamówiła taką po tym, jak odeszła z ostatniej pracy. A ponieważ starała się żyć oszczędnie, to uznała, że zamówi kolejne wizytówki, dopiero jak zużyje te.

Harrington rozsunał tylną kieszeń spodenek i wyciągnął cienki, skórzany portfel. Rozłożył go, żeby wsunąć do niego jej wizytówkę, ale zatrzymał się w pół drogi, jakby właśnie przyszedł mu do głowy inny pomysł.

- Dam to komuś z ekipy filmowej - powiedział, wpychając portfel z powrotem do kieszeni spodenek. Potem uklęknął i jej wizytówkę wsunął za ściągacz prawej skarpetki. - Będzie wtedy mógł do ciebie zadzwonić, kiedy zobaczy, że zbliżam się do ostatniego wzniesienia. Wiesz, żebyś była przygotowana...



Przygotowana na co? Miała nieodpartą chęć zadać mu to pytanie tylko po to, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Ale domyślała się, że nie za dobrze. Nie wyglądało na to, żeby miał choć odrobinę poczucia humoru, a i ona normalnie o tej porze też nie tryskała humorem.

Wyciągnął ręce nad głowę, zrobił kilka okrążeń ramionami, jakby próbował pozbyć się skurczu w szyi.

- W porządku. Lepiej jak już ruszę. Lubię być pierwszy przy zapisie, a będę musiał się jeszcze dokładnie rozgrzać.

Pół godziny poświęcam na rozciąganie.

- Dokładnie pół godziny?

- Oczywiście. Nie lubię niespodzianek, więc planuję wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Uważam, że precyzja jest bardzo ważna. Może zechcesz wspomnieć o tym w swoim artykule na mój temat?

- W takim razie lepiej jak już wyruszysz... skoro masz się trzymać grafiku.

- Tak, masz rację.

- Życzę szczęścia! - zawołała za nim, kiedy ruszył przed siebie truchtem.

- Nie potrzebuję szczęścia - odkrzyknął, odwracając głowę w jej stronę. - Do zobaczenia wkrótce!

Sophie czuła się szczęśliwa, że się go wreszcie pozbyła, chociaż na chwilę. Zawróciła trzy przecznice do kawiarni, gdzie wypila dwie filiżanki gorącej herbaty, które postawiły ją na nogi, i ruszyła na linię startu, żeby obserwować bieg.

Cała ulica roiła się od biegaczy z numerami przypiętymi do koszulek. Sophie wyciągnęła aparat, żeby móc zrobić zdjęcie Harringtonowi na starcie, spodziewając się, że będzie w pierwszej linii zawodników, ale nie mogła go nigdzie wypatrzyć. Przeszła na drugą stronę linii startu, znalazła pustą ławkę w parku i stanęła na niej, wyciągając szyję, żeby dostrzec w tym tłumie Harringtona. Jednak bez rezultatu. Jego czerwona koszulka powinna ułatwić jej poszukiwania, ale kto mógł przypuszczać, że tak wielu zawodników ubierze się dziś na czerwono?

Głośny wystrzał zapoczątkował bieg i wszyscy biegacze rzucili się do walki o najlepszą pozycję. Morze twarzy przetoczyło się przed jej oczami, ale żadna z nich nie należała do Williama Harringtona. Przegapiła go. Zirytowana usiadła na ławce z aparatem na kolanach. Skoro Harrington tak uporczywie nalegał, żeby zrobiła mu zdjęcie podczas startu, to dlaczego nie ustawił się w pierwszej linii? Stawił się w parku jako jeden z pierwszych zawodników, zanim organizatorzy zdążyli rozstawić swoje stoliki, więc miał masę czasu, żeby zająć właściwe miejsce. Dlaczego pozwolił, żeby inni go wyprzedzili? Tysiące biegaczy przetaczało się ulicami niczym rój pszczół, więc nie miała szans przyjrzeć się im wszystkim.

Rozejrzała się po tłumie widzów, szukając gdzieś ekipy filmowej, ale nigdzie jej nie widziała. Nie pozostało jej nic innego jak tylko czekać. Trasa biegu wiodła ulicami miasta i zataczała koło do miejsca oddalonego od startu jakies półtorej przecznicy. Sophie poszła więc do linii mety, żeby tam wypatrywać zwycięzcy. Po paru minutach w odległości kilku przecznic zobaczyła samotną sylwetkę biegacza. Tłum okrzykami zagrzewał go do wysiłku na ostatniej prostej.

W porządku, już jest, pomyślała Sophie. Uniosła aparat, gotowa do zrobienia zdjęcia na linii mety. Biegacz zbliżał się coraz bardziej i był jakieś sto metrów od mety, kiedy w polu widzenia za nim pojawili się pozostali zawodnicy.

Sophie opuściła lekko aparat, żeby się lepiej przyjrzeć. Jak to? Zwycięzcą nie był William Harrington, tylko jakiś mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała. Szybko przeniosła wzrok na resztę zbliżających się zawodników. Wśród nich także nie było Harringtona.

Biegacze jeden po drugim przecinali linię mety, a Harringtona ani śladu. Nie był ani pierwszy, ani nawet ostatni w tej rywalizacji.

Facet najzwyczajniej gdzieś przepadł.

*Wpis do dziennika numer 23 Obóz arktyczny*

*Eureka! Mamy nasze stado wilków! Sześć osobników dorosłych i trzy młode. Od razu rozpoznaliśmy samca alfa. Łatwo było go zidentyfikować po gęstej, białej sierści i małej czarnej prędze na grzbiecie. Samiec alfa jest większy od pozostałych osobników. Brandon jest cały podekscytowany tym, że będziemy badać tę nową wilczą rodzinę. A samiec alfa jest naprawdę wspaniały.*

5

Tym razem za kolację miała zapłacić Sophie. Regan nalegała, żeby zjadły w The Hamilton, sztandarowym z sieci pięciogwiazdkowych hoteli należących do jej rodziny. Zarezerwowała więc jedną z prywatnych sal przylegających do atrium. Z okien wysokich na dwa piętra rozpościerał się widok na jezioro Michigan.

- Nie rozumiem, dlaczego nalegałaś, żebyśmy tu zjadły - powiedziała Sophie, kiedy razem z Cordie szły za Regan do stolika.

- Już ci mówiłam. Mam ochotę na eskalopki i uwielbiam te, które przyrządza Eduardo - oznajmiła Regan.

Sophie jednak tego nie kupowała. Mimo że eskalopki Eduarda były wyśmienite, dobrze wiedziała, jaki jest prawdziwy powód, dla którego Regan chciała zjeść akurat tutaj. Jeśli będą jadły w hotelu należącym do jej rodziny, nikt nie przyniesie im rachunku. Wygodne, zwłaszcza że była to kolej Sophie na zapłacenie za obiad.

- Robisz to tylko dlatego, bo wiesz, że jestem biedna - powiedziała. Kelner wysunął dla niej krzesło. Sophie rzuciła mu uśmiech, podziękowała za menu, które jej podał, a potem znowu zwróciła się do Regan. - Przyznaj się.

- Nie lubisz tu jeść? - zapytała Cordie, spoglądając ponad kartą dań.

- Uwielbiam, ale nie o to chodzi. Po prostu chcę, żeby Regan przyznała...

**46**

- Że jesteś biedna? W porządku, przyznaję, jesteś biedna - powiedziała radośnie Regan.
- Cordie pokiwała na to głową.
- Tak, jesteś bardzo biedna. Można by powiedzieć, że jesteś niczym nędzny pył, ale zdaje mi się, że to wyrażenie nie ma w ogóle sensu. Co to jest nędzny pył?
- Sophie spojrzała na nią z ukosa.
- To odnosi się do przemijania, Cordie. Regan, chciałabym, żebyś przyznała, że jemy tu dlatego, że jestem biedna.
- Oczywiście, że dlatego - powiedziała Cordie.
- Tak, to prawda - potwierdziła przyjaźnie Regan. Cordie odłożyła kartę dań.
- Ale chyba nie zamierzasz się dąsać, prawda, Soph? - Jej uśmiech zdradzał, że nie martwiła się szczególnie taką ewentualnością.
- Fakt, że jestem teraz biedna, to wszystko wasza zasługa. Byłam bardzo zadowolona ze swojego życia. Kupowałam, co tylko zapragnęłam, miałam piękny samochód, karty kredytowe bez limitów, wspaniałe ciuchy i nie miałam ani jednej zmarszczki na czole.
- Nie byłaś szczęśliwa - zaprotestowała Regan. - To prawda, że musiałaś sprzedać samochód, ale chodzenie jest dla ciebie zdrowsze niż jeżdżenie autem. Nadal masz piękne ciuchy, nawet jeśli są z zeszłego sezonu. Nie potrzebujesz kart kredytowych i nadal nie masz ani jednej zmarszczki na czole.
- Z biedą ci do twarzy - powiedziała Cordie poważnie.
- Sama poprosiłaś nas, żebyśmy ci pomogły odciąć się od pieniędzy twojego ojca - przypomniała jej Regan.
- Tak, ale czy musiałyście być takie... nadgorliwe? Takie nieugięte? £o jest złego w tym, żeby raz na jakiś czas kupić sobie bluzkę u Prądy?
- Ciuchy są super, ale branie pieniędzy od ojca, żeby płacić za bluzkę, jest złe - powiedziała Cordie.
- Pieniądze, które dostałaś od ojca, pochodzą z nielegalnych źródeł - przypomniała jej Regan.

Sophie sięgnęła po szklanekę z wodą.

- A skąd macie taką pewność? Nigdy nie skazano go za żadne przestępstwo. A czy nie jest tak, że dopóki ci czegoś nie udowodnią, to jesteś niewinny?

- Oczywiście, że nie mam takiej pewności - odparła Regan. - Mówię tylko to, co ty nam powiedziałaś, i dlatego właśnie ja i Cordie zgodziłyśmy się ci pomóc.

- Pomóc mi stać się biedną?

- Pomóc ci postępować uczciwie.

Sophie niecierpliwie odgarnęła grzywkę z oczu i oparła się na krzesło.

- Naprawdę nie znoszę być biedną.

- Nie jest tak źle - pocieszyła ją Cordie. - Przynajmniej nauczysz się gospodarować pieniędzmi, tak jak ja.

- Daj spokój. Ty nie jesteś biedna. Masz wielki fundusz, który założył dla ciebie ojciec, a Kane Automotive jest teraz branżą międzynarodową. Wiesz, co tobie dolega? Nie dbasz o pieniądze, boje masz. Ja też chcę kupować... rzeczy. O Boże, mówię jak próżna idiotka. - Zanim Cordie zdążyła coś odpowiedzieć, Sophie odezwała się znowu: - Wiecie co, nie mówmy już więcej o pieniądzach. Umieram z głodu i chcę już coś zamówić.

Sophie zamówiła sałatkę i zupę. Cordie chciała grillowanego kurczaka, a Regan zamówiła grillowany ser zamiast zapowiadanych eskalopek. Żadna z nich nie zdecydowała się wypić nic mocniejszego od mrożonej herbaty.

- Wiecie, że tego samego dnia miliony lat temu nasza trójka spotkała się w szkole podstawowej Brianwood? - zapytała Regan.

- Obie stałyście się moimi siostrami tamtego dnia - powiedziała Cordie.

- Pamiętam, że ty przyjechałaś limuzyną - Regan zwróciła się do Sophie. - Myślałam, że jesteś jakąś księżniczką z blond włosami i błękitnymi oczami.

- Ty też przyjechałaś limuzyną - odparła Sophie.

- A mój ojciec przywiózł mnie starym pickupem - zaśmiała się Cordie.

- Sophie, ileż to razy twoje sekretne plany wpędzały nas w tarapaty? - przypomniała Regan. - A do tego zawsze byłaś obrończynią uciśnionych.

- I nadal jesteś - zauważyła Cordie.

- Pamiętasz, jak zostałyśmy zamknięte w szafie z ubraniami? - zapytała Regan.

- Byłyśmy święcie przekonane, że już nikt nas nie znajdzie - dorzuciła Cordie. - Kiedy znalazłyśmy batonik w kieszeni kurtki Billy'ego Millera, uznałyśmy, że jeśli go podzielimy na małe kawałeczki, to uda nam się przetrwać kilka dni.

Jedno wspomnienie przywoływało następne i wszystkie trzy zaczęły dorzucać kolejne historie zapamiętane z czasów dzieciństwa. Były tak pochłonięte zdarzeniami z przeszłości, że prawie nie zauważyły, kiedy kelner przyniósł ich kolację, ani kiedy pochłonęły swoje porcje.

- Zastanawiałam się, dlaczego zarezerwowałaś prywatną salę, ale teraz już wiem. Zachowujemy się strasznie głośno - stwierdziła Cordie.

- Aiden zasugerował tę salę - powiedziała Regan. - Powiedział, że jesteśmy hałaśliwe.

- Twój brat ma rację.

- Kiedy rozmawiałaś z Aidenem? - zapytała Cordie. - Przyjeżdża może niedługo? - Zdała sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało, więc szybko dodała: - Pytam z ciekawości. To wszystko. Moje życie jest takie nudne, naprawdę. -

Spodziewała się, że jej przyjaciółki zaraz zaprotestują, dlatego postanowiła być bardziej przekonująca. - Pomyślcie tylko. Uczę chemii w liceum, a moi uczniowie myślą jedynie o tym, co by tu wysadzić w powietrze. A kiedy nie uczę, to przygotowuję plan kolejnej lekcji i zajmuję się moją pracą doktorską. Już nawet zapomniałam, po co to wszystko robię. Jeśli jeszcze jeden mój uczeń przyniesie mi do laboratorium kolejne mentosy i butelkę coca coli, to nie będę odpowiadać za swoje czyny. Chcę wiedzieć, że są gdzieś jeszcze ludzie, którzy robią ekscytujące rzeczy.

Wszyscy twoi trzej bracia podróżują po świecie, budu-

jąc hotele. Wiodą kolorowe i fascynujące życie i uwielbiam o nich słuchać.

- Nie o nich, tylko o nim - wtrąciła Sophie. - Uwielbiasz słuchać o Aidenie.

- A dlaczego nie? Jest z nich najstarszy i najbardziej obyty. Pewnie właśnie w ten weekend leci samolotem dookoła Australii. A wiesz, co ja robiłam wczoraj wieczorem i dziś przez cały dzień? Robiłam badania. Siedziałam na tyłku w bibliotece

i grzebałam w książkach.

- Oj, chyba ja cię przebiję - stwierdziła Sophie. - Straciłam piątkowy wieczór, siedząc i wysłuchując najbardziej zadufanego, egocentrycznego i narcystycznego faceta na świecie, który opowiadał o sobie. A dziś musiałam wstać przed świtem, żeby się z nim spotkać w parku i jeszcze raz go wysłuchiwać. Nazywa się William Harrington. Mój szef chce, żebym napisała o nim artykuł, ale Harrington wystawił mnie do wiatru.

Opowiedziała im o biegu na pięć kilometrów i o tym, jak Harrington zniknął.

- Myślisz, że się rozchorował? - zapytała Cordie.

- A może doznał kontuzji podczas rozgrzewki? - podsunęła Regan.

- Nie, myślę, że wiem, co się stało - powiedziała Sophie. - Już po fakcie rozmawiałam z kilkoma organizatorami biegu. Powiedzieli, że znają Harringtona i że w ogóle nie stawił się na starcie. Bieg wygrał jakiś nuworysz, niejaki Brett Mason, i wszyscy rozprawiali o tym, jaki jest szybki. Sądzę, że Harrington usłyszał całe to gadanie przed biegiem i wystraszył się rywalizacji. Nie zamierzał ryzykować, że przegra swój dwudziesty piąty bieg, więc zrezygnował. Nie do wiary, że zmarnowałam na niego cały ten czas i wylądowałam z niczym, bez żadnego materiału na artykuł. Nie wiem, co mu się przydarzyło, ale zamierzam się tego dowiedzieć i zmusić typa do przeprosin.

Regan pokręciła głową po wysłuchaniu opowieści swoich sfrustrowanych przyjaciółek.

- Wiecie, czego wam obu potrzeba? - zapytała.



Sophie jęknęła, a Cordie westchnęła.

- Niech zgadnę - powiedziała ta druga. - Uważasz, że obie powinnyśmy się zakochać i wyjść za mąż. Łatwo ci to powiedzieć, bo ty znalazłaś idealnego mężczyznę.

Regan uśmiechnęła się marzycielsko.

- To prawda. Alec jest idealny. - Jednak szybko spoważniała. - Ale nie mówimy teraz o mnie i Alecu. Mówimy o was dwóch. Nie uważam, że koniecznie musicie od razu wychodzić za mąż. Tylko zakochać się. Sugeruję, że powinniście zrobić w swoim życiu miejsce na związek. Wiem, że gdybyście tylko chciały, mogłybyście spędzać każdą noc z innym mężczyzną...

- Chyba nie zamierzasz nam mówić, że jesteśmy zbyt wybredne? - zapytała Cordie.

- Nie. Oczywiście, że nie. Ale zdaje mi się, że robicie to, co i ja robiłam, zanim pojawił się Alec. Umawiacie się nie z tymi mężczyznami co trzeba. Wybieracie samych... nie wiem, jak to powiedzieć... lalusiów. Wiecie, co mam na myśli? - Zignorowała ich sceptyczne spojrzenia i ciągnęła dalej. - Zamierzam zeswatać was z prawdziwymi mężczyznami.

- Prawdziwymi mężczyznami jako przeciwieństwem czego...? - zapytała Sophie.

- Nie umawiam się na randki w ciemno - powiedziała Cordie.

Regan nie zareagowała na ich protesty.

- Alec ma wielu przyjaciół, a teraz ma też partnera. To naprawdę przystojny facet i jest wolny. Sophie, myślę, że powinnaś się z nim umówić.

Przez sekundę Sophie miała wrażenie, że Regan żartuje. Jednak zdała sobie sprawę, że jej przyjaciółka powiedziała to zupełnie poważnie.

- Regao, przecież to agent FBI. Chyba nie mówisz poważnie, że mogłabym się nim zainteresować, a już z pewnością on nie zainteresowałby się mną. Zapomniałaś już, kim jest mój ojciec?

Regan wzruszyła ramionami.

- Nie zapomniałam, ale uważam, że gdybyś umówiła się

z agentem FBI, to może pomogłoby ci to pokonać twoją awersję do wymiaru sprawiedliwości.

- Co to ma być? Chcesz mnie wychowywać? Nie mam żadnej awersji - zaprotestowała. - Wiesz, że uwielbiam Aleca i lubię jego przyjaciół, Gila i Johna.

- Gil jest już na emeryturze, a poza tym znałaś ich obu od bardzo dawna. Przywykłaś do nich i oni nie pracują z agentami, którzy prowadzili sprawę twojego ojca. To nie to samo. Nadal masz awersję. Naprawdę uważam, że powinnaś spróbować. Facet nazywa się Jack MacAlister i jestem pewna, że Alec mógłby go namówić na randkę w ciemno.

- Żartujesz, prawda? Regan nie odpowiedziała.

- A, mam dla was nowinę. Alec i ja zamierzamy szukać sobie mieszkania w Chicago.

- Zostaniecie na stałe? - zapytała z ekscytacją Sophie. Wszystkie zaczęły mówić jednocześnie. Sophie nie mogła przestać się uśmiechać. Od czasu, kiedy Alec wstąpił do FBI, on i Regan przeprowadzali się już kilkakrotnie. Cordie też była podniecona.

- Jak to się stało? Czy Alec zgodził się na przeniesienie? Wiem, że był już zmęczony pracą w ukryciu, ale jak...

- Nie, nie musiał o to prosić. Od półtora roku prowadzi sprawy tylko w Chicago, więc agencja zdecydowała przydzielić go tu na stałe. Jego nowy partner miał z tym też coś wspólnego. Nie znam szczegółów.

- W takim razie już go pokochałam - wykrzyknęła Cordie.

- Jak się do tego przyczynił?

- Kiedy wróćcie do domu, zajrzyjcie do internetu na You-Tube. Wpiszcie Jack MacAlister i zobaczycie.

- Ale powiedz nam teraz - błagała Sophie.

- Nie, nie ma mowy. Musisz to zobaczyć.

- To? - powtórzyła Cordie.

- Film. Tylko tyle wam powiem. A skoro twierdzisz, że już go pokochałaś, to powinnaś się z nim umówić.

- O, nie ma mowy - powiedziała Sophie. - Nie przeciąg-

niesz Cordie na ciemną stronę. Jeden agent FBI w wystarczy.

Regan uśmiechnęła się szeroko.

- A więc przyjął już Aleca do naszej rodziny

- Na to wygląda. Regan uniosła kieliszek.

- Pora no toast. Za rodzinę.

*Wpis do dziennika numer 28 Obóz arktyczny*

*Kirk nazwał samca alfa imieniem Ricky. Samicę alfa, którą wybrał sobie Ricky na partnerkę, nazywamy Lucy. Ricky bardzo ją lubi. Lucy jest psotna i zabawowa, ale Ricky wygląda, jakby był tym trochę zmęczony.*

*Rankiem dorosłe osobniki wyruszają na polowanie i przynoszą swoje zdobycze Lucy i jej potomstwu.*

*Tego ranka czekaliśmy, aż się oddalą i potem razem z Bran-donem użyliśmy nabojów usypiających, żeby obezwładnić dorosłe osobniki. Musieliśmy się bardzo spieszyć z doczepianiem im nadajników. Chciałem pobrać próbki krwi, ale Brandon przekonał mnie, że nie mamy na to czasu.*

*Ukryliśmy się w bezpiecznej odległości i obserwowaliśmy zwierzęta przez lornetki. Byliśmy za daleko, żeby mogły nas zobaczyć, ale wiedzieliśmy, że zostawiliśmy na nich swój zapach. Pierwszy ocknął się Ricky. Kiedy wreszcie był w stanie stanąć na łapach, zdało nam się, że patrzy prosto na nas. Czy wiedział, co mu zrobiliśmy? Jego mądre spojrzenie utwierdziło mnie w przekonaniu, że tak.*

*Obnażył zęby w naszą stronę, a wiatr przyniósł do nas jego warknięcie.*

*Przeszył mnie zimny dreszcz.*

6

Kiedy Sophie i jej przyjaciółki rozprawiły głośno w jednej z prywatnych sal restauracji, w drugiej części hotelu miało miejsce inne spotkanie. Raz w miesiącu w hotelu spotykał się klub pokerowy. Klub ten miał wielu członków i większość z nich była stróżami prawa, ale z uwagi na ich skomplikowane grafiki pracy nigdy nie udało się zebrać na jednym spotkaniu więcej jak połowy uczestników. Latem, kiedy pogoda była sprzyjająca, spotykali się w ogrodzie na dachu hotelu, a kiedy było zbyt duszno, wiało lub padało, spotkanie odbywało się w prywatnej sali połączonej bezpośrednio z barem na pierwszym piętrze hotelu. John Wincott, zawsze niewyspany detektyw z chicagowskiego departamentu policji, był stałym bywalcem, podobnie jak Gil Hutton, emerytowany policjant, który zwykle przed wszystkimi znał najnowsze nowiny. Gil ostatnio nie przepadał za alkoholem, więc został wyznaczony na kierowcę Johna, który to zaczynał przysypiać już po wypiciu półtorej szklanki piwa.

Tego wieczoru było wyjątkowo gorąco i parno jak na tę porę roku, więc spotkali się w sali obok baru. Gil i John siedzieli już przy stole, kiedy dołączył do nich Jack.

- Nie znoszę tego piekielnego żaru - stwierdził Gil. - Nie znoszę też deszczu.

- Ja tam zawsze wolę upał od zimna - powiedział Jack. Na koszuli miał ślady potu, a jego ciemne włosy były wilgotne.

W rogu sali znajdował się mały bar, który był zawsze w pełni zaopatrzone. Jack wziął sobie dietetyczną pepsi i właśnie ją otwierał, kiedy John zawołał do niego:

**52**

- Weź dla mnie piwo, dobra?
  - Ledwie cię rozpoznałem, Jack - powiedział Gil. - Bez tych posklejanych, brudnych długich włosów i brody wyglądasz zupełnie jak istota ludzka.
  - Istota ludzka? - powtórzył John. - Mnie się zdaje, że raczej jak gwiazda filmowa. Chwileczkę, czy ja powiedziałem gwiazda filmowa? Miałem na myśli gwiazdę internetu.
- Obaj mężczyźni zaśmiali się rubasznie. Jack wręczył Johnowi piwo, wziął łyk pepsi i usiadł w fotelu naprzeciwko swoich towarzyszy.
- Jak rozumiem, obejrzelście już film na YouTube.
  - Chyba z dziesięć razy - odparł z uśmiechem John. - Mam wrażenie, że ten film nigdy się nie przeje.
  - Tak, dla mnie ten kawałek kina był bardzo atrakcyjny i wciągający - rzekł Gil, zachowując powagę. - Sposób, w jaki trzymałeś tego napastnika przy ziemi, jednocześnie omawiając z Alekiem menu, to było imponujące. Prawdziwa perełka.
- John pokiwał głową.
- Słyszałem, że zamierzają pokazywać to w IMAX-ie. Alec pojawił się z tacą pełną kanapek w porę, żeby usłyszeć ostatnią uwagę Johna.
  - Co, znowu YouTube? - zapytał Jacka.
- Wszyscy trzej kiwnęli głowami. Jako że Gil był znany z tego, że wiedział, co się wydarzy, zanim to się wydarzy, Alec zapytał go, ile czasu według niego upłynie, zanim cała sprawa przycichnie.
- Gil podrapał się po łysej czaszce, zastanawiając się nad odpowiedzią.
- Myślę, że to potrwa jeszcze najwyżej kilka dni i jakiś inny film stanie się hitem. Wasze wakacje nie powinny trwać zbyt długo.
  - Wiesz o naszych przymusowych wakacjach? - spytał zaskoczony Jack.
  - Oczywiście. Zawsze trzymam rękę na pulsie-odparł John i poklepał się po nadgarstku. - Na pulsie - powtórzył.

- Czyli najdalej za tydzień będziemy z powrotem w pracy
  - stwierdził Alec.
  - Chyba Że Jack zechce jeszcze kogoś zastrzelić, zamawiając tacos albo coś innego - powiedział rozbawiony John. - Albo...
  - Albo co? - wtrącił z westchnieniem Jack.
  - Albo film zyska kolejnych wielbicieli w sieci.
  - A niech to! - warknął Jack.
- John śmiał się, aż mu łzy napłynęły do oczu.
- Możemy już przestać o tym rozmawiać? - zażądał Jack.
  - Prawdopodobnie nie - odparł Gil.
  - Przyszliśmy tu zagrać w pokera, czy nie? - zapytał Jack.
  - Na kogo jeszcze czekamy?
  - Na chłopaków z obyczajówki - odparł Gil.
  - Wszystkich? - zapytał Alec. Zanurkował za barem, żeby wyciągnąć napój z lodówki.
  - Nie, tylko na Woodsa i Zahnera. - Gil uśmiechnął się wypowiadając ich nazwiska. Większość chłopaków z obyczajówki była dobrymi graczami, ale Woods i Zahner stanowili wyjątek. Obaj byli fatalni. A najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że nie zdawali sobie z tego sprawy. Zawsze myśleli, że przegrywają, bo nie dopisuje im szczęście, a żaden z pozostałych graczy nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu.
  - A co z Aidenem? - zapytał John.
  - Dziś nie może przyjść - odparł Alec. - Nadal siedzi w Sydney i załatwia sprawy hotelu.
- Zbiorowe westchnienie ulgi zagościło przy stoliku, gdyż szwagier Aleca był niekwestionowanym mistrzem. Zwykle wygrywał, a kiedy miał dobry dzień, to wygrywał dosłownie każde rozdanie.
- Odezwał się telefon Jacka. Jack uśmiechnął się, spoglądając na wyświetlacz, wstał od stołu i dopiero wtedy odebrał, a potem podszedł do okna i wysłuchiwał swojego rozmówcy.
- To musi być kobieta - skomentował John.
  - Ech... - westchnął Gil. - Pamiętam te czasy...
- Ktoś zapukał do drzwi, a po chwili pojawiła się w nich Regan.
- Mogę wam na chwilę przeszkodzić?

Gil i John wstali, gdy Regan podeszła do męża. Patrzyli, jak Alec pochyla się i szepcze jej coś do ucha, po czym ona się rumieni. Gil przewrócił oczami. Alec i Regan byli już ponad rok po ślubie, ale nadal zachowywali się jak świeżo upieczeni małżonkowie. Jednak nikogo nie dziwił fakt, że Alec jest taki zadurzony. Regan była prawdziwą pięknoscią: ciemne włosy, piękne oczy, długie, zgrabne nogi. Gil rozumiał, co zauroczyło Aleca. Zresztą każdy mężczyzna był nią zauroczony, ale rozumiał też, dlaczego Alec zapragnął ułożyć sobie z nią życie. Regan była bystrą kobietą sukcesu, miała wielkie serce i wrażliwą duszę, a jej poczucie humoru dorównywało wymyślnym żartom Aleca. Byli więc dla siebie stworzeni.

Regan porozmawiała przez chwilę z Gilem i Johnem. Znała ich tak samo długo jak Aleca i uważała za dobrych przyjaciół. Porozmawiałyby także z Jackiem, ale był zajęty rozmową przez telefon. Spotkała go tylko raz, na jakimś przyjęciu, ale wywarł na niej duże wrażenie. Był świetny w tym, co robił - tak powiedział jej Alec. Jej mąż zapewniał też, że nie mógłby mieć lepszego partnera, więc ona nie musi się wcale martwić. Regan również obejrzała film na YouTube, który zrobił na niej wrażenie. W sytuacji kryzysowej Jack wykazał się niezwykłą siłą, zręcznością i skutecznością. Trochę przerażające było to, jak się przy tym nonszalancko zachowywał, ale w końcu przywykł do pracy tajniaka. Regan uznała, że Jack i Alec są idealnymi partnerami - są do siebie tacy podobni.

Jack skończył rozmowę przez telefon i odwrócił się w chwili, kiedy Regan powiedziała:

- Sophie potrzebuje pomocy. Podeszedł do zgromadzonych.
- Cześć, Regan. Miło cię znowu widzieć. Kim jest Sophie?
- Nie mówiłeś mi o Sophie? - John zwrócił się z pytaniem do Aleca i zaczął się śmiać.
- Nikt mi nie kazał - odpowiedział Alec.
- John, a co w tym takiego zabawnego? - Regan spojrzała na mego takim wzrokiem, jakim miała w zwyczaju patrzeć na niego jego żona, kiedy czymś ją zdenerwował.



- No wiesz... że jej... - zaczął John, a potem spojrzał na Gila, szukając u niego pomocy. John zaczął już coś mówić o niesławnym ojcu Sophie, ale w porę się powstrzymał. Regan była nieugiętą obrończynią Sophie.

- Jej co? - zapytała Regan.

- O co chodzi? - wtrącił Jack.

- Wiele straciłeś, że nie poznałeś Sophie - stwierdził Gil. - Jest niezła. Gdybym był trzydzieści lat młodszy i pare kilo lżejszy...

- Nadal nie miałbyś u niej szans - stwierdził John. Spojrzał na Jacka i wyjaśnił: - Sophie nie przepada za policjantami czy agentami FBI...

- Za przedstawicielami prawa w ogóle. Ale my stanowimy wyjątek - powiedział Gil. - Nas lubi.

- Alec, naprawdę nigdy nie wspomniałeś swojemu partnerowi o Sophie? - Johnowi trudno było to sobie wyobrazić.

- Jakoś nigdy ten temat nie wyszedł - przyznał Alec. - A poza tym wy też mi nie powiedzieliście, kiedy się dowiedzieliście.

- Zdaje się, że odbiegamy od tematu. Wróćmy do Regan, dobrze? - zaproponował Gil.

- Jasne - zgodził się John. - Mówiłaś, że Sophie potrzebuje pomocy. O co chodzi? To legalne? - zwrócił się do Regan. Regan przysunęła się do męża.

- Zależy jak na to spojrzeć. Potrzebna jej pomoc Gila. John kiwał głową.

- Nie musisz nic mówić. Wszystko jasne.

Jack czekał, aż ktoś mu wytłumaczy, o co chodzi. Wiedział, że ominęło go coś ważnego w rozmowie. W zasadzie nie znał Gila ani Johna, bo od niedawna był partnerem Aleca i wspólnie rozpracowali zaledwie trzy sprawy. Uznał więc, że to musi być ich stały zajt.

Wszyscy usłyszeli śmiech dochodzący z głównego baru i po chwili otworzyły się drzwi do ich sali, i weszła Sophie. Jack poczuł się tak, jakby go ktoś uderzył obuchem w głowę. Jej widok zaparł mu dech w piersiach. Długie blond włosy falowały wokół ramion przy każdym kroku, a jej ciało... Dobry

Boże!... Miała idealne ciało. Miała na sobie buty na bardzo wysokich obcasach, więc jej nogi wyglądały jakby miały parę metrów długości, a jedwabna sukienka delikatnie podkreślała jej krągłości. Jeśli w jej figurze były jakieś niedoskonałości, to Jack ich nie dostrzegał, gdyż jego uwagę przykuwały jej seksownie kołyszące się biodra, kiedy podchodziła do Regan.

Sophie przywitała się najpierw z Alekiem, całując go w policzek, potem uśmiechnęła się do Johna i Gila, którzy mieli twarze rozpromienione jak nastolatki pod wpływem szalejących hormonów.

Regan przedstawiła przyjaciółkę Jackowi.

- To moja najlepsza przyjaciółka, Sophie Rose.

Sophie uśmiechnęła się do Jacka i przywitała się, ale nic poza tym. Zignorowała go, a to jeszcze bardziej podsycało jego zainteresowanie. Jack nie był przyzwyczajony do tego, żeby kobiety go ignorowały. Kobiety go kochały i on je kochał. Alec nazywał go graczem, ale Jack się za takiego nie uważał. On po prostu nie wierzył w poważne związki i o ile małżeństwo mogło się sprawdzać w przypadku jego kolegów, nie był to stan pożądany przez niego. Cenił swoją wolność i to, że mógł robić to, co mu się podoba. Zawsze też upewniał się, że kobieta, z którą się umawia, ma tego świadomość. Prawda pozwalała uniknąć zbędnych komplikacji. A poza tym czuł, że nie jest wcale osamotniony w takim postrzeganiu świata.

Okiem konesera spojrzął z uznaniem, jak Sophie siada przy stole obok Gila.

- Gil, głupio mi cię prosić... - zaczęła Sophie.

- O co chodzi, kochana?

- Czy nie zgodziłbyś się jeszcze raz oczyścić mojego mieszkania?

- Oczywiście, nie ma problemu. Wiesz, że dla ciebie zrobię wszystko. A co z twoim biurem? Myślisz, że i tam warto posprzątać?

Przez chwilę się zastanawiała i już miała powiedzieć nie, bo chciałyby się za bardzo narzucać, ale Regan szturchnęła ją i szepnęła:

**60**

- Nie zaszkodziłoby, prawda?
- Tak, niech będzie. Będę bardzo wdzięczna, jeśli oczyścisz też moje stanowisko pracy. Która godzina by ci pasowała?
- Może jutro około czwartej? Zacznę od mieszkania - powiedział. -1, jeśli możesz zaczekać, to do biura przyszedłbym w poniedziałek po piątej. Pasuje?
- Tak - odparła, kiwając głową. - Naprawdę bardzo ci dziękuję. I nie mam pojęcia, jak ci się odwdzięczę.
- Coś wymyślimy - powiedział i poruszył komicznie brwiami.

Sophie zaśmiała się.

- Chodź, Regan. Cordie utknęła w barze z dwoma facetami z obyczajówki. Wystraszą wszystkich klientów. Alec przytrzymał otwarte drzwi dla żony i jej przyjaciółki, a na jego ustach zagościł uśmiech po tym, jak Regan, mijając go, coś mu szepnęła na ucho. Tymczasem Sophie przystanąła i rzuciła przez ramię do Jacka:

- Miło było cię poznać.

A niech to! Ten jej zmysłowy uśmiech wywarł na nim dokładnie takie wrażenie, jakie Jack sądził, że sobie zamierzyła. Stał z otwartymi ustami.

Zniknęła, zanim zdążył wymyślić odpowiedź. Gapił się na zamknięte drzwi przez kilka sekund, zanim przypomniał sobie, jak połykać ślinę. W końcu pozbierał się i odwrócił do Gila, żeby zapytać, czy Sophie jest z kimś związana.

John i Gil siedzieli na swoich krzesłach i uśmiechali się jak idioci.

- Co? - zapytał zdezorientowany Jack.
- Ładna, co? - raczej stwierdził, niż spytał Gil.
- Owszem, ładna - zgodził się Jack.

W tej chwili do ich sali weszli Woods i Zahner. Obaj policjanci z obyczajówki wyglądali, jakby byli właścicielami studia tatuażu. Ich ramiona i karki pokryte były wyblakłymi wzorami. Woods trzymał w ręku dwie butelki piwa, a Zahner niósł miskę orzechów nerkowca.

- Co się dzieje? -zapytał Zahner, kiedy John zaczął się śmiać.

- Jack właśnie poznał Sophie - wyjaśnił Gil.
- Serio? Właśnie teraz? - zapytał Zahner i odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.
- Nie jest zameżna - pospieszył z wyjaśnieniem John. - A Regan twierdzi, że w tej chwili z nikim się nie spotyka. Jesteś zainteresowany?
- Jack odsunął krzesło, ale nie usiadł.
- To co z nią jest nie tak?
- On nie wie? - dopytywał się Zahner.
- Najwyraźniej nie - stwierdził Woods.
- Co z nią jest nie tak? - powtórzył Jack. - Była zameżna trzy albo cztery razy? A może jest oskarżona o morderstwo, tylko wyszła za kaucją?
- Nigdy nie była aresztowana - zapewnił Alec.
- Jest wzorową obywatelką - dodał John.
- Jest naprawdę urocza i atrakcyjna - stwierdził Woods.
- I? - ponaglił Jack, spodziewając się jakiegoś haczyka.
- I jest fantastyczna, naprawdę niezła - odparł Zahner.
- Nazywa się Sophie Rose - litościwie podpowiedział Alec. Już miał wyjaśniać, że Rose nie jest drugim imieniem Sophie, ale John pokręcił gwałtownie głową i uniósł obie dłonie do góry.
- Zaczekaj! Dajmy mu szansę... Nagle Jack się wzdrygnął.
- John wybuchnął śmiechem i opadł na oparcie krzesła, nadal trzymając obie ręce triumfalnie w górze.
- No i stało się. Jack zmarszczył czoło.
- A niech to... To córka Bobby'ego Rose?
- Nie na darmo jest agentem FBI - powiedział Woods, w charakterystyczny sposób przeciągając samogłoski.
- Jack domyślił się szybciej niż ty - przypomniał mu Zahner.
- Gdybyś mógł teraz siebie zobaczyć, Jack, pomyślałbyś, że ktoś ci zdrowo przyłożył - stwierdził Gil.
- Oniemiały Jack usiadł ciężko na krześle.
- O co chodzi z tym czyszczeniem jej mieszkania? Szukasz pluskiew?

- Tak - John odparł za Gila.
  - I za każdym razem je znajduję.
  - Kto je podkłada? - zapytał Jack.
  - Próbowałem się dowiedzieć - odezwał się Alec. Tym razem już się nie uśmiechał. - Żadna agencja się do nich nie przyznaje, ale gdybym miał zgadywać, to...
  - FBI? - zasugerował Zahner.
  - Nie, z pewnością nie FBI - stanowczo zaprzeczył Alec.
  - Sądzę, że CIA - powiedział Woods.
  - Nie ma mowy. To IRS - stwierdził John. - Z pewnością IRS.
  - ATF<sup>4</sup> - powiedział Gil. - Obstawiam ATF.
  - FDA<sup>5</sup> - zaproponował Woods.
  - To żywność i leki, debilu - powiedział Zahner, zanosząc się śmiechem.
  - Żaden z was nie zgadł, kogo podejrzewam - stwierdził Alec. - No to jak będzie? Gramy w karty czy nie?
- John zaczął rozdawać karty, ale spojrzał jeszcze na Jacka.
- Nadal chcesz jej numer telefonu? - zapytał. Jack nie odpowiedział.

<sup>4</sup> **ATF - (skrót od Alcohol, Tobacco, Firearms) agencja federalna Stanów Zjednoczonych zajmująca się przestępstwami związanymi z alkoholem, tytoniem, bronią palną i materiałami wybuchowymi.**

<sup>5</sup> **FDA - (Food and Drug Administration) Agencja do spraw Żywności i Leków FDA.**

*Wpis do dziennika numer 32 Obóz arktyczny*

*Razem z Erikiem zebraliśmy kilka próbek krwi.*

*Człowiek nie poluje na arktyczne wilki, więc są stosunkowo ufne. Przyglądają się, ale nie uciekają ani nie atakują. Są ciekawymi istotami, a nasz zapach musi być dla nich czymś zupełnie nowym.*

*Wczoraj był smutny dzień. Zdechł jeden ze szczeniaków Lucy. Ciekawiła nas przyczyna, ale Brandon nalegał, żebyśmy się nie wtrącali. Interesuje go zachowanie stada, które musi poradzić sobie ze stratą, więc ostatecznie nie zrobiliśmy autopsji. Ricky zachował spokój i opuścił stado, żeby zdobyć pożywienie, tak jakby nic się nie wydarzyło. Z dotychczasowych badań nad próbkami krwi wynika, że wilki posiadają hormon, którego jak na razie nie udało mi się zidentyfikować, a ponadto Ricky ma szczególnie wysoki poziom tego hormonu. Z przyjemnością zagłębię się bardziej w te badania.*

*Brandon nie jest zainteresowany naszym odkryciem. Wydaje się, jakby stresowała go każda inicjatywa, której wcześniej nie zaaprobował. Kirkowi jest wszystko jedno. Co wieczór spisuje obszernie notatki na temat każdego z członków stada.*

*Ja także piszę do dziennika tak często, jak tylko mogę. Nie mogę się już doczekać mojego własnego eksperymentu, ale muszę z nim poczekać do końca zimy.*

Sophie nie mogła w żaden sposób odzyskać czasu zmarnowanego na Williana Harringtona, ale czuła, że przynajmniej należą jej się przeprosiny. Ponad godzinę spędziła na szukaniu go po biegu.

Tamtego dnia, kiedy wróciła do mieszkania, próbowała dodzwonić się do domu Harringtona. Włączyła się automatyczna sekretarka, więc zostawiła mu wiadomość z prośbą o oddzwonienie. Starła się, żeby jej głos zabrzmiał bardziej na zatroskany niż wzburzony. A była wściekła. Jak można być takim chamem? No i co z kolacją w poniedziałkowy wieczór? Prawdopodobnie też odwołana...

Rano w niedzielę nadal nie było od niego żadnych wieści. Znowu zadzwoniła na telefon domowy. Pó dwóch sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka, oznajmiając, że abonent zrezygnował z usług sieci. Pomyślała sobie, że pewnie wykręciła zły numer, ale przy drugiej próbie otrzymała tę samą wiadomość. Zadzwoniła więc na jego telefon komórkowy i tam również usłyszała tę samą wiadomość. Abonent zrezygnował z usług.

W takim razie została już tylko strona internetowa Harringtona. Kiedy ją studiowała, zbierając informacje na jego temat, natrafiła na miejsce, w którym odwiedzający mogli napisać komentarz. Postanowiła więc wejść na jego stronę i przesłać mu wiadomość. Wpisała w przeglądarce adres strony, ale okazało się, że już jej tam nie ma. Sprawdziła jeszcze, czy strona nie zmieniła adresu, ale nie była w stanie namierzyć jej w sieci. Podobnie jak Harrington, jego strona zniknęła bez śladu.

No dobrze, teraz to już zaczęło się robić dziwne. Postanowiła spróbować jeszcze jednego, ostatniego sposobu skontaktowania się z nim, zanim sobie daruje całą sprawę. Miała jego adres domowy, a że mieszkał niedaleko od niej, zdecydowała, że pójdzie pieszo, zapuka do jego drzwi i zażąda wyjaśnień.

Osiedle, na którym mieszkał Harrington, okazało się być nieco dalej, niż sądziła. W sumie zajęło jej to czterdzieści pięć minut i dwadzieścia dolarów za taksówkę po tym jak jej stopy zaczęły błagać o litość, gdyż zapomniała zmienić pięciocentymetrowych szpilek na wygodniejsze buty.

Harrington mieszkał w ekskluzywnej okolicy. Jego dom był bardzo elegancki i nowoczesny z oknami o przyciemnianych, odbijających światło szybach. Do środka wpuścił ją odzwierny w nienagannym szarym uniformie. Krótki korytarz prowadził do holu z marmurową posadzką i ścianami pokrytymi białym płótnem. Kiedy zbliżała się do granitowego kontuaru, zaraz pojawił się za nim około trzydziestoletni mężczyzna z modną fryzurą i niebywale umięśnioną klatką piersiową, który czekał na nią, poprawiając krawat.

Albo to były żołnierz, pomyślała, albo kulturysta. Jego oczy zdawały się za małe do takiej głowy, a głowa za mała w stosunku do szerokich, umięśnionych ramion. Recepcjoniści z reguły powinni być uprzejmi, jednak osiłek najwyraźniej nie zapoznał się z wytycznymi dotyczącymi jego profesji. Z kamienną twarzą gapił się na Sophie i czekał, aż odezwie się pierwsza. Był schludnie ubrany w ciemne spodnie i koszulę w paski. Sophie uznała, że da mu szansę mimo pierwszego niekorzystnego wrażenia, jakie na niej zrobił. Może był pracownikiem ochrony budynku i tymczasowo zastępował recepcjonistę?

A trzeba przyznać, że ochrona w tym budynku była imponująca. W każdym narożniku wysokiego na cztery metry holu znajdowała się kamera zamocowana za zdobionym gzymsem. Gdzieś, być może za drzwiami znajdującymi się za recep-



cją, znajdowało się centrum ochrony, gdzie filmowano każdą osobę, która weszła do budynku.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał zadziwiająco miłym głosem, który zupełnie nie przystawał do jego groźnej miny.

- Tak, będę bardzo wdzięczna - odparła. - Czy mógłby pan zadzwonić do apartamentu Williama Harringtona i powiedzieć mu, że Sophie Summerfield chciałaby z nim porozmawiać?

- Nie ma go - odrzekł, spoglądając ponad jej ramieniem na korytarz.

Sophie nie potrafiła rozszyfrować, czy niecierpliwy mężczyzna po prostu nie chciał, żeby mu zawracano głowę, czy faktycznie Harringtona nie było w domu.

- A mógłby pan zadzwonić, żeby się upewnić?

- Nie ma go w domu. - Jego głos przestał być miły. Jednak gniewne spojrzenie recepcjonisty nie zbiło Sophie z tropu.

- A wie pan, kiedy wróci?

- Nie. - Mężczyzna znowu zerknął w stronę wyjścia. Czyżby obawiał się, że odźwierny nakryje go na tym, że jest nieuprzejmy dla ludzi? Nie wyglądał na takiego, który przejmowałby się tym, co sobie inni myślą.

- Zechce pani zostawić wiadomość?

- Nie, raczej zaczekam tutaj, aż pan Harrington wróci.

- To wykluczone.

- Dlaczego?

- Pana Harringtona nie będzie w domu bardzo długo. Spakował się i wyjechał do Europy. Nie powiedział, kiedy zamierza wrócić.

- Dlaczego nie powiedział mi pan tego na początku...

- Strzeżemy prywatności naszych mieszkańców.

- A czy istnieje możliwość skontaktowania się z panem Harringtonem? Może zna pan plan jego podróży i wie, gdzie się zatrzyma w Europie?

- Nie, nie znam. A nawet gdybym znał, nie mógłbym podać pani takich informacji, ani nikomu innemu. Tak jak powiedziałam-

lem, pilnujemy prywatności naszych mieszkańców. Pozwoli pani, że pokażę jej drogę do wyjścia? Sophie zrozumiała i bez słowa odwróciła się na pięcie. Pomyślała, żeby powiedzieć odźwiernemu, jaki nieprzyjemny jest ten recepcjonista, ale co by to dało? Z pewnością on już wiedział, że facet jest chamem. Sophie poczuła, że zrobiła wszystko, co mogła. Od tej pory oficjalnie kończy sprawę Williama Harringtona. Przekopła torebkę w poszukiwaniu gotówki. Miała tyle pieniędzy, że starczyłoby jej na zamówienie taksówki powrotnej do domu, ale gdyby je teraz wydała, przez resztę tygodnia musiałyby pożyczać z „funduszu portmonetkowego”, który trzymała w schowku w szafie. Stwierdziła, że spacer dobrze jej zrobi. Poza tym po drodze będzie mogła pogapić się na wystawy sklepowe. Chociaż nie było jeszcze trzeciej, kiedy weszła do swojego budynku, Gil już na nią czekał. Budynek, w którym mieszkała, nie miał takiego systemu bezpieczeństwa jak ten Harringtona, ale Sophie nadal uważała, że jest tu bezpiecznie. Nie było kamer w każdym rogu, ale był odźwierny, dobre zamki i działające dzwonki. Odźwierny znał Gila i wpuścił go do holu. Kiedy weszła do środka, czytał gazetę. Szukanie pluskiew nie jest wcale takie proste, jak to pokazują w filmach. To czasochłonne i wymaga specjalistycznej wiedzy. Całe szczęście Gil to profesjonalista i wiedział, gdzie szukać, chociaż nie był z siebie zadowolony. Po kilka razy sprawdzał wszystkie miejsca, które potencjalnie nadawały się do umieszczenia podsłuchu. Cały proces miał już ustalony rytuał. Sophie włączała telewizor, siadała na sofie i siedziała tam, dopóki nie dał jej znaku, że już jest czysto. Podczas poszukiwań żadne z nich się nie odzywało. Tym razem Gil znalazł trzy urządzenia. Dwa z nich, według niego, były standardowymi urządzeniami podsłuchowymi, ale trzecie nie przypominało niczego, co dotychczas widział. Stwierdził, że Alec powinien je obejrzeć.

Było już po szóstej, kiedy Gil skończył poszukiwania i Sophie mogła zacząć szykować się na randkę. Umówiła się z Jeffreyem Óakleyem, że przyjedzie po nią o siódmej. Jeffrey był jej przyjacielem i facetem do umawiania się, kiedy akurat nie spotykała się z nikim innym, a potrzebowała towarzystwa bądź eskorty. Przez wiele lat cierpiał z powodu nieodwzajemnionej miłości do Regan, a teraz, kiedy była żoną Aleca, swoje uczucia przelał na Cordie. Bez przerwy mówił o miłości do Cordie, a Sophie wysłuchiwała tego cierpliwie.

Jej własne życie uczuciowe było niczym nieurodzajna gleba, ale to jej nie przeszkadzało. Nie miała teraz ochoty na komplikacje wynikające z romantycznych porywów serca.

Z samego rana w poniedziałek zaczęły się telefony od maniaków. Sophie nie zdążyła nawet schować torebki do szuflady w swoim boksie, kiedy zadzwonił pierwszy.

- Sophie Rose? - wysyczał.

- Sophie Summerfield - poprawiła rozmówcę. - Kto mówi?

- Nie ukryjesz się przede mną.

- Kto mówi? - powtórzyła z naciskiem.

- Twój ojciec zabrał mi pieniądze, ale nie ujdzie mu to na sucho.

- Proszę się z tym zwrócić na policję - zasugerowała. Już miała odłożyć słuchawkę, gdy usłyszała:

- Mam lepszy pomysł.

Nie pytaj, upomniała się w duchu. Tylko nie pytaj.

- Niby jaki? - usłyszała swój własny głos.

- Zajmę się tobą. I to wkrótce, Sophie. A wtedy twój ojciec przekona się, jak to jest coś stracić.

Odłożyła słuchawkę i opadła ciężko na krzesło. Znowu to samo, pomyślała. Kiedy jej ojca o coś oskarżano, natychmiast pojawiały się telefony od żądnych wyrównania rachunków, którzy liczyli na to, że przekaże ich roszczenia ojcu. Jednak ten telefon wydał jej się groźniejszy i nie bardzo wiedziała, co ma w tej sprawie zrobić.

Postanowiła skupić się na pracy. Ten człowiek naprawdę ją

nastraszył, a coś takiego nie zdarzyło się już od bardzo dawna. Praca powinna pomóc jej nabrać dystansu do tego incydentu.

Pierwszym zadaniem była kwestia Williama Harringtona. Ruszyła więc do biura Bittermana, żeby opowiedzieć mu o tym, co się stało. Ale to, co można było wyrazić w pięć minut, zajęło piętnaście, bo kiedy tylko zaczęła mówić, nie mogła się zatrzymać. Im dłużej mówiła, tym większa ogarniała ją złość. Bitterman pozwolił jej ponarzekać na stracony czas, sam tymczasem sączył schłodzone piwo korzenne, po czym podrzucił jej dwa nowe pomysły na artykuły, które mogły zastąpić historię Harringtona.

Bitterman uznał za stosowne omówić z nią w najdrobniejszych szczegółach oba te pomysły, więc kiedy już wróciła do swojego boksu, czekały na nią trzy nowe wiadomości od telefonistki. Dwie były od Regan, a jedna od Cordie. Wszystkie trzy były oznakowane jako bardzo pilne.

Przyjaciółki zostawiły też wiadomości na jej telefonie komórkowym, ale Sophie nie miała szansy ich odsłuchać, gdyż zaraz została wezwana do działu produkcji, żeby odpowiedzieć na kilka pytań. Kiedy ponownie wróciła do swojego biurka, usłyszała, jak Bitterman ją woła. Tym razem użył jej imienia, a to mogło oznaczać tylko jedno: cokolwiek chciał, to było coś poważnego.

Gary próbował się za nią wcisnąć, ale Bitterman wciągnął Sophie do swojego biura, zatrzaskując drzwi przed nosem Ga-ry'ego.

W biurze ryczał telewizor. Szef ściszył odbiornik i powiedział:

- Właśnie podano to w południowych wiadomościach.

- To? - zapytała.

- Właśnie odbywa się konferencja prasowa - powiedział, kiwając głową w stronę telewizora.

Sophie wiedziała już, co zamierza jej powiedzieć, zanim kolejne słowa wydobyły się z jego ust.

- FBI ogłosiła, że twój ojciec jest poszukiwany. Znowu.

*Wpis do dziennika numer 45 Obóz arktyczny*

*Ricky stał się dość przewidywalny. Wyrusza na poszukiwanie jedzenia z pozostałymi samcami o tej samej porze każdego dnia i wraca mniej więcej o tej samej porze. Jednak dzisiaj nie było go tylko przez godzinę. Kiedy wrócił do stada, był czymś poruszony i zbudził wszystkie szczeniaki. Pozostałe samce chodziły niepewnie wokół stada.*

*Wiedziały, że coś jest nie w porządku.*

*Ricky stanął na czele stada, tyłem do szceniąt i wpatrywał się w kierunku północnym. Niczego nie widzieliśmy z tej odległości, ale przez lornetki dostrzegliśmy niedźwiedzia w odległości około ośmiuset metrów. Kiedy niedźwiedź się zbliżył, Ricky zaczął warczeć, a pozostałe samce dołączyły do niego. Niedźwiedź zatrzymał się jakieś trzysta metrów od stada i podniósł się na zadnich łapach.*

*Ricky się nie wycofał. Niedźwiedź kilka razy przeszedł się w przód i w tył, ale ostatecznie odwrócił się i udał na wschód. Najwyraźniej nie miał w planach stawiać czoła budzącemu grozę przeciwnikowi, jakim był Ricky i jego mała armia.*

8

Ojciec znowu się ukrywał. Bobby Rose nigdy nie chciał **znaleźć** się na liście poszukiwanych przez FBI. Kochał swój kraj, kochał swoje miasto rodzinne Chicago i kochał swoich rodaków. Nigdy nie podniósł na nikogo ręki, nie posiadał broni palnej i uważał, że przemoc nie jest rozwiązaniem żadnego problemu. Z całą pewnością nie stanowił zagrożenia dla żadnego praworządnego obywatela. Miał styl, charyzmę i zawsze zachowywał się jak dżentelmen.

Przy tym wszystkim oczywiście był też złodziejem.

Ludzie władzy pragnęli z całych sił wsadzić go za kratki za przeróżne kradzieże, których rzekomo dokonał, ale do tej pory nie znaleźli żadnego dowodu przeciwko niemu.

Pewien gderliwy śledczy powiedział kiedyś, że Bobby Rose jest zwyczajnym kryminalistą. Jednak Chicago się z nim nie zgodziło. Bobby nie był zwyczajnym człowiekiem. Owszem, kradł, ale trzymał się pewnych standardów.

Zabierał tylko tym, którzy zgromadzili swój majątek w nielegalny sposób. Bobby wiedział lepiej od wszystkich instytucji wspierających prawo, kim byli ci ludzie i, co ważniejsze, gdzie ukrywali swoje pieniądze. Bobby Rose stale przycierał nosa policji i wymiarowi sprawiedliwości i dlatego go nie lubili.

Dla większości obywateli był współczesnym Robin Hoodem. Kiedy czasy stawały się cięższe, ludzie chcieli w niego wierzyć. A teraz czasy były ciężkie. Wielu rodzinom z trudem udawało

72

się wiązać koniec z końcem. Rosły ceny produktów pierwszej potrzeby, a pensje były zamrożone lub malały. Przez cały czas słyszało się ó zajęciu lub sprzedaży majątku z powodu zadłużenia jego właściciela. Gorącym tematem stał się też outsourcing i zdawało się, że niemal co tydzień jakaś firma zamykała swoje podwoje, wyrzucając na bruk kolejnych pracowników, podczas gdy chciwi dyrektorzy generalni nabijali sobie kabzę milionami.

Strach, rozczarowanie i gniew były chlebem codziennym dla wielu, więc historie o Bobbym Rosie „wyrównującym rachunki” dawały im nadzieję.

Sophie stała sztywno z założonymi rękoma obok Bittermana i oglądała relację na żywo z konferencji prasowej. Nie rozpoznawała mężczyzny stojącego przed mikrofonami, ale to nie miało żadnego znaczenia. Oskarżyciele jej ojca wszyscy wyglądali jednakowo. Ubrani niczym senatorowie w skrojonych na miarę garniturach, z perfekcyjnymi fryzurami i idealnie zawiązanymi krawatami, mówili gładko, z oburzeniem domagając się sprawiedliwości - z pewnością ćwiczili przed lustrem, żeby osiągnąć taką perfekcję - pięściami uderzali w podium i nawoływali do postawienia Bobby'ego Rose przed obliczem sprawiedliwości.

Jej ojca oskarżali o wszystko, z wyjątkiem pogody. Jak tylko zaczynała się nagonka, Sophie natychmiast otrzymywała zaproszenie z departamentu policji w Chicago albo z FBI, a czasem nawet z IRS, żeby porozmawiać na temat ojca. Niestety nie mogła odmówić. Jeśli nie zgodziłaby się na współpracę, mogliby ją wywlec siłą z biura i postawić jej zarzut utrudniania śledztwa.

Bitterman trochę niezdarnie poklepał ją po ramieniu, a potem precyzyjnie obok skrzynek i opadł na swój fotel, uderzając się ponownie w zasiniały łokieć.

- Przełóż gdzieś te dokumenty i usiądź na krześle - zasugerował.

Zbyt niespokojna, żeby usiąść, Sophie odwróciła się plecami do telewizora i oparła o biurko.

- Nie chcę słuchać kolejnej pompatycznej przemowy o tym, jak strasznym człowiekiem jest mój ojciec. Proszę, powiedz mi tylko, o co go teraz oskarżają.

Bitterman wyciszył telewizor i, nieobecny myślami, zaczął drapać się po bolącym łokciu.

- Piwo korzenne Kelly's. O to w tym wszystkim chodzi - powiedział w końcu.

- Piwo korzenne? Kiwnął potakująco głową.

- Ten cały jazgot to zasługa Darrena Ellisa z kancelarii adwokackiej Ellis i Cooper. Ich firma reprezentuje Kevina Devoe.

Sophie odwróciła się, żeby spojrzeć na prokuratora.

- A kim jest Kevin Devoe?

- Pamiętasz, jak bardzo chciałaś napisać o zamknięciu browaru Kelly, a ja powiedziałem, że wszystkie gazety w tym mieście o tym piszą?

- Tak - odparła. - I miałeś rację.

- Firma, którą mieszkańcy Chicago kochają tak samo jak naszych Niedźwiedzi<sup>6</sup>, zamyka się po ponad sześćdziesięciu latach działalności i ludzie chcą wiedzieć dlaczego.

- Czytałam, że firma nie przynosiła zysków. Koszty produkcji przewyższały zyski.

- Tak, ja też o tym czytałem, ale to nie jest dla mnie wiarygodne wytłumaczenie. Nie podano żadnych szczegółów. Nie, według mnie to zamknięcie Kelly nie miało najmniejszego sensu. Najlepsze piwo korzenne w całych Stanach Zjednoczonych nie przynosi zysków? Bzdura. Dlaczego spółka nie podniosła ceny za butelkę? Zapłaciłbym podwójnie, a nawet potrójnie i większość mieszkańców Chicago zrobiłaby to samo. Nie ma drugiego takiego piwa korzennego jak Kelly's, prawda?

Sophie powątpiewała w to, czy wszyscy mieszkańcy Chicago kochali Kelly's Root Beer tak samo jak Bitterman, ale zraniłaby

<sup>6</sup> **Chicago Bears - zawodowy zespół futbolu amerykańskiego.**



jego uczucia, gdyby mu to powiedziała. Z jakichś powodów był bardzo wrażliwy w kwestii tego trunku.

- Racja, szefie, nigdzie nie kupisz takiego piwa jak Kelly's - powiedziała.

Uśmiechnął się, słysząc te słowa.

- Okazuje się, że w całej tej historii chodzi o znacznie więcej. Zaginął fundusz inwestycyjny na emerytury dla wszystkich lojalnych pracowników Kelly's. Tak po prostu - podkreślił, strzelając palcami.

- Jak to możliwe? - zapytała. - Fundusz emerytalny jest ściśle monitorowany przez...

Przerwał jej, gwałtownie kręcąc głową.

- To nie był fundusz emerytalny tylko inwestycyjny, a to duża różnica. Kelly był sprytnym biznesmenem i chciał jak najlepiej dla swoich pracowników. Zatrudnił kierownika inwestycyjnego i zaproponował swoim pracownikom, że, jeśli chcą, mogą odkładać jedną trzecią swoich miesięcznych dochodów na specjalny fundusz, a on dołoży od siebie ich równowartość. Pracownik wpłacał sto dolców miesięcznie, a Kelly dopłacał drugie tyle. To był szczodry plan emerytalny i przez lata przynosił duże korzyści podatkowe. Kierownik inwestycyjny, którego zatrudnił Kelly, był naprawdę dobry i fundusz wykazywał silny wzrost.

- Więc co poszło nie tak? - spytała i poczuła, jak ze strachu ściska ją w żołądku.

- Ludzie się zestarzelili i przeszli na emeryturę - powiedział. - Pierwszym, który odszedł na emeryturę, był sam kierownik inwestycyjny i Kelly wybrał na jego miejsce człowieka, który nazywa się Kevin Devoe. Okazał się zachowawczym inwestorem i fundusz dalej się powiększał pod jego „nadzorem. Z początku - dodał. - Na jednym z przyjęć firmowych Kevin poznał jedyną córkę Toma Kelly'ego, Meredith, i obydwójce zapalali do siebie uczuciem. Pół roku później wzięli ślub. Tom się rozchorował i ostatecznie także przeszedł na emeryturę. Mianował Meredith dyrektorem, a jej mężowi zostawił kwestie inwestycji. Nie

wiem, czy to było legalne, ale wówczas nikt nie zgłaszał sprzeciwu.

I wtedy zaczęły się kłopoty. Dwa lata po tym jak Kevin przejął kierownictwo inwestycyjne, przeniósł pieniądze do innego funduszu. W funduszu były trzy firmy i wszystkie wykazywały znaczny wzrost. Oczywiście na papierze. Liczby były zawyżone i Kevin teraz twierdzi, że sądził, iż pieniądze zostały zainwestowane w godny zaufania fundusz, ale teraz widzi, że został oszukany. Twierdzi także, że nie kto inny, tylko Bobby Rose mógł tego dokonać i, tak jak przed chwilą stwierdził w telewizji jego prawnik, odkryli, że Bobby był właścicielem udziałów w jednej z firm. Nie powiedział, jakie to były udziały.

- Mój ojciec stał się ostatnio wygodnym kozłem ofiarnym. Bitterman nie zaprzeczył.

- Parę tygodni temu żona Kevina wystąpiła o rozwód. Tuż przed tym jak cała sprawa ujrzała światło dzienne. Sophie pokręciła głową.

- Nie mów mi tylko, że i o to oskarżają mojego ojca.

- O rozwód? Nie, jasne, że nie. - Podniósł z biurka długopis i zaczął się nim bawić. - Wspomniałem o tym, ponieważ Kevin był bardzo chętny do przekazania swoich spraw finansowych prawnikowi żony i dopilnował, żeby prasa się o tym dowiedziała. I wiesz co? Na papierze on wygląda jak nędzarz. Zależy mu na tym, żeby się wszyscy dowiedzieli, że i on większość swoich pieniędzy włożył w fundusz, więc jest tak samo ofiarą jak wszyscy pracownicy Kelly'ego.

- To idiotyczne. To przecież on wybrał ten fundusz, prawda?

- Tak, ale upiera się, że liczby zostały poważnie zawyżone.

- Czy poza tym, że mój ojciec miał akcje jednej z firm, istnieje jakiś dowód na to, że to on zabrał te pieniądze?

- Nie, ale FBI go szuka.

- Niczego nie znajdują, bo mój ojciec tego nie zrobił.

Jej lojalność była godna podziwu, ale w tej konkretnej sprawie była też jak najbardziej uzasadniona, pomyślał Bitterman.

- Mnie też nie wydaje się, żeby mógł to zrobić. Jednak masa ludzi uważa, że wykorzystał klasyczny chwyt sztucznego pom-

powania cen akcji. Mówi się, że akcje mają dużą wartość, dopóki nie sprzeda się ich sporej ilości, a wtedy ci, którzy tak zapowiadali, sprzedają swoje udziały i następuje krach, bo akcje spadają. Wielu ludzi sądzi, że Bobby zabrał te pieniądze. Są wściekli, i to bardzo. Pokiwała głową.

- Rozumiem. Czytałam, że niektórzy z zatrudnionych pracowali u Kelly'ego przez ponad trzydzieści lat. A teraz zostali z niczym.

- Chciałbym, żebyś wiedziała, że jak tylko stąd wyjdiesz, dopadnie cię zgraja dziennikarzy. Już dzwonili z ochrony, że kilku reporterów z jakichś szmatławców próbowało się tu dostać.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedziała. - Nie ma nic gorszego jak zostać napadniętym z nienacka.

- Jeśli chcesz, to możesz wziąć sobie trochę wolnego do czasu, aż to wszystko nieco ucichnie.

- Gdybym tak robiła za każdym razem, kiedy mój ojciec pojawia się w wiadomościach, w ogóle nie mogłabym normalnie pracować.

Bitterman wstał i spojrzał ponad nią.

- Już jest FBI.

- Wcześniej się pojawili - powiedziała, nie odwracając się. Zwykle zapraszali ją na pogadankę dzień lub dwa po tym, jak jej ojciec pojawił się w wiadomościach. - Ciekawe skąd ten pośpiech.

Bitterman spojrzał na nią ze współczuciem.

- Ponieważ to ja ich wezwałem.

*Wpis do dziennika numer 61 Obóz arktyczny*

*Dziś obserwowaliśmy, jak stado upolowało karibu. To było niesamowite obserwować, jak wilki potrafiły współdziałać, żeby odciąć najsłabszego osobnika od stada i zaatakować go ze wszystkich stron tak, jakby komunikowały się ze sobą telepatycznie.*

*Dowodził Ricky i wszyscy pozostali podporządkowali się jego przewodnictwu. To on zabił ofiarę. Jego potężne szczęki zacisnęły się na gardle karibu i nie rozluźniły się, dopóki zwierzę nie padło na ziemię. Wtedy dopiero rzuciły się pozostałe wilki i za pozwoleniem Ricky'ego zaczęły ucztować.*

*Nie potrafię współczuć karibu. Jego misją było nakarmić Ricky'ego i jego wilczą rodzinę.*

*Wygrwa silniejszy.*

*Kiedy wróciliśmy do bazy, Erie i ja rozmawialiśmy o Rickym i jego niezwykłej sile i obecności tajemniczego hormonu w jego krwi. Erie nazwał go K-74. Poprosił mnie o pomoc przy zwabieniu Ricky'ego, żebyśmy mogli pobrać kolejną próbkę krwi. Ponieważ Brandon i Kirk nie wykazali żadnego zainteresowania odkryciem Erica, poprosił mnie, żebym nic nie mówił o tym, co planujemy zrobić.*

*Z naukowej ciekawości, która zagnała mnie aż tak daleko,*

**75**

*stałem się więc potajemnym asystentem Erica. Uważam, że powinniśmy być elastyczni i chętni do stosowania nowych metod. Jednak Brandon pochodzi ze starej szkoły i nie zgodziłby się z moją opinią, więc lepiej, że nie wie, co zamierzamy zrobić.*

Pora na decyzję. Sophie nie mogła się zdecydować, czy podczas tego przesłuchania woli odgrywać głupią blondynkę, czy kąśliwą sukę. Przez wszystkie te lata udało jej się obie te role opanować do perfekcji. A może dla odmiany tym razem będzie flirtować? Jej przyjaciele twierdzili, że ma do tego talent. Ale flirtować z agentem FBI? Nic z tego.

Wiedziała, że będzie dwóch agentów. Zawsze chodzili parami. Domyślała się, że robili tak ze względów bezpieczeństwa.

Skrzyżowała ramiona i odwróciła się w stronę funkcjonariuszy. Wszystkie myśli o odgrywaniu jakichś ról uleciały natychmiast z chwilą, gdy zobaczyła zbliżającego się Aleca. Rozluźniła się i odetchnęła z ulgą.

Bitterman przecisnął się obok biurka i podszedł do drzwi. Sophie uśmiechała się do momentu, kiedy zobaczyła drugiego agenta, który wyłonił się zza rogu i podążał w ślad za Alekiem. To ten facet, którego poznała w hotelu. Nazywał się Jack MacAlister.

Musiała się wówczas wykazać prawdziwą samodyscypliną, żeby go zlekceważyć, ale nie wiedziała, czy tym razem zdoła go zignorować. A może nic wielkiego się nie stanie, jeśli się trochę na niego pogapi. Bo facet jest po prostu nieprzyzwoicie przystojny. Jednak musiała sobie przypomnieć, że Jack jest agentem FBI, a ona córką człowieka, uważanego za kryminalistę. Ta myśl pomogła jej odzyskać kontrolę nad sobą i nie ulegać zauroczeniu. Prawie w ogóle na niego nie patrzyła, tylko całą swoją uwagę skupiła na Alecu.

Jej szef poznał Aleca kilka miesięcy temu, kiedy ten podwoził ją do pracy.

- Zapraszam do środka - powiedział Bitterman, potrząsając dłonią Aleca.

Alec przedstawił mu Jacka i uśmiechnął się, widząc, jak szef Sophie przeciska się obok skrzynek z piwem, żeby dotrzeć do fotela.

- Usiądźcie wszyscy - powiedział Bitterman. Jack rozejrzał się po biurze z zaskoczeniem.

- Tu musi być chyba ze sto skrzynek.

- Mogę jedynie pomarzyć, że tyle ich mam - odparł Bitterman. - Jeśli życzyście sobie schłodzone piwo, to jest w lodówce za Sophie.

- Żaden z federalnych nie przyjął jego propozycji.

- Ale zdaje pan sobie sprawę z tego, że to może stanowić zagrożenie pożarowe, prawda? - zapytał Jack.

- Ja widzę to inaczej. Moim zdaniem piwo korzenne ugasi każdy ogień.

Jack zaśmiał się.

- Pewnie ma pan rację.

- Zanim zapomnę, Regan prosiła, żebyś do niej zadzwoniła - Alec zwrócił się do Sophie.

- Zadzwonię.

- Pamiętasz Jacka? - zapytał. W końcu spojrzała na agenta.

- Pamiętam i mogłabym rzec, że miło mi znowu pana widzieć, ale to może nie okazać się prawdą. Wszystko będzie zależało od tego, dlaczego tu przyszliście. - Odwróciła się do Aleca i spytała: - Dlaczego mój szef do was zadzwonił?

- Nie powiedział jej pan? Bitterman pokręcił głową.

- Pomyślałem, że jak ja jej powiem, ona to zlekceważy, a jak usłyszy to od jednego z was, może zrozumie, jak poważna jest sprawa.

Alec mógł mieć pewność, że i jego zlekceważy, więc dał znak Jackowi, żeby to on podzielił się nowiną. Może zrobi to na niej

większe wrażenie, kiedy usłyszy to od kogoś, kto nie jest jej przyjacielem.

Jack nie silił się na żadną dyplomację ani owijanie w bawełnę.

- Ktoś chce twojej śmierci.

- W porządku. - Pokiwała głową lekko skonsternowana.

- W porządku? Tylko tyle masz do powiedzenia? - Jack pytał z niedowierzaniem, mimo że sam dobrze widział, że ta wiadomość w ogóle nie zrobiła na niej wrażenia. Na Boga, tylko wzruszyła ramionami! Była w tym dobra, a on był pod wielkim wrażeniem. - Często słyszysz takie rzeczy? - dopytywał.

- Moim ojcem jest Bobby Rose, więc jak pan sądzi, agencie MacAlister?

Powstrzymał się od uśmiechu. Owszem, była w tym niezła, ale nie kupował tej zblazowanej postawy.

- Były pogrożki - dodał Alec. Nadal żadnej widocznej reakcji.

- W porządku - powtórzyła.

- Sophie, nie żartujemy - odezwał się Alec, tym razem ostrzejszym tonem.

Próbował przemówić jej do rozsądku, chociaż wiedział, że to bez sensu. Sophie była tak samo uparta jak jego żona. Nic dziwnego, że były dobrymi przyjaciółkami.

- Dziękuję za informację. Za pozwoleniem, pójdę teraz zadzwonić do Regan. Nie powiedziałaś jej o pogrożkach, prawda?

- Nie, nie powiedziałem, ale widziała konferencję prasową. Wie, że twój ojciec znowu jest na tapecie.

Jack zauważył niewielką wypukłość na ścianie w pobliżu lodówki. Zbliżył się, a potem spojrzał przez ramię na Aleca.

- Tu jest pluskwa.

Bitterman oparł dłonie na biurku, uniósł się z fotela i rozejrzał po pokoju.

- Gdzie? Jaka pluskwa? Nie znoszę karaluchów i pajaków. - Usiadł ponownie i zaczął z niepokojem rolować gazetę.

- To nie robał, proszę pana.

Jack pochylił się w stronę Sophie, jego ramię otarło się o jej



ramię, kiedy sięgał za nią, żeby zdjąć urządzenie podsłuchowe ze ściany obok lodówki. Dla laika, ledwie widoczna pluskwa wyglądała jak część ciemnego wgłębienia. Była zakurzona, co dowodziło, że wisiała tu już jakiś czas. Jack podał urządzenie Alecowi.

- Wygląda znajomo?

Jack znalazł się tak blisko niej, że Sophie poczuła się jak w pułapce. Przywarła plecami do lodówki i czuła jej drżenie i buczenie w całym ciele. Pomyślała, że może powinna spróbować przecisnąć się obok niego, albo dać mu kuksańca, żeby się od niej odsunął, ale to nie był typ faceta, któremu można dać kuksańca. Jego ciało robiło wrażenie nieustępliwego i twardego jak skała. Wątpiła, żeby udało jej się przesunąć go w ten sposób choćby o milimetr. Poza tym, jeśli się zacznie kręcić, on może dostrzec, że jest jej niewygodnie i niezręcznie, a ona nie chciała, żeby w ogóle zwracał na nią uwagę. Nie ufała agentom FBI, z wyjątkiem Aleca, i nie chciała, żeby agent MacAlister zorientował się, że przez niego się denerwuje.

Jednak jeśli chodziło o kwestię jej ojca, nikt nie zamierzał jej lekceważyć.

Jack spojrzał w dół na Sophie i ich spojrzenia spotkały się. Spojrzał w jej piękne oczy i poczuł subtelny zapach jej perfum. Bardzo przyjemne doznanie.

Szybko się odsunął. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było zbliżyć się do córki Bobby'ego Rose.

Jego uwagę zwrócił Bitterman.

- Twierdzi pan... - zaczął dukać, poczerwieniały na twarzy.

- Twierdzi pan, że ktoś podsłuchuje moje biuro? Ktoś słucha moich prywatnych rozmów? - Był przerażony. - Kto to robi?

- zapytał z pretensją. - To nie FBI, prawda? Alec pokręcił głową.

- To ten sam typ urządzenia, jakie Gil znalazł w mieszkaniu Sophie - Alec zwrócił się do Jacka, po czym postanowił uspokoić Bittermana. - My takich nie używamy.

Bitterman zdał sobie sprawę, że nadal ścisną zrolowaną gazetę, więc wyrzucił ją ze złością do kosza na śmieci.

- Jesteście pewni?  
- Na sto procent.  
- To wygląda jak coś, co można kupić przez internet - zauważył Jack. - Amatorszczyzna.  
- Chwileczkę. Sophie, czy ja dobrze zrozumiałem, że ktoś podłożył podsłuch w twoim mieszkaniu? - teraz Bitterman był przerażony.  
- To nic takiego - odparła, żeby go uspokoić. - Przywykłam do tego. Niech się pan tym nie przejmuję.  
- Przywykłaś do tego, że ktoś ingeruje w twoją prywatność? - zapytał Jack.  
- No i znowu, agencie MacAlister... - odparła z rozdrażnieniem. - Mój ojciec, Bobby Rose...  
Rozbawił go sposób, w jaki przywoływała po raz kolejny imię swojego ojca. Gdyby była facetem, prawdopodobnie nazwałby ją mądrą, ale nie była facetem. Była seksowną kobietą. A niech go! Powinien zwiewać od niej jak najszybciej się da. Trzeba było zaczekać na zewnątrz, w samochodzie. Ale nie, był za bardzo ciekawy. Pierwsze wrażenie zwykle było mylne i chciał się przekonać, czy faktycznie jest tak prowokacyjna, jak ją zapamiętał.  
I bez wątpienia była.  
- Pokaż mi swoje miejsce pracy - odezwał się do niej szorstko.  
Sophie domyśliła się, że Jack zamierza przeszukać jej boks, więc, wychodząc z biura szefa, poprosiła Aleca, żeby zadzwonił do Gila i powiedział mu, że już nie będzie musiał przyjeżdżać do jej pracy.  
- Dobrze - zgodził się Alec. - A kiedy ja będę dzwonił do Gila, ty spakuj wszystko to, co będzie ci potrzebne przez tydzień albo dwa. Będziesz pracować w domu. Znasz zasady.  
- Nie zostanę w domu.  
- Owszem, zostaniesz - odezwał się Jack i delikatnie pchnął ją w stronę wyjścia.  
Jego opryskliwość graniczyła z chamstwem. Sophie miała ochotę powiedzieć mu, żeby się nie wtrącał w jej rozmowę, ale

powstrzymała się, jako że był nowym partnerem Aleca. Istniało przecież zagrożenie, że nie przyjmie dobrze krytyki i zabierze Sophie na prawdziwe przesłuchanie.

Alec by na to nie pozwolił, ale po co po co stwarzać napiętą sytuację?

Tymczasem Bitterman uciął głowę dalszym jej protestom.

- Masz do napisania dwa artykuły i możesz to zrobić w domu. Masz tam komputer i łącze internetowe, i nic więcej ci nie potrzeba.

Sophie żałowała, że nie może porozmawiać z Alekiem na osobności, bo zapytałaby go, dlaczego będąc na urlopie, przejmuje się jakimiś pogrozkami. Nie jest żółtodziobem, więc dlaczego dostał to zadanie?

I czy w ogóle ktoś mu je wyznaczył?

- Panie Bitterman, czy zadzwonił pan do FBI, czy od razu do Aleca?

- Alec jest z FBI - odparł jej szef.

- Tak, ale...

- Trochę powęszyłem - Bitterman przyznał zmieszany.

- Przejrzałem twoją książkę adresową i znalazłem jego numer telefonu.

- Sophie, rusz się - ponaglił ją Alec.

- Dobrze, zaraz - odparła. - Czy było więcej pogrozek?

- zwróciła się z pytaniem do swojego szefa. - Jak tylko mój ojciec pojawia się w wiadomościach, zwykle dostaję dwie albo najwyżej trzy pogrozki. Agencje MacAlister, jeśli jeszcze raz mnie pan popchnie, to zapewniam, że się zrewanżuję.

Jack uśmiechnął się pod nosem. Wygląda na to, że panna Sophie jest jeszcze bardziej uparta, niż mu mówiono.

Postanowił, że zostawi Alecowi kwestię nakłonienia jej do współpracy.

- Tak, było więcej pogrozek - powiedział Bitterman. - Do tej pory wiem o trzech. Wiadomość była zawsze taka sama.

Twój ojciec zabrał im coś cennego, więc oni zamierzają zabrać coś cennego jemu. Mają na myśli ciebie - dodał.

Potem spojrzął na Aleca. - Kilku rozmówców użyło tego samego słowa: zemsta. Pomyślałem, że to trochę dziwne.

To były prawdziwe, ale

stłumione głosy i wszyscy używali określeń „my” i „oni”. To też wydało mi się dziwne.

- Po co do pana dzwonił? - zapytała Sophie.

- Pewnie sądzili, że zmuszę cię, żebyś wydała ojca.

- Brzmi to tak, jakby autorem wszystkich pogroźek był jeden człowiek - zauważył Alec.

- Mój kolega z firmy telefonicznej sprawdził źródło tych telefonów - powiedział Bitterman. - Wszystkie były wykonane z automatów telefonicznych z różnych miejsc w mieście.

- Od jak dawna jest wyznaczona nagroda za głowę Bobby'ego Rose? - zapytał Jack.

Sophie odwróciła się do niego.

- Co? Wyznaczono nagrodę?

- Na konferencji prasowej prokurator powiedział, że wyznaczają nagrodę za informację, która doprowadzi do aresztowania i skazania twojego ojca.

- Skazania? Za co?

- Za kradzież funduszu emerytalnego firmy Kelly' s? - zasugerował Bitterman.

- Więc uznano go winnym bez szansy na udowodnienie niewinności? To tak teraz działa system sprawiedliwości? - wybuchnęła Sophie.

- Myślicie, że moje biuro było podsłuchiwane właśnie z powodu tej nagrody? - zapytał Bitterman.

- Jasne - odparł Jack. - Proszę pomyśleć. To jest mała, lokalna gazeta. Ilu wrogów możecie sobie przysporzyć, pisząc artykuły o stężeniu pyłków w powietrzu? Wiem, że to może zabrzmiało jak zniewaga, ale nie to miałem na celu.

Mam na myśli, że nie poruszacie tu trudnych tematów politycznych, ani...

Bitterman machnął ręką.

- Wiem, o czym pan mówi, i nie czuję się urażony. Jesteśmy małą gazetą.

- Ale rozrastając się - powiedziała w obronie Sophie. - i są tacy ludzie, którzy chcą czytać o stężeniu pyłków w powietrzu.

- Wielu ludzi wie, że pracuje tu córka Bobby'ego - zauwa-

żył Alec. - Może sądzą, że będzie rozmawiała z nim przez telefon, albo powie panu coś na jego temat.

- Chcę wiedzieć, kto podsłuchuje moje rozmowy - zażądał stanowczo Bitterman. - Tu może być więcej tego ustrojstwa, prawda? - Wskazał na pluskwę, którą Alec trzymał w dłoni. - I co z telefonami? Myślicie, że też są podsłuchiwane? Do diabła z tym wszystkim! Chcę wiedzieć, kto za tym stoi!

- Wezwiemy tu techników... - zaczął Jack.

- Nie, nie - przerwał mu Bitterman. - Nie chcę, żeby to się rozniosło, dopóki nie dowiemy się, kto za tym stoi.

Zanim Alec zdążył powiedzieć, że podsłuchiwanie jakiegokolwiek biura jest rzeczą nielegalną, Sophie wtrąciła się z pytaniem.

- A może Gil? Jest emerytowanym policjantem i pracuje teraz jako konsultant. Jego specjalnością jest ochrona i wyszukiwanie podsłuchów. Panie Bitterman, on byłby idealny do tego zadania.

- Jasne, Gil mógłby tu pomóc - zgodził się Alec. - Musiałby mu pan zapłacić.

- Zapłacę każdą kwotę - odparł Bitterman. - Chociaż nie. Nie to miałem na myśli. Proszę mu nie mówić, że zapłacę każde pieniądze. Moglibyście się teraz z nim skontaktować i poprosić, żeby pojawił się tu jak najszybciej?

- No dobra, Sophie, my też zabierzmy się do roboty - powiedział Jack.

Zaprowadziła go do swojego boksu, a potem stanęła w wąskim korytarzu i czekała, aż Jack przesłucha jej automatyczną sekretarkę. Znalazł jedną wiadomość identyczną z tą, o której mówili w biurze Bittermana. Informacja o niej była też przytwierdzona obok włącznika światła.

Ze stołówki wyszedł Gary, dojadając rogalika z nadzieniem. Zobaczył Sophie i zaraz do niej podszedł.

- Dlaczego stoisz na korytarzu?

Nie dał jej czasu na odpowiedź. Zauważył Jacka siedzącego przy jej biurku i przeszukującego szuflady.

- Co ten facet tu robi? - zapytał z pełnymi ustami. Ale zaraz dostrzegł broń przy boku Jacka. - Hej, on ma broń.

- To facet z FBI - odparła.

- Nie jest ubrany jak ktoś z FBI.

Jack miał na sobie przetarte dzinsy i wyblakły podkoszulek.

- Bo to Piątek Bez Munduru - powiedziała z poważną miną. Gary wszedł do swojego boksu, ale nadal przyglądał się Jackowi.

- Chwileczkę. Dzisiaj jest poniedziałek.

- W takim razie to Poniedziałek Bez Munduru - odparła bez zmrużenia oka.

- Co on robi?

- Przeszukuje moje stanowisko.

- Lepiej, żeby nie próbował przeszukiwać mojego. Mój boks to moja prywatna przestrzeń i nikt nie ma prawa tu wchodzić bez nakazu rewizji - powiedział podniesionym głosem. - A ty, Sophie, masz być reporterem. Powinnaś zareagować tak samo jak ja. Na twoim miejscu powiedziałbym mu, żeby stąd...

Jack wstał nagle, górując wzrostem nad Garym i mierząc go przenikliwym wzrokiem.

- Co byś mi powiedział? - zapytał.

Na oczach Sophie Gary skurczył się jak szczeniak. Cofnął się w przeciwległy kąt swojego boksu.

- Nic. Ja nie chciałem... Nieważne.

Jack wyszedł na korytarz, żeby Sophie mogła usiąść przy biurku. Zaledwie kilka minut zajęło jej przesłanie pocztą paru plików na domowy komputer. Wyłączyła komputer i do dużej torby wetknęła dwie grube teczki z dokumentami, książkę i stertę papierów, które musiała przejrzeć. Z najwyższej szuflady biurka wyjęła portmonetkę, zabrała telefon komórkowy, ładowarkę i rozejrzała się dookoła, żeby się upewnić, że zabrała już wszystko, czego będzie potrzebowała.

Ciekawość Gary'ego była silniejsza od strachu przed Jackiem.

- Aresztowali cię? - zapytał Sophie. - Co zrobiłaś? Chodzi o fundusz Kelly'ego? Pomogłaś ojcu zdefraudować te pieniądze?

Sophie przywykła już do głupoty Gary'ego i nie mogła sobie odmówić podsyceń jego chorej fantazji.

- Agencie; jestem już gotowa - powiedziała do Jacka. - Zakuje mnie pan w kajdanki teraz czy dopiero w windzie?

- W windzie - odparł bez wahania. - Tylko proszę nie próbować żadnych sztuczek.

Opuściła głowę, udając skruszoną. Idąc za nią do windy, Jack dał znak Alecowi.

Im dalej był Jack, tym Gary robił się odważniej szy.

- Ona wie, gdzie jest ojciec - wykrzyknął. - Ale wam nie powie. Dlatego ją wsadzacie za kratki, prawda?

- Wszystko już sobie obmyślił. - Jack pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym dodał zniżonym głosem: - Jak wytrzymujesz, pracując z takim kretynem?

- Nie mam wyboru - odparła. - Miejmy nadzieję, że kiedyś go zwolnią i wtedy się od niego uwolnię.

- Jest reporterem?

- Tak mu się wydaje. Ale kiepski z niego obserwator. Nawet nie zauważył, że nie ma pan przy sobie kajdanek. A swoją drogą, dlaczego ich pan nie ma?

- Bo to Poniedziałek bez Munduru. Żadnych krawatów, więc i żadnych kajdanek. Mam to za ciebie ponieść? - zapytał, sięgając po jej torbę, która wyglądała na ciężką.

Drzwi do windy otworzyły się w chwili, kiedy dołączył do nich Alec. Cała trójka weszła do środka.

- W porządku - Sophie podała mu torbę. - Ale bądź ostrożny. To Louis Vuitton.

- A jak ten Lou tam w środku oddycha? Uśmiechnęła się.

- To nie Lou tylko Louis.

- Chodziło to, że droga, tak?

- Bardzo droga. To był prezent i staram się, żeby nie miała żadnych zarysowań.

- Prezent od ojca? Uśmiech zniknął z jej ust.

- Nie - odparła szorstko.

Ucieszyła się, że wkurzył ją tym pytaniem. Już zaczynała go lubić, a z pewnością czuła do niego pociąg. Zresztą, która kobieta by tego nie czuła na jej miejscu? Facet był chodzącym seksem. Ale jego pytanie przypomniało jej, że jest też agentem FBI.

Stała pomiędzy dwoma mężczyznami zwróconymi twarzami do wyjścia. Poczowała się dziwnie i niezręcznie. Nie byłoby tak, gdyby nie obecność Jacka. Aleca znała i lubiła, bo on kochał Regan i przy nim czuła się bezpieczna i rozluźniona. Alec nie oceniał, a Jack z pewnością to robił.

- Może ty pojedziesz z Sophie, a ja za wami moim samochodem? - zaproponował Jack.

- Nie mam samochodu - odpowiedziała, nie patrząc na niego.

- Naprawdę? No proszę, a ja oceniałem cię na bmw albo mercedesa. Najwyraźniej się myliłem.

- No proszę, a ja pomyślałam, że jest pan aroganckim dupkiem. - Ale nie dodała, że najwyraźniej się myliła.

Zerknęła, żeby sprawdzić jego reakcję i zaskoczyło ją, kiedy zobaczyła uśmiech w jego oczach.

Zjechali na parter. Jack zaparkował auto w garażu pod galerią handlową. Kiedy drzwi windy się rozsunęły, gestem ręki powstrzymał ją przed wyjściem. Sam tymczasem sprawdził, czy na zewnątrz jest bezpiecznie, i dopiero wtedy pozwolił jej wysiąść. Nie było żadnych czyhających na nią reporterów. Pomyślała, że Bitterman zdrowo przesadził, mówiąc, że na dole zaatakuje ją zgraja dziennikarzy. Usiadła na tylnym siedzeniu samochodu Jacka i ruszyli.

Zjeżdżali po rampie i Jack zaczekał przed skrzyżowaniem w lewo na ulicę, kiedy nagle pojawił się tłum dziennikarzy i fotoreporterów. Tłoczyli się po obu stronach samochodu i zdawało się, że są tak samo zainteresowani nią jak i Jackiem i Alekiem. Nawet wołali do nich po imieniu.

- Skąd ci dziennikarze was znają? - zapytała.

- Nie znają nas - uciął rozmowę Alec. Ale Sophie nie dawała za wygraną.

- Wołają was po imieniu i robią wam zdjęcia.

- Ona tego nie widziała? - zapytał Jack.



- Najwyraźniej nie - odparł mu Alec. - Porozmawiaj z Regan albo Cordie - zwrócił się do Sophie. - Chętnie opowiedzą ci o wszystkim.

- O czym? Alec, o czym ty mówisz?

Nie odpowiedział. Jakiś kamerzysta walnął pięścią w maskę samochodu, żeby zwrócić na siebie uwagę Jacka. Liczył na to, że uwieczni zaskoczenie na jego twarzy, ale Jack nie dał mu satysfakcji.

- Co mam ci powiedzieć? Pewnie mało się dzieje w tym tygodniu.

- Agenci FBI nie udzielają wywiadów - stwierdziła. - I ci dziennikarze doskonale o tym wiedzą. Dlaczego więc polują na was dwóch?

- Sophie, nie teraz. Jak wrócisz do domu, to zadzwoń do mojej żony.

Zdecydowała, że nie będzie tak długo czekać. Wyjęła telefon komórkowy i wysłała smsy do Regan i Cordie.

- Jak myślisz, ile mi dadzą, jeśli przejadę kilkoro z nich?

- zapytał Jack.

- Nie wiem. Ja bym ci dał dziesięć, dwadzieścia dolców

- odparł Alec.

Jack zaśmiał się w głos.

- Miałem na myśli, ile lat odsiadki mi dadzą.

Na ulicy rozluźniło się w chwili, kiedy jeden z dziennikarzy odsunął się od zderzaka i podszedł od strony okna Aleca.

Jack odjechał, zanim facet zdołał zrobić dobre zdjęcie.

- Nie znoszę dziennikarzy - mruknął Jack. - Większość z nich wypisuje same kłamstwa.

- To nieprawda - zaoponowała Sophie. Zignorował jej protest.

- Zawrże liczy się sensacja, a nie prawdziwa historia.

- Ja jestem dziennikarką - przypomniała mu.

- No właśnie o tym mówię - powiedział Jack.

- Agencie MacAlister? - odezwała się Sophie.

- Tak?

- Pocałuj mnie gdzieś!

*Wpis do dziennika numer 113 Obóz arktyczny*

*Aż trudno uwierzyć, że nasze badania nad wilkami trwają już kilka miesięcy. Zebraliśmy masę informacji o ich zwyczajach, przebadaliśmy wiele próbek, żeby zrozumieć ich fizyczną adaptację, ale nadal pozostaje tak wiele do odkrycia. Jeśli nasze plany się powiodą, fundacja przedłuży nam stypendium i w przyszłym roku będziemy mogli kontynuować badania.*

*Nie było żadnych dociekań w sprawie śmierci samca, którego Kirk nazwał Jasper. Wiedzą, że to ja obserwowałem go jako ostatni i przyjęli mój raport o ataku grizzli. Powiedziałem im, że Jasper odbył prawdziwą walkę, ale uległ sile niedźwiedzia.*

*Prawda jest jednak nieco smutniejsza. Erie i ja uspiliśmy Jaspiera, żeby móc pobrać kolejną próbkę krwi, w celu sprawdzenia, czy poziom jego hormonu się zmienia. Kiedy zbliżył się niedźwiedź, nasz samiec był jeszcze zbyt oszołomiony po lękach, żeby walczyć. Niedźwiedź rozszarpał Jaspiera na kawałki jak szmacianą lalkę.*

*Cieężko było patrzeć na tę scenę przemocy, ale przynajmniej Erie zdobył próbkę krwi, którą mógł porównać z krwią Ricky'ego.*

Sophie zwykle lubiła pracować w domu, bo nic jej nie przeszkadzało. Gary nie przewieszał się przez ściankę dzielącą ich boksy, węsząc jak pies myśliwski i zadając uciążliwe pytania o jej ojca. Poza tym w mieszkaniu miała pod ręką wszystkie zakazane przekąski. Nie musiała odbierać telefonów, jeśli nie miała na to ochoty. A nawet jeśli miałyby taką fantazję, mogłaby pracować w pizamie.

Nie lubiła natomiast być zmuszaną do pracy w domu. Czuli się jak więzień i nie znosiła, kiedy ktoś podejmował za nią decyzje. Jednak pan Bitterman był jej szefem i miał na względzie jej dobro. Nie tak jak ten czubek, który straszył ją telefonicznie, że wyrządzi jej krzywdę. Będzie musiała teraz odwołać wszystkie umówione spotkania, między innymi po raz kolejny będzie przeproszać i błagać Raula, jej fryzjera, o przesunięcie wizyty.

I cały ten bałagan przez kilka telefonów od jakiegoś maniaka. Ale domyślała się, że mogło być gorzej. Powinna być wdzięczna, że FBI nie wywiozło jej gdzieś za miasto. Przynajmniej na razie.

Bez znaczenia było, która agencja się do niej zgłaszała. Wszyscy oni zadawali ciągle te same pytania. Czy rozmawiała pani ostatnio ze swoim ojcem? Tak, jakby kiedykolwiek mówiła, że z nim w ogóle rozmawiała. Czy kiedykolwiek powiedział pani, jak zarabia pieniądze? Na to pytanie miała cały szereg sarkastycznych odpowiedzi, ale siedziała cicho, bo już w dzieciństwie nauczyła się, żeby nigdy nie zrażać do siebie facetów

z odznakami, a szczególnie jeśli zależało jej, żeby wrócić do domu, a nie utknąć na długie godziny w śmierdzącym pokoju przesłuchań.

Wszyscy oni chcieli też wiedzieć o sejfie. Czy ojciec miał taki gdzieś ukryty? I gdzie trzyma ważne dokumenty? Czy kiedykolwiek zwierzał się jej z sekretów?

Teraz Sophie ze spokojem przyjmowała te wszystkie pytania, ale nie zawsze tak było. Najgorsze doświadczenie miała w wieku dziewięciu lat. Jakiś stuknięty stary detektyw powiedział jej, że jeśli nie zacznie sypać - nie miała pojęcia, co to znaczy - i nie powie mu, gdzie jest jej ojciec, to on zadzwoni po pomoc społeczną i powie im, żeby ją zabrali i wsadzili do domu dziecka. Nikt by się nie dowiedział, gdzie jest, i nigdy już nie zobaczyłaby ojca ani przyjaciół.

Do dziś dnia Sophie nie miała pewności, jak Aiden, brat Regan, dowiedział się o tym przesłuchaniu. Domyślała się, że może jej pomoc domowa do niego zadzwoniła, ale kobieta nigdy się do tego nie przyznała.

Jak rycerz w lśniącej zbroi, Aiden pojawił się w komisariacie z trzema prawnikami, żeby ocalić ją przed sadystycznymi metodami przesłuchań detektywa. Sophie pamiętała, jak rozplakała się na jego widok i jak rzuciła mu się w ramiona. Aiden wydawał jej się bardzo dorosły, ale wówczas miał zaledwie dwadzieścia lat. Był oburzony tym, co ją spotkało, i sam postraszył detektywa, między innymi procesem o bezpodstawne zatrzymanie, publiczne poniżanie i Bóg wie co jeszcze. Stanął twarzą w twarz z detektywem i powiedział mu, że jeśli jeszcze raz z jego ust padną słowa „dom dziecka”, to pozbawi go odznaki. Prawnicy Aidena tylko to potwierdzili.

Aiden odwiózł ją do domu, podał jej prywatny numer do firmy prawniczej i kazał jej go zapamiętać. Powiedział, że może dzwonić do niego w dzień i w nocy. Do dziś dnia pamiętała ten numer i czasami z niego korzystała.

Nigdy nie powiedziała Regan ani Cordie, co wydarzyło się tamtej nocy, kiedy uratował ją Aiden, i poprosiła go, żeby także zachował to dla siebie i nigdy nikomu nie zdradził, że płakała.

Była typem wojownika i Aiden wiedział o tym. Nie wiadomo jak udało mu się namierzyć jej ojca, mimo że zmieniał potajemnie miejsca pobytu i zmusić go do wydania pozwolenia na to, by podczas jego nieobecności to właśnie Aiden był jej obrońcą. Sophie była mu za to niezmiernie wdzięczna.

Teraz zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do prawników Aiden w związku z ostatnią falą pogrózek. Ale miała nadzieję, że wkrótce cała sprawa ucichnie i za parę dni zapomni o wszystkim.

Kiedy dotarła do mieszkania, Alec i Jack weszli z nią na górę. Stali obok niej, kiedy odsłuchiwała wszystkie trzynaście wiadomości z automatycznej sekretarki. Żadna z nich nie była pogrózką, ale ostatnia zaskoczyła Jacka. Rozmówca przedstawił się imieniem Cookie, a na wyświetlaczu telefonu Sophie pojawił się napis Southside Reserve Soup Kitchen. Głęboki tembr jego głosu stanowił spore przeciwieństwo dla jego imienia.

- Kochana Sophie, chciałem ci podziękować za przepiękną torebkę i portfel ze specjalnej edycji Fendi. Właśnie na nie patrzę, kotku, i są fantastyczne, po prostu fantastyczne. Znowu przeszłaś samą siebie. Wiesz, jak bardzo to doceniamy, prawda? Hej, a doszły mnie plotki, że następnym razem będziesz miała coś Birkin. Wiem, że jestem paskudnie zachłanny, ale wierzę, że uda ci się coś dla mnie załatwić. Tymczasem trzymaj się, kotku. Wiesz, że cię uwielbiam.

Jack nie mógł nie zapytać:

- Dałaś torebkę i portfel jakiemuś kucharzowi? Czy ja dobrze słyszałem?

- Tak. Alec, rozejrzysz się po kątach i sprawdzisz, czy nikt się tam nie ukrywa?

- Już się robi - odparł Alec.

- Chwileczkę - odezwał się Jack. - Ani trochę nie interesuje cię telefon od Cookie?

- Niespecjalnie - odpowiedział Alec i z uśmiechem poszedł do sypialni Sophie.

Jack nie zamierzał jednak odpuścić.

- Wyjaśnij mi, dlaczego dałaś kucharzowi torebkę i portfel.

- Bo tak chciałam - odparła. - Agencie MacAlister, proszę się tak nie martwić, torebka i portfel nie są żadnymi tajemniczymi określeniami na coś nielegalnego.

Sophie zostawiła zdezorientowanego Jacka i poszła do kuchni wyjąć butelkę wody z lodówki.

Alec zakończył przegląd mieszkania, wziął sobie butelkę wody a drugą rzucił Jackowi.

- Obiecuj mi, że dziś wieczorem i jutro przez cały dzień nie ruszysz się z domu - powiedział do Sophie. - Nie wyjdę, dopóki nie dasz mi słowa.

- Obiecuję. A ty nie zapomnij, że dałeś słowo niczego nie mówić Regan o telefonach z pogroźkami.

- Nic jej nie powiem.

- Dziękuję. Wiesz, jak ona się martwi.

- A ty się nie martwisz?

- Wcale.

- Regan może chcieć do ciebie później wpaść.

- Nie - zareagowała gwałtownie, zanim zdała sobie sprawę, że to blef z jego strony.

- Ale ty się przecież wcale nie martwisz - powiedział chłodno Alec.

- Nie chcę po prostu narażać życia moich przyjaciół. To wszystko. Jestem ostrożna. A poza tym mam dużo pracy...

Alec pocałował ją w policzek.

- Zamknij za nami drzwi - powiedział na odchodnym. Jack zczekał, aż obaj znaleźli się w windzie.

- Zamierzasz ją tak zostawić samą sobie?

- Ma opiekę. Tylko o tym nie wie. Zawsze kiedy w wiadomościach pojawia się jej ojciec, wynajmuję Gila do pilnowania Sophie, a on ściąga kilku swoich kolegów, wszyscy to emerytowani gliniarze. Nikt niepożądany się do niej nie dostanie. Nic jej nie będzie.

- A te pogroźki... Często się powtarzają? Alec przytaknął.

- Tak, ale to pierwszy raz, kiedy ktoś dzwonił w jej sprawie do Bittermana. Ale, tak jak mówiłem, nic jej nie będzie.

Sophie naprawdę się nie martwiła. Jak tylko wyszli od niej Alec i Jack, przebrała się i zasiadła do pracy przy komputerze. Straciła rachubę czasu i dochodziła właśnie siódma, kiedy zadzwoniła do niej Cordie.

- Już się zaczęło - powiedziała. - Zaczynij oglądać. Sophie nie traciła ani chwili. Podbiegła do telewizora, żeby się upewnić, że nagrywa to reality show. To był jeden z jej ulubionych programów. A prawda była taka, że ona i Cordie oglądały i uwielbiały niemal wszystkie reality show. Regan mówiła na nie maniaczki telewizyjne. Ale ani Cordie, ani Sophie nie czuły się z tego powodu urażone.

Dziesięć minut później Sophie zadzwoniła do Cordie.

- Jak John i Sara mogą sądzić, że są na pustyni? Przecież tam nie ma piachu.

- Oni pierwsi odpadną - zawyrokowała Cordie.

Pięć telefonów później program się skończył i powróciło prawdziwe życie. Sophie wyciągnęła rękę nad głowę i ziewnęła. Zdecydowała, że wstanie jutro wcześniej rano, więc wyłączyła komputer i ruszyła do sypialni. Na łóżku nie było pościeli. Miała tylko jeden zestaw na łóżko małżeńskie, który właśnie był w pralce. Czekając, aż wyprana pościel wyschnie w suszarce, zjadła pół zimnej pizzy, a potem poszła do łazienki umyć zęby.

Zadzwonił telefon. Widząc, że to Cordie, podniosła słuchawkę.

- O mój Boże! - wykrzyknęła ze śmiechem Cordie. - Sophie, zaglądałaś na YouTube?

- A po co? - wybełkotała Sophie z ustami pełnymi pasty do zębów.

- Jack MacAlister. Musisz zobaczyć ten film.

- W porządku. Obejrzę. - Odłożyła słuchawkę i wróciła do łazienki, żeby wypłukać usta.

Telefon znowu zadzwonił.

- Rany boskie, Cordie... - jęknęła, podchodząc do szafki nocnej. Ale na wyświetlaczu telefonu widniał jakiś numer z nie-

znanego jej obszaru. Zawahała się jeszcze przez dwa kolejne dzwonki, aż w końcu postanowiła odebrać.

- Czy to Sophie Summerfield? - usłyszała w słuchawce. Summerfield... To dobrze. Przynajmniej nie dzwonił do Sophie Rose i miał przyjemny głos.

- Tak - odparła.

- Nazywam się Joe Rooney i jestem oficerem policji z Prud-hoe Bay. Wie pani, gdzie to jest?

Wiedziała, że to gdzieś na Alasce, ale nie miała pojęcia w jakiej części. Całe szczęście nie musiała się do tego przyznawać.

- To na Alasce, na samym jej końcu.

- Musi tam być zimno - tylko to przyszło jej do głowy.

- Owszem, jest już dość chłodno - odparł. - Ale to nietypowe tak wcześnie o tej porze roku. Dzwonię do pani z powodu...

Wahanie w jego głosie tylko podsycało jej ciekawość.

- Tak?

- Znaleźliśmy pani wizytówkę. To jedyny nasz trop do identyfikacji, więc pomyślałem, że może zadzwonię i zapytam, czy nie zna pani mężczyzny, którego znaleźliśmy.

- A on sam nie może wam powiedzieć, kim jest?

- Nie. On nie może już nic powiedzieć, proszę pani. Niełatwo o tym mówić. On nie żyje. Znaleźliśmy pani wizytówkę w jego czerwonej skarpetce.

To niemożliwe! Sophie musiała usiąść.

- Powiedział pan: w czerwonej skarpetce?

- Tak - odparł oficer z wyraźnym uczuciem ulgi w głosie.

To Harrington! Mój Boże... to William Harrington! Przypomniała sobie, jak wziął od niej wizytówkę i wsunął ją za ściągacz skarpety. Czy może był to ktoś inny? Ale to by nie miało sensu. Prudhoe Bay? Co William Harrington robiłby w Prudhoe Bay? Miał być w Europie.

- Bardzo mi przykro, że dzwonię z tak smutną wiadomością - powiedział Rooney.

Sophie musiała się jeszcze upewnić, zanim poda swojemu rozmówcy nazwisko Harringtona.



- Proszę mi powiedzieć, jak on wygląda.

Po drugiej stronie usłyszała kolejne westchnienie.

- Obawiam się, proszę pani, że to niemożliwe.

- Ale dlaczego nie może pan go opisać?

- Problem w tym, że... znaleźliśmy tylko kawałek jego ciała. Znaleźliśmy stopę i część nogi.

- Nogę ze stopą? - Nie do końca pojmowała, co do niej mówił.

- Stopę i część nogi. Nie całą nogę - powiedział. - To była jego prawa stopa. Czy to pomoże pani w jakiś sposób zidentyfikować go?

- Mówi pan... że jak zginął? Boże, a gdzie jest reszta jego ciała?

- Nie będzie łatwo o tym mówić - stwierdził Rooney. Zawahał się jeszcze przez chwilę, a potem wyrzucił z siebie: - Mamy tu niedźwiedzie polarne.

- O Boże...

- Pożarł go niedźwiedź polarny.

*Wpis do dziennika numer 187 Chicago*

*Wspaniale jest być znowu w Chicago. Spędziliśmy całe osiem miesięcy na Alasce, gdzie przetrwaliśmy naprawdę mroźną zimę i udało mi się zgromadzić wszystkie potrzebne dane co do zachowania moich współpracowników, żebym mógł rozpocząć referat.*

*Podczas pobytu hierarchia w obrębie naszej małej grupy uległa nieco zmianie. Brandon w żadnej dziedzinie nie potrafił zaakceptować naszego odmiennego zdania, a Kirk stawał się całkowicie bierny w konfliktach. Erie i ja staliśmy się przywódcami, chociaż trzeba przyznać, że Erie jest zbyt zajęty, żeby komukolwiek przewodzić.*

*Fundacja była pod wrażeniem naszych raportów i wyraziła zgodę na sfinansowanie kolejnych dwóch lat badań. Za trzy miesiące znowu wyruszymy na północ.*

*Erie spędza cały swój wolny czas w laboratorium. Ja też trochę siedzę w laboratorium, ponieważ przywiozłem kilka najświeższych próbek krwi pobranej od każdego z członków naszego stada, oczywiście oprócz Lucy i jej szczeniąt, i sprawdzam, czy uda mi się wyizolować hormon, który Erie znalazł we krwi Ricky 'ego. Mam już pewne zaskakujące i niezwykle konkluzje. Ale podzielę się nimi z Erikiem, dopiero gdy wrócimy na północ. Ciekaw jestem, co on na to powie.*

11.

O cholera! Stopa i kawałek nogi? Tylko tyle zostało? Czy to na pewno William Harrington? Skoro w jego czerwonej skarpecie była jej wizytówka... to musi być on.

W głowie Sophie miała natłok myśli. Była tak zaszokowana tym, co usłyszała, że nie potrafiła zadać ani jednego sensownego pytania. W końcu Rooney przerwał milczenie.

- To był samiec.

- Słucham? - zapytała jeszcze bardziej oszołomiona.

- Niedźwiedź polarny był samcem - wyjaśnił. - Musiał ważyć około pięciuset kilogramów, plus minus pięćdziesiąt.

- Czy ktokolwiek widział atak? - zapytała, kuląc się ze strachu na samą możliwość.

- Nie, ale widziano pewne znaki. Czy potrafiłaby pani zidentyfikować ofiarę?

- To z pewnością William Harrington - odparła. - Dałam mu moją wizytówkę i widziałam, jak wkładał ją sobie w skarpetę. - Podała mu adres domowy Harringtona i dodała: - Mieszkał sam. Odłączono mu telefon, a jak chciałam się z nim osobiście skontaktować, to powiedziano mi, że wyjechał do Europy.

- Najwyraźniej zmienił zdanie - powiedział Rooney. - Jak dobrze znała pani tego Harringtona?

- Tak naprawdę to wcale go nie znałam. Spotkałam go kilka dni temu. Obawiam się, że nie będę mogła zbyt wiele o nim powiedzieć. Bardzo mi przykro.

- Była pani wystarczająco pomocna, podając nam jego nazwisko - zapewnił ją.

**98**

- Znajdziecie jakiś sposób, żeby zweryfikować, czy to na pewno Harrington, zanim powiadomicie jego krewnych?  
- Oczywiście. Szczątki zostaną przesłane do kostnicy, prawdopodobnie w Anchorage. Jestem tu nowy, więc nie znam dokładnie procedur, ale mogę zapewnić, że szczątki będą przechowywane w kostnicy do momentu potwierdzenia ich identyfikacji i wpłynięcia instrukcji dotyczących ich dyspozycji.

- Dyspozycja. Co za paskudne słowo.

Obiecała Rooneyowi, że zadzwoni do niego, jeśli tylko zdobędzie jakieś pomocne informacje, po czym odłożyła słuchawkę. Szok wywołany wiadomością o śmierci Williama Harringtona szybko przerodził się w zaintrygowanie. Dlaczego pojechał na Alaskę a nie do Europy, jak jej powiedziano? Wróciła myślami do wydarzeń sprzed kilku dni, analizując dokładnie to, co powiedział jej sam Harrington i czego dowiedziała się w jego apartamencie. Nic z tego nie miało sensu.

Po godzinie od rozmowy z Joe Rooneyem jej telefon znowu zadzwonił. I tym razem rozmówca był z Alaski, ale przedstawił się jako Paul Larson.

- Pracuję dla tutejszej firmy ochroniarskiej - powiedział Larson. - Jesteśmy w pierwszej kolejności odpowiedzialni za mieszkańców pól naftowych, ale policja czasem ma tyle roboty, że też staramy się jej pomagać jak możemy. Joe Rooney powiedział mi o śmierci pani przyjaciela. - Głos Larsona stał się bardzo współczujący. - Bardzo mi przykro z powodu pani straty. Obiecałem Joemu, że przeprowadzę małe śledztwo, żeby poznać okoliczności towarzyszące atakowi niedźwiedzia, więc mam nadzieję, że zechce pani odpowiedzieć na kilka moich pytań.

- Doceniam pańskie kondolencje, panie Larson - powiedziała Sophie - ale obawiam się, że nie znałam aż tak dobrze Williama Harringtona.

- Proszę mówić mi Paul - odparł, po czym jego głos znowu nabrał bardziej zawodowego tonu. - Co łączyło panią z panem Harringtonem?

- Właściwie nic. Pracuję dla małej gazety i zamierzałam

napisać artykuł o jego udziale w biegach na pięć kilometrów. - Zastanawiała się, czy jej wyjaśnienie brzmiało dla niego tak samo kiepsko jak dla niej. - Spotkałam się z nim na kilka godzin i przeprowadziłam wywiad, ale on mówił wyłącznie o bieganiu. Był bardzo dumny ze swoich osiągnięć i kondycji fizycznej. Jednak wspominał, że wybrano go do jakiegoś tajemniczego projektu dlatego, że był lepszy od innych. Obawiam się, że poza tym nie będę potrafiła udzielić żadnych osobistych informacji na jego temat. Nic nie mówił o swojej rodzinie.

- Nie przejmuj się. Skontaktujemy się z policją w Chicago i namierzemy jego krewnych. Bardzo mi pomogłaś.

Dzięki.

- Paul, Joe był pewien, że to niedźwiedź polarny zabił Harringtona, bo podobno były jakieś znaki. Co miał na myśli? Larson zawahał się przez chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

- Jeden z naszych pilotów zobaczył tego niedźwiedzia polarnego. Były ślady krwi... dużo krwi, a niedźwiedź czyścił sobie futro. One tak robią. Mają obsesję na punkcie czyszczenia futra. Czasem przerywają posiłek w połowie tylko po to, żeby się wylizać. To kwestia instynktu. Jeśli futro niedźwiedzia polarnego zabrudzi się i zmatowieje, nie spełnia już funkcji, jaką przewidziała dla niego matka natura i nie zabezpiecza zwierzęcia przed ostrym klimatem. A ten konkretny niedźwiedź ciągnął rękaw kurtki narciarskiej, a szczątki, czyli stopa i kawałek nogi ofiary, znajdowały się w niewiekiej odległości od jego kryjówki i były też ślady krwi na śniegu. Stąd też wnioskujemy, że to niedźwiedź zabił tego człowieka.

- Co się stanie z niedźwiedziem?

- Nic. To jego środowisko, a nie nasze. Słuchaj, co byś powiedziała na to, gdybym podał ci mój prywatny numer telefonu? Jeśli przyszłoby ci do głowy cokolwiek, co mogłoby nam pomóc, albo gdybyś miała jakiegokolwiek pytania, mogłabyś do mnie zadzwonić.

- A czy ty mógłbyś do mnie zadzwonić, kiedy potwierdzi się identyfikacja ciała? - zapytała po tym, jak zapisała sobie jego telefon.

- Jasne. Hej, a czy kiedykolwiek byłaś na Alasce? Założę

się, że można by tu było znaleźć materiał na co najmniej sto ciekawych biografii.

- Czyżbyś mnie zapraszał?

- Tak - przyznał. - To by była dla ciebie prawdziwa przygoda - dodał. - Z przyjemnością zaprosiłbym cię na kolację. Nie mógłbym co prawda zaproponować wina, bo nie ma tu pozwolenia na alkohol, ale mógłbym wyszperać kilka świeczek.

- Skąd wiesz, że nie jestem mężatką z szóstką dzieci?

- Patrzę na ciebie w tej chwili.

- Co takiego?!

- Patrzę na twój życiorys. Mamy tu komputery - dodał. - Wyszukałem cię w sieci. I jesteś bardzo atrakcyjna, chyba że ktoś zdrowo podrasował twoje zdjęcie.

- Wróćmy może do twojego zaproszenia, Paul. Właśnie usłyszałam od ciebie, że niedźwiedź polarny pożarł człowieka, a teraz sugerujesz, że mogłabym przyjechać do was na kolację przy świecach?

Zaśmiał się.

- To faktycznie dziwne okoliczności. Poza tym o tej porze roku mamy tu znacznie więcej grizzli niż niedźwiedzi polarnych.

- Tak, a to zasadniczo zmienia postać rzeczy.

- Zaproszenie pozostaje z mojej strony otwarte. Zadzwoń, Sophie.

Odłożyła słuchawkę, ale przez dłuższą chwilę nie ruszała się z łóżka. W głowie kłębiły jej się różne myśli.

Niedźwiedzie polarne często robią sobie przerwę w połowie posiłku, żeby się wyczyścić. Tak powiedział Larson.

Biedny William Harrington stał się posiłkiem. Co za straszna śmierć - zostać przekąską dla niedźwiedzia.

Jej myśli powróciły do Paula Larsona. Ten facet ją podrywał. Trzeba przyznać, że wybrał sobie mało szczęśliwe okoliczności.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, poszła do kuchni, chwyciła torebkę zakazanych czipsów ziemniaczanych.

Wiedziała, że nie są zdrowe i nie powinna ich jeść, ale nie chciała ich wyrzucać,

bo to by było marnotrawstwo. Kluczem do niejedzenia czipsów ziemniaczanych byłoby zaprzestanie ich kupowania, ale Sophie była przynajmniej na tyle uczciwa, żeby przyznać sama przed sobą, że z tego nie zrezygnuje.

Oparła się o blat kuchenny i chrupała, rozmyślając o znacznie ważniejszych sprawach. Dlaczego Harrington powiedział obsłudze swojego apartamentowca, że wyjeżdża do Europy? I co takiego robił w Prudhoe Bay? Sophie nie miała zielonego pojęcia o tym obszarze. Musi to nadrobić. Odłożyła czipsy na boki zasiadła do komputera, żeby znaleźć Prudhoe Bay.

Największe pole naftowe w Ameryce Północnej usytuowane na wybrzeżu Oceanu Arktycznego. Ocean Arktyczny? Zadrżała na samą myśl o tamtejszym klimacie. Chociaż nie miała zamiaru kiedykolwiek tam się wybrać, chciała dowiedzieć się wszystkiego o Prudhoe Bay i najbliższych miasteczkach. Ciekawe, czy mają tam zaplecze turystyczne. Z pewnością. Przecież nie każdy, kto zawędrował tak daleko na północ, musi od razu pracować przy odwiertach naftowych.

Kiedy czytała, czas upłynął niezauważenie. Wiele z tych informacji już знаła, ale z czasem umknęły z pamięci. Przypomniała sobie spór o ekspansję rurociągu. Zwolennicy i przeciwnicy tego pomysłu prowadzili zaciekle dyskusje.

Czytała do późnej nocy, aż od patrzenia w ekran komputera zaczęły ją szczypać oczy. Była trzecia nad ranem, kiedy wreszcie położyła się do łóżka. Nie sądziła, że będzie w stanie zasnąć, zważywszy te wszystkie informacje, które dudniły jej w głowie. Ale jak tylko przyłożyła głowę do poduszki, zapadła w głęboki sen.

Śniły jej się niedźwiedzie polarne. Stała w zamieci śnieżnej, otoczona przez ogromne, białe zwierzęta, a potem sceneria zmieniła się na ulicę przed jej domem, a osaczające ją niedźwiedzie polarne trzymały kamery wideo. Jeden z niedźwiedzi zmienił się w Jacka MacAlistera, który rzucił się na nią brutalnie.

Uratował ją dzwonek.

O 6.45 zadzwonił jej szef.

- Obudziłem cię? - zapytał, gdy podniosła słuchawkę.

- Nie. Oczywiście, że nie. - Na pewno nie uwierzył w to kłamstwo, słysząc jej chrapliwy głos.

- Otrzymałaś jeszcze jakieś pogrożki?

- Nie, żadnej.

- Tutaj też już nic więcej nie było - powiedział. - Ale nadal chcę, żebyś została w domu.

- Dobrze.

- W takim razie już powinnaś siedzieć przy komputerze - odparł, a jego głos stał się bardziej służbowy. - Zrobiłaś coś z tego, co ci zleciłem?

- Jeszcze nic.

- Potrzebuję tych materiałów jak najszybciej. Tekst o testowaniu gęstości kości nie wypalił. Wyzaczyłem do niego Berniego, a jemu nie udało się przeprowadzić wywiadu ze specjalistą, więc przesunąłem tekst na przyszły tydzień. Jak szybko uda ci się dostarczyć mi swój artykuł?

- Na kiedy pan go potrzebuje?

- Nie później niż jutro w południe. Odetchnęła z ulgą.

- Nie ma problemu.

- To dobrze. A dzisiaj prześlij mi ten tekst o Southside Soup Kitchen, który chciałaś zamieścić. Oni potrzebują dotacji, a ja artykułu. Dostarcz mi go przed szesnastą, to umieszczę go na pierwszej stronie. Miłego dnia, Sophie, i nie wychodź z domu.

- Ale, panie Bitterman... Niestety już się rozłączył.

Sophie odrzuciła koldrę na bok i chwiejnym krokiem ruszyła do łazienki. Będzie chyba musiała wypić całe litry herbaty z kofeiną, żeby móc skupić się na pracy. Normalnie potrzebowała ośmiu godzin snu, żeby funkcjonować na pełnych obrotach, ale dawała też radę po sześciu. Jednak cztery godziny to było zdecydowanie za mało dla jej mózgu. Odrobinę mniej i byłaby bystra niczym jej lewy but.

Pracowała przez cały dzień, pełne osiem godzin, starając się,



aby oba artykuły łącznie z wywiadami były gotowe przed wyznaczonym przez Bittermana terminem. Wczesnym popołudniem miała już wolne. Powinna była odpocząć od ekranu komputera, ale jeszcze nie znalazła odpowiedzi na wszystkie pytania związane z Prudhoe Bay. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o tym miejscu. Może znajdzie coś, co wyjaśni jej, dlaczego Harrington tam pojechał.

Wyciągnęła notatnik i dyktafon, których używała podczas pierwszych rozmów z Harringtonem w Cosmo. Nie miała specjalnej ochoty na wysłuchiwanie jego przechwałek na temat dwudziestu czterech wygranych biegów, ani niekończących się, drobiazgowych i obrzydliwych opisów każdego najmniejszego pęcherza na jego stopie. Ale musi to zrobić i to prawdopodobnie więcej niż jeden raz. Nie ma innego sposobu na rozwiązanie tej zagadki.

Położyła notes i dyktafon na łóżku, a potem ponownie usiadła przed komputerem. W pobliżu Prudhoe Bay była miejscowość o nazwie Deadhorse. Urocza nazwa. Dane dotyczące populacji tej miejscowości były różne, w zależności od strony, na jaką weszła. Optymistyczna wersja mówiła o dwudziestu osobach, a pesymistyczna o siedmiu. Na kilku prywatnych stronach przytaczano popularny dowcip o tym miejscu. Mężczyznom, których rekrutowano tam do pracy, mówiono, że za każdym drzewem znajdą nagą kobietę. Nic dziwnego, że Larson z nią flirtował, skoro prawdopodobnie nie widział kobiety od lat.

Sophie wstała i rozciągnęła zastale mięśnie. Już prawie od tygodnia nie była na siłowni. Jej mieszkanie było przestronne, ale czuła, jakby ją przytłaczało. Przeszła obok dyktafonu i jęknęła pod nosem. Nie miała ochoty samotnie wysłuchiwać Harringtona. W niedoli potrzebne jest towarzystwo, uznała i w tej samej chwili zapragnęła, żeby Regan i Cordie posłuchały tego razem z nią. Umierała z chęci podzielenia się z nimi ostatnimi rewelacjami na temat Harringtona, a poza tym któraś z nich mogłaby wychwycić coś, co sama przeoczyła, słuchając nagrania.

Zastanawiała się, jak dostać się do hotelu Hamilton, żeby

wszyscy się na nią nie wściekli. Biorąc prysznic, rozważała różne możliwości.

Raczej trudno będzie jej nie oszukać Bittermana. Dała mu słowo, że nie opuści mieszkania. Wścieknę się, jeśli dowie się po fakcie, że jednak to zrobiła. Ale przecież nie jest dzieckiem i nie potrzebuje jego pozwolenia na wyjście z domu, nawet jeśli coś mu obiecała. Miał przecież na względzie jej bezpieczeństwo. Przyzwyczała się już do pogróżek, jednak Bitterman był nimi wstrząśnięty.

Dała też słowo Alecowi. Może, gdyby do niego zadzwoniła, mógłby po nią przyjechać i zawieźć ją do hotelu? Nie, to nie był dobry pomysł. Poza tym wszystko wskazuje na to, że ostatnimi czasy nie rusza się nigdzie bez swojego aroganckiego partnera. Sophie będzie musiała pomyśleć o innym rozwiązaniu.

Ale nikt nie powinien się jej czepiać, jeśli eskortowałby ją były policjant. Tak, to jest myśl! Gil może zawieźć ją do hotelu. Najprawdopodobniej siedzi teraz na dole w holu. Wiedziała, że za każdym razem, kiedy jej ojciec pojawiał się w wiadomościach, albo dostawała jakieś pogrożki, Alec prosił Gila i jego ludzi, żeby ją obserwowali. Ale jako że ani Alec, ani Gil nic o tym nie mówili, uznała, że nie chcą, żeby wiedziała, co robią, dlatego milczała w tej sprawie. Tak, Gil był najlepszym rozwiązaniem.

Postanowiła od razu przejść do czynu i zaczęła od Bittermana. Nie było go w biurze. Recepcjonistka Lucy powiedziała Sophie, że szef poszedł z żoną na późny lunch do Pavillion, jednej z jego ulubionych restauracji. Sophie zadzwoniła na jego komórkę.

- Tak, Sophie? - odebrał.

- Zamówił pan grillowanego łososia, prawda? Zawsze pan to zamawia w Pavillion.

- Skąd wiesz, gdzie jestem?

- Jestem w końcu reporterem. A poza tym Lucy mi powiedziała.

- Nawet jeszcze nie spojrzałem do menu, ale masz rację,

pewnie zamówię łososia. Nadal czekam na żonę. Po co do mnie dzwonisz?

- Nie było więcej pogrózek.

- Tak?

- Dotrzymałam obietnicy i nie opuszczałam mieszkania, ale teraz, skoro pogrożki już ustały, zamierzam wybrać się do hotelu Hamilton.

- Posłuchaj mnie. Dałaś mi słowo i...

- Dwóch agentów FBI będzie ze mną. - Usmaży się w piekle za to kłamstwo.

- Alec i Jack?

Och, nie każ mi tego mówić.

- Tak.

- W takim razie dobrze. Pozwolę ci się wyrwać. Czekam na ciebie jutro w biurze.

Rozłączył się, zanim zdążyła odpowiedzieć. To dziwne, ale miała poczucie winy, że skłamała Bittermanowi, lecz nie miała żadnych wyrzutów sumienia, łamiąc dane słowo Alecowi. Uwielbiała go, ale był agentem FBI... i nie podpisywał czeków z jej wypłatą.

Zadzwoiła do portiera i dowiedziała się, że Gil jest w holu na swojej zmianie.

Musi wziąć go z zaskoczenia. To najlepsza strategia.

Chwyciła torebkę, wrzuciła do niej notes i klucze, a potem sięgnęła po dyktafon. Nie chciał się w ogóle włączyć, więc uznała, że trzeba mu wymienić baterie. Paluszki, których akurat nie miała. Kupi jakieś w sklepiku hotelowym albo weźmie od Regan. Wrzuciła dyktafon do torebki razem z resztą rzeczy i poszła do garderoby. Wybrała swój ulubiony zestaw - bluzka i spódnica od Dolce & Gabbana. Zawsze kiedy je wkładała czuła się lepiej. Ubranie nie powinno tak wpływać na nastrój ale to w końcu to Dolce & Gabbana. Nie znała nikogo, kto nie poczułby się szczęśliwszy, nosząc ciuchy od sławnych projektantów.

Włożyła spódnicę, a potem bluzkę. Nie zdążyła zapiąć guzików, kiedy zadzwonił telefon.

- Halo - odebrała w pośpiechu.
- Dlaczego jesteś w domu? - zapytała Regan. - Jesteś chora?
- Nie - odparła Sophie. - Pracuję. Zbieram informacje.
- Ale dlaczego w domu?
- Bo taką mam ochotę.

Nie zdążyła powiedzieć, że właśnie wybiera się do hotelu, kiedy jej przyjaciółka wypaliła:

- Widziałas to już? Byłam pewna, że zadzwonisz, jak tylko to obejrzysz, ale skoro nie dzwonisz...
- Co miałam zobaczyć?
- To wszystko wyjaśnia. Po prostu obejrzyj i oddzwoń potem do mnie.
- Regan, ale co ja mam obejrzeć?
- To nagranie na YouTube. Wpisz tylko JackMacAlister i zaraz znajdziesz film.
- Nie lubię agenta MacAlistera, więc po co miałabym oglądać ten film?
- Bo lubisz mojego męża, a on też jest na tym nagraniu. Po prostu to obejrzyj, dobrze? Dlaczego nie lubisz Jacka?

Ach, już wiem, jest agentem FBI, a ty masz awersję, ale...

- Zaczekaj chwilę. Dzwoni moja komórka.

Sophie przytrzymała ramieniem słuchawkę domowego telefonu i zaczęła przekopywać swoją gigantyczną torbę w poszukiwaniu komórki.

- To oddzwoń do mnie później - powiedziała Regan.
- Nie, zaczekaj - odparła Sophie. - Muszę ci coś powiedzieć.

Komórka była oczywiście na samym dnie torebki.

- No, mam ją wreszcie. Halo?
- Witaj, Sophie. - Męski głos był radosny i brzmiał znajomo, ale nie potrafiła przypomnieć sobie, gdzie go słyszała.
- Kto mówi?
- Zaraz ci powiem. Nie chcę zepsuć niespodzianki.
- Jakiej niespodzianki?
- Wyjrzyj przez okno z salonu, to się przekonasz.

Chociaż wiedziała, że to idiotyczna prośba, jednak przeszła do salonu.

- A nie możesz mi po prostu powiedzieć? Jestem zajęta.

- Bądź dobrą koleżanką. Musisz tylko wyjrzeć przez okno, inaczej nie będę mógł tego zrobić.

Zbliżyła się do okna i wyjrzała przez nie.

- Czego nie będziesz mógł zrobić?

- Tego.

Nie usłyszała ostatniego wypowiedzianego szeptem słowa. Pocisk przebił podwójne szyby okna i trafił ją w pierś. Siła rażenia była tak duża, że odrzuciło ją do tyłu i runęła na podłogę.

*Wpis do dziennika numer 260 Obóz arktyczny*

*Trzy miesiące temu, w marcu, opuściliśmy nasz obóz arktyczny, a teraz Kirk i ja znowu tu wróciliśmy. Za kilka tygodni dołączą do nas Brandon i Erie.*

*W marcu wilki mają ruję, a okres ciąży jest krótki i trwa sześćdziesiąt trzy dni. Dlatego, ku naszej radości, stwierdziliśmy, że Lucy ma trzy nowe szczenięta i znowu jest dokarmiana przez samce, które dla niej polują.*

*Watahę opuścił jeden ze starszych samców, którego nazwaliśmy Lester. Urządzenie nadawcze nie wykazało oddzielenia się od stada, więc możemy jedynie domyślać się, co się stało.*

*Ricky nadal jest przywódcą. Oceniliśmy jego wiek na sześć lat, a średnia wieku wilków arktycznych wynosi siedem, więc spodziewaliśmy się, że będzie już nieco zwalniał, ale on zdaje się bardziej żywotny niż kiedykolwiek.*

*Erie i Brandon przyjadą w odstępie kilku dni. Jak tylko będę miał okazję zostać z Ericiem sam na sam, zamierzam stanąć z nim twarzą w twarz. Wiem, co robił. Pytanie brzmi: czy się do tego przyzna?*

Oczywiście nie byłaby sobą, gdyby nie wyjrzała. Ogarniała ją wściekłość na samą siebie głównie z powodu bezgranicznej głupoty, chociaż to wyznanie pewnie będzie musiała zabrać ze sobą do grobu. Miała szczęście, że w ogóle jeszcze żyła. Kula trafiła ją w sam środek klatki piersiowej, tuż pod biustonoszem. Ale odległość - strzelec stał na dachu budynku po przeciwnej stronie ulicy - i północny wiatr zmniejszyły prędkość pocisku. Podobnie zadziało okno z podwójną szybą i gruby metal sprzączki torby, którą Sophie trzymała i zasłoniła się nią. Mimo to kula przebiła się przez skórę, pozostawiając za sobą małą, idealnie okrągłą dziurkę.

Rana nie była groźna - przynajmniej według lekarza z izby przyjęć, który postawił taką diagnozę, chowając się za parawanem przed gniewem Sophie. Pielęgniarka wezwała już ochronę.

Sophie rozumiała ich reakcję po tym wszystkim, co powiedziała i jak groziła śmiercią sanitariuszce, która nosiła plaketkę z napisem „Stażystka Louanne”. Gdyby to Sophie miała w rękach nożyczki, najprawdopodobniej zrealizowałyby swoje groźby. Stażystka Wesołe Nożyczki nie pofatygowała się, żeby delikatnie zdjąć z Sophie jej piękną bluzkę. O nie. Ona wolała pociąć ją w strzępy, podczas gdy Sophie była zbyt oszołomiona, żeby ją powstrzymać. Kiedy próbowała protestować, stażystka uśmiechnęła się do niej pogardliwie i kontynuowała gwałt na kosztownym jedwabiu.

Podczas strzału bluzka była rozpięta, więc nie ucierpiała od kuli, lecz teraz była w strzępach. Jej piękna bluzka została

kompletnie zniszczona. Sophie wiedziała, że zachowuje się jak wariatka. To była ostatnia rzecz, jaką kupiła za pieniądze, które otrzymała od ojca. Nosiła ją kilka razy, zanim zaczęła mieć skrupuły, a ponieważ nie był to już nowy zakup, to nie miała wyrzutów sumienia, żeby ją dalej nosić. Od kiedy przestała przyjmować pieniądze od ojca na zakupy ekstrawaganckich ciuchów, obawiała się, że już nigdy nie kupi sobie niczego tak luksusowego. Wszystkie dodatkowe pieniądze, które otrzymywała ze swojej nędznej pensji, szły na cele dobroczynne. I tak miało być. Nie wiedziała, skąd wzięła się u niej ta obsesja. Może chciała odpokutować za domniemane grzechy ojca albo była to jej patetyczna próba naprawienia błędów.

Jak tylko pielęgniarka i stażystka zostawiły Sophie samą, usiadła na łóżku i spuściła z niego nogi. Chociaż dostała środek znieczulający, to kiedy usiadła, poczuła szarpiący ból w piersiach. Zachwiała się i obiema rękoma chwyciła się pościeli, żeby nie runąć na twarz. Z pokoju pielęgniarek dochodziły do niej podniesione głosy. Jacyś mężczyźni się kłócili. Pewnie lekarze i pracownicy ochrony sprzeczali się, kto ma się teraz nią zająć.

Czuła się trochę zakłopotana tą sceną, którą wywołała, i wiedziała, że stała się przez to utrapieniem. Ale kiedy spojrzała w dół na postrzępione resztki bluzki, przypomniała sobie przebiegłe spojrzenie stażystki i znowu wpadła w furję.

Stażystka Louanne odsłoniła parawan i weszła, żeby zabrać strzępy. Jej twarz wyrażała otwartą niechęć. Dopiero po upływie jakichś dziesięciu sekund Sophie zrozumiała, o co chodzi. Louanne była zgorzkniałą kobietą, która uważała, że zasłużyła na coś lepszego od życia. Miała w sobie podłość i surowość. Sophie oceniała ją na jakieś czterdzieści lat, ale jej przekrwione oczy i nos usiany czerwonymi żyłkami sugerowały, że jej wątroba dobiega osiemdziesiątki.

Ciężkie, mdłe perfumy bez wątpienia służyły jej do zamaskowania zapachu alkoholu, którego dodawała sobie do napojów wypijanych podczas przerwy w pracy.



- Wiem, kim jesteś - powiedziała Louanne, prychnąwszy z pogardą.  
- To świetnie. Możesz już sobie iść.  
- Nie nazywasz się Summerfield, tylko Rose. - Stażystka Louanne wypluła z siebie to nazwisko, jakby było najohydniejszym ze słów. Obejrzała się za siebie, żeby mieć pewność, że nikt jej nie podsłuchuje. - Nie możesz mi tak bezkarnie grozić. Jesteś śmieciem. Wiesz o tym? Twój ojciec to złodziej, a ty jesteś dziwką. - Brak jakiegokolwiek reakcji ze strony Sophie tylko wzmógł jej gniew. - Policja cię aresztuje, bo zamierzam złożyć skargę - powiedziała, ale i to nie sprowokowało Sophie. - Będą musieli cię aresztować - dodała. - Lepiej, żebyś mnie przeprosiła - wyrzuciła z wściekłością.

I doczekała się reakcji.

- Przeprosić? To była bluzka od Dolce & Gabbana - powiedziała z pretensją Sophie.

- Dobrze. W takim razie powiem policji, że mnie uderzyłaś. A to nazywa się napaść.

- Nie, to się nazywa kłamstwo.

Jedyną pozytywną rzeczą w agentach FBI było to, że potrafili zachować się cicho, kiedy zachodziła taka potrzeba.

Louanne odwróciła się i zobaczyła tuż za sobą Jacka MacAlistera.

Spojrzała z powrotem na Sophie.

- To tylko wasze słowo przeciw mojemu.

Jack stracił już cierpliwość do głupoty tej kobiety.

- Alec, słyszałeś to?

Dopiero wtedy Louanne zauważyła odznaki i broń.

- Nie miałam na myśli niczego... Ta szalona kobieta wrzeszczała na mnie i groziła, że mnie zabije nożyczkami! -

dodała, potrząsając gorączkowo głową. - Pewnie wszystkiemu zaprzeczy, ale takobyło.

- Nie zaprzeczę. Groziłam, że cię zabiję. Podajcie mi te nożyczki a zrobię to teraz.

- Sophie, na litość boską... - odezwał się Alec.

- Widzicie? - krzyknęła Louanne. - Słyszeliście? I wrzeszczała tak na mnie o jakąś głupią bluzkę.

- To była Dolce & Gabbana! Odrobinę szacunku!

- To wariatka!

Jack i Alec nic nie powiedzieli, tylko patrzyli na kobietę. Louanne przełknęła ślinę i powiedziała, jękając się:

- Nie zamierzałam kłamać policji, ale ona była dla mnie niemiła. Po prostu bezczelna. A ja starałam się tylko wykonywać swoją pracę. Mam zresztą spore zaległości w pracy, więc może już lepiej pójść. Są jeszcze inni pacjenci... bardziej uprzejmi.

Zasłoniła przejście parawanem i oddaliła się korytarzem, pociągając nosem. Mężczyźni zaczęli, aż zniknie za rogiem.

- Pójść po Regan - odezwał się Alec. - A ty dotrzyмай towarzystwa Sophie.

Jack zrobił krok w tył.

- Nie zostanę tu. Sam pójść po twoją żonę. Alec odsunął parawan i podszedł do łóżka Sophie.

- Bardzo cię boli?

- Nie, nie bardzo.

- Sophie, tak mi przykro, że cię to spotkało. Współczucie w jego głosie sprawiło, że zaczęła się rozklejać.

Uniosła w górę dłoń.

- Nie bądź dla mnie miły. Jeszcze nie teraz. Jestem za bardzo roztrzęsiona, Alec.

Uśmiechnął się.

- Powinnaś się wstydzić. Przez ciebie ta stażystka się rozplakała.

- Zdaje się, że będę musiała jakoś z tym żyć.

- Myślę, że mój partner boi się ciebie. Rozbawiłoją to.

- Ty zawsze wiesz, co powiedzieć - stwierdziła.

- Objąłbym cię i poklepał po plecach i powiedział, że wszystko będzie dobrze, ale nie chcę być cały we krwi.

- Możesz okazać mi swoje uczucia, zabijając kogoś.

- Jasne, czemu nie?

- Ile jeszcze będę musiała tu czekać? Zrobili mi już prześwietlenie i rezonans, szturchali mnie i ściskali. Straciłam tylko trochę krwi, ale zdaje się, że resztę mi upuścili.

Znowu poczuła mdłości. Adrenalina, którą spowodował gniew, zaczęła opadać i teraz jej klatkę piersiową zaczął rozrywać ból.

- Chirurg ogląda teraz twoje prześwietlenia, a potem przyjdzie z tobą porozmawiać.

- Dlaczego nie spytasz mnie, co się stało?

- Bo wiem, co się stało. Ktoś cię postrzelił. Wiem też, że nie mogłaś widzieć strzelca, bo był za daleko. Jest jeszcze kilka szczegółów, o które będę cię chciał zapytać, ale to może poczekać do czasu, kiedy cię pozszywają.

- Czy agent MacAlister wszędzie z tobą chodzi?

- To ja zostałem mu przydzielony, więc to ja chodzę wszędzie tam, gdzie on. Ale to się może niedługo zmienić. Jack chyba weźmie sobie wolne.

Nie zadała sobie trudu, żeby zapytać dlaczego.

- Obaj powinniście wrócić do domów. To nie jest sprawa dla federalnych. Złożę zeznania policji.

- Nigdzie nie pójdę i jeszcze nie wiadomo, czy to śledztwo będzie lokalne, czy federalne. Poza tym chcę zobaczyć kulę, jak tylko ją wyjmą.

Zadrżała na samą myśl.

- Wyślę ci ją mailem. - Po chwili westchnęła i dodała: - Chcę wrócić do domu.

- To nie potrwa długo.

Sophie nie pamiętała wiele z tego, co się potem wydarzyło. Przyszedł chirurg z pielęgniarką, która zrobiła jej kolejny zastrzyk i zasnęła momentalnie. Nie wiedziała, ile czasu była nieprzytomna, ale kiedy ponownie otworzyła oczy, leżała w łóżku szpitalnym z podłączoną kroplówką. Regan i Cordie stały razem przy oknie i coś szeptały. Sophie wiedziała, że się martwią.

- Widziałyście to? - zapytała Sophie.

W drzwiach pojawił się Jack. Usłyszał jej pytanie i pomyślał, że było dość dziwne. Dlaczego sądziła, że przyjaciółki mogły widzieć jej ranę? A może pytała o to, czy widziały kulę, którą z niej wyciągnięto?

Najwyraźniej jednak Cordie i Regan doskonale wiedziały, o co je pytała.

- Kto mógłby celowo zniszczyć bluzkę od Dolce & Gab-bana? - zapytała Cordie. - To jak przestępstwo.
- To tylko bluzka - wtrącił się Jack. To nie było mądre z jego strony.
- To była piękna bluzka - odparła Regan.
- To był symbol - dodała Cordie. - Nie zrozumiesz tego.
- Symboliczna bluzka, cała we krwi.
- Mogłybyśmy spróbować ją doprać. Kula jej nie drasnęła. A ta kobieta, która ją pocięła, zachowała się jak barbarzyńca - warknęła Regan.
- I dlatego groziłaś jej śmiercią? - Jack skierował pytanie do Sophie i wszedł do pokoju. - O co chodzi z tą Kabaną?
- Gabbaną - poprawiła go Cordie.
- Agent MacAlister dobrze wie, co to jest - powiedziała Sophie. - Tylko się ze mnie nabija.

Wzruszył ramionami.

- A powiedziałyście jej już o spódnicy? - zwrócił się z pytaniem do kobiet, a kątem oka spoglądał na Sophie.
- Nie... tylko nie spódnica! - jęknęła Sophie. - Uwielbiam ją. To była... - Przerwała, widząc jego uśmiech. - Pan jest szurnięty.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Do usług.

*Wpis do dziennika numer 283 Obóz arktyczny*

*Wreszcie nadarzyła się okazja, żeby porozmawiać z Erikiem na osobności. Nalegałem, żeby towarzyszył mi przy budowie tymczasowego szałasów do obserwacji stada.*

*Nie owijałem w bawełnę. Powiedziałem mu, że mam próbkę krwi Ricky'ego, która była pobrana jako jedna z pierwszych i że nie ma w niej żadnych śladów nieznanego hormonu, chociaż w próbkach, które on pobierał, jego poziom był bardzo wysoki.*

*Erie przyznał od razu, że eksperymentował na Rickym, ale przysięgał, że nie wstrzykiwał niczego innym wilkom. Wiedział, że to, co zrobił, może go wpędzić w niezłe tarapaty, więc błagał mnie, żebym nic nie mówił, dopóki nie przeczytam danych, które zebrał.*

*Całe godziny spędziliśmy na walcowaniu tego tematu, ale w końcu Erie przekonał mnie, żeby dokończyć jego eksperyment. Jeśli jego nieprawdopodobne twierdzenie okaże się prawdziwe, to będzie oznaczało, że natknął się na cudowny lek.*

Sophie wyszła ze szpitala następnego wieczoru. Regan błagała ją, żeby zatrzymała się w hotelu Hamilton, a Cor-die namawiała, żeby przeniosła się do niej, do jej nie-do-koń-ca-wyremontowanego mieszkania. Sophie odmówiła ich miłym propozycjom, twierdząc, że najlepiej jej będzie w domu. Chciała spać we własnym łóżku i miała mocny argument w postaci całodobowej ochrony, którą jej przydzielono, dopóki napastnik nie zostanie schwytany.

Alec nalegał, żeby ją odwieźć do domu, co oznaczało, że będzie miała eskortę także w osobie Jacka MacAlistera.

Kiedy znalazła się w domu i przebrała w spodnie dresowe i starą koszulę flanelową, w końcu mogła się zrelaksować.

Usiadła na sofie, oparła nogi na pufie i wydała z siebie odgłos ulgi.

- Rozmawiałeś już z detektywem Morrisem? - zapytała Aleca. - Nie pamiętam jego nazwiska.

Alec uśmiechnął się.

- Masz na myśli detektywa Morrisa Steinbecka?

- Steinbeck, jak ten pisarz?

- Jak detektyw, który prowadzi twoją sprawę, i nie, nie rozmawiałem z nim jeszcze. Rano do niego zadzwonię.

- Ciekawi mnie jedna rzecz - powiedziała. - Jak to się stało, że John Wincott nie wziął tej sprawy? Jest detektywem i twoim przyjacielem.

- Nie została przydzielona Johnowi - wyjaśnił Alec.

- Więc to lokalni prowadzą sprawę? - zapytał Jack. - Nie zamierzasz im jej odebrać?

- Chciałem, ale John powiedział mi, że Steinbeck jest dobrym detektywem i nie powinienem się wtrącać, tylko pozwolić mu wykonywać jego pracę.

- Jeśli chcesz tę sprawę, to powinieneś ją wziąć - stwierdził Jack.

- Nie, jestem zbyt blisko związany - powiedział. - Sophie jest naszą przyjaciółką. Jeśli Steinbeck nie będzie chciał mnie informować na bieżąco o przebiegu sprawy, wtedy dopiero narobię im kłopotów.

Co za arogancja. Gdyby nie boląca rana, Sophie chyba wybuchnęłaby śmiechem. Czy wszyscy mężczyźni byli tacy aroganccy i próżni jak ci dwaj? „Jeśli Steinbeck nie będzie mnie informował, to narobię mu kłopotów?” O losie.... Władza. FBI próbuje zdominować policję? Alec zachowywał się arogancko, ale przynajmniej ma dobre zamiary. Mężczyźni kontynuowali dyskusję na temat zakresu uprawnień, a Sophie zajęła się lekami. Opuściła szpital wyposażona w antybiotyki, dodatkowe bandaże i leki przeciwbólowe, a właśnie nadszedł czas, by zażyć kolejną tabletkę.

- Powiedz mi coś o Steinbecku - zwrócił się do niej Alec.

- Co o nim sądzisz?

- Zdaje się wiedzieć, co robi. Był bardzo dokładny. Zadał całą masę pytań.

- Ale nie miałś mu zbyt wiele do powiedzenia, prawda?

- zapytał Jack, zanim zniknął w kuchni. Sophie słyszała, jak buszuje w szufladach.

- Czego on tam szuka? - zapytała Aleca.

- Jedzenia. Umieramy z głodu.

- W lodówce jest trochę marchewki - zawołała.

Usłyszała śmiech Jacka. Po chwili wrócił do salonu z paczkami czipsów i precelkami, dwiema butelkami wody i dietetyczną colą. Rzucił Alecowi precle i jedną butelkę wody.

- Nie mogłaś zobaczyć strzelca - powiedział, siadając obok niej na sofie. - Był za daleko. - Zdjął buty i oparł stopy na pufie obok jej stóp.

- Wygodnie? - zapytała Sophie.

- Prawie, prawie.

Facet najwyraźniej nie zrozumiał sarkazmu.

- To prawda - powiedziała - nie widziałam strzelca. Musiałam opowiedzieć Steinbeckowi o pogroźkach, a on poprosił, żebym podała mu nazwiska ludzi, którzy mogliby chcieć mnie zabić.

- Założę się, że to długa lista - skomentował nonszalancko Jack i rozerwał paczkę z czipsami.

- To wcale nie było śmieszne - odpaliła Sophie. - Powiedziałam detektywowi, że wszyscy mnie kochają i że jestem miła i urocza, i nikt nie chciałby wyrządzić mi krzywdy. - No może z wyjątkiem stażystki Louanne, pomyślała, i tego lekarza z izby przyjęć. Wystraszył się jej na poważnie. No i ten koszmarny facet, który podrywał ją w metrze. Była też ta kobieta w butiku...

- No dobrze, może i lista okazałaby się długa - przyznała.

- Powiedziałam detektywowi, że kiedy zamknięto zakłady Kelly'ego i wyszło na jaw, że zniknęły pieniądze na emerytury, wielu ludzi się wściekło. Ale czy można ich winić? Przecież liczyli na te pieniądze, kiedy skończą pracować. Tak się złożyło, że mój ojciec był dużym udziałowcem w jednej z firm, które zabezpieczały fundusz i w której były zainwestowane pieniądze. Kiedy padł fundusz, zaczęło się polowanie na kozła ofiarnego. Z pewnością widzieliście konferencję prasową, na której wystąpił kłamliwy dyrektor generalny i powiedział, że to mój ojciec zabrał pieniądze, jeszcze zanim nastąpił krach.

- Dyrektor generalny był na tyle cwany, żeby nie powiedzieć tego wprost, Sophie. Nie chciał zostać oskarżony o pomówienie - powiedział Alec.

- Ale zasugerował to, a efekt jest ten sam - odparła. - Przecież wielu ludzi mogło mu uwierzyć. I ci sami ludzie mogą chcieć się zemścić. Wszyscy chcą mieć kozła ofiarnego. Nikt nie chce brać odpowiedzialności za błędy. Kiedy w Kongresie narobią burdelu, to zaraz znajdują jednego lub dwa kozły ofiarne, żeby nakarmić czymś opinię publiczną. W tym wypadku to mój ojciec stał się ofiarą dlatego, że w przeszłości miał jakieś wątpliwe kontakty.



- W takim razie ci żądni zemsty ludzie powinni ścigać twojego ojca, a nie ciebie - zauważył Jack.
- Mój ojciec nie miał z tym nic wspólnego.
- Jack zauważył, że miała problem z odkręceniem fiolki z lekami, więc wziął ją od niej.
- Nie mogę go wykluczyć z tej sprawy - powiedział. - Siedzi w tym po uszy.
- Nie zamierzam rozmawiać o moim ojcu z panem, agencie MacAlister, ani z nikim innym.
- Jack odpuścił na jakiś czas. Zauważył, że nie była teraz w formie do sprzeczki. Wyglądała blado, a jej ręce trzęsły się, kiedy podawał jej otwartą już fiolkę. Rozsypałaby wszystkie tabletki po całej sofie, gdyby jej nie pomógł.
- Posłuchaj - odezwała się, nie adresując wyraźnie swojej wypowiedzi do żadnego z nich.. - Skoro nie rozmawiałeś z detektywem Steinbeckiem, to powinnam ci coś powiedzieć...
- Nie dokończyła jednak. Ciężko będzie to wyjaśnić i pomyślała, że może powinien to zrobić sam detektyw Steinbeck. Alec i Jack czekali, aż dokończy to, co zaczęła mówić.
- Ile? - zapytał tymczasem Jack, unosząc fiolkę z lekami. - i komu powinnaś coś powiedzieć? Alecowi, czy mnie? Wyciągnęła do niego otwartą dłoń i z zaskoczeniem stwierdziła, że potwornie drży.
- Poproszę jedną. I domyślam się, że będę musiała powiedzieć to wam obydwu, skoro jesteście tu obaj. Nie chciałabym być niemila.
- O, na to już chyba za późno. - Jack spojrział na etykietkę.
- To nie są zbyt mocne leki. Na pewno nie chcesz wziąć dwóch tabletek?
- Jedna tabletkę to i tak dużo do przełknięcia. - Uśmiechnęła się. - Czy jestem wystarczająco dosłowna? Pan jest tą drugą, agencie MacAlister.
- Czy w szpitalu prześwietlali ci też głowę? - odpalił Jack. Zadzwoił dzwonek do drzwi i Alec podniósł się, żeby otworzyć.
- W samą porę - stwierdził Jack.

- Czy są tu już ochroniarze? - zapytała Sophie.

- Nie, Gil przyjedzie dopiero o dziewiątej. To Regan i Cordie. Mam nadzieję, że zrobiły zakupy i przyniosły coś do jedzenia. Umieram z głodu.

Jack wstał, żeby pomóc. Cordie wręczyła mu torbę z zakupami, a Regan podała mężowi pojemniki z grillowanym mięsem.

- Kupiłyście dla mnie baterie? - zawołała Sophie z sofy.

- Tak jak prosiłaś - odpowiedziała Regan, napełniając lodówkę. - Położę je na blacie.

Sophie nie była głodna, ale Cordie zmusiła ją do zjedzenia gorącej zupy, którą kupiła w chińskiej restauracji obok. I faktycznie, smaczna zupa pomogła nieco Sophie.

Przyjaciółki krzątały się wokół niej. Cordie przyłożyła dłoń do czoła Sophie, żeby się upewnić, czy nie ma gorączki, a Regan podłożyła jej poduszki pod plecy i otuliła ją kocem.

- To był tylko drobny zabieg - zaprotestowała Sophie. - Na-prawdę. W ciągu tygodnia zdejmą mi szwy i wrócę do normalności. Nawet mogłabym wrócić do ćwiczeń z ciężarkami.

- A kiedy ty w ogóle ćwiczyłaś z ciężarkami? - zapytała Cordie.

- Mówię tylko, że mogłabym.

- A może mogłybyśmy coś jeszcze dla ciebie zrobić? - zapytała Regan.

Sophie rozejrzała się po pokoju. Zastony były zasłonięte, prawdopodobnie po raz pierwszy od roku, a to przypomniało jej, jak pocisk przebił szybę.

Alec podążył za jej wzrokiem. On i Jack skończyli jeść i rozsiedli się w fotelach przed kominkiem.

- Gil już się zajął twoim oknem. Dziś rano byli tu jego ludzie.

- Chyba będę musiała poślubić tego faceta - stwierdziła Sophie. - Jest taki zdolny.

- A co ja mogę jeszcze zrobić? - zapytała Regan.

- Mogłabyś zabrać stąd to jedzenie i wrócić do domu. Oszaleję od tej waszej krzątaniny. Nic mi nie jest.

Cordie poszła za Sophie do sypialni i weszłaby za nią do łazienki, gdyby Sophie nie zamknęła szybko drzwi. W łazience zmieniała opatrunek i nawet była zaskoczona, że nacięcie nie wyglądało tak źle. Umyła dłonie i twarz, a potem złapała tubkę z kremem nawilżającym i otworzyła drzwi. Wybuchnęła śmiechem na widok pościelonego łóżka i wytrzepa-nych poduszek.

- Chcesz się teraz położyć? - zapytała Cordie.

- Na Boga, nie. Nie chcę leżeć w łóżku. Miałam drobny zabieg - powtórzyła. - Jeszcze nie ma siódmej, a mam sporo pracy do zrobienia.

Cordie wróciła z Sophie do salonu.

- Muszę zadzwonić do pana Bittermana - powiedziała Sophie. - Gdzie jest telefon? Szef pewnie się martwi.

- Już z nim rozmawiałem - powiedział Alec. - Zadzwonił do mnie na komórkę, kiedy dowiedział się, że zostałam postrzelona, a ja uspokoiłem go, że wszystko z tobą dobrze.

Sophie skinęła głową.

- Cordie, a ty wysłałaś wiadomości do wszystkich, że nic mi nie jest?

- Tak.

- Kogo poinformowałaś? - zapytał Alec.

- Rodzinę i przyjaciół - odparła Cordie.

- A ojciec? Jego też zawiadomiłaś?

Regan spojrzała znacząco na męża, ale on ją zignorował.

- Chętnie byśmy z nim porozmawiali - odezwał się Jack. - Wiesz, zaprosilibyśmy na piwo...

- Ciężko go namierzyć - powiedział Alec.

- Często zmienia miejsce pobytu - dodała Sophie. - Mój ojciec jest zajęтым człowiekiem. W tej chwili jest poza granicami kraju.

Cordie i Regan wiedziały, jak bardzo Sophie nie lubi rozmawiać o swoim ojcu, więc szybko zmieniły temat.

- Jeden z moich uczniów próbował wysadzić w powietrze laboratorium - powiedziała Cordie.

- Cordie uczy chemii w jednej ze szkół średnich - Sophie

wyjaśniła Jackowi. - A czy już w zeszłym roku jakiś uczeń tego nie zrobił?

- Prawie - odpowiedziała. Jack uśmiechnął się.

- Jak można „prawie” wysadzić w powietrze laboratorium?

- To dość skomplikowane.

Cordie spojrzała na Regan i ruchem głowy wskazała na Sophie, dając jej do zrozumienia, że teraz jej kolej, żeby utrzymać rozmowę z dala od tematu Bobby'ego Rose.

- Nigdy nie zapomnę tego huk - powiedziała Regan.

- Jakiego huk? - zapytała Sophie.

Przypomniała sobie, że nie wzięła jeszcze antybiotyku, i zaczęła szarpać się z buteleczką ze specjalnym zabezpieczeniem przed dziećmi.

- Słyszałam huk wystrzału przez telefon i dźwięk roztrzaskującego się szkła, a potem upadek.

Sophie nie miała cierpliwości do butelki, więc rzuciła ją Jackowi. Otworzył jej jedną, to może i drugą.

- Myślałam, że nie żyjesz, Sophie - powiedziała Regan i natychmiast oczy zaszły jej łzami. - Naprawdę tak myślałam. Zadzwoiłam pod 911 z jednego telefonu, a z drugiego do Aleca. A przez cały czas miałam przy uchu komórkę w nadziei, że mi odpowiesz. Słyszałaś, jak cię wołałam?

- Nie, nie słyszałam.

- Jak udało ci się obsłużyć trzy telefony jednocześnie? - zapytała Cordie.

- Nie wiem, jak to zrobiłam. Alec i Jack byli na spotkaniu i zwykle sekretarka nie chce im przeszkadzać, ale nie musiałam zbyt wiele jej tłumaczyć. Myślę, że nieźle ją nastraszyłam wrzeszcząc, że zostałam postrzelona.

Alec wyciągnął rękę do Regan i posadził ją sobie na kolanach.

- Byliśmy w szpitalu szybciej niż ciebie tam przywieziono - powiedział.

- Wracam do domu i tam się wypłaczę - powiedziała Regan, przecierając oczy.

Alec poklepał ją po ramieniu.

- A może ulżyj sobie i popłacz teraz? Nie wytrzymasz przecież przez całą drogę do hotelu.

Sophie zaśmiała się. Regan miała nadzwyczajną skłonność do płaczu. W pewnym sensie to było naprawdę imponujące. Kiedy były w szkole podstawowej, Cordie i Sophie zakładały się o to, która pierwsza zdoła rozczulić Regan. Sophie zawsze opowiadała jakieś zmyślane, smutne historie, a Cordie śpiewała smutną piosenkę. Teraz, kiedy o tym myślała, uznała, że to wcale nie było miłe. Zabawne, ale niemiłe. W sumie dziwny moment na takie wspomnienia. Może to wpływ tabletek przeciwbólowych?

- Wybacz, że doprowadzałam cię do łez, kiedy byłyśmy małe - powiedziała Sophie, nagle czując prawdziwe wyrzuty sumienia.

- Kiedy doprowadziłaś ją do łez? - zapytał Alec.

- Robiliśmy to przez cały czas - przyznała Cordie.

- Do czasu, kiedy się połapałam. - Regan wzruszyła ramionami. Potem wstała i wyszła do przedpokoju po sweter i torebkę. Odwróciła się do Cordie. - Odwiozę cię do domu, jeśli jesteś już gotowa.

- Jeśli Sophie mnie nie potrzebuje...

- Proszę, jedź - powiedziała Sophie. - Nawet błagam. I weźcie ze sobą tych dwóch.

Dopiero po pięciu minutach jej przyjaciółki były gotowe do wyjścia. Regan odwróciła się jeszcze w drzwiach.

- Zastanawiałam się, kto rozmawiał z tobą przez komórkę, kiedy zostałam postrzelona. Ktokolwiek to był, musiał się też nieźle wystraszyć.

- O tak. Jutro o tym pogadamy.

Alec i Jack nie zauważyli tej wymijającej odpowiedzi. Zdawało się, że przyrosli do foteli.

Kiedy Regan i Cordie już wyszły, Sophie zwróciła się do panów:

- Wy też powinniście iść do domu - zasugerowała.

- Zaczekamy, aż przyjedzie Gil - powiedział Alec.

- Obaj musicie tu ze mną czekać?
- Odwożę Jacka do domu, więc tak, obaj musimy poczekać.
- Z kim rozmawiałaś przez komórkę? - zapytał Jack. Teraz on był wyraźnie zaciekawiony.
- Wyjaśniłam już wszystko detektywowi Steinbeckowi.
- Co wyjaśniłaś? Kto to był? - dopytywał Alec.

Do tej chwili udawało jej się unikać mówienia o tym, ale czuła, że nadszedł czas. Nie miała jak się od tego wymigać.

- Facet, który do mnie strzelał...

*Wpis do dziennika numer 290 Obóz arktyczny*

*Stado spotkało nieszczęście. Wczoraj zdechła Allie, jedna z samic. Zauważyliśmy, że przez kilka ostatnich dni była nietypowo spokojna, ale nie zwróciliśmy na to większej uwagi.*

*Erie wziął mnie na bok i powiedział, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Allie. Wierzę mu, ale ulży mi, jeśli we krwi Allie nie znajdę żadnych dziwnych hormonów.*

*Kolejne dwa wilki mają podobne symptomy. Podejrzewamy wirusa, ale nie udało nam się go zidentyfikować.*

*Wszyscy czujemy się bezsilni i pozostaje nam mieć nadzieję, że reszta stada nie zachoruje.*

Przecież też byś wyjrzał - zaprotestowała Sophie. - Oszalałaś?! - krzyczał Alec. - Nie wyjrzałbym. A ty, Jack, wyjrzałbyś przez okno?

- Oczywiście, że nie.

Sophie patrzyła to na jednego, to na drugiego.

- Dajcie spokój. Gdyby zadzwonił do was ktoś, kogo głos wydawałby się wam znajomy i powiedział, że nie chce psuć niespodzianki...

Obaj mężczyźni patrzyli z takim niedowierzaniem, że przerwała tłumaczenie.

- Zachowujecie się dokładnie tak samo jak detektyw Steinbeck - stwierdziła.

- Jego też zapytałaś, czy wyjrzałby przez to okno? - chciał wiedzieć Jack.

- Tak.

- I? - ponaglił Jack, kiedy przestała mówić.

- I powiedział, że by nie wyjrzał - przyznała z rezygnacją.

- Jest detektywem z działu zabójstw. Co mógł innego powiedzieć?

- Zapomniałaś już, dlaczego twój szef chciał, żebyś pracowała przez jakiś czas w domu? - zapytał Alec. - Zapomniałaś o pogrożkach?

- Nie, nie zapomniałam - powiedziała ściszym głosem.

- Po prostu nie traktowałam ich poważnie.

- Dlaczego?

- Ciągłe dostaję jakieś pogrożki. Przynajmniej zawsze wte-



dy, kiedy mój ojciec pojawia się na tapecie, niesprawiedliwie oskarżony o jakieś zbrodnie czy wykroczenia. A pozwolę sobie zauważyć, że nigdy go nie skazali.

- Jakiego rodzaju pogrożki dostawałaś w przeszłości? - zapytał Jack.

Wzruszyła nonszalancko ramionami.

- Normalne. Typu: „nienawidzę cię”, „zapłacisz mi za to”, „ukręcę ci łeb” i takie tam.

- Już jej mówiłem, żeby za każdym razem zgłaszała je natychmiast policji - powiedział Alec.

- Zgłaszać na policję? - zapytała drwiąco. - Żeby kręcili się wokół mnie jeszcze bardziej? Po co? Pogrożki zawsze ustają po tygodniu albo dwóch. Alec, ja nie zamierzam żyć w ciągłym strachu.

- Co jeszcze powiedział ci ten strzelec, zanim wyjrzałaś przez okno? - zapytał Jack.

- „Bądź dobrą koleżanką”. Zapytałam go, jak się nazywa, a on powiedział: „Bądź dobrą koleżanką”. Powiedział też, że nie chce zepsuć niespodzianki.

- Więc wyjrzałaś. - Jack pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Oczywiście.

- Hmm... No tak, postrzał można uznać za swego rodzaju niespodziankę - stwierdził Jack.

- Ten drwiący ton wcale mi nie pomaga.

Jack siedział w fotelu naprzeciwko niej, a po jej słowach pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach.

- Więc gdybym ci powiedział, żebyś była dobrą koleżanką, to zrobiłabyś wszystko, o co bym cię poprosił?

Sophie nie spodobało się ton, jakim to powiedział. Gdybyś poprosił, żebym cię zastrzeliła, to pewnie bym to zrobiła, agencie MacAister, pomyślała.

- Mówiłaś, że jego głos brzmiał znajomo - Alec chciał, żeby powiedziała coś jeszcze o swoim rozmówcy.

- Był bardzo radosny i przypominał mi głos akwizytora. W tamtej chwili sądziłam, że już gdzieś słyszałam ten głos, ale teraz nie jestem już tego taka pewna.

- Następnym razem, kiedy dostaniesz pogróżkę, masz natychmiast do mnie zadzwonić. Zrozumiano? - powiedział ostrym tonem.

- Potrafię o siebie zadbać.

Nie było to chyba najszcześniejsze sformułowanie, zwłaszcza że dopiero co wyszła ze szpitala z raną po postrzale. Alec wyglądał tak, jakby chciał nią potrząsnąć, żeby się opamiętała. A mina Jacka była jeszcze groźniejsza.

- Przestańcie tak na mnie patrzeć.

- A jak niby na ciebie patrzę? - zapytał Jack.

- Jakbym była kretynką.

- Czyli udało mi się. To dobrze.

Czego od niej chcieli? Prawdy? Nie zamierzała jej wyznawać. Oczywiście, że była przerażona i zmęczona.

Zmęczona ciągłym udawaniem, że żadne pogróżki nie robią na niej wrażenia. Obaj oczekiwali, że okaże skruchę.

- OK, przyznaję. Nie byłam ostrożna.

Jack przytaknął i zwrócił się do Aleca. Kiedy recytował całą litanie przerażających rzeczy, jakie mogły się jej przydarzyć dlatego, że nie była dość ostrożna, Sophie siedziała w milczeniu i obserwowała. *Naprawdę był palantem*, pomyślała. Tym bardziej szkoda, bo był też cholernie seksowny. Nie mogła uwierzyć, że mimo wszystko tak bardzo ją pociągał. Ale nic dziwnego. Był chodzącym uosobieniem męskości: wysoki, barczysty, umięśniony. Miał gęste, ciemne włosy, szlachetne rysy twarzy, przenikliwe spojrzenie i ten zawadiacki uśmiech, który sprawiał, że aż ścisnęło ją w żołądku, kiedy na nią patrzył.

Wiedziała, że ona też go pociąga. Sposób, w jaki na nią patrzył, w niczym nie przypominał służbowego spojrzenia agenta FBI. Sophie wiedziała też, że nie chciał jej pragnąć. Biorąc pod uwagę to, z kim była spokrewniona, oraz fakt, że przecież uważał ją za wygadana kretynkę, nie można go było winić.

Analizowała Jacka MacAlistera, kiedy obaj panowie prowadzili konwersację, z której wykluczyli Sophie. Czy wiedział, że jej się podoba? Miała nadzieję, że nie. O, Boże. Przecież to agent FBI. Co się z nią działo?

Przypuszczalnie mogłaby pójść z nim do łóżka. To byłby wyłącznie seks - dziki, niesamowity, namiętny seks. Oczywiście bez angażowania się uczuciowo. Nie mogła pozwolić sobie na miłość. Nie była jak inne kobiety. Nigdy nie wyjdzie za mąż ani nie będzie miała dzieci... Nie z taką historią rodzinną. Szalony, zwierzęcy seks... bez zahamowań... Przecież nic w tym złego, prawda? Ale to agent FBI. Sophie, musisz z tym skończyć, upomniała się w duchu. Chyba kompletnie oszalała, dopuszczając do siebie takie myśli. To agent FBI. Dlaczego więc zapominała o tym, kiedy na niego patrzyła? Lepiej skupi się na czym innym, by nie mieć czasu na myślenie o swoim wypaczonym guście co do mężczyzn. Tak jak podczas diety. Zawsze, kiedy przechodziła na dietę, musiała się czymś zająć, żeby nie mieć czasu na myślenie o pudełku lodów czekoladowych, leżącym na dnie zamrażalnika. Zwykle jednak łamała się i w końcu zjadała te lody, ale w kwestii Jacka postanowiła się nie złamać. To była pokusa, której potrafiła się oprzeć. William Harrington! Przez ten zamęt, jaki nastąpił w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, kompletnie o nim zapomniała. Tak, to była zagadka, na której mogła się skoncentrować. Co mu się przydarzyło? I po co pojechał do Prudhoe Bay? Czy pojechał tam po tym, jak zrezygnował z biegu? Dlaczego zatem powiedziano jej, że pojechał do Europy? Coś tu było nie tak, tylko co? Sophie nie wiedziała, co robić. Przyszło jej do głowy, żeby podzielić się swoimi przemyśleniami z Alekiem. Mogłaby mu opowiedzieć o tym, jak poznała Harringtona i o dziwnych okolicznościach jego śmierci. Ale jakby na to zareagował? Pewnie powiedziałby, że to wypadek. Straszna śmierć, ale jednak przypadkowa. Powinna porozmawiać z panem Bittermanem. Był specjalistą w zdobywaniu źródeł informacji i z pewnością będzie wiedział, jak powinna się zabrać do tego śledztwa. W końcu grał kiedyś w pierwszej lidze i przez ponad dwadzieścia lat pracował dla

najbardziej prestiżowej gazety na całym świecie. Musi do niego zadzwonić.

Alec i Jack skończyli dyskusję na jej temat i Alec właśnie pisał wiadomość na swoim iPhone.

- Alec, myślisz, że ktoś może podsłuchiwać moje rozmowy telefoniczne? - zapytała.

- Gil już to sprawdził - powiedział, nie odrywając wzroku od wyświetlacza telefonu. - Jest pewien, że nikt cię nie podsłuchuje. Dlaczego pytasz?

- Byłam ciekawa, to wszystko. Agencie MacAlister, czyżby pan się dokądś spieszył? Stale spogląda pan na zegarek.

- Chyba już czas, żebyś zaczęła mi mówić po imieniu. I nie, nie mam żadnych planów, których nie można by było zmienić. Muszę tylko zadzwonić.

- Alec, zlituj się nad kolegą i zawieź go do jego samochodu. Niech sobie idzie na tę randkę. To przecież nieładnie, żeby odwoływał ją tak późno. - Nie mogła tego tak zostawić. - Poza tym, słyszałam, że niektóre restauracje pobierają opłatę za spóźnioną rezygnację.

- Nie mogę wyjść, dopóki nie przyjdzie Gil - powiedział Jack i uśmiechnął się szeroko. Zaraz potem zadzwięczy! dzwonek do drzwi, a Jack wybuchnął śmiechem. - Przysięgam, że tego nie zaplanowałem.

Gil przyszedł dwie godziny wcześniej. Wkroczył do środka, niosąc trzy duże pizze i dwa sześciopak butelkowanego piwa Kelly's Root, które niebezpiecznie kołysały się na szczycie kartonowych pudełek.

- Z drogi, Alec. Musimy zjeść pizzę, póki jest ciepła i smaczna, i wypić napoje, póki są pyszne i chłodne. Cześć, Sophie, moja droga, jak się miewasz? Masz ochotę na kawałek pizzy?

- Może później. Gdzie udało ci się zdobyć piwo Kelly's?

- Na czarnym rynku - odparł z uśmiechem.

- Nie wiesz, co ryzykujesz, przynosząc tu ciepłe jedzenie - powiedziała. Już miała dodać, że szkoda, że Jack i Alec dopiero co zjedli, a Regan i Cordie już wyszły, ale Jack ruszył za Gilem do stołu, a Alec poszedł do kuchni po serwetki.

- Jaki rodzaj kupiłeś? - zapytał Alec.

- Jak to, jaki rodzaj? Oczywiście ze wszystkimi dodatkami. Jeśli coś nadaje się do jedzenia, to jest na tych pizzach. Sophie przeszła przez pokój i trąciła Jacka łokciem, żeby się odsunął, by mogła zobaczyć, jak wygląda ta wielka pizza, którą właśnie rozpakował Gil.

- Naprawdę zamierzacie znowu jeść? - zapytała, spoglądając na Jacka.

Jack odwzajemnił jej spojrzenie i nagle poczuł, jakby zapomniał języka w gębie. Cholera, ależ ona jest śliczna. Bez makijażu nadal wygląda fantastycznie. I jest piekielnie pociągająca. W innym miejscu i czasie prawdopodobnie wykonałby jakiś ruch.

- Co? - zapytał, próbując sobie przypomnieć, o co go pytała.

- Pytałam, czy naprawdę zamierzasz znowu jeść.

- Jasne, że będę jadł. To pizza i musimy ją zjeść, póki jest ciepła.

- Sophie, tu się nie ma nad czym zastanawiać - powiedział Alec.

Ja bym raczej uznała to za obżarstwo, pomyślała i zostawiła ich na tej greckiej uczcie, która najwyraźniej miała stać się niemal orgazmicznym wydarzeniem. Poszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę. Na blacie zauważyła opakowanie baterii i przypomniała sobie o dyktafonie, na którym nagrała wywiad z Harringtonem. Dziś wieczorem, bez względu na wszystko, zamierzała przesłuchać każde słowo Harringtona. To będzie odpowiednia kara za to, że nazywała go narcyzem. Oczywiście był narcyzem, ale nie czuła się dobrze z tym, że tak o nim mówiła.

Tym razem będzie słuchać uważnie. Może powiedział coś istotnego na temat Prudhoe Bay, kiedy ignorowała jego wywody, a może teraz te informacje pomogłyby wyjaśnić wszystkie zagadki. Ten biedny człowiek nie żył, więc przyrzekła sobie, że nie będzie narzekać, słuchając jego niekończących się wywodów na temat każdego z dwudziestu czterech biegów. A, i jeszcze saga jego odcisków. Nie będzie przewijać taśmy bez wzglę-

du na to, jak bardzo by tego pragnęła. Westchnęła. Biedny facet. Biedny, potwornie przynudzający i już nieżywy facet.

Pociągnęła łyk herbaty i poszła do sypialni po dyktafon. Sądziła, że zostawiła go na biurku, ale nie było go tam. Kiedy sprawdzała szuflady, przypomniała sobie, że wsadziła go do torebki tuż przed tym, jak zadzwoniła do niej Regan. Zaczęły wracać do niej wspomnienia. Pamiętała, jak trzymała torebkę, jak zadzwonił jej drugi telefon i to nieszczęsne „bądź dobrą koleżanką”, wypowiedziane takim radosnym tonem.

Wzdrygnęła się pod wpływem tych wspomnień. Torebka powinna być w salonie. Ale nie było jej tam.

- Alec, widziałeś moją torebkę? Czerwona skóra... - Rozejrzała się ponownie po pokoju. - Trzymałam ją, kiedy zostałam postrzelona. Musi gdzieś tu być.

- Ja ją widziałem - powiedział Gil z pełnymi ustami. - Leżała na podłodze, o tam, przy oknie - dodał, wymachując na wół zjedzonym kawałkiem pizzy. - Była cała we krwi.

- Cała we krwi? Nie, tylko nie moja Prada! Jack spojrzał znacząco na Aleca.

- Czy zaczyna się teraz taka sama śpiewka jak z tą bluzką kabana?

Sophie usłyszała go.

- To była Dolce & Gabbana, a czerwona skórzana torebka od Prądy jest jedyna w swoim rodzaju.

- Chyba była jedyna w swoim rodzaju - poprawił ją Jack. Miała ochotę zakląć. Opadła bez sił na fotel obok Jacka.

- Była? Zechcesz wyjaśnić mi, co przez to rozumiesz?

- Myślę, że możesz śmiało powiedzieć, że Prada uratowała ci życie - odparł Jack. - Kula przeszła przez jej zatrzask, zanim dosięgnęła ciebie.

Sophie oparła się.

- W porządku. To się da naprawić. Jeśli skóra nie jest poplamiona... Jeśli uda mi się wywabić plamy z krwi... Gdzie ona jest?

- Tu jej nie ma - powiedział Alec.

- To dowód z miejsca przestępstwa - wyjaśnił Gil, - więc zabrano ją do laboratorium.

- Chcę ją z powrotem. W środku jest mój dyktafon i portfel z dokumentami i... o Boże, z moimi kartami kredytowymi.

- Rano zadzwonię do Steinbecka - obiecał Alec, kończąc ostatni kawałek pizzy i zaczął sprzątać ze stołu. Sophie ziewnęła. Środki przeciwbólowe działały na nią usypiająco i była już zmęczona.

- Czy wy dwaj nie macie ciekawszego zajęcia? - zapytała Aleca i Jacka. - Może trzeba złapać jakichś przestępców?

- Ja nie mam - odparł Jack. - Pewnie wezmę sobie trochę wolnego. A jeśli tak, to znajdę sobie odludną plażę, gdzie jest gorąco przez cały rok, i rozwieszę sobie tam hamak. Nienawidzę zimna, a w Chicago właśnie się ochładza.

- Cóż, jestem pewna, że spędzisz cudowne chwile - powiedziała Sophie. - A teraz, za pozwoleniem, chciałabym już położyć się do łóżka.

- Jack i ja już idziemy - powiedział Alec - ale Gil zostaje tu na noc.

- Ale... - zaczęła Sophie.

- Sophie, nie dyskutuj ze mną na ten temat - ostrzegł ją Alec. Gil mrugnął do niej.

- Kanapa wygląda na wygodną. Obiecuję, że będę siedział cichutko jak mysz pod miotłą. Nawet nie zauważysz, że tu jestem.

Sophie niechętnie się poddała. Nie miała już siły, żeby się wyklócać.

Kiedy zaniknęła drzwi za Alekiem i Jackiem, poszła do szafy i wyciągnęła koc i poduszkę dla Gila. Uprzątnęła w kuchni i zgasiła światła, a potem poszła do swojej sypialni. Salon oświetlał ojuż tylko blask ekranu telewizora, w którym Gil oglądał mecz koszykówki z wyłączonym dźwiękiem.

- Dobranoc, Gil - powiedziała. -1 dziękuję.

- Dobranoc, moja droga - odparł, ziewając.

Sophie przebrała się w koszulę nocną i usiadła na skraju łóżka. Była tak zmęczona, że z trudem utrzymywała otwarte

oczy. Zegarek na stoliku nocnym pokazywał 23:30. Nie mogła jednak jeszcze iść spać. Musiała wytrwać jakoś przez pół godziny, więc wzięła sobie gazetę i zaczęła ją czytać. W końcu, o 23:55 po cichu wyszła z łóżka. Podeszła na palcach do drzwi

i uchyliła je odrobinę. Gil głośno chrapał. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi do sypialni i przebiegła przez salon do garderoby, gdzie odsunęła na bok stertę pudełek na buty, odsłaniając kawałek podłogi, z której wyciągnęła jeden drewniany panel. Pod podłogą znajdował się otwór wielkości przeciętnych rozmiarów książki. Wsadziła rękę do środka i wyciągnęła ze skrytki telefon komórkowy. Zerknęła przez pokój w kierunku stolika, na którym stał zegar. Pokazywał w tej chwili 23:59.

Dokładnie o północy telefon zawibrował w jej dłoni. Sophie szybko go otworzyła i przystawiła do ucha. - Cześć, tato.



*Wpis do dziennika numer 300 Obóz arktyczny*

*Nie potrafię wprost opisać, jak jesteśmy zdruzgotani. Lucy, inne dorosłe osobniki, nawet szczenięta, wszystkie zdechły. Jedynym ocalałym jest Ricky.*

*Chociaż i Ricky spojrział śmierci w oczy. Erie przekonał Brandona i Kirka, żeby wrócili do bazy. Jak tylko nas opuścili, Erie uśpił Ricky'ego, a potem z moją pomocą podał wilkowi kolejny zastrzyk z K-74. Namówiłem go, żeby zwiększył dawkę.*

*W kilka godzin po zastrzyku Ricky był znowu na nogach i powróciły mu siły. Brandon i Kirk byli oszołomieni na widok tego cudownego i tak szybkiego wyzdrowienia.*

*Po raz pierwszy widziałem, jak nasz samiec alfa okazuje jakieś emocje. Ricky pogrążył się w głębokiej żałobie po stracie rodziny. Wyglądał, jakby nie mógł znaleźć dla siebie miejsca i w nocy długo wył. W dzień odszedł.*

Według jej ojca wszystko miało być dobrze, a w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków miał rację. Sprawy zawsze się jakoś układają i, jak stale jej powtarzał, zawsze jest jakieś światelko na końcu tunelu. Tylko że zawsze czołganie się przez ten tunel do światelka było strasznie męczące.

Doskonałym tego przykładem było jej postrzelenie. Co dobrego mogło z tego wyniknąć? Za wcześnie, by to wiedzieć, pomyślała, ale postanowiła uwierzyć ojcu i przyjąć jego optymistyczne spojrzenie na świat. Pomyślała też, żeby przejąć od niego także inną filozofię życiową: weź odwet. Sophie z radością skorzystałaby z możliwości zastrzelenia faceta, który próbował ją zabić. Ciekawe jak jemu by się to spodobało?

Przez telefon ojciec obiecał jej, że sprawiedliwość będzie po stronie pracowników Kelly'ego, i Sophie mu zaufała. Miała nadzieję, że wkrótce odzyskają swoje pieniądze, o czym kilkakrotnie wspomniała. Odpowiedź jej ojca była krótka: „Zobaczmy”.

Kiedy już omówili bieżące sprawy związane z aferą wokół Kelly's Root Beer, opowiedziała mu wszystko o Williamie Harringtonie, nie szczędząc szczegółów jego potwornej śmierci. Ojciec zasugerował, że powinna spakować swoje rzeczy i wybrać się w podróż do Prudhoe Bay. Przypomniał jej, że jest reporterem i że ewidentnie czeka tam na nią temat do opisanie. Sophie wiedziała, jakie były prawdziwe motywy ojca. Chciał, żeby wyjechała z Chicago i przeczekała gdzieś, dopóki nie

skończy się ten cały rozgardiasz związany z Kelly's. To zresztą miało sens. Na Alasce czekał na nią temat. Kolejnych kilka dni minęło zaskakująco szybko, chociaż Sophie nie udało się niczego specjalnego dokonać. Spała dużo, jadła mało i czuła się kompletnie otepiała. Gil spędził tylko tę pierwszą noc w jej mieszkaniu, ale stał gdzieś w pobliżu. Kiedy nie pilnował jej mieszkania, to zastępował go ktoś inny. Nikt nie mógł przejść korytarzem bez pozwolenia ani identyfikacji. Dodatkowa ochrona to była inicjatywa Aleca i Sophie nie wiedziała, jak zdoła mu się kiedykolwiek za to odwdziaczyć.

Miała towarzystwo i to całkiem sporo. Poza tym dostawała kartki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia i świeże kwiaty. Pani Bitterman wpadła któregoś dnia z garnkiem domowej roboty sosu do spaghetti z kulkami mięsnymi. Można by tym było spokojnie wykarmić dwunastoosobową rodzinę. Nawet zupełnie obcy ludzie przysyłali jej życzenia. Większość pisała, że nie wierzy, żeby Bobby Rose, lokalny Robin Hood, ukradł pieniądze z funduszu emerytalnego Kelly'ego. I główne głosy oskarżenia padały pod adresem Kevina Devoe, dyrektora inwestycyjnego Kelly'ego, którego oceniano jako niekompetentnego, gdyż źle ulokował pieniądze firmy.

Sophie nie mogła w żaden sposób uciec przed skandalem. Co wieczór w lokalnych wiadomościach było coś na temat zamknięcia firmy i głośnego rozwodu. Córka Kelly'ego, Meredith, i jej wkrótce-były-mąż, Kevin Devoe, prowadzili w mediach paskudną, pełną nienawiści walkę. Oskarżenia padały z każdej ze stron i wszystkie były nagrywane i pokazywane na kanale lokalnej telewizji, niczym opera mydlana z odcinkami o szóstej i dziesiątej. Każdy mógł obejrzeć szydercze uśmiechy

i zaciekle spojrzenia tej pary na ekranie telewizora.

Jak to możliwe, że ludzie, którzy tak bardzo się kochali w dniu ślubu, zmienili się w takie potwory? Miłość jednego dnia, nienawiść drugiego? Nic dziwnego, że sama myśl o małżeństwie przyprawiała Sophie o dreszcze.

Pan Bitterman dzwonił do niej codziennie, ale odmawiał odwiedzenia jej, dopóki całkowicie nie wydobrzeje po postrza-

le, i zakazał jej wspominać nawet jednym słowem na temat pracy.

- Wiem, że jeśli do ciebie przyjdę, to będziesz naciskała, żebym ci pozwolił wrócić do pracy w gazecie, a mógłbym ulec, bo żal mi ciebie z powodu tego postrzału - powiedział.

Kiedy otworzyła usta, żeby mu coś odpowiedzieć, jej szef się rozłączył. Początkowo była wściekła na ten jego upór, bo umierała z chęci opowiedzenia mu o tym, co spotkało Harringtona, ale wkrótce zdała sobie sprawę, że być może to nawet zadziała na jej korzyść. Potrzebowała więcej czasu na zgromadzenie informacji, zanim przedstawi mu swój plan.

Sophie nie mogła przestać myśleć o Harringtonie. Chciała zadzwonić do Paula Larsona z Prudhoe Bay i zapytać go, czy dowiedział się czegoś na temat zmarłego. Paul podał jej numer swojego telefonu komórkowego i powiedział, że może do niego dzwonić o każdej porze dnia i nocy, ale nie chciała zawracać mu głowy. Pracował na pełnym etacie jako ochroniarz rafinerii naftowych i obiecał jej, że się odezwie, jak tylko dowie się czegoś więcej o Harringtonie.

Mimo to czekanie doprowadzało ją do szału.

Nie zaglądała do komputera i za każdym razem, kiedy przypominała sobie coś, co powiedział Harrington podczas niekończącego się wywiadu, zapisywała to ręcznie. Nękało ją poczucie winy. Powinna była słuchać go uważniej.

W tej chwili jednak jej uwagę pochłaniała w dużej mierze kwestia zaginionej torebki. Powinna dowiedzieć się, gdzie znajduje się to laboratorium kryminalne, iść tam i zarządzić zwrot jej rzeczy osobistych. Musi odzyskać dyktafon, na którym nagrała każde słowo Harringtona.

Dzień zdjęcia szwów zaczął się naprawdę wspaniale. Zadzwonił do niej Paul Larson, ochroniarz z Alaski i przekazał jej szereg ciekawych informacji.

- Znaleźli portfel Harringtona. Znajdował się trzydzieści metrów od pozostałości po namiocie, który stał rozbity ponad dwadzieścia kilometrów w głąb pustkowia. Mówię poważnie.

Stał po środku niczego, najbardziej odludnego obszaru, jaki możesz sobie wyobrazić. Kompletne pustkowie ciągnące się przez całe kilometry. Przelatywał tamtędy mały samolot w poszukiwaniu Barry'ego i wylądowali, żeby zebrać nowe ślady.

- Kto to jest Barry?

- Samiec niedźwiedzia polarnego, który pożarł... Chciałem powiedzieć, który zabił Williama Harringtona.

Dowiedziałem się, że Barry jest tu gwiazdą.

Sophie osłupiała.

- Dlatego, że zabił człowieka?

- Oj nie, nie dlatego. Jest gwiazdą, ponieważ jest częścią badań naukowych prowadzonych na niedźwiedziach polarnych. Tutaj zawsze jest po kilka grup badawczych zbierających jakieś dane naukowe. Jak nie o niedźwiedziach polarnych, to o globalnym ociepleniu.

- Powiedziałaś, że szukali Barry'ego?

- Tak. Pilot zauważył długi pasek czerwonej tkaniny łopoczącej na wietrze. Była to część namiotu, a nieopodal wypatrzył dużo mniejszy skrawek przymarznięty do portfela. Gdyby namiot nie miał tak jaskrawego koloru, nigdy by go nie zobaczył. Mimo to, jak pomyślisz, jaki to ogromny obszar, to naprawdę cud, że udało im się cokolwiek znaleźć. Nazywają go zamarzniętym pustkowiec.

A William Harrington rozbił sobie namiot pośrodku tego pustkowia? Co, na Boga, on tam robił, dwadzieścia mil od... zamarzniętej nicości? Sophie nie miała najmniejszego pojęcia, co mogło nim kierować. Zaczęła zastanawiać się na głos.

- Nie sądzisz, że Harrington mógłby wybrać się na Alaskę w związku z badaniami, które tam prowadzą?

- Jakimi badaniami? - zapytał Larson.

- To może być jakiś trop. Myślę o tym projekcie, o którym wspomniał Harrington. Nazwał go Projekt Alfa. Ale to może nic nie znaczyć - powiedziała Sophie. - Harrington był strasznym samochwałą, więc bardzo możliwe, że przesadzał, mówiąc o jakimś klubie dla superludzi, którego stał się częścią. Z drugiej strony to może być trop zasługujący na uwagę.

- Projekt Alfa? - Larson zaśmiał się w głos. - Brzmi jak coś z science-fiction.
- Pewnie masz rację, Paul - przyznała Sophie, - ale nadal mnie to ciekawi. Po co Harrington wybrał się na Alaskę? Co było w jego portfelu?
- Prawo jazdy, kilka banknotów studolarowych, jedna dwudziestka i karta Visa. Skórzany portfel nie miał nawet jednego zadrapania. Zdziwiająca, prawda? Zważywszy na... wiesz co...  
Zważywszy na to, że stary poczciwy Barry przeżył dokładnie Williama Harringtona?
- Wysłali portfel do laboratorium w Anchorage. Tam też już wcześniej trafiły szczątki Harringtona. Rozmawiałem z jednym gościem stamtąd, któremu powiedziałem, że ciekawi mnie śledztwo i że byłbym wdzięczny, gdyby zechciał powiadomić mnie, jaki jest jego wynik. Domyślałem się, że zaczęli od banku, który wydał tę kartę kredytową i stamtąd doszli do nazwy firmy prawniczej obsługującej interesy Harringtona. Nawet udało im się zdobyć nazwisko jedyne go krewnego, który, jak rozumiem, odziedziczył całą furę pieniędzy. To niejaki Dwayne Wicker, dalszy kuzyn. Wielka szkoda, że Harrington miał tylko jednego krewnego. Może przyjaciele?
- Nie mam pojęcia, kto jest przyjacielem Harringtona i czy w ogóle miał takowych - powiedziała Sophie. -  
Rozmawialiśmy tylko o dwudziestu czterech wyścigach, które wygrał. I o pęcherzach. Bardzo długo rozmawialiśmy o jego pęcherzach na stopach.  
Paul wybuchnął śmiechem.
- Pęcherze? Nabierasz mnie?
- Nie, nie żartuję. Z przykrością muszę przyznać, że kiedy do mnie mówił, to wyłączałam się i nie słuchałam go. A teraz mi głupio z tego powodu. Te biegi tyle dla niego znaczyły...
- Więc dlaczego zwił z dwudziestego piątego?
- Gdybym miała zgadywać, to powiedziałabym, że domyślał się, że nie wygra. Jednak fakt, że na Alasce miał na sobie nadal te same czerwone skarpety, daje mi do myślenia,

czy przypadkiem to jego zniknięcie nie miało w sobie czegoś więcej.

- Posłuchaj, mam pomysł. Skoro nie będziesz już pisać o biegach, to przyjedź tutaj i napisz o Alasce. W pobliżu Barrow mamy pięciogwiazdkowy hotel. Mogłbym zrobić dla ciebie rezerwację. I naprawdę liczę na tę kolację przy świecach.

- A czy w tym pięciogwiazdkowym hotelu co wieczór kładą czekoladki na poduszce?

Zaśmiał się ponownie.

- W porządku, zmyśliłem ten hotel, ale nadal uważam, że powinnaś tu przyjechać. Mamy tu bezpieczny hotelik z czystymi pokojami i czystą pościelą. Naprawdę powinnaś zobaczyć zorzę polarną. Widok jest przepiękny.

- Sądziłam, że mówiłeś, że to straszne pustkowie.

- Piękne pustkowie - powiedział i zaśmiał się. - To chyba zabrzmiało jak sprzeczność. Musisz to zobaczyć, żeby mnie zrozumieć. Alaska cię zachwyci.

- Pozwól, że się nad tym zastanowię - odparła.

- O mnie też pomysł. Nie odpowiedziała.

- Zadzwońisz do mnie, jak dowiesz się jeszcze czegoś o Williamie Harringtonie?

- Na pewno do ciebie zadzwonię. Na razie!

Sophie była zdesperowana.

- Potrzebuję piwa korzennego Kelly, i to bardzo.

- I dzwoniisz do mnie, bo...? - zapytała Cordie.

- Bo ty wiesz, jak zdobyć coś z szarej strefy.

- Skąd?

- No z czarnego rynku, spod lady. Zdobędziesz je dla mnie czy nie?

- Mam kilka butelek w lodówce. Mogłabym ci je podrzucić po ostatniej lekcji.

- To nie wystarczy. Potrzebuję skrzynek piwa.

- No dobra. Pozwolę sobie zadać to oczywiste pytanie. Po co?

- Ponieważ wieczorem przychodzi do mnie pan Bitterman. Jest pewna sprawa, którą chciałabym zbadać, i być może będę musiała wyjechać. Mam nadzieję, że szef zaakceptuje mój pomysł i pokryje koszty wyprawy. Opowiem ci o wszystkim, kiedy się spotkamy. Ale teraz potrzebuję piwa korzennego, i to dużo. Zwabiłam Bittermana do siebie obietnicą i nieco przeko-loryzowałam.
- Nieco, to znaczy jak bardzo?
- Zasugerowałam, że mam pełną szafę piwa.
- Jest jedno wyjście. Zadzwoń do spożywczego i poproś, żeby ci dostarczyli kilka skrzynek jakiejś innej marki piwa korzennego.
- Pan Bitterman poczuje się oszukany. To musi być Kelly's Root Beer.
- A Regan? Może ona ci pomoże?
- Już przydzieliłam jej zadanie. Ma wpłynąć na Aleca, żeby pomógł mi odzyskać torebkę z laboratorium kryminalistycznego. Nie mają najmniejszego powodu, żeby tyle czasu zatrzymywać moje rzeczy osobiste.
- Gil mówił mi, że cała twoja torba była we krwi i że kula przeszła przez jej zamek. Biedaczko. Musieli ci ją zabrać, bo to dowód z miejsca zbrodni. Nie oglądałaś nigdy serialu o agentach CSI? Masz szczęście, że nie pocięli ci dywanu i nie zabrali jego części.
- A co z zawartością mojej torby? Po co im mój portfel i dyktafon albo mój telefon komórkowy? Domyślam się, że bateria już całkiem padła.
- Porozmawiaj z detektywem Steinbeckiem.
- Już z nim rozmawiałam. Powtarza cały czas, że już niedługo odzyska moje rzeczy, ale ja przestałam mu wierzyć. Tylko próbuje mnie udobruchać.
- Nie wiem, czego spodziewasz się po Alecu. To nie jest przecież śledztwo federalne.
- Ma przyjaciół w departamencie policji i mam nadzieję, że uda mu się namówić któregoś do pomocy. Naprawdę potrzebuję tejego dyktafonu. Mam na nim bardzo ważny wywiad, którego muszę posłuchać - wyjaśniła.



- Aaa, wywiad z biegaczem.

- Tak. Muszę go odzyskać. Nagrałam nawet wiadomość na telefonie Aleca, że jeśli do jutra nie dostanę mojego dyktafonu, to włamię się do laboratorium, żeby go odebrać. Jeśli będzie trzeba, zdemoluję to miejsce.

Cordie zaśmiała się.

- O, założę się, że bardzo mu się spodobała ta wiadomość. Po skończonej rozmowie z przyjaciółką, Sophie próbowała

jeszcze kilku innych możliwości, ale żadna nie przyniosła oczekiwanego rezultatu, jakim miała być szafa pełna piwa korzennego Kelly. Ta marka piwa była tak deficytowym towarem jak tusz do rzęs na konwencie Amiszów.

Nic nie szło po jej myśli i wyglądało na to, że Sophie znalazła się w ciemnym zaułku. Nie prosiła przecież o tak wiele, tylko jakąś dobrą wiadomość.

I wtedy ją otrzymała. Ale czemu dzieje się tak, że większości dobrych wiadomości towarzyszą te złe?

Dobra wiadomość była taka, że odzyskała swój dyktafon.

Zła - że przyniósł go jej Jack MacAlister.

*Wpis do dziennika numer 304 Obóz Arktyczny*

*Brandon zwołał spotkanie i zaproponował, żebyśmy śmierć stada zachowali w tajemnicy. Obawia się, że odbiorą nam stypendium. Dopiero co nam je odnowili i żaden z nas nie chce wyjeżdżać, dopóki nie przekonamy się, co stanie się z Rickym.*

*Wszyscy przystaliśmy na propozycję Brandona.*

*Ricky znalazł sobie nowe stado. Przez prawie dwa tygodnie wędrował samotnie, aż wreszcie znalazł nową rodzinę. Wilki mają w zwyczaju przemieszczać się na jesieni i zimą. Ricky natrafił na takie migrujące stado i, chociaż to niezwykle, udało mu się do niego dołączyć. Pozostaje nam obserwować, czy nasz samiec alfa będzie przysparzał problemów swojemu nowemu stadu.*

16

Agent MacAlister był czarujący jak zwykle. Podobnie jak jego powitanie. Nie tracił czasu na „Cześć” albo „Witaj”. Sophie otworzyła drzwi i usłyszała:

- Włamanie do laboratorium kryminalnego i kradzież dowodów jest przestępstwem.
  - Tylko groziłam, że to zrobię - odparła. - Jak się domyślam, nie byłoby uprzejme z mojej strony gdybym poprosiła o zwrot dyktafonu, a potem, żeby pan już sobie poszedł, agencie MacAlister?
  - Jack. Mów mi Jack. - Uśmiechnął się, minął ją w drzwiach i poszedł do salonu. - Nie dostaniesz dyktafonu, dopóki nie zwrócisz się do mnie po imieniu.
- Nie wyglądało na to, żeby w ogóle zamierzał kiedykolwiek od niej wyjść. Właśnie sadowił się wygodnie na kanapie.
- Po co przyjechałeś? - zapytała.
  - To długa historia.
  - Postaram się wytrzymać.

Skrzyżowała ramiona i nagle przypomniała sobie, że pod bluzką nie ma stanika. Czym prędzej złapała przyduży sweter z oparcia krzesła. Powiesiła go tam, bo zamierzała włożyć go, zanim otworzy drzwi panu Bittermanowi, ale zapomniała o nim.

Jack położył jej dyktafon na stoliku obok siebie, odsunął pufę dalej od kanapy, a potem usiadł i oparł sobie wygodnie nogi. Sophie nie zdziwiłaby się, gdyby wziął pilota od telewizora i poprosił o piwo.

**149**

- Wyświadczam ostatnią przysługę Alecowi przed wyjazdem nad ocean.
- Ile potrważą twoje wakacje?
- To nie wakacje, raczej wyjazd. - Jego głos stał się szorstki i niecierpliwy.
- Czy to dobrze, czy źle?
- Zależy.
- A jaką plażę wybrałeś?
- Jeszcze nie wiem, na jaką się wybiorę. Ważne, żeby to było ciepłe miejsce.
- Co to za przysługa, o którą poprosił cię Alec? Przecież mógł mi wysłać dyktafon przez posłańca.
- Muszę przesłuchać ten wywiad. - Uniósł dłoń, kiedy zobaczył, że zamierza się sprzeciwić. - Detektyw Steinbeck powiedział Alecowi, że już przesłuchał to nagranie, ale przyciśnięty do ściany przyznał, że miał problemy, żeby wysłuchać go z uwagą. Powiedział, że facet, którego nagrywałaś... Jak on się nazywa?
- Harrington. William Harrington.
- No właśnie. Więc Steinbeck powiedział, że to był wyjątkowo drętwy wywiad...  
Sophie wyprostowała się.
- Pozwolę sobie być innego zdania. Nie robię drętwych wywiadów.  
Jack ciągnął dalej, jakby wcale nie słyszał jej uwagi:
- Steinbeck powiedział, że Harrington mówił potwornie monotonnym głosem.  
Z tym mogła się zgodzić. Faktycznie Harrington miał niezwykle nudny głos.
- Policja sprawdza każdego, z kim miałaś styczność przed postrzałem, a Alec pomyślał, że jeden z nas powinien wysłuchać tego materiału na wypadek, gdyby okazało się, że łączy się z naszą sprawą.
- Harrington opowiada o biegach na pięć kilometrów, które wygrał.
- A ile wygrał?

Uśmiechnęła się.

- Dwadzieścia cztery. Jesteś pewien, że chcesz tego wysłuchać?

- W końcu po to przyszedłem.

- Mogłabym ci o tym w skrócie opowiedzieć.

Pokręcił głową. Sophie z niecierpliwością tupiała stopą, zastanawiając się, co robić. W końcu się poddała.

- W porządku. Możesz wysłuchać tego wywiadu.

- Sophie, ja nie pytałem cię o pozwolenie. I tak go wysłucham. Mogę to zrobić tu i teraz albo zabieram dyktafon i przesłucham to u siebie.

- Już dobrze, słuchaj tutaj.

- Chcesz zacząć teraz?

- Jeszcze nie. Zaczekamy na pana Bittermana. Najprawdopodobniej nie będzie chciał słuchać wywiadu, ale powinnam dać mu wybór. I proszę żebyś się nie wtrącał, kiedy będę rozmawiała z nim o artykule, który zamierzam napisać. Będziesz chciał się wtrącić, ale postaraj się powstrzymać, dobrze?

- Dlaczego miałbym się wtrącać? Westchnęła.

- Chodzi o niedźwiedzia polarnego.

- Niedźwiedzia polarnego? Zamierzasz pisać o niedźwiedziu polarnym?

- Niezupełnie o niedźwiedziu. A tak przy okazji, nazywa się Barry.

- Brzmi to tak jakbyś pisała książkę dla dzieci - powiedział z uśmiechem.

- Czymś takim mogłabym śmiertelnie przerazić dzieci - odparła.

- Sophie, zwróć się do mnie po imieniu, bo ostrzegam, że mogę się jednak wtrącić w te wasze ustalenia.

- Nie zamierzam zwracać się do ciebie po imieniu, ponieważ nie chcę wprowadzać między nami żadnej zażyłości.

Zaśmiał się w głos.

- Owszem, chcesz. Ale nic w tym złego, bo i ja tego chcę. Pokręciła głową.

- Ty mnie nawet nie lubisz.

- Nie muszę cię lubić, żeby się z tobą zaprzyjaźnić.

Nie wiedziała, co powiedzieć i, czując się trochę jak tchórz, wycofała się do kuchni.

- Przynieś mi piwo korzenne - zawołał za nią.

- Wykluczone - zawołała w odpowiedzi. - Piwo korzenne jest dla pana Bittermana.

Jack dołączył do niej w kuchni.

- Na mieście gadają, że masz spiżarnię pełną piwa Kelly's. Zdaje się, że trzeba będzie zatamować przeciek informacji od

Cordie do Jacka.

- Możesz dostać colę, pepsi, dietetyczną colę albo wodę. Musiał zajrzeć do lodówki, zanim podjął decyzję. W końcu wybrał sobie puszkę dietetycznej coli i zabrał się do przeglądania szafek kuchennych w poszukiwaniu czegoś do chrupania.

Próbowała wcisnąć mu ciastka ryżowe, które kupiła jej Regan, a za którymi Sophie nie przepadała. Niestety Jack wolał jej ulubione smażone chipsy.

- To, że Alec może grzebać w moich szafkach, nie znaczy, że i tobie wolno.

Jack jednak już otworzył sobie paczkę chipsów i przeżuwał jednego.

- Nie jesteś zbyt gościnna - stwierdził. - Co będzie na kolację?

Sophie warknęła pod nosem.

- Używaj słów, Sophie. Używaj słów - powiedział, przeciągając samogłoski i poszedł usiąść z powrotem na kanapie.

Miała ochotę chwycić tasak do mięsa. Dobrze, że nie miała żadnego. Wyobrażając sobie inne metody morderstwa, sięgnęła po zimną wodę sodową, potem wzięła kilka głębokich wdechów i dopiero przeszła do salonu.

- Byłam ranna i nie zamierzam niczego gotować dziś wieczorem.

- Z wyglądu twojej kuchni wnioskuję, że w ogóle nie gotujesz.

- Właśnie, że gotuję.
- Tak? Na garnkach i patelniach nadal masz naklejone ceny, a raczej na jedynym garnku i jedynej patelni. Nie widziałem też żadnych pokrywek.

Usiadła obok niego, pochyliła się i wzięła sobie garść czipsów z torebki.

- Gotuję w mikrofalówce. Jack nagle zmienił temat:
- Kiedy przyjdzie twój szef?
- Powinien już tu być - powiedziała, sprawdzając godzinę na jego zegarku.
- Ile trwa nagranie wywiadu?
- Ze dwie godziny. Może trochę więcej. A co?
- Chcę być w łóżku przed dziesiątą.
- Dziesiątą, powiadasz? Nie wyglądasz mi na nastolatka. A może nie chodzi tylko o sen?

Pan Bitterman pojawił się dopiero godzinę później. To dziwne, ale czekanie na niego w towarzystwie Jacka wcale nie było takie nieprzyjemne. Bez obiekcji odpowiadał na pytania o swoją przeszłość, gdzie dorastał, gdzie się uczył i skąd wziął się pomysł, żeby po studiach prawniczych wstąpić do FBI.

- Powiedz, dlaczego wyjeżdżasz? Wypaliłeś się już? - zapytała.
- Nie.
- Zastrześliłeś kogoś, kogo nie powinienes?
- Nie.
- Masz problemy psychiczne, o to chodzi, prawda?
- Nie - odparł z uśmiechem.
- Więc o co chodzi? - Szturchnęła go w bok. Była tak samo nieustępljwa jak on.
- To przymusowy urlop.
- Teraz to się robi całkiem interesujące.

Czekała, aż zacznie wyjaśniać, ale on milczał, więc zaczęła drażnić dalej.

- Wiesz, że cię o to zapytam. Co takiego zrobiłeś?

Dość niechętnie opowiedział jej o nagraniu, które pojawiło się na YouTube.

- Pewnie jesteś jedyną osobą w całym Chicago, która nie widziała tego cholernego filmu - powiedział na koniec.

- No tak. Regan i Cordie mówiły mi, żebym je obejrzała, ale zapomniałam.

- Prasa będzie mnie ścigać, dopóki nie sfilmują czegoś ciekawszego. Początkowo moi zwierzchnicy chcieli, żebym ukrywał się w Chicago, ale to nie za bardzo się udaje. Teraz chcą, żebym wyjechał z miasta, więc będę siedział nad oceanem do czasu, kiedy to wszystko trochę przycichnie. - Pokręcił głową. - Już wiem, jak się czujesz za każdym razem, kiedy twój ojciec pojawia się w mediach.

Sophie nie chciała, żeby ich rozmowa przeszła na temat jej ojca, więc zadała kilka osobistych pytań, kierując ją w inne rejony. Jedyne pytanie, na jakie nie chciał rozmawiać, to jego życie uczuciowe. Przyznał, że nigdy nie był żonaty, ale kiedy zapytała go, czy był z kimś związany, zmienił temat.

- Teraz moja kolej - powiedział. - Porozmawiajmy o twoim ojcu.

- Nie.

Nie naciskał.

- Zapytałbym o twoją przeszłość, ale nie muszę. Wiem o tobie wszystko - i zaczął to udowadniać.

Kiedy myślała, że już skończył, odezwała się:

- Czytałeś mój życiorys?

- Wiem znacznie więcej, niż jest w twoim życiorysie.

- Na przykład? - zapytała podejrzliwie.

- Na przykład to, że bardzo się starasz, żeby ludzie sądzili, że jesteś powierzchowna.

- Bo jestem - zaprotestowała, zdając sobie sprawę z tego, jak to głupio zabrzmiało.

Jack zaśmiał się.

- To twój sposób na obronę. Jedyne Regan i Cordie, i może bracia Regan wiedzą, jaka jesteś naprawdę.

- Nie ukrywam tego, kim jestem.



- Owszem, ukrywasz. - Po chwili dodał łagodniejszym tonem: - Przeprowadziłem małe śledztwo i rozgryzłem cię, Sophie Rose.

Pokręciła głową.

- Zawsze oszczędzasz na nową torebkę, prawda?

- Bo lubię torebki. - Zabrzmiało to jak usprawiedliwienie.

- Ale tak naprawdę nie kupujesz tych torebek. Wybierasz sobie jakąś, którą chciałabyś mieć, oszczędzasz na nią - a słyszałem, że niektóre są naprawdę drogie - a potem dajesz pieniądze studwudziestokilogramowemu umięśnionemu facetowi o przydomku Cookie, który prowadzi knajpę z zupami. To gra, którą prowadzicie. Wysyłasz mu w kopercie zdjęcie torebki wraz z pieniędzmi.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Zamierzam kupić sobie torebkę Birkin.

- To kilka tysięcy dolarów, tak?

- Zamierzam kupić sobie tę torebkę - powiedziała z uporem. - Czy chodziłabym do sklepu oglądać ją w każdą środę o siedemnastej, gdybym nie zamierzała tego zrobić? To cudowna torebka z jasnej skóry ze złotymi okuciami.

Spojrzał na nią poirytowany.

- Nie, wcale jej nie kupisz. Ty oszczędzasz pieniądze, a potem je rozdajesz. Robisz wiele dobrego i nie chcesz, żeby ktokolwiek dowiedział się o tym. - Znowu chciała zaprotestować, ale ją powstrzymał. - Daj spokój, Sophie. Nie jesteś powierzchowną, żądną pieniędzy, łasą na markowe metki idiotką. Wybacz, ale ja tego nie kupuję.

Sophie wierciła się jak na krześle tortur, ale szczęśliwie wybawiło ją nadejście Bittermana. Jeszcze nigdy nie czuła takiej ulgi. Wkurzyło ją to, że Jack tak dużo o niej wiedział. Po co zadawał sobie tyle trudu, żeby poznać jej tajemnice? Czemu tak go to interesowało? O co mu chodziło? O jej ojca... Tak, chodziło mu o jej ojca. Nie grzebałby w jej przeszłości i nie sprawdzałby jej zachowań, gdyby nie polował na informacje o jej ojcu.

Bitterman wręczył jej swój płaszcz. Poluzował krawat

i wszedł do salonu, po czym usiadł w fotelu. Sophie odwiesiła jego płaszcz do szafy i poszła do kuchni po zimne piwo korzenne, a tymczasem jej szef i Jack omawiali przebieg śledztwa w sprawie próby zabójstwa. Próby jej zabójstwa.

- Więc nie ma żadnego postępu sprawy? Żadnych poszlak? - zapytał Bitterman, podwijając rękawy koszuli.

- Tak mówi detektyw Steinbeck - odparł Jack. Bitterman skierował palec wskazujący w stronę Sophie.

Przyjął od niej piwo, ale nie zmienił groźnej miny.

- W takim razie jesteś tu uwiązana, młoda damo - powiedział. - Nie życzę sobie, żebyś latała po ulicach, kiedy na wolności pozostaje jakiś psychol z pistoletem.

- Ja nie latam po ulicach, a w kwestii bycia uwiązaną... Prosiłam, żeby pan przyszedł, bo chciałam omówić coś bardzo ważnego. - Sophie podeszła do kanapy i usiadła obok Jacka, co nie umknęło uwagi Bittermana.

- Zanim przejdziemy do spraw zawodowych, chciałbym zapytać, jak udało ci się zdobyć tyle piwa korzennego? - zapytał. - Myślałem, że to ja przydybałem ostatnią skrzynkę w Chicago.

Spojrzała na Jacka, który próbował się nie śmiać.

- No właśnie, Sophie. Jak to zrobiłaś?

W myślach znowu sięgnęła po tasak do mięsa.

- Byłam tak zdesperowana, żeby ściągnąć tu pana na rozmowę, że mogłam odrobinę przesadzić z prawdziwą ilością piwa, które posiadam.

- Mogłaś odrobinę przesadzić? - zapytał Bitterman, pochylając się do przodu.

Patrzyła mu prosto w oczy.

- Przesadziłam. Nie mam pełnej spiżarni. Tylko kilka butelek.

- Innymi słowy, skłamała - z radością dopowiedział Jack. Sophie spojrzała na niego wzrokiem, który powinien go spopielić, ale tak się nie stało. Nie chciała, żeby Bitterman drażył sprawę swojego rozczarowania, więc szybko postarała się zwrócić jego uwagę na inną ważną kwestię.

- Sir, czy pamięta pan Williama Haringtona i jego bieg na pięć kilometrów?
- Jasne, że pamiętam. Zmienił zdanie i w ostatniej chwili nie pobiegł, racja? Mówiłaś mi, że to dlatego, że wiedział, iż nie wygra.
- Tak właśnie sądziłam, ale okazało się, że nie miałam racji. To nie dlatego nie pobiegł.

Bitterman rozejrzał się po pokoju.

- Naprawdę nie ma tu więcej piwa korzennego?
- Próbuję powiedzieć panu coś ważnego.
- W porządku - skinął głową. - Więc jaki to powód nie pozwolił mu wystartować?
- Facet nie żyje.

Bitterman przez chwilę trawił informację.

- Wielka szkoda - powiedział w końcu. - Był młodym człowiekiem, prawda? Musiał być dość młody, skoro wygrał te wszystkie biegi. Przypuszczam, że śmierć jest najlepszym powodem do tego, żeby nie wystartować w biegu. Gdzie to się stało?

- Na Alasce - odparła. - Zginął na Alasce.

Z tonu jej głosu Bitterman domyślał się, że zaraz dowie się jeszcze czegoś. Odstawił butelkę piwa na stolik i oparł się w fotelu.

- Coś takiego. Na Alasce.
- Pożarł go niedźwiedź polarny.
- Słucham? - zapytał zaskoczony. - Co powiedziałaś? Powtórzyła potworne wieści, a na koniec Jack dorzucił od siebie:
- Zjadł go Barry.
- Dobry Boże, nazwali niedźwiedzia, który pożarł człowieka? Co za bezdusność.
- Nie, ten niedźwiedź już wcześniej miał imię.

A teraz pora przejść do trudniejszej części. Sophie musiała przekonać Bittermana, żeby pozwolił jej zająć się tą sprawą i, w razie konieczności, wysłał ją na Alaskę i nie pomyślał, że może jej tam grozić jakieś niebezpieczeństwo. Jej szef był

wobec niej nadopiekuńczy. Nie miała przemyślanej strategii na tę rozmowę, ale uznała, że już i tak nieźle się spisała, bo udało jej się zainteresować Bittermana, nie wspominając słowem o niczym innym jak tylko o chęci napisania dobrej historii.

I wtedy Jack zaczął zadawać trudne pytania o warunki życia, dzikie zwierzęta i ostry klimat. Wszystkie pytania, na które nie chciała odpowiadać przy swoim szefie.

- Możemy o tym porozmawiać później - powiedziała, szturchając Jacka łokciem w bok. - Pamiętasz, że miałeś się nie wtrącać?

- Niebezpieczeństwo...

- Wiem, że jest tam potwornie zimno - przerwała mu - ale zabiorę ze sobą odpowiednie ubranie.

- Nie o tym... Znowu go szturchnęła.

- Zamiast tej historii mogłabym napisać artykuł o twoim przymusowym urlopie i przypomnieć Chicago o nagraniu.

- Jeśli chcesz jechać na Alaskę i zamarznąć tam na śmierć, to nie będę cię powstrzymywał - powiedział, nachylając się do niej.

- Przemile słowa.

Okazało się, że Bittermanowi spodobał się pomysł z wyjazdem z Chicago na pewien czas. Uważał też, że jego czytelnicy mogą z chęcią poczytać historie o twardych ludziach, którzy postanowili żyć na Alasce. I jeśli zorganizuje wyjazd, to on jest w stanie go opłacić.

- Czytałem gdzieś, że w szkole średniej w Barrow założyli drużynę futbolową. Był to sprytny sposób, żeby zatrzymać dzieciaki w szkole i odciągnąć je od prochów i alkoholu. No i to działa. Może zechcesz tam pojechać?

Kupiłaś mnie, Sophie. Możesz robić ten artykuł, a ja zapłacę za wyjazd. - Zaczął wstawać, ale nagle zmienił zdanie.

- Tak się zastanawiam... jak dowiedziałaś się o Harringtonie?

- Miał przy sobie moją wizytówkę. Tamtejsza policja znalazła ją i zadzwonili do mnie, żeby poinformować mnie, że nie żyje. - Zanim zadał kolejne pytanie, Sophie mówiła dalej:

- Jack i ja zamierzamy przesłuchać wywiad, który przeprowadziłam z Harringtonem. Mam nadzieję, że powiedział coś, co mi umknęło, a teraz wyjaśniloby, dlaczego tam wyjechał. To zagadka, którą chciałabym rozwiązać. Zechce pan posłuchać z nami tego wywiadu? Bitterman odmówił.

- To był długi dzień. Chcę wrócić do domu i odpocząć. Jak tylko zamknęła za nim drzwi, Jack od razu ją zaatakował:

- To taka zagadka? - powtórzył jej słowa. - Zechcesz mi wyjaśnić, co tak naprawdę zamierzasz zrobić?

Wzruszyła ramionami.

- Zamierzam oddać sprawiedliwość Williamowi Harringtonowi.

*Wpis do dziennika numer 316 Obóz arktyczny*

*Erie i ja staliśmy się swego rodzaju braćmi. Obaj nie przekroczyliśmy jeszcze trzydziestki, więc pewna więź utworzyła się między nami w sposób naturalny. Nie mamy przed sobą żadnych sekretów. Wyznałem mu, że prowadziłem własne badania, że zamierzałem analizować efekty przejmującego mrozu i odizolowania na Brandonie, Kirku i na Ericu. Przyznałem, że chciałem dodatkowo potęgować stres, wprowadzając różne eksperymenty, ale postanowiłem porzucić ten pomysł i zająć się niezwykłym odkryciem Erica.*

*Namawiałem go, żebyśmy zaszczepili więcej osobników z nowego stada. Chciałem być odważniejszy, bo czułem, że się zmieniłem. Teraz wierzę w to, że każde konieczne środki są usprawiedliwione, jeśli prowadzą do odkrycia naukowego, z którego ludzkość będzie czerpać korzyści.*

17

Im dłużej Jack słuchał o planach Sophie, tym większego nabierał przekonania, że jest wariatką, i popełnił błąd, werbalizując ten osąd.

Jej reakcja była gwałtowna.

- Nie masz prawa powstrzymywać mnie przed wyjazdem tam czy dokądkolwiek. Muszę to zrobić.

- Ale dlaczego?

- Ponieważ nikt inny tego nie zrobi. - Przeszła obok, niechcący delikatnie zaczepiając go ramieniem. - Nie sądzę, żeby śmierć Williama Harringtona była wypadkiem - dodała. - Był taki podekscytowany tym, że z powodu świetnej kondycji fizycznej poproszono go, żeby przystąpił do jakiejś tajemniczej grupy czy projektu.

Nagle przypomniała sobie coś jeszcze, co powiedział jej Harrington, i obróciła się, by znaleźć się twarzą w twarz z Jackiem.

- Testy. Harrington powiedział mi, że zrobili mu tomografię komputerową i rezonans magnetyczny i pobrali mu galon krwi do analizy. Szukali wad, uszczerbku na zdrowiu. Przyznaj, Jack, że to trochę dziwne.

Stała naprzeciwko niego z rękoma opartymi na biodrach. Twarz miała zarumienioną od ekscytacji. Jack miał problem ze skoncentrowaniem się na jej słowach.

- A czy może wspomniał przypadkiem, kim byli ci ludzie? - zapytał wreszcie.

- Nie, oczywiście, że nie. Nie wolno mu było udzielać takich

**161**

informacji. Ale czy znalezienie ich nie będzie w miarę proste? W końcu lista miejsc, w których przeprowadza się rezonans magnetyczny, nie może być nieskończenie długa. Mogłabym od tego zacząć moje śledztwo.

Ruszył za nią do salonu i zderzyli się, kiedy Sophie nagle zatrzymała się i ponownie do niego odwróciła.

Jack pokręcił głową.

- Nie zdobędziesz dokumentacji medycznej. Wiesz o tym.

- Hmm... Masz rację - przyznała. Skrzyżowała ręce i zaczęła się zastanawiać. - Musi być jakiś sposób na sprawdzenie tego.

- A moglibyśmy zacząć słuchać tego wywiadu? Chciałbym już mieć to z głowy.

- Wiem, wiem, żebyś mógł wreszcie wyjechać i wpatrywać się w ocean. - Nie potrafiła ukryć dezaprobaty w głosie.

- O co ci chodzi?

- Powinieneś się trochę przejąć, a ty nic.

- Kiedy ktoś popełnia zbrodnię, to cholernie się przejmuję. Ale śmierć Harringtona to był wypadek.

Oparła dłonie na biodrach.

- A ja uważam, że to było zabójstwo.

Jack nie zaśmiał się, chociaż miał na to ochotę.

- Niedźwiedź polarny go zamordował. Zrobił to z premedytacją? Barry może za to dostać wyrok śmierci, jeśli...

Usiadł na kanapie, zanim zdążyła go pchnąć.

- Myślisz, że to takie śmieszne? - zapytała, patrząc gniewnie.

- Raczej tak.

Sophie przewróciła oczami.

- Jesteś idiotą. Nic dziwnego, że pracujesz dla FBI. Jack poklepał miejsce obok siebie.

- Usiądź i przekonaj mnie, że śmierć Harringtona nie była wypadkiem.

- Dobrze. Proszę bardzo - powiedziała zadowolona, że zdecydował się wreszcie otworzyć swój umysł. - William Harrington robił wszystko, żeby wystartować w tym, tak ważnym dla



niego biegu, a potem trach! - Strzeliła palcami. - Ginie samotnie na Alasce pośrodku pustkowia, nieopodal swojego namiotu. Tymczasem jego telefon domowy i komórkowy zostają odłączone, a jego strona internetowa znika. Byłam w apartamentowcu, w którym mieszkał, i powiedzieli mi, że spakował się i wyjechał do Europy, ale tak naprawdę był na Alasce. Teraz zapytam ciebie, czy według ciebie to się trzyma kupy? - Nie dała mu jednak szansy na odpowiedź. - O, wiem, co zaraz powiesz. Harrington odłączył swoje telefony, ponieważ nie wiedział, jak długo będzie w Europie - co jest głupim, ale logicznym powodem - i po prostu zmienił zdanie i zamiast tego postanowił wybrać się samotnie pod namiot na arktyczne pustkowie. Pewnie powiesz mi jeszcze, że to całe gadanie o byciu w świetnej kondycji i udziale w projekcie dla supermenów to jedno wielkie kłamstwo, wymyślone, by zrobić na mnie wrażenie. Ale ja nie uważam, żeby to było kłamstwo. Jack uśmiechnął się.

- Czy w ogóle muszę tu być, skoro tak dobrze wiesz, co chcę powiedzieć?

- No może trochę się zagalopowałam - przyznała zmieszana.

- Ponieważ starasz się doszukać w tym temacie na historię?

- Nie. Ponieważ chcę odkryć prawdę. A to słuszna motywacja.

- Nie zamierzam już dłużej czekać. Włączamy. - Nacisnął przycisk w dyktafonie, a głos Harringtona wypełnił pokój. Sophie pobiegła do sypialni po notes i długopis. Usiadła na skraju kanapy, gotowa notować w każdej chwili.

Godzinę później leżała rozciągnięta na kanapie obok Jacka i spała. Stopy oparła na jego kolanach, notes wypadł jej na podłogę, a długopis zaginął gdzieś pomiędzy poduszkami.

Jack wytrzymał jeszcze pół godziny i dopiero wtedy się poddał. Był w takim stanie, że musiał zrobić sobie przerwę, albo wyrzucić ten cholerny dyktafon za okno. Kiedy wyłączył odtwarzanie i zdjął jej stopy ze swoich kolan, Sophie obudziła się.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. Niezłe z niego „ciacho”,

pomyślała i od razu uznała, że tak go będzie nazywać. Zsunęła jej się jedna skarpetka i Jack właśnie ją podciągał. Kiedy zauważył, że na niego patrzy, uśmiechnął się do niej, a Sophie w tym momencie załopotowało serce. Nie miała co do tego wątpliwości.

Dziwne, pomyślała. Naprawdę dziwne. Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się tak nagle zareagować uczuciowo na mężczyznę. Jack był inny i to ją martwiło. Ten facet potrafiłby ją skrzywdzić. Łajdak...

Powoli usiadła i odgarnęła włosy z twarzy, pozbywając się jednocześnie wszelkich myśli na temat siedzącego obok „ciacha”.

- Co mnie ominęło? - zapytała.

- Jeśli miałaś szczęście, to relacje z biegów od pierwszego do dwunastego.

- Tylko tyle wytrzymałeś? - zapytała, marszcząc brwi.

- Ja przynajmniej słuchałem. Nie zasnąłem pięć sekund po tym, jak rozbrzmiał głos Harringtona.

- Racja - powiedziała. - Nie powinnam cię krytykować.

- Przypomnij mi coś. O ilu biegach jeszcze będę musiał słuchać?

- Dwunastu.

- Nie, litości - jęknął. - To nieludzkie. - Wstał, żeby rozprostować nogi. - CIA mogłoby tego używać do przesłuchiwania więźniów. Wsadzić podejrzanemu słuchawki na głowę i najwyżej po trzech godzinach wszystko wyśpiewa.

- Nie musisz zostawać, żeby tego słuchać. - Podniosła notes i położyła go na stole obok dyktafonu, po czym zaczęła szukać długopisu. - Możesz przyjść jutro, żeby wysłuchać reszty.

- Jeśli mam iść, to tylko z dyktafonem.

Wiedziała, że nie ma sensu przypominać mu, że to nie jego dyktafon, żeby mógł go sobie zabierać. I tak by się wyklócał. Ale czy można było spodziewać się po nim czegoś innego? W końcu pracował dla agencji, w której nie przywiązywano wagi do takich rzeczy.

- W takim razie musisz zostać - powiedziała.

- W porządku.

- Za pięć minut spotykamy się na kanapie.

Sophie poszła do łazienki, żeby obmyć twarz i umyć zęby. Zimna woda trochę ją orzeźwiła. Teraz już jedyne, czego jej było trzeba, to odrobina kofeiny i będzie mogła przebrnąć przez resztę biegów bez zasypiania. Zerknęła w lustro i uznała, że powinna związać włosy i nałożyć trochę makijażu. Trzymając w dłoni butelkę perfum, nagle zdała sobie sprawę z tego, co robi i co gorsza, dlaczego to robi. Chciała ładnie wyglądać... dla niego.

- Oszalałaś? - szepnęła do swojego odbicia w lustrze, po czym wpatrywała się w nie całe dziesięć sekund, czekając na odpowiedź. - Najwyraźniej tak - stwierdziła w końcu. - To agent FBI. Pamiętasz, co to oznacza?

Przypomnienie nieco pomogło. Podobnie jak sam Jack. Jeśli zauważył, że się odświeżyła, to nie skomentował tego. Wcale na nią nie spojrział. Od razu włączył dyktafon.

William Harrington rozpoczął swoją pasjonującą opowieść o pęcherzach. Musiała oddać honor Jackowi, że udało mu się przetrwać przez wszystkie relacje z biegów bez jednego przekleństwa.

- Harrington nie powiedział niczego, co mogłoby pomóc Steinbeckowi w śledztwie - podsumował, wyłączając dyktafon.

- Sądziłeś, że coś w tym znajdziesz? Ktokolwiek próbował mnie zabić, musiał stracić pieniądze, kiedy zamknęli zakłady Kelly'ego, albo jest przyjacielem lub krewnym takiej osoby. Harrington nie miał z tym nic wspólnego.

- Może - usłyszała wymijającą odpowiedź.

- Nie rozumiem, dlaczego detektyw Steinbeck sam nie przyniósł mi tego dyktafonu i nie przesłuchał nagrania.

- Steinbeck zajmuje się poszlakami i przesłuchuje ludzi, a ten wywiad znajduje się na samym końcu jego listy priorytetów. Alec wiedział, że będziesz chciała odzyskać swój dyktafon, więc, tak jak mówiłem, wyświadczyłem mu przysługę.

- To teraz możesz powiedzieć detektywowi Steinbeckowi i Alecowi, że na nagraniu nie było niczego istotnego dla śledztwa.

**165**

Jack ruszył do drzwi.

- Mógłbym tak powiedzieć Mecowi, ale czy to zrobię...? Wątpię - stwierdził. - Naprawdę wątpię.

Nie widziała, ale wyczuła, że uśmiechał się złośliwie pod nosem.

- Co ty mówisz?

- Mówię, że jeśli zasugeruję, że w nagraniu są jakieś podejrzane komentarze, to mój partner będzie musiał je przesłuchać.

- Zrobiłbyś to swojemu partnerowi? - zapytała, udając oburzenie, ale w głębi czując, że to naprawdę świetny pomysł.

- Poważnie to rozważam.

- A detektyw Steinbeck?

- On usłyszy ode mnie prawdę.

Odsunął zasuwę w drzwiach i odwrócił się. Sophie cofnęła się o krok, ale nadal stała zdecydowanie za blisko niego. Korytarz był zacieniony.

- Przykro mi, że twój wieczór został zrujnowany - powiedziała. - Ale jest niewiele po dziewiątej, więc jest szansa, że przed dziesiątą zdążysz położyć się do łóżka. Czy nie tak mówiłeś?

- Mówiłem, ale zamiast tego pójdę do domu.

Chwilę zajęło jej zrozumienie tego, co powiedział. Planował być w łóżku jakiejś kobiety przed dziesiątą, a nie we własnym.

- Zawsze jest jeszcze jutro - powiedziała, starając się, żeby zabrzmiało to radośnie.

- Albo pojutrze. Mogłabyś tyle czekać, prawda?

- Ja? - zapytała oburzona. - Sugerujesz, że będziesz w moim łóżku? To bezczelne z twojej strony.

- A nie myślałaś o tym?

- Może... ale to zbyt skomplikowane... To znaczy...

- Zaufaj mi - powiedział, uśmiechając się. - Warto poczekać.

Chwycił ją w ramiona i powoli pochylił głowę, a jego wargi delikatnie musnęły jej wargi w słodkim pocałunku na do widzenia. Kiedy uniósł głowę, ich spojrzenia się spotkały. Mogła się

od niego odsunąć, ale zamiast tego zarzuciła mu ręce na szyję i tym razem ich pocałunek nie miał w sobie niczego z niewinnego buziaka na do widzenia. Jego wargi były rozpalone, cudownie gorące. Rozchyliła usta, by z rozkoszą dać mu to, czego chciał. Jego język powoli pieścił i pocierał jej język, rozpalając w niej potężny żar.

Pocałunek nie powinien być jednocześnie leniwy i erotyczny, ale ten był niewiarygodnie podniecający. Jack zachowywał się tak, jakby miał przed sobą całą noc na to, by ją pieścić i uwodzić, a kiedy przerwał pocałunek, mógł wziąć, co tylko by zechciał.

Wiedział o tym, podobnie jak ona.

Nie powiedział „do widzenia”. Przemienił ją w rozedrganą galaretkę i zostawił bez słowa. Nie wiedziała, ile czasu tak stała oparta o ścianę w przedpokoju, ale w końcu się pozbierała i zamknęła drzwi na zasuwę. Zgasła światła w kuchni i w salonie i poszła do sypialni.

Uniosła dłonie i zobaczyła, jak drżą. Ale to normalne, pomyślała, w końcu zaskoczył ją tym pocałunkiem.

Zaspokoiła swoją ciekawość i teraz mogła działać dalej. Po prostu zapomni o tym.

Rzuciła się na łóżko i zaczęła gapić w sufit, starając się przekonać samą siebie, że to nie było nic wielkiego. Jednak przez cały czas w głębi duszy jakiś cichy głos szeptał do niej: A niech to!

*Wpis do dziennika numer 400 Chicago*

*Nasza praca w laboratorium przyniosła niezwykle rezultaty. K-74 nie powstrzymuje całkowicie procesu starzenia, ale wyraźnie go spowalnia. Nadal nie wiemy o ile procent.*

*Jeszcze bardziej niesamowite dla nas jest powiązanie między czynnikiem stresu a reakcją psychologiczną. Bez względu na to, jak potworne są warunki, zwierzę nie okazuje strachu i nie podwyższa mu się puls. Czyżby ten lek był sposobem na kontrolę lub całkowite wyeliminowanie zniszczenia, jakie powoduje w ciele długotrwały stres?*

*Szczur umieszczony w klatce z pytonem do ostatniej chwili nie okazuje strachu nawet wtedy, gdy walczy o życie.*

*Czyżby K-74 sprawiło, że poczuł się niepokonany?*

*Jak zareagują wilki na zwiększenie im dawki leku? Wkrótce się przekonamy.*

W apartamencie Williama Harringtona doszło do „incydentu”.

Najpierw Gil zadzwonił do pana Crossa, zarządcy budynku i trochę czarując, a trochę zastraszając, przekonał go, żeby wpuścił Sophie do mieszkania Harringtona.

Cross czekał na nich w holu. Na szczęście nie było na straży tego bandyty, który podawał się za recepcjonistę. Sophie podejrzewała, że nie udałoby się jej przejść obok niego nawet z samym panem Crossem pod rękę.

- Będzie nam brakowało pana Harringtona - powiedział Cross, podążając za nimi do windy. - To był idealny lokator. Płacił czynsz na czas, nie wtrącał się do nikogo, nie sprawiał żadnych problemów i bardzo rzadko miewał późnych gości. - Zachwalał nieżyjącego. - Obawiam się, że dziś w mieszkaniu spotkacie się z kuzynem pana Harringtona.

Przyjeżdża i wyjeżdża przez cały tydzień. Ale to nie to samo co pan Harrington. Ten człowiek jest jego całkowitym przeciwieństwem - szeptął konspiracyjnie. - Powiedziałbym nawet, że jest odrobinę nieokrzesany.

Nieokrzesany? Pan Cross był zbyt uprzejmy. Dwayne Wicker był przerażająco ordynarny. Sophie nie miała w zwyczaju oceniać ludzi na pierwszy rzut oka, bo pierwsze wrażenie bywa często mylne, ale zrobiła wyjątek dla Dwayne'a. Kiedy pan Cross dokonywał prezentacji, Dwayne ostentacyjnie poprawiał sobie krok w spodniach. Czy może być coś bardziej odrażającego?

Z kącika jego ust sterczała szczotka do zębów.

- Czego chcecie? Co tu robicie? - Trzonek szczotki do zębów podskakiwał przy każdym wypowiedzianym słowie.

- Muszę przejrzeć dokumenty pana Harringtona - powiedziała Sophie.

Dwayne spojrział na nią zmrużonymi oczami.

- Po co? Byłaś jego sekretarką?

- Można tak powiedzieć.

- A, no to w porządku. Nie obchodzą mnie jego papiery. Wiem już, gdzie jest jego kasa i inwestycje - powiedział.

- Trafiło ci się jak na loterii, co? - stwierdził Gil.

- Jasne.

- Jak dobrze znałeś Williama?

- Nie znałem go prawie wcale. Nie miałem z niego wielkiego pożytku. Parę razy pożyczył mi pieniądze, ale potem przestał. Założę się, że teraz smaży się za to wiecie gdzie. Miał więcej kasy, niż potrafił użyć. Nie wiedział, co z nią robić, a mnie dostały się jakieś ochłapy. To nie moja wina, że nie mogłem utrzymać posady. Mam problemy z kręgosłupem. Jesteśmy spokrewnieni, więc powinien był się podzielić. Racja?

Ani Sophie, ani Gil nie odezwali się słowem. Dwayne przyjął ich milczenie jako całkowitą zgodę.

- Był skąpy. Ale nie zabierze pieniędzy ze sobą do grobu. Teraz ja je wszystkie dostałem.

Sophie czuła, że robi jej się niedobrze od jego gadania.

- Gdzie są dokumenty Williama?

- Leżą na stosie na podłodze w jadalni. Już sprzedałem stół i krzesła, więc będziecie musieli usiąść na podłodze, żeby je przejrzeć.

- Czy nie za bardzo się pospieszyłeś ze sprzedażą jego rzeczy? - zapytał Gil.

- Nie - odparł Wicker. - Uznałem, że w chwili, kiedy policja potwierdziła, że William nie żyje, wszystko, co było jego, należy teraz do mnie. Jestem jego jedynym najbliższym krewnym. Już wcześniej bym się za to zabrał, gdyby nie fakt, że policja nalegała na ostateczne potwierdzenie tożsamości. Wy-



słali włosy z jego szczotki do Anchorage, żeby tam mogli przeprowadzić testy DNA. Ja nie mam wątpliwości, że to William. - Wskazał palcem kierunek jadalni. - Lepiej się pospieszcie. W każdej chwili mogą przyjechać ludzie od przeprowadzek i pośrednik w handlu nieruchomościami, żeby powiedzieć mi, ile dostanę za to mieszkanie. Apartament Harringtona był swego czasu dość elegancki: wysokie sufity z pięknymi, głęboko rzeźbionymi gzymsami, przestronne pokoje z mnóstwem światła. Teraz wyglądało, jakby Dwayne przygotował go do wyprzedaży garażowej.

Sterna papierów okazała się żyłą złota. Sophie znalazła w niej rachunki telefoniczne, wyniki badań lekarskich Harringtona, jego prywatny notes z telefonami i adresami, wyciągi z kart kredytowych, a wszystko to poukładane w teczkach z tektury. Zebrała niezłą porcję i wepchnęła ją do swojej przydużej torby. Zabrałaby więcej, gdyby Dwayne nie wszedł nagle sprawdzić, co robi.

- Dlaczego tak cię interesują jego dokumenty? - zapytał.

- Tak sobie - odparła.

Nagle Dwayne nabrał podejrzeń.

- Szukasz czegoś konkretnego? Hej, chwila moment. Co tu się dzieje? - Nie zdążyła nic powiedzieć, bo zadał kolejne pytanie: - Czy ty i William byliście parą? Wiesz, co mam na myśli. Czy mu dawałaś, wiesz co?

- Co niby miałabym mu dawać, panie Wicker? Obrzydzenie w jej głosie tylko go rozjuszyło.

- No, czy się z nim pieprzyłaś? - powiedział głośniej. - Zgadłem, prawda?

Przykucnął obok niej i zobaczył list od firmy prawniczej, który trzymała w ręku, i próbował go jej wyrwać.

- Wiem, co kombinujesz. Myślisz, że mój kuzyn zostawił ci trochę kasy i dlatego przeglądasz jego papiery. Ale mam dla ciebie złe wieści, kochanieńka. Nie dostaniesz ani grosza.

Gil siedział na szerokim parapecie i przyglądał się całej scenie. Odezwał się, zanim dobrze przemyślał konsekwencje i niechęć dolał oliwy do ognia.

- Chyba że spisał nowy testament i wszystko zapisał swojej kochanieńkiej.

Sama tylko możliwość sprawiła, że Dwayne wpadł w szal. Omal nie połknął szczotki do zębów.

- Nie ma mowy. Oddawaj mi te papiery i wynoś się stąd! Sophie wstała i spojrzała na Gila.

- Mówisz poważnie...?

I wtedy rozpoczęły się istne zawody w przeciąganiu liny. Dwayne nie mówił już do niej „kochanieńka”. Teraz używał określenia „dziwka” za każdym razem, kiedy próbował wyrwać jej z rąk torbę. Szarpał, a Sophie nie ustępowała i ciągnęła w swoją stronę. Miał dla niej jeszcze kilka innych nieelegan-ckich epitetów, którymi się nie przejmowała do czasu gdy przekroczył granicę i uderzył ją w twarz.

Była tak zaszokowana tym atakiem, że w pierwszej chwili zamarła. Podobnie Dwayne, ale po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech triumfu. Zanim Gil zdążył przemierzyć pokój, Sophie złożyła dłoń w pięść i błyskawicznie, niczym wąż, uderzyła Dwayna prosto w twarz, łamiąc sterczącą z ust szczotkę do zębów. Możliwe, że przy okazji złamała mu też nos, ale nie miała pewności.

Zaciągnęła mocno paski w torbie i spojrzała na Dwayne'a z naganą.

- Wstydzilbyś się! Uderzyć kobietę!

Ucieczka zdawała się w tej sytuacji najbardziej logicznym posunięciem, zanim Dwayne pozbiera się i da upust wściekłości.

- Miło było cię poznać - powiedziała Sophie, wychodząc z mieszkania za Gilem. - Życzę miłego dnia.

*Wpis do dziennika numer 422 Obóz arktyczny*

*Fundacja data nam zielone światło na zakończenie naszych badań na wilkach. Stara ekipa znowu jest razem.*

*Dokonałiśmy kilku poprawek w naszej bazie tu, na lodowatej północy, ale większość rzeczy pozostała bez zmian.*

*Kiedy byliśmy w Chicago, razem z Erikiem założyliśmy nasze wspólne laboratorium. Wyblągaliśmy, zapożyczyliśmy się i wykonaliśmy wszystko bez żadnego wsparcia. Jestem teraz równorzędnym partnerem i nie podlegamy, ani nie jesteśmy pod kontrolą żadnej firmy farmaceutycznej czy też agencji rządowej. Nasze testy pozostaną tajemnicą do czasu, aż zbierzemy wystarczające dane.*

*Niesamowite, ale urządzenie naprowadzające nadal działa. Nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom, kiedy znaleźliśmy Ricky'ego. Ma teraz co najmniej dziewięć lat, ale wygląda i zachowuje się tak samo żywiołowo jak za młodu, kiedy go po raz pierwszy zobaczyliśmy. Znowu jest przywódcą stada. Nie stracił ani odrobinę ze swojej samczej natury. A to gwarantuje nam ciągłość badań.*

*Brandon i Kirk zajęli się identyfikacją i oznaczaniem wszystkich członków nowego stada, a ja i Erie pobraliśmy próbki krwi od Ricky'ego. Uśpienie go nie było wcale łatwym zadaniem, ale udało nam się. Z bliska jego sierść nie ma już tego samego połysku, ale badanie krwi mówi co innego. Ricky ma taki zestaw*

**173**

*hormonów, jakiego jeszcze nigdy nie widzieliśmy. A dodatkowo udało nam się wykryć ślady K-74 w jego krwi. Wkrótce otrzyma kolejną dawkę leku. Kiedy zobaczymy, jak na niego zareaguje, zamierzamy zaszczepić resztę stada. Nie będziemy zapisywać naszych odkryć w żadnym oficjalnym raporcie. To, co robimy, nie mieści się w granicach naszej oficjalnej misji i moglibyśmy zostać wykluczeni z programu. Ale mamy nadzieję, że ryzyko, które podejmujemy, jest warte większej nagrody.*

Sophie siedziała na podłodze w swoim mieszkaniu pośród rozłożonych tekturowych teczek. Całe popołudnie spędziła, przekopując się przez dokumenty Williama Harringtona, szukając w nich czegoś, co by wyjaśniało jego nagłe zniknięcie i przedwczesną śmierć. Jak do tej pory jedno mogła powiedzieć z całą pewnością: Harrington miał obsesję na punkcie swojego zdrowia. Najgrubszateczka zawierała wyniki badań i testów medycznych, z których, jeśli dobrze rozumiała, wynikało, że był w tak świetnej formie.

Na wierzchu znalazła najświeższe wyniki jego badań. Wiedząc, że prawdopodobnie zostanie odesłana z kwitkiem, postanowiła spróbować szczęścia i zadzwoniła pod numer kliniki, który znalazła na pierwszej stronie wydruku. Radośnie przedstawiła się recepcjonistce, która odebrała telefon, po czym wyłożyła kawę na ławę. Powiedziała kobiecie, że jest dziennikarką i że chce napisać artykuł o jednym z klientów kliniki, którego właśnie niedawno spotkała przedwczesna śmierć. Starła się jak mogła przekonać kobietę, że artykuł ma być wyrazem uznania, jednak recepcjonistka ucięła jej w pół zdania, wyjaśniając stanowczo, że ani ona, ani nikt inny z kliniki nie może udzielać informacji na temat pacjentów. Dokładnie takiej odpowiedzi Sophie się spodziewała, ale czuła, że warto było przynajmniej spróbować. Odłożyła słuchawkę nieco zrezygnowana, ale nie zamierzała odpuszczać. Będzie szukać dalej.

Następnie sięgnęła po notes z adresami. Mało było w nim wpisów i większość z nich były to kontakty zawodowe: firmy prawnicze, kilku lekarzy, salon fryzjerski, parę restauracji. Żaden z wpisów nie wyglądał na dane przyjaciela, co sprawiło, że Sophie zaczęła się zastanawiać, czy Harrington w ogóle takiego miał. Potem przyszło jej do głowy, że jeśli miał przyjaciół, to ich telefony miał pewnie zapisane w komórce albo w palmtopie, a że nie miała dostępu do żadnej z tych rzeczy, nie mogła tego sprawdzić. Chociaż... była jeszcze jedna możliwość: rachunki telefoniczne. Przewertowała całą teczkę z rachunkami, ale nie znalazła żadnego wykazu połączeń. Pewnie został w apartamencie Harringtona. Tylko połowę papierów zgarnęła do torby, kiedy do akcji wkroczył Dwayne Wicker, a biorąc pod uwagę przebieg ich starcia, można przypuszczać, że gdyby przyszła ponownie odwiedzić jego mieszkanie, nie powitałby jej z szeroko otwartymi ramionami.

Właśnie zastanawiała się nad kolejnym ruchem, kiedy zadzwonił telefon. To był Paul Larson z Alaski.

- Tak się zastanawiałem, czy może przemyślałaś moje zaproszenie.

Sophie zaśmiała się. Nie można mu było odmówić wytrwałości.

- Właśnie to rozważam - powiedziała.

- To świetnie! - zareagował entuzjastycznie. - Cieszę się, że się spotkamy. - I zaraz dodał: - I nie dlatego, że jestem tak bardzo spragniony kobiecego towarzystwa.

- Jeśli przyjadę, to tylko w sprawach zawodowych. Przeprowadzam małe śledztwo w sprawie Williama Harringtona i jest jeszcze kilka rzeczy, które chciałabym sprawdzić w pierwszej kolejności.

- To właśnie drugi powód, dla którego dzwonię - powiedział. - Mam nowe wieści. Słyszałem o dwóch gościach, którzy rozmawiali z Harringtonem.

- Kiedy z nim rozmawiali? Co mówił Harrington?

- Powoli. Daj mi dojść do słowa. Pewnie nie wiesz, ale

mamy tu ciężarówki, które kursują po Dalton Highway przez cały rok. Zaopatrzenie przyjeżdża z Fairbanks. Jeden z kierowców to naprawdę miły facet. Nazywa się Sam Jackson. Powiedział mi, że podwoził dwóch braci w drodze powrotnej do Deadhorse. Mają na nazwisko Coben i są traperami. Według Sama są trochę dziwacznymi, ale niegroźnymi. Podejrzewam, że miał na myśli, że bracia są mało towarzyscy. Być może są trochę niezręczni, ale mają przyjacielski stosunek do ludzi i nie zrobiliby nikomu krzywdy - wyjaśniał. - Tak czy siak, dla zabicia czasu Sam opowiedział im o tym, że Barry zabił człowieka i kiedy wspominał, gdzie to się stało, jeden z braci zapytał go, czy mężczyzna miał na imię William. Spotkali bowiem jakiegoś Williama, który był zupełnie sam na równinie. Żaden z braci nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska, ale obaj pamiętali, że William mówił im, żeby nie zwracali się do niego Bill.

Dziwne, że to zapamiętali, prawda?

- Owszem - potwierdziła. - Co jeszcze mówili bracia? - zapytała, chcąc go ponaglić.

- Sam nie znał jeszcze wtedy nazwiska ofiary, ale był pewien, że bracia mówili o tym samym gościu, mimo że jeden z nich powiedział, że ten William instalował sobie obóz bardzo daleko i wyglądało na to, że zamierza zadomowić się w nim na długo. Powiedzieli też Samowi, że zaproponowali mu pomoc przy przenoszeniu części ekwipunku, ale William nie chciał z niej skorzystać.

- Czy Harrington mówił im, po co przyjechał?

- Sam nic o tym nie mówił, ale powiedział, że bracia spędzili z nim kilka godzin.

- Chętnie bym z nimi porozmawiała.

- Sam jest już w drodze powrotnej do Fairbanks - powiedziało Paul. - Ale mógłbym dla ciebie zdobyć jego numer telefonu albo przekazać mu, żeby do ciebie zadzwonił.

- Nie, miałam na myśli braci. Z nimi chciałabym porozmawiać.

- A z tym może być problem. Sam powiedział, że jechali po zapasy i potem mieli wyruszyć w kierunku Umiat.

- Jest szansa na zdobycie numerów ich komórek?

Jej pytanie wywołało prawdziwą salwę śmiechu po drugiej stronie.

- Sophie, to są traperzy - powiedział Paul, kiedy się wreszcie opanował. - Nie noszą ze sobą telefonów komórkowych. Najprawdopodobniej nigdy nie używali czegoś takiego. Mieszkają w dziczy i nie potrzebują komórek.

- A co się dzieje, kiedy wpadną w tarapaty?

- Mają strzelby, pistolety i topory...

- Zrozumiałam. Dzicy ludzie - powiedziała. - Mieszkają w domkach z bali w górach.

- Raczej w prefabrykowanych przyczepach - odparł. - A tam, gdzie mieszkają, raczej żadna telefonia komórkowa nie ma zasięgu. Jeśli przyjechałabyś tu szybko, być może udałoby ci się złapać ich, zanim wyruszą w drogę powrotną do swojego obozu.

Oszacowała, ile jeszcze pracy musi wykonać dla gazety.

- To może mi zająć kilka dni.

- Im szybciej tu przyjedziesz, tym większe są szanse na to, że spotkasz braci Coben - zauważył.

- Dziś zrobię rezerwację.

- To poinformuj mnie, kiedy przyjedziesz, a ja postaram się wyjść na spotkanie.

- Dobrze, tak zrobię.

- A może zarezerwować ci pokoje w hotelu? Jak sądzisz, ile będzie ci potrzeba?

- Tylko jeden.

- Podróżujesz sama?

- Owszem. Czy to jakiś problem?

- Nie. Oczywiście, że nie. Będziesz tu całkowicie bezpieczna. Być może nawet bezpieczniejsza niż w Chicago.

Musiała przyznać Paulowi rację, biorąc pod uwagę fakt, że ostatnio została tu postrzelona. Prudhoe Bay musiało być bezpieczniejsze.

- Nie boję się - powiedziała.

- W Deadhorse warunki zakwaterowania są odrobinę niety-



powe. Można dostać oddzielny pokój, ale dzielić z kimś łazienkę, albo mieć wspólną sypialnię z bandą facetów. Domyślam się, że będziesz wolała oddzielny pokój.

- Dobrze myślisz.

- A, w takim razie powiadomię też policję w Deadhorse, że przyjeżdżasz. I tak zamierzam powiedzieć im o spotkaniu braci Coben z Harringtonem. Jego śmierć została uznana za wypadek, ale może mimo to policja zechce z nimi porozmawiać. Jak długo zostaniesz? Jeśli nie masz nic przeciwko, mógłbym wziąć sobie wolne w pracy i pokazać ci okolicę.

- Byłoby świetnie...

- Będziesz chciała zobaczyć miejsce, w którym Harrington rozbił swój obóz, prawda?

- Tak - potwierdziła. - I kiedy już tam będę, chciałabym też odwiedzić Barrow. Mój szef chce, żebym napisała kilka artykułów o tamtejszej drużynie futbolowej ze szkoły średniej.

- Barrow nie jest na rzut beretem od nas. Będziesz musiała polecieć tam samolotem, ale mogę ci to zorganizować. Polecisz bezpośrednio z miejsca wypadku - dodał. - Wiesz, tam gdzie Barry...

Pożarł Williama Harringtona, pomyślała.

- Tak, wiem. - powiedziała zamiast tego.

Wspomniał jeszcze o kilku innych miejscach, które powinna zobaczyć, będąc w zatoce, jak nazywał ten północny obszar stanu: Umiat, rzeka Topagoruk i Alaktak były tylko jednymi z wielu. Nie potrafiła wymówić pozostałych nazw, a tym bardziej ich przeliterować, ale Paul zdawał się z nimi świetnie zaznajomiony.

- Zobaczysz Ocean Arktyczny. Już samo to jest warte takiej wyprawy.

W ustach Paula zabrzmiało to jak prawdziwa przygoda. Pora się podszkolić z geografii, uznała Sophie. Nadal nie wiedziała zbyt wiele o Alasce. Usiadła więc przed komputerem i zaczęła czytać. Północne wybrzeże zafascynowało ją. Noce trwające

ponad pięćdziesiąt dni, zimowe wiatry, które mogą unieść człowieka i rzucić go niczym kartkę papieru, i temperatury spadające do 60 stopni poniżej zera. Kto przy zdrowych zmysłach zechciałby tam zamieszkać?

Zadzwoiła do biura podróży, i poprosiła, żeby znaleźli dla niej najlepsze połączenie z Prudhoe Bay. Kiedy zrobiła rezerwację lotu, zadzwoniła do Paula Larsona, ale usłyszała od razu automatyczną sekretarkę.

- Paul, tu Sophie Summerfield. Przylecę lotem numer 459 w środę o piątej po południu. Do zobaczenia.

Miała jeszcze sporo do zrobienia przed wyjazdem z Chicago. Zebrała wszystkie teczki z podłogi i ułożyła je w stosie na stole w jadalni, po czym wróciła do pracy nad artykułem, który musiała ukończyć. Było już grubo po północy, kiedy w końcu wyłączyła komputer.

W głowie kłębiły się jej obrazy z Alaski, ale kiedy skuliła się w kłębek w swoim łóżku i zaniknęła oczy, jej myśli powędrowały do Jacka MacAlistera i jego pocałunku. Tego niesamowitego pocałunku. To był zdecydowanie duży, a nawet ogromny błąd. Więc dlaczego miała ochotę popełnić go po raz kolejny?

Drugim błędem, jaki popełniła, było to, że zapomniała o poczcie pantoflowej.

Następnego ranka przyjechał po nią Gil, który został wyznaczony jako jej szofer w drodze do lekarza, gdzie mieli jej zdjąć szwy. W drodze powrotnej do domu Sophie wspomniała o swoich planach wyjazdowych. Gil był nimi nad wyraz zainteresowany i zadawał masę pytań o miejsca, które zamierzała odwiedzić.

Przed upływem dnia Gil zyskał sobie przydomek Długi Ozór.

Była w domu nie dłużej jak godzinę, kiedy zaczęły się telefony. Najpierw Regan, potem jej brat Aiden, który dzwonił z lotniska, gdzie czekał na swój lot do domu, co znaczyło, że Regan natychmiast doniosła mu o wszystkim. Potem Cordie, która musiała ograniczyć swoje tyrady do pięciominutowych

przerw między lekcjami. Dlatego dzwoniła aż trzy razy, żeby dokończyć to wszystko, o czym chciała powiedzieć. Sophie odebrała kilka telefonów o treści: „czyś ty oszalała?”, żeby wreszcie doczekać się reakcji Aleca. Regan z pewnością przekonała męża, że jego obowiązkiem jest powstrzymać Sophie przed zrobieniem czegoś nieprzemyślanego. Alec powiedział jej wprost, że nie wolno jej jechać. Nie zdenerwowało jej to wcale. Zaśmiała się, a potem przypomniała mu, że wolno jej robić to, co zechce, oczywiście dopóki to jest legalne. A potem skłamała. Powiedziała mu, że jeszcze nie podjęła decyzji co do wyjazdu na Alaskę i obiecała mu, że będzie pierwszą osobą, która dowie się o jej decyzji w tej sprawie.

Alec nie dał się nabrać. Znał Sophie na tyle długo, żeby postawić swoją miesięczną pensję na to, że już zarezerwowała sobie przelot i tylko dla przyzwoitości to sprawdził. Nie mylił się.

Wiedział, że nie zdoła jej powstrzymać, ale nie podobało mu się, że może wyjechać sama. Harrington skończył swój żywot gdzieś na pustkowiu i Alec nie chciał, żeby Sophie przytrafiło się coś podobnego. Bez znaczenia był fakt, że śmierć Harringtona została uznana za wypadek. Nadal w całej sprawie było coś śmierdzącego, a znając Sophie, będzie chciała dowiedzieć się co to.

Alec mógłby poprosić o pomoc biuro FBI w Anchorage, ale nie zapewniliby Sophie dwudziestoczworgodzinnej ochrony, na którą zresztą ona nie wyraziłaby zgody. Od kiedy ożenił się z Regan, Sophie i Cordie stały się dla niego niczym siostry. Cordie była najbardziej rozsądna i praktyczna z całej trójki. Sophie, chociaż miła i urocza, była ryzykantką. Zawsze walczyła o biednych i uciśnionych i mimo ryzyka zwykle udawało jej się wywalczyć dla nich sprawiedliwość, na jaką zasługiwali. Wiedział już, że sprawiedliwość była w pewnym sensie obsesją Sophie.

Bez względu na to, jak będzie się z tym czuła, Alec uznał, że ktoś musi z nią pojechać. Przychodziła mu na myśl tylko jedna

osoba, która miała i czas i zapal. Miała też broń i odznakę, co z pewnością mogło się przydać.

Jack. Lecz żeby go przekonać, Alec będzie musiał wykazać się nie lada finezją i całym arsenałem sztuczek manipulacyjnych.

Jest na to tylko jeden sposób: zwołany w trybie alarmowym wieczór pokerowy.

*Wpis do dziennika numer 493 Obóz Arktyczny*

*Brandon i Kirk wrócili już do domu i sądzą, że Erie i ja także opuścimy nasz obóz w ciągu kilku dni.*

*Są zachwyceni swoją pracą ze stadem, a Brandon przywiązał się bardzo do tej wilczej rodziny. Szkoda mu ją opuszczać, ale ma nadzieję zobaczyć ją za rok.*

*Po ich wyjeździe okazało się, że nazbierało nam się sporo pracy. Trochę czasu zajęło nam zlokalizowanie wszystkich wilków, które zostały zaszczepione K-74. Wszystkie wyglądają równie zdrowo jak wówczas, gdy je ostatnio widzieliśmy. Żaden się nie postarzał.*

*Tym bardziej szkoda, że musieliśmy zakończyć ich życie, kiedy były jeszcze u szczytu sił. Jednak konieczna jest dokładniejsza analiza, żeby zbadać efekty K-74 na poziomie komórkowym.*

*Naszym najbardziej zaskakującym odkryciem, jakiego dotąd dokonaliśmy, jest to, że im większemu stresowi poddawany jest organizm, tym silniejszy i młodszy się staje. Jak to możliwe?*

Na pokera przyjechali wszyscy. - Mówię wam, szkoda, że nie widzieliście Sophie. - Gil nie mógł się już doczekać, żeby się pochwalić. - Rozkwaślała głowę temu Wickerowi i zdaje mi się, że mogła mu nawet złamać nos. Szczerze mówiąc, mam taką nadzieję. Ten skurczybyk wył jak parszywy pies, którym *nota bene* jest.

Gil zachowywał się jak dumny wujek, chełpiący się golami, jakie strzelili jego siostrzeńcy podczas meczu. Właśnie zajął miejsce przy stoliku pokerowym i dzielił się wspomnieniami z incydentu, do jakiego doszło w apartamencie Harringtona. Przy stoliku siedzieli już: John, Alec, Jack i Zahner.

- Lepiej nie zadzierać z naszą Sophie - powiedział John.

- Zawsze cię znokautuje. Już Aiden zadbał o to, żeby ona, Regan i Cordie wiedziały, jak się obronić.

Wszyscy przy stoliku, oprócz Jacka, uśmiechnęli się i pokiwali głowami.

- Ten sukinsyn uderzył Sophie? - zareagował ostro Jack.

- A gdzie ty byłeś, Gil? Dlaczego go nie powstrzymałeś?

- Sophie nie potrzebowała mojej pomocy. Kiedy ja byłem jeszcze w drugiej części pokoju, ona dała mu już za swoje. Uniosła dłoń dokładnie na wysokość jego twarzy, a potem powoli ścisnęła ją w pięść, przez cały czas patrząc mu prosto w oczy...

- Miała pierścionki na ręce, którą waliła? - zapytał John.

- Jasne, że miała.

- Mądra dziewczynka. Pierścionki zawsze robią większe spustoszenie.
- Tak - zgodził się Zahner. - Odpowiednia ilość pierścionków działa jak kastet.
- No dobrze, zatem Sophie zwinęła dłoń w pięść... - John ponaglał Gila.
- Stała jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt centymetrów od niego, a on miał tę swoją cwaniacką minę, po czym... barn! - Gil przerwał, żeby uderzyć prawą pięścią w swoją lewą dłoń.
- Zaatakowała go. Żadnego bujania ręką, żeby wziąć zamach i jednocześnie dać mu czas na unik. Nie, ona walnęła prosto, mocno i szybko jak kobra.
- Powinna była walnąć go w krocze - stwierdził Zahner.
- Zawsze powtarzam moim dziewczynom, żeby waliły w krocze.
- O jakich dziewczynach mówisz? - zapytał John.
- Pracujących dziewczynach, które próbuję ściągać z ulicy.
- Zabrzmiało to, jakbyś był alfonsiem - zauważył Alec. Zahner nie czuł się urażony.
- Gdybym był alfonsiem, to bym dużo więcej zarabiał.
- Co ty chrzanisz, Zahner? - odezwał się Jack. - A kiedy zrobiłeś sobie ten złoty ząb?
- To taki wabik - odparł. - Moje dziewczyny go uwielbiają.
- Koniec już z tymi dziewczynami - wtrącił się John.
- Z Sophie wszystko w porządku? Czy ten skurczysyn zrobił jej krzywdę? - zapytał Jack w chwili, kiedy do pokoju wszedł Aiden Hamilton, szwagier Aleca.
- Ktoś zrobił krzywdę Sophie? - zapytał Aiden, zdejmując marynarkę i rzucając ją na oparcie krzesła.
- Nic jej nie jest - odpowiedział Gil, po czym rozpoczął jeszcze raz swoją opowieść o incydencie.
- Czy będzie miała z tego powodu wizytę policji? - zapytał Aiden, kiedy Gil już skończył mówić.
- Bez obaw - odparł Gil.
- A możliwość pozwu do sądu?
- Nie sądzę - powiedział Gil.

- A ty co, jesteś jej zastępczym ojcem? - zwrócił się do Aiden Zahner.

Odpowiedział mu Alec:

- Aiden był przez jakiś czas nieoficjalnym opiekunem Sophie. Nawet nie miał dwudziestu dwóch lat, kiedy zwrócił się z taką prośbą do sądu. Udało ci się to kiedyś zalegalizować? - zapytał.

- A jakie to ma teraz znaczenie? Ona już skończyła dwadzieścia jeden lat - zauważył Aiden.

- Ja tu czegoś nie rozumiem - odezwał się Zahner. - Sophie ma przecież ojca.

- Tak, wtedy był poszukiwany przez policję. Sophie mogła wylądować w domu dziecka, gdyby nie wkroczył Aiden - powiedział Gil.

- Zamierzasz grać dziś z nami w pokera czy tylko wpadłeś się przywitać? - zapytał John.

Aiden podwinął rękawy koszuli i uśmiechnął się.

- Gram.

Zgodny jęk rozległ się przy stoliku. Aiden był rekinem karcianym. Wyjątkowo rzadko przegrywał.

Przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Jesteście gotowi stracić pieniądze? - zapytał i spojrzał na Jacka, a potem na Aleca, któremu dał ledwo zauważalny sygnał głową.

Oszustwo było w toku.



*Wpis do dziennika numer 498 Chicago*

*Nie sprecyzowaliśmy relacji pomiędzy stresem i skutecznością naszego preparatu, ale wygląda na to, że adrenalina, która powstaje w wyniku sytuacji stresowej, potrafi gwałtownie zwiększyć działanie leku. Nadszedł czas, żeby zacząć badać naczelne.*

*Utrzymywanie naszych badań w tajemnicy jest prawdziwym wyzwaniem.*

Margaret Pittman wezwała Jacka na dywanik. Idąc do niej, minął Aleca i z jego współczującego spojrzenia wyczytał, że nie będzie to przyjemna rozmowa.

Jednak nic nie mogło się równać z nieprzyjemnością, jakiej będzie musiał doświadczyć w wyniku przegranej zakładu pokerowego. Los mu nie sprzyja, skoro wysyła go na Alaskę. Może to nawet i piękny region, ale samo wspomnienie jego nazwy przyprawiało Jacka o drżenie. Nienawidził zimna. Zawsze tak było i tak już pozostanie. Jak się okazało Pittman też chciała rozmawiać o jego przymusowym urlopie. Kiedy chciała odsunąć go od mediów, z radością powitała jego plany wakacyjne. Ale teraz Jack prosił o coś zupełnie innego.

Kiedy już wyjaśnił jej, dokąd chce jechać i dlaczego, łącznie z relacją na temat śmierci Williama Harringtona, Pittman okazała się mocno zainteresowana sprawą. Nawet trochę za bardzo, pomyślał Jack i wzmógł czujność.

- Rozumiem - powiedziała dziarsko Maggie. - Chcesz wyjechać już dzisiaj i wybierasz się na północ Alaski?

- Właśnie tak.

- I jedziesz z panną Sophie Rose?

- Tak - odparł, chociaż Sophie jeszcze o tym nie wiedziała.

- Agent Buchanan był tu przed chwilą i zdał mi sprawozdanie. Wspomniał, że panna Rose prowadzi małe śledztwo. Jej celem jest dowiedzieć się, dlaczego William Harrington wyjechał na Alaskę. - Pittman pokręciła głową. - Zostać pożartym

przez niedźwiedzia... To dla mnie coś nowego. Myślę, że panna Rose może napisać kilka ciekawych artykułów o Arktyce. Co o tym sądzisz?

Regulaminowe dziesięć sekund minęło, a Pittman nadal patrzyła wyczekująco na Jacka. Najwyraźniej tym razem oczekiwała odpowiedzi.

- Tak, myślę, że może jej się udać.

- Panna Rose potrzebuje stałej ochrony. Zgadza się pan ze mną, agencie MacAlister? Oczywiście, że tak. Jak rozumiem, agent Buchanan i Aiden Hamilton płacili dotychczas za jej ochronę. Cóż, teraz czas na nas, żeby przejąć ich zobowiązania. Ta kobieta dostała już jedną kulkę i nikt nie zagwarantuje, że jeśli zostanie w Chicago, to nie dostanie drugiej. Rozmawiałam o tym z detektywem Steinbeckiem. Przyznał się, że nie mają żadnych znaczących tropów. Strzelec jest nadal na wolności.

- Uniosła dłoń w geście powstrzymującym Jacka od jakichkolwiek wtrąceń i ciągnęła dalej: - Nie będziemy mieszać się do śledztwa. Będziemy tylko... obserwować. Detektyw Steinbeck wie, że może liczyć na naszą współpra... - zrobiła pauzę na uśmiech i kontynuowała - na to, że przejmemy śledztwo, jeśli zajdzie taka konieczność. Nie sprawdzamy się najlepiej we współpracy, prawda? Lubimy dowodzić, bo wiemy co robimy i robimy to do końca. Czy nie mam racji?

Jack nawet nie zadał sobie trudu, żeby skinąć głową. Czekał tylko, aż Pittman odpowie zamast niego.

- Mam rację - powiedziała, po czym nagle zmieniła temat.

- A tak przy okazji, czy wiesz, ile razy obejrzano już film z twoim udziałem? Już ponad dwa miliony ludzi i wynik nadal rośnie. Trzy wielkie sieci internetowe polują na mnie, bo chcą przeprowadzić z tobą wywiad. - Uniosła palec wskazujący w górę. - Jesteś nowym idolem Ameryki.

Jack mruknął, a Pittman spojrzała na niego.

- Jedna z moich asystentek zapytała mnie, dlaczego po prostu nie usunęliśmy nagrania. Powiedziałam jej, że to nie miałyby sensu. Do czasu, kiedy dowiedzieliśmy się o nagraniu, z pewnością zostało już ściągnięte z osiemset razy - trochę

przesadzała. - A do dziś rozeszło się już po całej sieci. Jak się pewnie orientujesz, próbowaliśmy taktyki: „to-tylko-mistyfi-kacja”, ale nie zadziałała.

Pittman nie należała do ludzi tracących czas na pogaduszki. Przyniosła do swojego gabinetu odtwarzacz wideo w konkretnym celu, więc Jack czekał, aż powie mu, o co tak naprawdę chodzi.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu zajrzała asystentka Pittman.

- To jest ta płyta? - zapytała Pittman. - Dobrze... Bardzo dobrze. Dziękuję ci, Jennifer.

Kobieta wręczyła Pittman dużą kopertę i wyszła.

- Chcę, żebyś to zaraz obejrzał. Przekonasz się, że to bardzo pouczające.

Jack miał tylko nadzieję, że nie jest jedną z gwiazd tego filmu. Ale o ile był w stanie sobie przypomnieć, nie brał udziału w żadnej strzelaninie od czasu akcji w barze z hamburgerami.

- Właśnie z powodu tamtego nagrania chciałbym już dzisiaj wyjechać - powtórzył się.

Pittman pokręciła głową.

- Ale to nie będzie wyjazd wakacyjny. Będziesz pracował, a twoim nowym zadaniem jest panna Rose. Bierzesz za nią całkowitą odpowiedzialność. Nie chcę, żeby cokolwiek przydarzyło się tej młodej kobiecie. Założę się, że zastanawiasz się, dlaczego jestem tak zainteresowana zachowaniem jej przy życiu. Po pierwsze, jest obywatelką Stanów Zjednoczonych, a naszym obowiązkiem jest chronić naszych obywateli. A po drugie, chodzi o jej ojca. Ona doprowadzi mnie do Bobby'ego Rose.

Chyba w twoich snach, pomyślał Jack.

- Sophie jest niezwykle oddana ojcu - powiedział. - Nie ma mowy, żeby go komukolwiek wydała.

Pittman rzuciła Jackowi płytę dvd.

- Włóż to do odtwarzacza, jeśli łaska.

Telewizor stał na szafce za jej biurkiem. Jack zrobił, o co prosiła, a Pittman odsunęła swój fotel.

- Rozumiem, że jest lojalna. Jest jego córką i go kocha, prawda? - Nawet nie dała mu czasu na rozpoczęcie rytuału milczącego oczekiwania. - Oczywiście, że tak. Bobby Rose nie jest na razie poszukiwany. A ja chciałabym się z nim spotkać.

Tak, jasne. Spotkać się. Pittman była zbyt inteligentna, żeby liczyć na to, że Bobby Rose powie jej coś, co go obciąży. Więc o co jej chodziło?

Szperała właśnie w szufladzie biurka w poszukiwaniu pilota.

- Trudno nawet zliczyć, ile razy policja interesowała się nim, a wiele lat temu spędził trochę czasu za kratkami.

Jednak z braku dowodów nie mogli go tam dłużej trzymać. Za każdym razem kończyło się to brakiem dowodów.

Oczywiście dochodzi do tego jeszcze kwestia, że Rose jest chyba jednym z najlepszych prawników, jakich w życiu spotkałam.

Znalazła pilota w środkowej szufladzie, gdzie leżał ukryty za instrukcją obsługi. Wyjęła go i dała znak Jackowi, żeby wrócił na swoje krzesło po drugiej stronie biurka.

- Różnimy się trochę z panem Rose.

Jack miał ochotę się zaśmiać. Różnimy się? Niemal wszystkie agencje starały się od lat wsadzić Bobby'ego Rose za kratki.

- On jest jak pies myśliwski - powiedziała, kiwając głową. - Ten facet potrafi wywachać pieniądze kryminalistów, którzy chcą zachować je dla siebie. Nie ma znaczenia, gdzie je schowali, on i tak je znajdzie.

- A potem sam gdzieś je ukrywa - podsumował Jack.

- To prawda, ale nie potrafimy tego udowodnić. - W jej głosie niemal dało się wyczuć podziw.

Obróciła się razem z fotelem i włączyła odtwarzacz dvd.

- Bobby przysłał nam to nagranie. Płyta została doręczona przez posłańca, a gdy zapytaliśmy tego młodego człowieka, to powiedział, że pobrał przesyłkę z recepcji w hotelu Hamilton. Nikt z pracowników recepcji nie ma pojęcia, jak tam się znalazła. Na początku jest nagranie z lokalnej stacji telewizyjnej sprzed dwóch dni.

Nacisnęła przycisk play i pokój wypełnił się przesadnie radosnym głosem dziarskiej prezenterki.

- A teraz najnowsze informacje w sprawie zamknięcia ulubionego chicagowskiego browaru. Padają kolejne gorzkie oskarżenia, prawda, Tom?

Na ekranie pojawiła się Meredith Devoe i jej adwokat, obydwójce stojący przed budynkiem sądu.

- Dziękuję Bogu, że mój ojciec nie dożył i nie widzi tego. Mój wkrótce były mąż zrujnował jego przedsiębiorstwo. A mój ojciec mu ufał - rozplakała się. Przerwała, żeby osuszyć oczy. - Mój mąż zainwestował pieniądze pracowników w ryzykowny fundusz giełdowy, którego wartość była przeszacowana, a teraz wszystko stracone. Za swoją głupotę Kevin Devoe powinien znaleźć się za kratkami.

Reporter zapytał Meredith, kiedy ostatnio rozmawiała ze swoim mężem.

- Nie zamieniłam z nim ani słowa od czasu, kiedy złożyłam pozew rozwodowy i mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiała z nim rozmawiać.

Adwokat zbliżył się do kamery, żeby dorzucić swoje dwa grosze.

- Moja klientka jest bez grosza w wyniku nieodpowiedzialnego zachowania Kevina Devoe. Zaryzykował i stracił wszystko, co posiadali.

Jack zrobił sceptyczną minę.

- W takim razie kto opłaca tego adwokata? - zapytał retorycznie.

- Sama chciałabym to wiedzieć - przyznała Pittman. Ekran zrobił się czarny, a po chwili pojawił się wywiad z Kevinem Devoe.

- Nie zrobiłem nic złego. Owszem, te dane giełdowe były przesadzone, ale wszystkie wskaźniki przemawiały za tym, że będzie to dobra inwestycja. To Bobby Rose podwyższył wartość funduszu, a potem wycofał swoje pieniądze i cały domek z kart runął. Jeśli ktokolwiek powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności, to właśnie on.

Zapytany o to, jak się czuje w związku z zarzutami, jakie stawia jego żona, odparł:

- To idiotka. Jej ojciec, Kelly, miał do mnie zaufanie. To był porządny człowiek, ale jego córka... Powiem tylko, że to bezwzględna, rozwścieczona kobieta. Nie wiem w ogóle, co w niej widziałem.

Pittman nacisnęła pauzę i na ekranie zatrzymała kadr Kevina Devoe z szyderycznym uśmiechem na twarzy.

- Zwróć uwagę na datę i godzinę na dole następnego ujęcia. Wcisnęła przycisk play. Na kolejnym ujęciu widoczny był

ciemny budynek wyglądający jak magazyn. Nad wąskimi, samotnymi drzwiami wisiało słabe światło. W kadrze pojawiła się zdezelowana stara półciężarówka Forda, która wjechała na żwirowany parking i zatrzymała się przed drzwiami. Data w dole ekranu mówiła, że nagranie zrobiono wczoraj o 3:10 w nocy. Z samochodu wysiadł mężczyzna w kapturze. Trzymał głowę opuszczoną do chwili, kiedy usłyszał cichy gwizd. Kiedy zwrócił głowę w stronę światła, można było rozpoznać jego twarz. To był Kevin Devoe. Bez wątpienia. Kiedy zmierzał do drzwi, te stanęły otworem i ukazała się w nich Meredith Devoe z szeroko rozpostartymi ramionami. Miała na sobie rozpięty trench i niewiele poza tym. Powitanie było gorące i namiętne.

- Domyślam się, że nie mogli pokazać tego w wiadomościach o szóstej - stwierdziła Pittman.

- Może na kanale porno - odparł Jack.

Ekran ponownie zrobił się czarny i Pittman obróciła się w fotelu, po czym wysypała na stół resztę zawartości koperty.

- Bobby Rose przysłał nam także kopie wyciągów bankowych z trzech kont. Wszystkie ze sporą kwotą pieniędzy. Konta zostały założone na fałszywe nazwiska, ale nasi ludzie je sprawdzili. Pieniądze należały do państwa Devoe... Powinieneś też zauważyć, że powiedziałam: należały. Pieniądze zniknęły. Śledziliśmy je tak długo, jak to było możliwe i jedyne, czego jesteśmy pewni to to, że państwo Devoe ich nie wypłacili. Jednakże wątpię, żeby którekolwiek z nich zgłosiło ich utratę.

Podejrzewam, że państwo Devoe od lat podkradali pieniądze Kelly'ego, żeby mieć się z czego utrzymać do czasu, kiedy uda im się zdobyć większą kasę z funduszu emerytalnego. Postano-

wili udawać ofiary i płakać, że zostali bez grosza, by ludzie nie podejrzewali ich o związek ze zniknięciem pieniędzy pracowników. Nie sądzę, żeby Bobby Rose miał z tym coś wspólnego. Może jestem naiwna, ale podejrzewam, że to on oczyścił konta tej dwójki i dokładnie wie, gdzie w tej chwili są te pieniądze. Jack przejrzał wyciągi z kont.

- Czy ma pani pewność, że te wyciągi także przysłał Bobby Rose? - zapytał.

- Jak najbardziej - potwierdziła Pittman. Wzięła do ręki złożoną kartkę i podała ją Jackowi. - To przyszło razem z nagraniem i papierami.

Na kartce widniał napis: Będzie tego więcej. Bobby Rose.

- Jak do tej pory - ciągnęła Pittman - historia pokazuje nam, że Bobby Rose nie pozwala, by cierpieli niewinni ludzie. On ma jakiegoś asa w rękawie, a my pozwolimy mu przeprowadzić to zagranie. Zadbamy także o jego córkę, tak jak powinniśmy byli robić od samego początku. Rose będzie nam wdzięczny za to, że ją ochraniaamy.

- Ja będę ją ochraniał - powiedział Jack.

- Postaraj się - rozkazała Pittman. - Jennifer ma dla ciebie plan. A, i jeszcze jedno, agencie MacAlister...

Jack zatrzymał się przy drzwiach.

- Tak?

- Uważaj na niedźwiedzie polarne.



*Wpis do dziennika numer 516 Chicago*

*Jesteśmy już mistrzami machlojek. Erie ma kilku znajomych z dawnego sąsiedztwa, którzy są gotowi zrobić wszystko za odpowiednią zapłatę. Jeden z nich załatwił nam trzy zdrowe małpy.*

*Wymyśliliśmy dość wyszukane kłamstwo, na wypadek gdyby pytał, po co nam zwierzęta, ale jego interesowały tylko pieniądze. Nie obchodziło go zupełnie, co się stanie z małpami.*

*Ten człowiek może nam się jeszcze przydać w przyszłości.*

Sophie dowiedziała się, że Jack jedzie z nią na Alaskę, kiedy oznajmił jej to, pojawiając się w drzwiach jej mieszkania. Gdy usłyszała dzwonek do drzwi, pomyślała, że to Gil. Zapowiadał, że zajrzy przed jej wyjazdem. Był taki miły, że nawet zaproponował, że odwiezie ją jutro po południu na lotnisko. Doceniała jego miły gest, ale podejrzewała, że przynajmniej częściowo wypływa on z poczucia winy, jakie miał po tym, jak ją podkablował. Czy był ktoś, komu nie powiedział o jej planach wyjazdowych?

Gil i jego oddział, jak lubił nazywać swoją ekipę, nadal na zmiany pilnowali Sophie. I nie zamierzali zwalniać się z roli jej ochroniarzy, dopóki strzelec był na wolności. Zresztą to Alec i Aiden na to nalegali. Nie było sensu się z nimi wyklócać, bo i tak zrobiliby to, co zamierzali, bez względu na to, czy podobałoby się to Sophie. Całe szczęście, jak tylko znajdzie się na pokładzie samolotu i wyleci z Chicago, usługi Gila nie będą już potrzebne.

Powinna była zerknąć przez wizjer, zanim otworzyła drzwi.

- Jesteś wcześniej... Nie jesteś Gilem - powiedziała z zaskoczeniem.

Jack spojrział z rezygnacją.

- Nie, nie jestem. Zejdź mi z drogi, Sophie.

Machinalnie zrobiła krok do tyłu, wpuszczając go do mieszkania - kolejne idiotyczne zachowanie. Łatwiej byłoby powiedzieć mu, żeby sobie poszedł, gdyby nadal stał na korytarzu.

- Lecę z tobą na Alaskę - oświadczył jej.

Parę sekund zajęło jej przyswojenie tej informacji.

- Co? Nie! - mimo oszołomienia zareagowała protestem.

- Nie ma mowy.

- Wybacz - odparł. - Lecę i koniec dyskusji.

Postawił swoją torbę podróżną w przedpokoju i minął Sophie. Wtedy poczuła zapach jego wody po goleniu. Bardzo męski.

Nie daj się! - wrzasnął jej umysł.

- Przecież nie znosisz zimna - powiedziała.

- To prawda.

- W takim razie, dlaczego...

- Lecę z tobą, Sophie. Pogódź się z tym. Pogodzić się? O nie.

- Doskonale sama daję sobie radę w podróży - postanowiła nie ustępować. - Nie życzę sobie, żeby ktokolwiek ze mną jechał.

Zdjął z siebie kożuch i przerzucił go przez oparcie kanapy. Został tylko w podkoszulku, który podkreślał umięśnione ramiona i klatkę piersiową, oraz w dżinsach, które wyglądały, jakby kupił je w sklepie z odzieżą używaną. Czy ten dureń musiał być aż tak... dobrze zbudowany?

- Życzyć sobie i potrzebować to dwie różne sprawy - odparł, siadł w fotelu i zdjął buty. Potem sięgnął po pilota od telewizora.

- Zapewniam cię, że wcale nie mam ochoty z tobą jechać, ale to zrobię.

Wykonała niepewny krok naprzód.

- Będziesz mi przeszkadzał.

- Prawdopodobnie tak, ale i tak pojedę. Pod którym numerem masz kanał kulinarny?

- Kulinarny...?

- Nieważne, sam znajdę. Wyglądasz na trochę zagubioną. Spakowałaś się już?

Sophie nadal stała w przedpokoju.

- Nie... Jutro się spakuję. Wyjeżdżam dopiero wieczorem. Po co przyniosłeś tu tę torbę podróżną?

- Nasze plany się zmieniły, Sophie.

Przeciagnęła palcami po włosach.

- Nasze plany? My nie mamy żadnych wspólnych planów.

- Właśnie, że mamy - odparł rozradowany. - Lecimy do Fairbanks lotem o siódmej rano. Dlatego zamierzam spędzić tu noc.

Na te słowa Sophie wtargnęła do salonu jak błyskawica.

- Nie ma mowy! Wylatuję jutro późnym wieczorem. Już zapłaciłam za bilet.

Zatrzymała się przed telewizorem, zasłaniając mu obraz. Jack machnął, żeby przesunęła się w lewo.

- O, tu jest - powiedział. - Bobby Flay robi paellę. Zawsze chciałem się dowiedzieć, jak się to robi. - Po chwili dodał:

- Transakcja została anulowana.

Starła się myśleć logicznie.

- Przecież to niezwracalny bilet.

- Sophie, pracuję dla FBI. Kiedy mówię ci, że dokonano zwrotu zapłaty, to możesz mi wierzyć, że tak jest.

- Kto zmienił rezerwację? - zapytała, nadal niedowierzając. Przeszła z nogi na nogę z dłońmi opartymi na biodrach,

łokciami zasłaniając mu ekran. Dlatego znowu kazał jej przesunąć się w lewo, a ona odruchowo to zrobiła.

- Jennifer - odpowiedział na jej pytanie. - To ona zrobiła rezerwację. No, popatrz, jaki robot kuchenny. Muszę sobie taki kupić.

- Jaka Jennifer? - Sophie czuła, że zaraz jej frustracja osiągnie zenit.

- Nie znam jej nazwiska.

- Na pewno znasz.

- Nie, naprawdę nie znam.

Sophie wzięła głęboki wdech. Nie było w tym za grosz sensu. Postanowiła więc podejść do całej sytuacji możliwie racjonalnie.

- Nawet jeśli z jakichś powodów muszę polecieć wcześniejszym lotem, to absolutnie nie ma powodu, dla którego ty miałbyś jechać ze mną, więc nie widzę też żadnego powodu, dla którego miałbyś u mnie nocować.

- Ależ jest powód - odparł. - Jeśli chcemy zdążyć na czas na lotnisko, to będziemy musieli wstać z łóżka o czwartej rano.

- Nie będę z tobą spała.

- W porządku - powiedział, nie odrywając oczu od ekranu, na którym Bobby Flay wrzucał małże i szczypce homarów do garnka.

- W porządku? Tak po prostu? - Przeraziło ją, jak bardzo w jej głosie słycać było rozczarowanie.

- Bez dyskusji - powtórzył. - Gdybyś jednak zmieniła zdanie, to daj mi znać.

Bez słowa Sophie ruszyła do szafy z bielizną pościelową i wyjęła grubą kołdrę i poduszkę.

- Ta rozmowa jeszcze się nie skończyła - powiedziała, rzucając pościel na kanapę, a potem udała się do swojej łazienki i zamknęła drzwi.

Potrzebowała czasu na zastanowienie się. Po co Jack miałby jechać na Alaskę? Nienawidził zimna. Była pewna, że Alec musiał w tym maczać palce. Ale z nim upora się później. Musi wymyślić jakiś sposób na przekonanie Jacka, żeby został w Chicago, ale w tej chwili jej największym problemem był sam Jack, śpiący na kanapie tuż za drzwiami. Gil urzędujący w jej salonie to jedno, ale Jack to coś zupełnie innego. Gil mógłby być jej dziadkiem, a poza tym jest uroczy. Za to Jack nie jest ani uroczy, ani uprzejmy. To bezczelny, arogancki, uparty typ. Z drugiej strony jest też bardzo seksowny i pociągający. Za każdym razem, kiedy na niego patrzyła, przychodziły jej do głowy różne szalone pomysły...

Wszystkiemu winien ten pocałunek. Ten głupi pocałunek, przez który nabrała ciekawości, jakby to było przespać się z Jackiem. Nie, to nie ciekawość. To pociąg seksualny. Była napalona. I jak to świadczyło o jej moralności? Czy nadal ją miała?

Sophie postanowiła trzymać się od niego z daleka aż do rana. Pozwoli mu odwieźć się na lotnisko, a po drodze z pewnością uda jej się wymyślić coś, co wpłynie na zmianę jego planów.

W porządku, zatem ma już jakiś plan. Wzięła prysznic, umyła

włosy i wysuszyła je suszarką. Włożyła na siebie najseksowniejszą koszulkę nocną, jaką miała, ale tylko dlatego, że bardzo lubiła tę różową na cienkich ramiączkach. Nie sięgała jej nawet do kolan. Pewnie powinna przebrać się w coś bardziej skromnego, ale po co? Przecież Jack i tak nie zobaczy, w czym śpi.

Grała przed sobą tę idiotyczną farsę do momentu, kiedy nałożyła na usta błyszczki. Jasne, zawsze malowała usta na noc. Nigdy nie wiadomo, kto zapuka do drzwi w środku nocy.

Przez chwilę przyglądała się sobie w lustrze, a potem sięgnęła po chusteczkę i starła błyszczki. Westchnęła. Nadal miała ochotę zderzyć z Jacka ubranie i pieścić każdy centymetr jego ciała. Przy nim nie potrafiła odróżnić dobra od zła.

Bez względu na wszystko nie otworzy drzwi od sypialni. Obeszła łóżko, odkryła kołdrę, a potem nastawiła budzik i alarm w telefonie na bezbożną godzinę czwartą trzydzieści rano.

A ojciec? Nagle przypomniała sobie, że o północy będzie dzwonił ojciec. Wiedziała, że nie może czekać do tej pory, jeśli zamierza wstać o czwartej trzydzieści, a to oznaczało, że powinna zadzwonić do niego teraz i zostawić mu wiadomość na poczcie głosowej. Słyszała, że w tej chwili Jack rozmawia z kimś przez telefon. To być może najlepszy moment na to, żeby zadzwonić, ale kiedy ruszyła do garderoby, on zapukał do jej drzwi.

- Sophie, masz chwilkę?

Powiedz, że nie. Po prostu powiedz nie.

- Zaraz - odpowiedziała.

No dobrze. W takim razie nowy plan, postanowiła. Przynajmniej powinna włożyć na siebie szlafrok, zanim otworzy te drzwi. Nie ma powodu, żeby dawać mu nawet przelotny sygnał, że mogłaby być zainteresowana... Jak on to nazwał? Zaprzyjaźnieniem się.

Nie sięgnęła jednak po szlafrok. Owszem, może i jej koszulka nocna była krótka i wydekoltowana, ale nie mógłby niczego przez nią zobaczyć. No chyba że miałby rentgen w oczach. Jedwab nie był prześwitujący. Poza tym kobiety ubierały się

bardziej skapo na plażę w Chicago. Więc czym tu się przejmować?

Może tym, że na plaży nie ma łóżka, ani warunków, żeby kobieta i mężczyzna mogli robić to wszystko, co tylko podsunie im wyobraźnia? I tym właśnie powinna się bardzo przejąć.

Nie otwieraj drzwi, powiedział jej wewnętrzny głos.

Ale otworzyła je.

- Tak? - zapytała słodkim głosem.

Jack stał przez kilka sekund z telefonem w dłoni, nie spuszczać wzroku z jej oczu.

- Jack? Chciałeś czegoś? - ponagliła go.

- Dzwonił Alec - usłyszała w odpowiedzi. Sophie nie potrafiła zinterpretować jego spojrzenia.

- Czego chciał?

Z każdą chwilą czuła się bardziej zmieszana tym, że tak naprawdę oczekiwała, że Jack powie coś na temat jej koszuli nocnej, ale on milczał w kwestii tego, jak była ubrana... czy raczej rozebrana.

- Pożegnać się, jak sądzę. W łazience w przedpokoju nie ma prysznic. Może mógłbym skorzystać z twojej łazienki? Gdzie znajdę jakieś ręczniki?

- W szafie z pościelą. - Z zaskoczeniem stwierdziła, że udało jej się wydobyć głos.

- Zaglądałem. Nie ma żadnego - powiedział, kręcąc głową.

- W takim razie zajrzyj do suszarki. Pralnia jest tuż za kuchnią.

- Dzięki - mruknął i powoli zamknął drzwi.

Poszedł sobie. Tymczasem Sophie stała jak zamurowana, tonąc w niepewności. Czy on w ogóle zauważył? Spojrzała na siebie w dół i pokręciła głową. Najwyraźniej nie zrobiła na nim wrażenia. Sądziła, że ta koszulka jest seksowna, ale jeśli tak było, to oznaczało, że kobieta w nią ubrana nie była. Może problem tkwił w niej?

Sophie przywykła do tego, że mężczyźni zwracali na nią uwagę. Lubiła flirtować, ale nie uwodziła i wiedziała, czym to się różni. Nie sypiała też z kim popadnie. Prawda była taka, że

była tak samo pruderyjna jak Cordie, chociaż jej przyjaciółka nazywała to byciem staromodną. W przeciwieństwie do Sophie, Cordie pozwalała sobie na marzenia. Chciała wyjść za mąż i mieć dzieci, ale jej wizja szczęśliwości miała jedną skazę: Cordie była szaleńczo zakochana w Aidenie Hamiltonie, a ten głupek nie miał o tym zielonego pojęcia. Sophie rozmyślała o kłopotliwej sytuacji Cordie, kiedy nagle dotarło do niej, jak strasznie głupio się zachowała. Nigdy nie uwodziła mężczyzny, więc dlaczego sądziła, że mogła to zrobić z Jackiem? Nie miała wytłumaczenia. Może poza jednym, że pozwoliła, żeby pożądanie zawładnęło jej myślami. Na szczęście udało jej się odzyskać zdrowy rozsądek.

Jack zapukał ponownie do drzwi. Tym razem Sophie nie rzuciła się do łazienki po błyszczący do ust, ani nie zamierzała bawić się w idiotyczne gierki własnym wyglądem. Skończyła już z zachowywaniem się jak idiotka.

- Wejdz - powiedziała.

- Nastawiłaś sobie zegarek?

- Tak. Na czwartą trzydzieści. Znalazłeś ręczniki? - Głupie pytanie, skoro miał jeden przewieszony przez ramię.

Kiedy zniknął w łazience, zaczęła zastanawiać się, czy zauważył, że tym razem miała na sobie szlafrok. Usłyszała wodę lejącą się pod prysznicem, a to oznaczało, że się rozbierał. Sięgnęła po książkę, leżącą na szafce nocnej z myślą, że pochłonie ją ciekawa lektura, ale minęło kilka minut, a ona nie przeczytała nawet jednego słowa.

Wszystkie jej myśli krążyły wokół prysznicza.

Jabłko. Weźmie sobie jabłko i zostanie w kuchni, dopóki on nie wyjdzie z jej sypialni, dzięki czemu nie będzie się zachowywała jak dobrze zapowiadająca się nimfomanka. Jednak zanim zdążyła wyjść, Jack pojawił się w drzwiach łazienki owinięty ręcznikiem. Bez koszulki, bez butów... bez bielizny.

Jack przeszedł przez jej sypialnię, prawie na nią nie patrząc, co jeszcze bardziej zdezorientowało Sophie. Do diabła, przecież ją pocałował. Czy to nie znaczyło, że mu się podobała? Musiał zmienić zdanie.



Ruszyła za nim do salonu.

- Jack...

- Tak? - Odwócił się do niej.

- Chcę znać prawdę. Dlaczego ze mną jedziesz?

- Przegrałem zakład - odparł bez namysłu.

- Przegrałeś zakład? Bardzo zabawne. - Nie mógł wymyślić czegoś bardziej wiarygodnego?

- Naprawdę, Sophie. Przegrałem zakład.

- Ale ja potrafię o siebie zadbać - odparła.

- Jasne, że potrafisz. No chyba że ktoś do ciebie zadzwoni i powie ci, żebyś wyjrzała przez okno.

- Nigdy nie przestaniesz mi tego wypominać?

- Jadę z tobą - powiedział, niemal literując każde słowo, po czym sięgnął po kołdrę. - A, Sophie...

- Słucham?

- Przysięgam na Boga, że jeśli jeszcze raz otworzysz drzwi tak ubrana, to nie będę spał na tej kanapie.

*Wpis do dziennika numer 618 Chicago*

*-Żeby nic się nie wydało, zainstalowaliśmy klatki w piwnicy domu Erica, który mieści się na wsi i jest jedynym domem w promieniu wielu kilometrów. Erie odziedziczył go po rodzicach i obaj cieszymy się, że do tej pory go nie sprzedał.*

*Minęły już trzy miesiące od czasu, gdy pobraliśmy próbki krwi od naszych małp, a potem wstrzyknęliśmy im K-74. Zareagowały nadzwyczaj dobrze, okazując oznaki wzmożonej energii i wigoru. Dowiemy się więcej, kiedy przeprowadzimy autopsje.*

*Zabijanie nie jest łatwe dla żadnego z nas, ale to nieuniknione na tym etapie zaawansowania badań.*

W porządku. Sophie odwróciła się i ruszyła do sypialni krokiem zdradzającym, że jeszcze miałyby ochotę coś powiedzieć. Uśmiechnęła się, dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi. Jej świat znowu nabrał sensu. Opuściła ją cała niepewność. Znowu poczuła się pożądana.

Jack zauważył i niewątpliwie był pod wrażeniem jej wyglądu w koszulce nocnej. Czy była zawiedziona, że nie porwał jej w ramiona i nie pocałował? Oczywiście, że nie. Ale czemu tego nie zrobił?

O, nie. Nie wkroczy ponownie na tę ścieżkę. Wiedziała, że potrafi być neurotyczna i wręcz obsesyjna na jakimś punkcie, ale jej uczucia względem Jacka przybrały naprawdę szaloną formę. W jednej chwili była pewna, że miała do czynienia z kompletnym dupkiem, by za moment uważać go za najsek-sowniejszego faceta, jakiego w życiu spotkała. Jeśli to nie było czyste wariactwo, to jak to nazwać?

Nie uda jej się zasnąć, jeśli nie przestanie o nim myśleć. Zmusiła się do praktycznego działania i przejrzała listę rzeczy, które spakowała, i tych, które będzie musiała kupić w Fairbanks., Była pewna, że jeśli będzie potrzebowała dodatkową parę wełnianych skarpet albo grubszą bieliznę, to bez problemu zaopatrzy się w nie w tamtejszych sklepach. Czy powinna brać swój laptop? A co z telefonem komórkowym? Wiedziała, że w Prudhoe Bay, a prawdopodobnie także w Barrow, będzie miała zasięg.

Godzinę później zdjęła szlafrok i położyła się do łóżka. Ledwie dotknęła głową poduszki, przypomniała sobie, że musi zadzwonić do ojca i zostawić mu wiadomość o swoim wyjeździe.

Zakradła się do drzwi, żeby sprawdzić, czy Jack już śpi. Otworzyła drzwi i zobaczyła nadal włączony telewizor, ale Jack nie siedział już w fotelu. Widziała tylko tył kanapy, ale uznała, że musiał już zasnąć.

Słabe światło z łazienki oświetlało jej drogę do garderoby. Zostawiła uchylone drzwi, wyciągnęła telefon ze skrytki i usiadła na podłodze, plecy opierając o ścianę, a nogi wyciągając przed siebie i krzyżując w kostkach. Kiedy już było jej wygodnie, wybrała numer ojca. Nie musiała zostawiać mu wiadomości na poczcie głosowej, bo sam odebrał po drugim sygnale.

- Jeszcze nie ma północy - powiedział. - Czy wszystko w porządku?

Sophie szybko wyjaśniła mu, że wcześniej rano wyjeżdża na Alaskę i nie chciała go martwić, gdyby zadzwonił o umówionym czasie, a ona by nie odebrała. Nie miała pojęcia, ile czasu tam spędzi. Tydzień, może dwa. Kiedy już poinformowała go o swoich planach, chciała dowiedzieć się, co on planuje. Powiedział jej, że pracuje nad wyjaśnieniem sprawy zakładów Kel-ly'ego, ale nie wyjaśnił jej, co to dokładnie oznacza, ani co zamierza dalej robić. Jej ojciec lubił być tajemniczy, a Sophie nauczyła się nie zadawać zbędnych pytań.

Był w nastroju na pogaduszki i opowiedział jej kilka bardzo zabawnych historii, które rozśmieszyły ją do łez. Kiedy zakończyła rozmowę i schowała telefon do skrytki, poczuła się zrelaksowana i śpiąca.

Nadal siedziała w ciemnej garderobie, kiedy w jej drzwiach stanął Jack.

- Sophie? Co ty tu robisz?

To powinno być oczywiste, ale najwyraźniej nie było.

- Siedzę na podłodze.

- W garderobie? Rozejrzała się dookoła.

- Na to wygląda.

Starając się zachować jak najwięcej godności, Sophie powoli wstała i, mijając Jacka, udała się do sypialni. Nie mogła nie zauważyć, że miał na sobie tylko wyblakłe bokserki.

- Usłyszałem rozmowę, a potem śmiech - powiedział.

- Mhm - przyznała, kiwając głową. - To byłem ja... Mówiłam i śmiałam się.

Pewnie wziął ją za wariatkę. Jak mogła być tak nieostrożna, żeby uznać, że on śpi i nie usłyszy jej rozmowy?

Powinna była mówić szeptem i za żadne skarby świata się nie śmiać, bez względu na to jak bardzo zabawne to były historie. Jeśli usłyszał cokolwiek, to z pewnością domyślił się, że rozmawiała z kimś przez telefon. I nie trzeba się specjalnie wysilać, żeby zgadnąć, kto był jej rozmówcą. Musi zatem odwrócić jego uwagę.

- Skąd masz tę bliznę? - Podeszła i położyła dłoń na jego piersi. Jego skóra była ciepła, cudownie ciepła. - Tę bliznę - powiedziała, zataczając palcem kółko ponad jego sercem.

- Nie mam tutaj blizny.

- Wiem.

Chwytał jej dłoń i przytrzymał ją w miejscu.

- Czy wiesz, co robisz? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, wiem. Staram się odwrócić twoją uwagę. Czy to działa?

Powoli skinął głową.

- I to całkiem nieźle.

Pod palcami czuła bicie jego serca, a sposób, w jaki na nią patrzył, sprawił, że i jej serce przyspieszyło.

- Powinnaś się wyspać - powiedział. Nie ruszył się jednak. Ona także.

- Pswinieneś mnie pocałować - powiedziała.

- Tak?

- Tak. Westchnął.

- Mam ci powiedzieć, co się stanie, kiedy cię pocałuję?

- Mówiąc to, zaczął popychać ją w stronę sypialni.

- Wolałabym, żebyś mi pokazał.

Położył dłoń na jej karku i gwałtownie przyciągnął do siebie.

- To wszystko skomplikuje.

- Jakoś sobie z tym poradzę - wyszeptała.

To mu wystarczyło. Odchylił jej głowę w tył i zaczął ją pożądliwie całować, pozwalając, by poczuła rosnącą w nim napiętność. Wsunął język w jej usta, by złączył się z jej językiem. Słodycz pocałunku sprawiła, że natychmiast zapragnął więcej. Całował ją coraz goręcej, aż zaczął drżeć z pożądania.

Oplotła jego szyję ramionami i przytuliła się do niego. Zachwycił go jej niepohamowany entuzjazm.

Jack był w sypialni mistrzem w nadawaniu rytmu i sprawowaniu kontroli i zawsze dawał swojej partnerce najwyższą rozkosz, zwykle kilkakrotnie, zanim sam osiągnął szczyt. Wiedział, że działając powoli i spokojnie, satysfakcja będzie gwarantowana.

Ale Sophie zmieniła to wszystko. Całowała go beztrąsko, jej usta były gorące, jej wargi cudownie miękkie, niczego przed nim nie tajiła. Jej język pocierał jego, palcami gładziła jego ramiona, a całe jej ciało poruszało się kusząco.

Słyszając jej podniecone westchnienia, czuł, że zaraz oszaleje, i w mgnieniu oka z mistrza sztuki kochania przemienił się w nowicjusza z wariującymi hormonami. Oddychał głośno i nierówno. Przyciągnął ją mocno do siebie.

- Sophie, powoli i łagodnie - wysapał.

Delikatnie złapała zębami i lekko pociągnęła płatek jego ucha.

- Dlaczego? - wyszeptała.

Zanim zdążył obmyślić jakąś odpowiedź, Sophie odepchnęła go od siebie. Potem, nie spuszczając z niego wzroku, uwodzicielsko opuściła ramiączka i pozwoliła, by koszulka nocna zsunęła się z jej ciała i opadła na podłogę.

Nagle jakiegokolwiek zwalnianie przestało i dla niego mieć sens. Była piękna. Ogarnął spojrzeniem jej złocistą skórę, pełne piersi, wciętą talię i długie, idealne nogi. O tak, była doskonała.

Poczuł ucisk w piersiach i nie mógł się opanować, by jej dotknąć. Zrzucił spodenki i objął ją mocno. Sophie ocierała się o niego, a on zaczął mruczeć z rozkoszy.

Opadli razem na łóżko. Klęknął pomiędzy jej jedwabistymi udami i przykrył ją swoim ciałem, wspierając się na łokciach. Dotyk jej miękkich, jędrnych piersi na jego klatce piersiowej przyprawiał go o drżenie. Zanurzył twarz w jej włosach. Pachniały kobieco i podniecająco, a jej skóra była tak cudownie jedwabista. Pragnął dotykać jej wszędzie, pieścić wargami, językiem i doprowadzić ją do ekstazy. Pieścił jej piersi, całował szyję, a ona wydała z siebie ponagląjące go westchnienia.

Sophie była zachwycona tym, jak ją pieścił, i rozkoszowała się dotykiem jego rozpalonych warg. Gdy jego ręka ześliznęła się w dół po jej brzuchu i wsunęła pomiędzy uda, Sophie poczuła, jak tłący się w niej żar staje się nie do zniesienia. Wbiła paznokcie w jego ramiona, wygięła się w łuk i krzyknęła.

Ich pocałunki stały się bardziej zachłanne, a pieszczoty wymagające i brutalne. Sophie rozpałała go tak, jak jeszcze żadna inna kobieta i Jack czuł, że kompletnie traci kontrolę. Kiedy już wiedział, że nie może czekać dłużej, wsunął się między jej uda

i wszedł w nią, wydając z siebie jęk najczystszej ekstazy. Wstrząśnięty intensywnością przyjemności pomyślał, że chyba pochłonie go ten płomień.

Zatrzymał się na kilka sekund.

- Jesteś taka cudowna - wyszeptał.

Jej oddech był tak samo nierówny jak jego, jej pożądanie tak samo silne. Jack pocałował ją w szyję i poczuł pod wargami przyspieszony puls.

Sophie objęła go rękoma w talii i uniosła nogi, by wszedł w nią głębiej.

Poaizątkowo poruszał się powoli, ale narastające w nim pożądanie pozbawiło go kontroli. Kochali się dziko, namiętnie i kiedy wreszcie osiągnęli orgazm, Sophie krzyknęła jego imię.

Z głośnym jękiem opadł na nią, przygniatając ją do materaca. Pozostał w niej jeszcze przez dobrych parę minut, rozkoszując się tym intymnym stanem. Wytrzymała jego ciężar na sobie,

ale w końcu zsunął się z niej na bok, nie rozluźniając jednak objęć. Kręciło mu się w głowie od tych wszystkich doznań. Co się z nim, do licha, stało? Seks nigdy wcześniej nie był taki.

Minęło kilka kolejnych minut, zanim jego oddech znów się wyrównał. Sophie potrzebowała trochę więcej czasu, żeby dojść do siebie. Przekręciła się na plecy i patrzyła w sufit. Jack uniósł się na łokciu, by spojrzeć na nią i bardzo ucieszył go ten widok. Wyglądała bowiem na kompletnie oszołomioną. Miała zamglone oczy, zaróżowioną twarz, a jej usta były nabrzmięte od pocałunków.

Wydała mu się najcudowniejszą istotą. Przy nim pozbyła się wszelkich zahamowań i nawet po miłosnym akcie nie spieszyła się, żeby okryć ciało.

Jack nie mógł się oprzeć dotykaniu jej. Przesunął delikatnie palcami po szyi, a potem w dół, aż do pępka. Zatrzymał się na chwilę w miejscu, w którym ranił ją pocisk i z zaskoczeniem zauważył u siebie przyływ gniewu, że ktoś próbował ją zranić.

- Wszystko w porządku? - zapytała, spoglądając mu w oczy. - Nie zrobiłam ci krzywdy, prawda?

Jack opuścił głowę na jej ramię i zaczął się śmiać.

- Zdaje się, że to ja powinienem zadać ci to pytanie. Dobrze się czujesz?

- Było cudownie - wyszeptała.

Obróciła się i zaczęła głaskać jego pierś. Porastające ją włosy łaskotały jej dłoń. Wtuliła się w niego.

- Naprawdę cudownie - szepnęła.

- Tak? Daj mi minutę, a pokażę ci, że może być jeszcze cudowniej.

Jack dotrzymywał danego słowa.



*Wpis do dziennika numer 644 Chicago*

*Przeprowadzaliśmy testy jeden po drugim i ich wyniki są miarodajne. Adrenalina produkowana w sytuacji stresowej faktycznie wzmacnia działanie naszego leku. Bez względu na to, jak przerażone były małpy, ich serca nie przyspieszały bicia. Podobnie spowolnione zostało zwyrodnienie komórek. Czyżby ta surowica była pierwszym krokiem na drodze do odkrycia źródła młodości?*

Na lotnisko dotarli przed czasem, co należy uznać za spory sukces, zważywszy na fakt, że Jack musiał niemal wywlekać Sophie z łóżka. Nie obudziła się w dobrej formie, ale szybki prysznic nieco ją ożywił. Całe szczęście, że poprzedniego dnia przygotowała sobie ubranie na podróż i była całkowicie spakowana, poza kosmetyczką, którą wrzuciła do bagażu podręcznego.

Sophie nie zauważyła, że Jack miał przy sobie broń, dopóki na odprawie nie okazał pozwolenia na nią. Linie lotnicze były już poinformowane, że tym lotem poleci agent FBI, więc przejście przez odprawę nie zajęło im wiele czasu. Kilku pasażerów spojrzało z niepokojem na Jacka i jego przytroczoną do biodra broń, ale większość ludzi i tak zwracała większą uwagę na Sophie. Każdy mężczyzna, który ją mijał, gapił się na nią jak wół na malowane wrota. Irytowało to Jacka, ale nie mógł ich winić. Sophie była piękną kobietą, a Gil mawiał o niej seksbomba i miał rację. Ubrana na mróz w dopasowany, czarny sweter z golfem, džinsy i kozaki, szła z kurtką przewieszoną przez ramię tak, jakby kroczyła po wybiegu. Ściągała na siebie wszystkie spojrzenia, ale Jack wiedział, że nie zwracała na nie uwagi. Mieli miejsca w pierwszej klasie. Stewardesa wzięła od nich kurtki i zaproponowała napoje, a Jack w tym czasie pakował ich bagaż podręczny do schowka nad głową. Sophie zajęła miejsce przy oknie, a Jack bliżej przejścia. W pierwszej klasie siedzenia

były szersze, ale i tak nie mógł wyciągnąć w pełni nóg, żeby ktoś się o nie nie potykał.

Żadne z nich nie wspomniało słowem o wydarzeniach ostatniej nocy. Ich namiętność sięgnęła zenitu kilka razy, więc nie zaznali wiele snu. Sophie była wykończona. Zapięła pas bezpieczeństwa, zamknęła oczy i po minucie już spała.

Obudziła się, dopiero gdy mieli już lądować w Fairbanks. Otworzyła oczy i zobaczyła Jacka przeglądającego jakiś magazyn. Nie zauważył, że mu się przygląda, a jej zrobiło się gorąco na samo wspomnienie jego rozpalonego, nagiego ciała, które stykało się z jej ciałem. Próbowwała pozbyć się tych obrazów z myśli, uznając, że to jedyny sposób na to, by przetrwać tę wspólną wycieczkę. Postanowiła przyjąć postawę, że nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Tak jak niektórzy skorumpowani ludzie, których ścigał jej ojciec, będzie zaprzeczać, zaprzeczać i jeszcze raz zaprzeczać.

Kiedy znaleźli się znów na ziemi, w terminalu lotniczym, Sophie poszła do damskiej łazienki, żeby się trochę odświeżyć. Umyła zęby, ochlapała sobie twarz wodą i poczuła się jak nowo narodzona. Sądziła, że będą mieli dłuższy postój w Fairbanks, ale się myliła. Tajemnicza Jennifer bez nazwiska zarezerwowała im przelot w Chip's Charter Service, a odlot planowany był według rozkładu za niecałą godzinę.

Jack oparł się o filar i zaczytywał się rubryką sportową, czekając na nią. Kiedy Sophie go zobaczyła pośród tłumu, poczuła, jak serce jej podskoczyło i znowu zabrakło jej tchu. Ale czemu się dziwić? Jack był naprawdę przystojnym mężczyzną.

- Bardzo przystojnym - szepnęła pod nosem. Zaprzeczanie nie będzie łatwą sztuką.

- Gotowa? - zapytał. Złożył gazetę i wsunął ją pod pachę. Wstąpili do baru w terminalu, ale kiedy stanęli przed bramką,

która prowadziła do Chip's Charter Service, Sophie pożałowała, że zjadła ciastko i wypila sok. Widywała już małe odrzutowce i małe samoloty, ale to, co zobaczyła, miało zaledwie sześć miejsc pasażerskich. Serce stanęło jej w gardle, kiedy dotarło do niej, że to właśnie ich wycarterowany lot. Była przekonana, że

do Prudhoe Bay latają odrzutowce. Dlaczego więc nie polecą jednym z nich?

Zbliżyła się do Jacka.

- Wiesz co? Myślę, że powinniśmy pojechać samochodem. Rozpoznał strach w jej oczach.

- Naprawdę?

- Tak. Zdecydowanie powinniśmy wziąć samochód. To tylko jakieś pięćset mil i z pewnością się nie zgubimy. - Jack pokręcił głową, więc szybko dodała: - Tylko jedna autostrada Daltona prowadzi do Prudhoe Bay. Przy okazji moglibyśmy pozwiedzać.

- Zauważyłaś, że pada śnieg? Nie pozwiedzamy za bardzo...

- Zauważyłam. Zauważyłam też, jak jest wietrznie, i dlatego nie powinniśmy lecieć tym papierowym samolocikiem. Uśmiechnął się.

- Ma dwa silniki. Nic nam nie będzie.

- Po Daltonie przez cały czas jeżdżą wielkie ciężarówki w tę i z powrotem. Moglibyśmy jechać za jedną z nich. Wyrzała przez okno i zobaczyła korpulentnego mężczyznę, który z białą brodą i wąsami wyglądał jak Święty Mikołaj. Człowiek ten obszedł samolot i zaczął zbliżać się do nich.

- To nie jest dobry pomysł - powiedziała szeptem Sophie, nie spuszczając oczu z mężczyzny. - Leciałeś kiedykolwiek takim małym samolotem?

- Leciałem. Jeden z moich braci jest pilotem. Przewiózł mnie kilka razy. Sophie, uspokój się.

Jack wyszedł na zewnątrz, żeby porozmawiać z pilotem, a Sophie podeszła bliżej okna, żeby mu się przyjrzeć.

Nagle poczuła się zawstydzona. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Jack MacAlister przewrócił do góry nogami jej plany i jej życie. Co, u diabła, robiła z nim tu, na Alasce? Zaciągnęła go do łóżka i robiła z nim najbardziej intymne rzeczy, ale w zasadzie prawie w ogóle go nie znała. Co prawda opowiedział jej trochę o swoim dzieciństwie, ale było jeszcze tyle rzeczy, których o nim nie wiedziała. Jeden z jego braci? Ile on ma rodzeństwa? Czy jego rodzice nadal żyją? Czy nie

powinno się wiedzieć takich rzeczy o człowieku, z którym ma się zamiar podzielić najintymniejszą częścią siebie? Z całą siłą dotarła wreszcie do niej świadomość tego, co zrobiła, i poczuła się upokorzona. Zawsze zachowywała ostrożność. Nawet jej przyjaciele twierdzili, że na zapas doszukiwała się dziury w całym... Aż tu nagle pojawił się Jack. Przez niego zapomniała o wszystkim, co sobie kiedyś obiecywała. Nadszedł czas, żeby odzyskać nad sobą kontrolę.

Od tej chwili będzie go traktować uprzejmie i oficjalnie, i z pewnością nie pójdzie z nim więcej do łóżka. Koniec z głupstwami, postanowiła.

Otworzyły się drzwi i poczuła nagły powiew lodowatego powietrza. Pilot okazał się młodszy, niż go oceniła z odległości. Miał trochę ponad trzydzieści lat. Jego ciemna broda pokryta była śniegiem i lodem, dlatego wyglądała na białą.

- Witam - powiedział, zdejmując rękawiczkę i wyciągając dłoń na powitanie. - Pani to pewnie Sophie Rose.

Nazywam się Chipper, ale ludzie wołają na mnie Chip. Obie wersje mi pasują. Wystartujemy, jak tylko wasze bagaże zostaną załadowane.

- Potrafi pan latać w taką wietrzną pogodę? - zapytała z niepokojem.

- Jasne, że potrafię. Proszę mi wybaczyć, muszę się odmeldować.

- Chipper... czy ten samolot ma ogrzewanie? Mężczyzna odwrócił się.

- Jasne, że ma.

Jack wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, że ma ogrzewanie.

- Na jego brodzie są kawałki lodu - wyszeptała do Jacka.

- Założę się, że nie dasz rady powiedzieć tego szybko pięć razy z rzędu.

- Nie wygłupiaj się - odparła. - Albo bardzo długo łaził wokół samolotu, albo nie ma ogrzewania w środku. Jack, on ma lód na brodzie!

- Nic nam nie będzie, Sophie.

Ten uspokajający ton tylko ją zirytował. Oczywiście, że nic

im nie będzie, no chyba że Chipper przypadkowo wbije się samolotem w jakąś górę albo pomyli się i wylądują w oceanie. Do dnia dzisiejszego Sophie nie sądziła, że może być nerwowym pasażerem samolotów, ale kiedy patrzyła, jak ten maleńki samolot kołysze się w przód i w tył pod wpływem powiewów wiatru, uznała, że jej reakcja lękowa jest w pełni uzasadniona.

Zadzwoił telefon, a to przypomniało jej o Paulu Larsonie. Miał wyjść po nią na lotnisko, a ona nie poinformowała go o zmianie rezerwacji i że będzie w Prudhoe Bay przed czasem. Zanotowała sobie w pamięci, żeby zadzwonić do niego, jak tylko wyląduje.

Chipper otworzył drzwi i oznajmił, że pora na odlot.

Sophie założyła rękawiczki, sięgnęła po swój bagaż i wzięła głęboki oddech.

Jack obrócił ją w swoją stronę i postawił jej wyżej kołnierz, a potem przytrzymał za ramiona i nachylił się do niej.

- Wszystko będzie dobrze. Ufasz mi, prawda, Sophie?

Spojrzała mu w oczy i z zaskoczeniem stwierdziła, że... tak.

*Wpis do dziennika numer 662 Chicago*

*Odbyliśmy długą naradę w kwestii kolejnego kroku. Musimy przetestować naszą surowicę na ludziach. Pytanie tylko, jak to zrobić. Jeśli będziemy chcieli przeprowadzić próby w klinice, nawet jeśli opatentujemy nasze odkrycie, to i tak tajemnica wyjdzie na jaw i staniemy w obliczu ryzyka utraty zysków.*

*Ludzie będą gotowi zabijać za nasz lek. Kiedy świat dowie się, co mamy, każda firma farmaceutyczna na świecie będzie chciała to dostać, a my wiemy, że jest wielu, których nic nie powstrzyma przed zagarnięciem całego zysku tylko dla siebie. Musimy być ostrożni i sami przeprowadzić testy. Wtedy, gdy wyjdziemy z produktem na rynek, cała sława i pieniądze będą tylko nasze.*

*Zbyt ciężko się napracowaliśmy, żeby nie móc korzystać z sukcesu.*

Deadhorse na Alasce znajduje się na samym wierzchołku świata. Niektórzy nazywają je miastem, inni osadą. Sophie dowiedziała się, że Prudhoe Bay jest społecznością pracującą. O każdej porze roku jest tam około pięciu tysięcy ludzi pracujących przy odwiertach na obszarach należących do rafinerii, ale ludzie ci nie stykają się z podróżnymi przybywającymi do Deadhorse. Każda firma ma własne niezależne zaplecze dla swoich pracowników. Instalacje wiertnicze i zabudowania mieszkalne są zamknięte, żeby chronić ich wyposażenie przed mrozem, a mieszkania są dość wygodne, mimo surowego klimatu. Na platformach ludzie pracują na dwunastogodzinne zmiany przez dwa tygodnie, a potem lecą do domów na kolejne dwa tygodnie. Zarabiają poważne pieniądze, ale nie prowadzą żadnego życia towarzyskiego.

Wycieczki na pola naftowe i Ocean Arktyczny można odbywać w miesiącach letnich, ale trzeba powiadomić o tym z miesięcznym wyprzedzeniem, żeby dopełniono wszelkich przygotowań. Ochrona pól naftowych jest bardzo ścisła i zatrudnia stu sześćdziesięciu pracowników. W Deadhorse na służbie jest dwóch policjantów, którzy, podobnie jak pracownicy na platformach, pracują w systemie dwutygodniowym.

O ile pozwalają na to warunki pogodowe, codziennie, przez cały dzień, odbywają się przyloty i odloty samolotów z Deadhorse. W pobliżu lotniska jest nawet lądowisko dla helikopterów.

Sophie była zafascynowana tym, czego się dowiedziała i mi-



mo przejażdżki trzęsącym się samolocikiem, nie mogła się doczekać, kiedy sama na własne oczy zobaczy to miejsce. Kiedy samolot zbliżał się do lądowiska, Sophie dostrzegła w oddali masywne platformy, a wokół nich białe przestrzenie, ciągnące się dokoła wzrok sięgał. Lód i śnieg tworzyły jednolitą powierzchnię, ale po wiosennej odwilży ziemia będzie wyglądała, jakby tonęła w kałużach wody. Deadhorse było niewielką osadą rozproszonych domów unoszących się nad ziemią, do których drzwi prowadziły schodki. Wyglądały bardziej jak magazyny niż domy czy lokale.

Biorąc pod uwagę wiatr i śnieg, lądowanie samolotu przebiegło zupełnie gładko. Chipper zaproponował, że kiedy już załatwi swoje sprawy w Deadhorse, może odwiedzić Sophie i Jacka z powrotem do Fairbanks albo do Barrow, a potem zaprowadził ich do hotelu Prudhoe Bay.

Hiltonowie i Marriottowie nie użyliby określenia „hotel” dla opisanego przybytku, ale przynajmniej spełniał on swoją rolę. Złączone ze sobą hakami elementy z prefabrykatów zaspokajały podstawowe potrzeby.

Sophie i Jack strzepali śnieg z butów przed wejściem do małego biura. Nie było tłumu gości czekających na swoje pokoje. Prawdę mówiąc, Sophie i Jack byli jedynymi klientami. Menedżer, stojący za blatem wyłożonym linoleum i przeglądający jakieś dokumenty, powitał ich ciepło i kazał zwracać się do siebie Zester. Trudno było ocenić jego wiek. Miał wysmaganą wiatrem twarz, która mogła mieć pięćdziesiąt jak i trzydzieści lat, ale po tubalnym głosie Sophie oceniła go na czterdzieści.

- Powinam mieć tu rezerwację - powiedziała Sophie. - Paul mówił, że wszystko dla mnie przygotowuje.

Zester nie musiał wcale zaglądać do rejestru.

- 'Tutaj jej pani nie ma. Może ma pani rezerwację w Caribou Inn? Zadzwoń tam i ją odwołam. Tutaj się pani bardziej spodoba. - Nie czekając na pozwolenie, odwrócił się do niej plecami i zadzwonił do swojego konkurenta.

- Kto to jest Paul? - zapytał Jack, trącając Sophie łokciem. Sophie zdjęła szalik i złożyła go w dłoniach.

- Paul Larson. Nie mówiłam ci o nim? Pokręcił głową.

- Powiedz mi teraz.

Zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić, odezwał się Zester:

- Nie. W Caribou też nie miała pani rezerwacji. - Po chwili zachichotał. - Kiedy powiedziałem Charliemu, jaka pani ładna, to stwierdził, że może jednak miała pani u niego rezerwację. Spodziewam się, że wpadnie tu się przywitać.

Jack rozpiął płaszcz i Zester zauważył broń przy pasie.

- Chwileczkę. Tutaj nie można posiadać broni. A przynajmniej naszym klientom zabraniamy obnosić się z bronią.

- Przechylił się przez ladę. - A co to za rodzaj? Zresztą nieważne - powiedział, zanim Jack zdążył odpowiedzieć.

- Trzydziestka ósemka, ani czterdziestka piątka, ani Glock... żaden nie da rady niedźwiedziowi. Może lisa dałoby się tym zastrzelić, ale nie niedźwiedzia. A za próbę zastrzelenia niedźwiedzia skończyłby pan w więzieniu - ostrzegł.

- Jestem z FBI.

Zester wyglądał na zaszokowanego. Szybko odskoczył w tył, potem znowu się zbliżył.

- Z FBI? - zapytał szeptem. - Stało się coś złego? Ktoś złamał prawo? - Pokręcił głową i dodał: - Nie, usłyszałbym o tym, gdyby ktoś złamał prawo. Potrafię dotrzymać tajemnicy, więc możecie mi powiedzieć. Po co tu przyjechaliście?

- On przegrał zakład - odpowiedziała Sophie.

Jack uśmiechnął się, bo Sophie wyglądała na bardzo niezadowoloną z tego powodu.

- Tak, to prawda - potwierdził. Zester nie poprosił o wyjaśnienia.

- Co powiecie na to, żebym ulokował was w dwóch ekskluzywnych pokojach ze wspólną łazienką? To najlepsze, co mogę zaoferować.

Kilka minut później, po tym jak zanieśli swoje bagaże do pokojów, Jack i Sophie poszli za Zesterem do małej kawiarni. Sophie czuła się tak, jakby szli przez wydłużony dom na kółkach. Sala jadalna była mała, ale nie zagracona i czysta.

- W cenę pokoju wliczone są posiłki - wyjaśnił Zester. - Lunch już wam przepadł, ale mogę zaproponować kanapki na zimno. Zawsze mamy tu jakieś jedzenie, dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu - dodał. - A jeśli chodzi o alkohole, to panuje u nas posucha. Nie mamy nic mocniejszego niż kawa, herbata czy napoje gazowane.

Sophie poprosiła o gorącą herbatę, a Jack o coca colę. Kiedy jedli kanapki, Zester zadzwonił do policjanta będącego obecnie na służbie i poprosił go, żeby przyszedł do hotelu.

- Tim chce z panem rozmawiać - powiedział Zester, podając słuchawkę Jackowi.

Kiedy Jack rozmawiał z policjantem, Sophie próbowała dodzwonić się z komórki do Paula Larsona, ale odzywała się tylko automatyczna sekretarka.

- Cześć, Paul, tu Sophie. Zadzwoń do mnie, kiedy to odsłuchasz - nagrała się.

Zester poszedł do kuchni po kawę dla siebie i Jack wykorzystał tę chwilę, że zostali sami, żeby porozmawiać z Sophie.

- Nadal nie dowiedziałem się, kim jest Paul Larson.

- Pracuje w tutejszym oddziale firmy ochroniarskiej.

- No dobrze, ale jak go poznałaś? - zapytał tonem agenta FBI.

- Mówiłam ci o policjancie, który dzwonił, żeby powiedzieć mi, że znaleźli moją wizytówkę w skarpecie Williama Har-ringtona.

- Pamiętam.

- Niedługo po tamtym telefonie zadzwonił do mnie Paul Larson.

- Skąd wziął twój numer?

- Najwyraźniej dostał go od tego policjanta, - o Mów dalej.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Czyżbyś mnie przesłuchiwał?

- Tak. Mów dalej. Przynajmniej był szczery.

- Paul okazał się bardzo pomocny.

- To znaczy?
  - Zadzwoił do mnie, kiedy znaleźli portfel Harringtona i poinformował mnie, co się stanie ze szczątkami Harringtona.
  - Że trafią do Anchorage?
  - Tak. Nie miał pojęcia, dlaczego Harrington zdecydował się na biwakowanie w dziczy, ale powiedział, że popyta gdzie się da i postara się dowiedzieć, czy ktoś z nim rozmawiał.
  - Zadał sobie wiele trudu dla ciebie, prawda?
- Czyżby to zazdrość przemawiała przez Jacka? Sophie natychmiast odrzuciła taką myśl.
- Skąd ta podejrzliwość? - zapytała. - Domyślam się, że nie ma tu specjalnych rozrywek, kiedy już skończysz pracę, a poza tym, on także uważał to za dziwne.
  - Fakt, że Harrington rozbił obóz w dziczy?
  - Tak.
- Jack westchnął.
- Dlaczego nie wspomniałaś o nim wcześniej? Wzruszyła ramionami.
  - Powinnam była - odparła, po czym dodała: - Polubisz go. Robi miłe wrażenie przez telefon.
  - Tak, jasne. Miłe. - Pokręcił głową. - Wiesz, co jest twoim problemem? Jesteś zbyt ufna.
  - Tobie ufam.
  - I powinnaś.
- Sophie nie wiedziała, jak ma potraktować jego zachowanie, ale postanowiła go trochę uspokoić.
- Nie ufam Paulowi tak samo jak tobie. Ale on jest tu ochroniarzem, a wiesz, jakie to ważne mieć porządne zaplecze informacyjne.
  - Chyba się zirytowałaś, kochanie? Ten epitet bardzo ją wzburzył.
  - Chyba już pójde do swojego pokoju, żeby się rozpakować. Muszę też naładować telefon - powiedziała. - Bateria już siada. Zamierzasz tu zostać?
- Skinął głową.
- Ale nie wychodź z hotelu beze mnie - dodał.

Sophie spojrzała za okno, gdzie sypał gęsty śnieg. Nietrudno było przystać na jego prośbę, jako że na zewnątrz widoczność ograniczała się do pół metra. Przy całkowitym braku światła słonecznego z łatwością by się zgubiła i skończyła, błędząc w zamieci śnieżnej. Istniało też zagrożenie natknięcia się na Barry'ego albo jednego z jego rozwścieczonych krewnych.

Niedźwiedzie polarne. Na samą myśl zadrżała. Sophie zatrzymała się przy recepcji, żeby zapytać Zestera, czy słyszał o Williamie Harringtonie.

- Wszyscy o nim słyszeli - odparł. - To ten facet, którego zabił Barry.

- A może spotkał pan Harringtona albo zna kogoś, kto mógł z nim rozmawiać?

- Nie widziałem go - powiedział. - I nie słyszałem, żeby ktokolwiek w okolicy go spotkał. On mógł polecieć do Barrow i przesiąść się w mały samolot do Alaktak i stamtąd ruszyć na zachód albo pojechać do Nuiq-sut czy Umiat i stamtąd ruszyć na wschód. Jego obóz był niedaleko tamtych miejsc. Ale znaleziono go w pobliżu oceanu, więc trudno mi powiedzieć, jak się tam dostał.

Sophie nie miała pojęcia, gdzie znajduje się Alaktak ani inne miejscowości. Miała w torbie mapę, więc będzie mogła to sprawdzić.

- A bracia Coben? Zna ich pan?

- Kogo?

Powtórzyła nazwisko.

- To łowcy - wyjaśniła. - Słyszałam, że podobno oni rozmawiali z panem Harringtonem.

Zester przytaknął.

- T© możliwe. Siedzę tu przez kilka dni w tygodniu, ale wiem, że wielu ludzi tędy przejeżdża i nie wszyscy zatrzymują się w hotelu. Jednak nazwisko brzmi dość znajomo.

Dzięki Bogu jest Paul, pomyślała Sophie. Gdyby się nie zainteresował sprawą i nie pomógł jej, to sama nie dowiedziałaby się niczego o braciach Coben. Paul rozmawiał z wieloma

kierowcami ciężarówek, które przyjeżdżają do Deadhorse. Wykonał za nią kawał roboty dochodzeniowej. Sophie podziękowała Zesterowi i poszła do pokoju. Rozłożyła mapę na łóżku i markerem zaznaczyła miejscowości, które wymienił Zester. Policjant powie jej, gdzie był obóz Harringtona.

Godzinę zajęło jej układanie rzeczy i zadomowienie się. Kiedy skończyła, postanowiła zadzwonić do Bittermana, żeby się zameldować. Był w dobrym nastroju i zadawał masę pytań o Prudhoe Bay.

- Widziałas już zorzę polarną?

- Jeszcze nie.

- Jaka jest pogoda?

Udzieliła odpowiedzi na to i wiele innych pytań.

- Wstąpisz do klubu wielbicieli niedźwiedzi polarnych? - zapytał. - Gdybyś to zrobiła, to by dopiero była prawdziwa historia!

- Są pewne granice tego, sir, co mogę zrobić w imię wykonywanego zawodu. Nie zamierzam na przykład wskakiwać do Oceanu Arktycznego, żeby dodać historii pikanterii.

- Może jednak pomyśl o tym? - zasugerował. - A teraz powiedz mi o Harringtonie, bo potem ja podzielę się z tobą prawdziwą nowiną.

- Dopiero tu przyjechaliliśmy, więc nie mam jeszcze nic do powiedzenia.

- To fakt. Jest z tobą Jack, prawda? Alec dzwonił do mnie dziś rano. To była dla mnie prawdziwa ulga, kiedy usłyszałem, że będzie przy tobie agent FBI. Ostrożności nigdy za wiele, wiesz o tym.

- Tak, wiem. Teraz poproszę o nowinę - ponagliła szefa.

- Możesz podłączyć komputer i wejść na stronę gazety?

- Być może - odparła. - Jaką gazetę miałabym przeczytać?

- Naszą, Sophie - powiedział z rezygnacją. - Chcę, żebyś zajrzała do dzisiejszego wydania naszej gazety.

Zaśmiała się.

- Oczywiście. A czego mam tam szukać?

- Albo już dobra. Mogę ci równie dobrze powiedzieć przez telefon. Cała strona w czterech kolorach, opłacona czekiem na okaziciela, informująca całe Chicago, że pracownicy Kelly'ego dostaną swoje emerytury.

Sophie napłynęły łzy do oczu. Ojciec dotrzymał obietnicy.

- Wiadomo, kto opłacił tę wiadomość? Było nazwisko na czeku?

- Nie, ale całe Chicago świętuje. Mówi się, że stoi za tym Bobby Rose. Powinnaś posłuchać telefonów słuchaczy radiowych. Wszyscy są tacy podekscytowani, Sophie. A w tych ciężkich czasach, kiedy jest takie bezrobocie, potrzebne nam jakieś dobre wieści, prawda?

- Tak. Może pan już przestać robić zapasy piwa korzennego.

- Nie ma mowy, dopóki nie wznowią produkcji. Zadzwoń do mnie jutro z wiadomościami i... Sophie... uważaj na siebie.

Nie mogła się doczekać, żeby przekazać Jackowi nowinę. Jeśli nie uda jej się znaleźć komputera w hotelu, to ściągnie artykuł z internetu na telefon.

Ruszyła pośpiesznie do jadalni i zastała tam Jacka z dwoma mężczyznami. Jack przedstawił im Sophie. Jeden z mężczyzn był oficerem policji w Deadhorse, a drugi był ochroniarzem rafinerii naftowej. Jack dostawił krzesło do stolika i kiedy Sophie usiadła, zauważyła w jego ręku plik papierów z listami nazwisk, które wręczył pracownikowi ochrony.

- Jack powiedział mi, że jeden z naszych ludzi pomaga pani w śledztwie. Czy to prawda? - zapytał ochroniarz.

- Ale wyłącznie w czasie wolnym - wyjaśniła, nie chcąc przysporzyć problemów Paulowi.

Ochroniarz uśmiechnął się.

- Jak rozumiem, rozmawiała z nim pani wiele razy?

- ' Tylko kilka - odparła. - Powiedział, że pomagał policji, a mnie dostarczył pewnych informacji na temat śmierci Williama Harringtona.

Kiedy obaj mężczyźni spojrzeli po sobie, Sophie zaczęła coś podejrzewać.

- A dlaczego panowie pytają?

- Jest pani pewna, że rozmawiała z Paulem Larsonem? - zapytał policjant.
- Jak najbardziej - powiedziała z naciskiem.
- Proszę pani - zaczął policjant - nie wiem, z kim pani rozmawiała, ale to nie był Paul Larson.
- Ale on... - zaczęła Sophie. Ochroniarz jednak nie dał jej dokończyć.
- Tu nie pracuje żaden Paul Larson.



*Wpis do dziennika numer 680 Chicago*

*Erie i ja nazwaliśmy nasze badania Projektem Alfa.*

*W Chicago nie mieliśmy kłopotów z utrzymaniem naszej pracy w tajemnicy, ale w Inook było całkiem inaczej. Nie było już tak łatwo z uwagi na to, że dzieliliśmy kwatery z Brandonem i Kirkiem. Na szczęście Brandon uznał, że powinni razem z Kir-kiem wyruszyć, żeby obserwować inne stado, a to dało nam więcej swobody. Erie bardzo się denerwuje tym, że ktoś nas rozszyfruje, a ja obawiam się, że sam mógłby coś chlapnąć.*

*Sprawdzałem firmy farmaceutyczne. Jak do tej pory dowiedziałem się, że wszystkie grzęzną w biurokracji. Obawiam się, że nie uda nam się dotrzeć do nich z naszym odkryciem. Gdybyśmy teraz się wychylili, to stracilibyśmy całkowicie kontrolę. Dowiedziałem się też, że płacą psie pieniądze za niezależne badania, ponieważ wliczają sobie czynnik czasowy, a mianowicie to, ile czasu zajmuje zdobycie pozwolenia z ministerstwa. A to może się ciągnąć latami, jeśli nawet dziesiątki lat.*

*Jeśli chcemy zarobić takie pieniądze, na jakie zasłużyliśmy, to Musimy wziąć sprawy w swoje ręce. Jest wiele innych rynków.*

Po co miałyby kłamać? Początkową reakcją Sophie było poczucie, że musiała nastąpić pomyłka. To oczywiste, że Paul Larson istnieje. Przecież z nim rozmawiała!

Kiedy Jack poszedł przynieść dla niej herbatę z baru, wybrała numer Paula i po raz kolejny zostawiła mu wiadomość na sekretarce.

Podczas gdy ona czekała, aż Paul oddzwoni, Jack wykonał telefon do swojego informatora, żeby sprawdził podany numer. Po paru minutach otrzymał odpowiedź, która go wcale nie zdziwiła. Numer telefonu, pod który dzwoniła Sophie, był zarejestrowany na kolejną fikcyjną osobę o fikcyjnym adresie.

- Namierzają lokalizację tego telefonu, więc dowiemy się, skąd ten facet do ciebie dzwonił - rzekł Jack.

- Codziennie nasi pracownicy przylatują tu i odlatują, ale potem natychmiast się meldują i zabierają do pracy - powiedział pracownik ochrony kompanii naftowej. - Kierowcy ciężarówek spędzają czasem noc w Deadhorse, jeśli mają taką potrzebę, ale zwykle następnego dnia ruszają w dalszą drogę.

- Ale nawet przy takiej ilości osób przyjeżdżających i wyjeżdżających - wtrącił się policjant - zauważylibyśmy, gdyby ktoś obcy się tu plątał. - Spojrzał prosto w oczy Sophie. - Rozmawiałem też z Joe Rooneyem, oficerem, który dzwonił do pani w sprawie Harringtona, i on też nie słyszał o Paulu Larsonie. I na sto procent nie dawał nikomu pani numeru telefonu. Joe to godny zaufania człowiek, więc nie mam najmniejszych powodów, by mu nie wierzyć.

Wszyscy trzej mężczyźni na zmianę zadawali jej pytania, ale niewiele mogła im powiedzieć. Ochroniarz i policjant zapewnili ją, że popytają dookoła, ale nic poza tym nie mogą zrobić, gdyż jak do tej pory wszystko wskazuje na to, że padła ofiarą głupiego żartu.

Po tym jak wyszli, Jack dalej wypytywał ją o szczegóły jej rozmów telefonicznych z człowiekiem podającym się za Paula Larsona.

- Nie powiedział mi o sobie niczego szczególnego. Po co miałby to robić? A, nie, zaczekaj. Powiedział, że jest nieżonaty i zaprosił mnie na kolację, ale nie sądzę, żeby mówił poważnie.

- A ty, ile mu o sobie powiedziałaś? - zapytał Jack.

- Nic osobistego - odparła zirytowana. - Nie dzwoniłam przecież do serwisu randkowego.

Jack wstał i zaczął spacerować. Sophie stukała palcami w blat stołu, zastanawiając się nad rozmowami z fikcyjnym mężczyzną.

- Więc ten facet ściąga cię tutaj... - zaczął Jack.

- Nie ściągnął mnie - weszła mu w słowo. - Chciałam tu przyjechać, żeby porozmawiać z ludźmi w nadziei, że ktoś z nich widział Harringtona. Przecież nie spadł z nieba i nie wylądował w namiocie tuż obok Barry'ego. Nadal chcę się dowiedzieć, co mu się przydarzyło. - I zaraz pokręciła głową, żeby go powstrzymać przed uwagą. - I wiem doskonale, co zaraz powiesz: przydarzył mu się Barry.

- Nie zamierzałem tego mówić. Zaczęłabyś poszukiwania od Prudhoe Bay czy przyjechałaś tu, bo Paul ci tak zasugerował? - Czekając na odpowiedź, pocierał dłonią kark.

- Nie wiem. Powiedział mi, że w pobliżu są jacyś myśliwi, z którymi mogłabym porozmawiać - odpowiedziała. - To szaleństwo. Czy cokolwiek z tego, co mi powiedział, jest prawdą?

- Faktycznie znaleźli portfel Harringtona i jego szczątki zostały zawiezione do Anchorage. Więc owszem, część z tego, co ci mówił, to prawda.

- Kiedy będziesz wiedział, skąd do mnie dzwonił?

- To zajmie trochę czasu - odparł. - Wylatujemy stąd jutro

pierwszym możliwym lotem. Zadzwońię po Chippera i każę mu się przygotować.

- Czy Chipper to naprawdę Chipper? - spytała i uśmiechnęła się, słysząc, jak głupio to zabrzmiało. - Czy jest tym, za kogo się podaje?

- Tak - potwierdził Jack. Przemierzył pomieszczenie i stanął naprzeciwko niej. - A wiesz, skąd to wiem?

- Domyślałam się, że mi to powiesz.

- Sprawdziłem go. Nie kupuję niczego na ślepo.

- Jesteś agentem FBI, musisz być podejrzliwy. A ja jestem dziennikarką, muszę być ciekawska. Nie interesował mnie Paul Larson, więc po co miałam go sprawdzać?

Jack zrezygnował z dalszego przedstawiania jej swojego punktu widzenia. Domyślał się, że i tak doszliby do punktu, w którym usłyszałyby od niej podobny argument do tego, który wysunęła po postrzale: „Przecież ty też byś wyjrzał przez okno”.

Sophie podeszła do okna i wbiła wzrok w świat za nim.

- Wiesz, że tutaj zostawianie zamkniętych drzwi w samochodzie jest wbrew prawu? - powiedziała.

- Naprawdę?

- Tak. To z powodu niedźwiedzi. Domyślałam się, że jak się napatoczysz na jakiegoś, albo zdarzy się, że jakiś będzie cię gonił, to możesz wskoczyć do samochodu. - Westchnęła i obróciła się. Jack stał tuż obok niej. - Powinnam była go sprawdzić - przyznała.

Objął ją ramionami i potarł policzkiem o jej głowę.

- Tak, powinnaś była - potwierdził. - Chcesz się jeszcze podzielić jakimiś ciekawostkami?

- Większość lisów ma pchły.

- Dobrze wiedzieć.

- Wielorybnicy z Barrow wygrali play-off.

- Kto?

- Wielorybnicy. To drużyna futbolowa z uczelni w Barrow. Prawdopodobnie będziesz musiał poznać kilku z nich. To nowa drużyna, a futbol wpłynął pozytywnie na życie tych chłopców. Obiecałam panu Bittermanowi, że napiszę o nich artykuł.

- Więc jedziemy do Barrow, tak?

- Tak.

Podczas kolacji Jack cały czas się zamartwiał, a Sophie niczym się nie przejmowała. To był długi dzień i czuła się zmęczona.

Wrócili do swoich pokoi i Sophie poszła do łazienki umyć się przed snem. Wzięła prysznic, a potem otworzyła drzwi łazienki do pokoju Jacka i podsłuchiwała, jak rozmawiał z kimś przez telefon. „To musi się ze sobą łączyć” - zdołała usłyszeć tylko to jedno zdanie. Z kim rozmawiał i co takiego musi się ze sobą łączyć?

Jack podniósł wzrok i uśmiechnął się na jej widok. Nie miała na sobie już kusej koszulki nocnej, ale równie seksownie wyglądała w za dużej, biało-niebieskiej, bawełnianej piżamie. I w puszystych, różowych skarpetach. Po skończonej rozmowie telefonicznej Jack poszedł pod prysznic.

Na zewnątrz wiatr się wzmógł, aż zaczęły brzęczeć szyby w oknach. Sophie wyczytała gdzieś, że tutejszy wiatr może osiągać prędkość nawet do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Sama myśl o tym przyprawiła ją o dreszcze. Łóżko w jej pokoju było czymś pomiędzy dwuosobowym a pojedynczym. Odsunęła kołdrę i wyciągnęła się na nim, częściowo opierając się o wezglowie.

Jej umysł nie zamierzał się wyciszyć. Po co facet, który podawał się za Paula Larsona, miałby robić sobie takie żarty? Po co zadawał sobie tyle trudu? Musi być jakiś powód. Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby jakiś niedźwiedź wtargnął do hotelu? Powinna była zapytać o to Zestera.

Sophie właśnie smarowała dłonie kremem jaśminowym, kiedy Jack wszedł do jej pokoju. Wyraźnie jemu nie przeszkadzał chłód. Miał na sobie tylko krótkie spodenki i podkoszulek.

- Nie zimno ci? - spytała.

- Za chwilę się rozgrzeję. Nastawiłaś budzik? Musimy wcześniej wstać.

Sophie dostrzegła, że gapi się na jej skarpetki, i zrobiło jej się głupio. Ale dlaczego niby miała się tym przejmować? Zdecydowała już, że ich związek będzie oparty wyłącznie na stopie zawodowej.

Jaki związek? Po prostu kontakty.

- Dzwoniono z Fairbanks - powiedział, a potem podszedł i zsunął jedną różową skarpetę, a potem drugą.

- Czyli Larson nie zamierzał wychodzić dziś po mnie na lotnisko? - zapytała. - O co mu chodziło? Nie sądzisz, że to dosyć dziwny żart?

Jack podszedł do drzwi, żeby sprawdzić, czy są zamknięte.

- Nie wiem, co nim kierowało, ale dowiem się tego. Sophie wsunęła się pod kołdrę. Pościel była zimna. Jack właśnie wychodził do swojego pokoju, kiedy przypomniała sobie o nowinie, jaką przekazał jej Bitterman.

Opowiedziała Jackowi o Kelly's Root Beer, a potem zapytała go, co o tym sądzi.

- Chciałbym zobaczyć to ogłoszenie na własne oczy.

Zniknął w swoim pokoju, a Sophie poczuła ukłucie rozczarowania. Nie zamierzała pozwalać mu na spanie z nią, ale mimo wszystko miło by było, gdyby to zaproponował. Po chwili Jack wrócił z pistoletem i kaburą. Nie pytał jej o pozwolenie. Broń położył na stoliku obok łóżka, podniósł kołdrę i kazał jej się posunąć.

Położył się obok niej i odwrócił twarzą do ściany, a plecami do niej. W mgnieniu oka rozgrzała się od ciepła bijącego z jego ciała. Wsunęła dłonie pod jego podkoszulek.

- Nie pozwolłam ci spać ze mną - szepnęła, wtulając się w niego.

- Idź spać. - Sięgnął ponad nią i zgasił światło.

- Jack? - odezwała się w ciemności. - Kiepska ze mnie reporterka, co?

*Wpis do dziennika numer 702 Chicago*

*Zmęczyła nas wyprawa, ale było warto. Znaleźliśmy kupca. Nasze próby w Europie i Azji nie przyniosły skutku. Nie wiem, dlaczego od razu nie pomyśleliśmy o Środkowym Wschodzie.*

*Dla dubajskiego bilionera pięćdziesiąt milionów nic nie znaczy i zgodził się wyłożyć je natychmiast. Jedyne, czego zażądał, to solidnego udokumentowania naszych badań na ludziach.*

*Już rozmyślałem nad tym, jak wydam moją część zysków. Zawsze chciałem polecieć na Fidżi. Jeśli piasek okaże się naprawdę miękki, a kobiety piękne, to może nawet tam zostanie.*

Jack nie próbował ubarwiać ani komplementować jej reporterskich umiejętności.

- Nie jesteś kiepską reporterką - odparł zwyczajnie. Kilka minut spędzili w ciszy, którą Sophie wreszcie przerwała.

- Ilu masz braci?

- Trzech.

- A jakieś siostry?

- Nie.

Jack powoli odwrócił się do niej. Był dużym mężczyzną, a łóżko było małe. Przysunął Sophie do siebie, żeby mogła oprzeć głowę na jego ramieniu.

- Dlaczego pytasz? - Jego twarz była blisko, a ich oczy wpatrzone, mimo ciemności.

- Ty wiesz o mnie wszystko, a ja o tobie nic.

- Nieprawda. Wiesz, gdzie dorastałem, gdzie chodziłem do szkoły i kiedy wstąpiłem do FBI. Wiesz także, że uwielbiam, jak mnie całujesz.

Uśmiechnęła się.

- Dobranoc, Jack.

- Dobranoc, Sophie - odparł i zaśmiał się.

Leżał bezsennie do drugiej w nocy. Wtedy to Sophie zaczęła się obok niego wiercić. Nie miał pewności, czy śpi, ale skoro nie stawiała oporu, gdy ją rozbierał, nie miało to większego znaczenia. Teraz jego kolej, by ją zbałamucić. I doprawdy, było jeszcze lepiej niż za pierwszym razem. Z taką intensywnością



odpowiadała na jego dotyk, a odgłosy, które wydawała z siebie, kiedy ją pieścił, były niczym boska symfonia. Tym razem zadbał o to, żeby pierwsza miała orgazm, a kiedy i on osiągnął szczyt, ścisnęła go mocno w sobie. I to także mu się bardziej podobało.

Już zapadał w sen, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Czy tym razem to na pewno on ją uwiódł?

Nie, nie, nie.

Sophie była wściekła na siebie za brak samokontroli. Dlaczego nie potrafiła trzymać rąk przy sobie? Gdyby zostali w Chicago, znacznie łatwiej byłoby trzymać się od niego z daleka, a tutaj byli skazani na siebie. Całe szczęście uszanował jej milczącą prośbę o niewspominanie tego, co robili ostatniej nocy.

Chipper czekał na nich przy samolocie. Zapakował ich bagaże. Sophie zajęła tylne siedzenie w samolocie. Jack usiadł obok pilota i kiedy tak czekali, aż Chipper dopełni formalności odprawy, zapytał Sophie, czy dobrze się czuje.

- Tak - odparła. - A czy wyglądam, jakbym się źle czuła? Dlaczego pytasz?

- Jesteś nietypowo milcząca, to wszystko. I masz rację, Sophie, wyglądasz świetnie, zważywszy na fakt, że żadne z nas nie wyspało się tej nocy...

- Wiedziałeś, że uważa się, iż Barrow jest pustynią? Jack uśmiechnął się. Po raz kolejny udawała, że do niczego między nimi nie doszło.

- Doprawdy? - podjął rozmowę.

- Tak. Notuje się tam bardzo małe opady deszczu, ale za to dużo śniegu. Temperatura spada poniżej zera około października i pozostaje taka do końca maja albo początku czerwca. Nigdy się nie ociepla.

Chipper, wchodząc do samolotu, usłyszał ostatnią uwagę Sophie.

- W październiku w Barrow leży zwykle około dwudziestu centymetrów śniegu - skomentował. - Ale dzisiaj nie pada, a przynajmniej na razie.

- Jack chciałby zobaczyć ocean - zwróciła się do niego Sophie. - Jego wymarzone wakacje to siedzenie i patrzenie na ocean.

- W takim razie masz szczęście - powiedział Chipper. - Barrow jest otoczone przez ocean z trzech stron. Gdzie się nie zwrócisz, będzie go widać.

Z powodu przeciwnych wiatrów lot do Barrow obfitował w jeszcze więcej wstrząsów niż ten do Deadhorse i żołądek Sophie wykonał kilka koziołków. Mimo to nie miała nic przeciwko, kiedy Chipper zaproponował dodatkowy przelot dookoła Barrow, żeby Jack mógł zobaczyć z bliska ocean.

Barrow nie było zbyt fantastycznym miejscem, ale tamtejsi ludzie byli niezwykle chętni do okazywania pomocy i bardzo sympatyczni. Byli dumni ze swojego miasta, a w szczególności z drużyny futbolowej. Sophie wykonała wcześniej telefon, więc trener już na nich czekał. Przeprowadziła z nim wywiad na temat chłopców z drużyny i ich pochodzenia, ale okazało się, że Jack wiedział lepiej, jakie zadać pytania w kwestii samej gry. Kiedy mężczyźni rozprawiali na temat rozgrywek, Sophie robiła notatki.

Trener Smith opowiedział im o pierwszym wygranym meczu Wielorybników. To było prawdziwe wydarzenie jak na tak małą społeczność. Zawodnicy i trenerzy uczcili zwycięstwo, skacząc do Oceanu Arktycznego. Sophie zastanawiała się, czy przyjęcie z fetą by nie wystarczyło.

Trener przywołał kilku graczy, żeby i oni porozmawiali z Sophie i Jackiem. Kiedy tak stali z chłopcami, Sophie zauważyła dwie nastolatki siedzące na linii bocznej boiska, z pochylonymi do siebie głowami i śmiejące się. Jedna z nich wstała, a jej koleżanka pchnęła ją w stronę boiska kuksańcem. Dziewczyna podchodziła powoli, aż wreszcie stanęła parę kroków za Jackiem.

Delikatnie klepnęła go w ramię.

- Przepraszam bardzo - zaczęła nieśmiało. Jack odwrócił się do niej.

- Tak? - spytał.

- Moja koleżanka i ja zastanawialiśmy się... - powiedziała niepewnie. Spojrzała za siebie na przyjaciółkę, która wykonywała właśnie gesty zachęcające ją do mówienia. - Zastanawialiśmy się, czy jest pan tym facetem z YouTube. Sophie wybuchnęła śmiechem.

Jack cierpliwie przez kilka minut rozmawiał z dziewczyną, a potem, podziękowawszy trenerowi Smithowi za poświęcony czas, szybko wyprowadził Sophie z boiska.

- Chyba powinnam zobaczyć to nagranie - powiedziała. Jackowi wcale nie było do śmiechu, za to Sophie śmiała się nawet wtedy, gdy wchodzili do pobliskiej restauracji.

Przy sąsiednim stoliku siedziała para, która ochoczo podjęła konwersację i z przyjemnością opowiedziała o społeczności Barrow. Obydwoje mieszkali tu od urodzenia i podzucili Sophie kilka interesujących informacji, nadających się do artykułu. Polecili też miejsca, w których można zatrzymać się na noc, i Jack wybrał to położone najbliżej restauracji.

Kiedy Jack i Sophie dotarli do hotelu, byli przemarznięci na kość.

Jack chodził energicznie po holu, starając się rozgrzać.

- Nie mógłbym. Nie mógłbym - powtarzał.

- Czego byś nie mógł?

- Mieszkać tutaj. Ten mróz by mnie zabił.

- Nie jest tak tragicznie. Przecież w Chicago zimy też nie lekkie.

- Masz sine usta - odparł.

- Kiedy dostaniemy pokoje, chciałabym przejść się po mieście i porozmawiać z ludźmi.

- Bierzemy jeden pokój, a nie dwa, i nigdzie nie będziemy spacerować, Sophie. Znajdziemy transport na komendę policji. Główna komenda policji dla Deadhorse i innych miast północy znajduje się właśnie tu, w Barrow. Chcę porozmawiać z nimi o Harringtonie.

Niestety policjanci nie potrafili powiedzieć im niczego, czego by wcześniej nie wiedzieli. Śmierć Harringtona została

uznana za nieszczęśliwy wypadek, a śledztwo w jej sprawie umorzone.

Sophie zapytała jeszcze, jak mogłaby się skontaktować z Joe Rooneyem, oficerem, który zadzwonił do niej w sprawie identyfikacji Harringtona.

- Joe mieszka tuż pod Barrow - powiedział oficer. - W tym tygodniu ma wolne, ale jestem pewien, że gdybyśmy do niego zadzwonili, to przyjechałby z panią porozmawiać.

Jack zapytał, w jaki sposób Harrington zdołał dotrzeć w tak odległe miejsce, gdzie rozbił namiot. Jeden z oficerów zasugerował, że mógł polecieć prywatnym lotem do Fairbanks, a potem wyczarterować mały samolot do Inook.

- To wioska położona najbliżej miejsca obozowiska Harringtona. W Inook mieszka zaledwie kilka osób. Z pewnością ktoś stamtąd musiał go widzieć. Małe samoloty przywożą tam żywność. Założę się, że był pasażerem jednego z nich. A to dosyć łatwo sprawdzić.

- Jak blisko oceanu był jego obóz? - zapytała Sophie.

- Bardzo blisko - odparł oficer, odwracając się i wskazując palcem na mapę wiszącą na ścianie.

Wieczorem Jack wśliznął się do łóżka obok Sophie i objął ją ramionami. To łóżko małżeńskie nie było już tak ciasne jak to z poprzedniego noclegu, ale nadal chciał mieć ją blisko przy sobie.

- Jutro porozmawiamy z Rooneyem, a potem polecimy do Inook. Później wracamy do domu. Zgoda, Sophie?

- Zgoda - odpowiedziała.

Sophie długo nie mogła zasnąć. Myślała o Harringtonie. Nie mógł z własnej woli wybrać się w takie miejsce pod namiot. Była tego pewna. W głowie mu były tylko nagrody i wyróżnienia, oraz robienie wrażenia na ludziach swoim bogactwem. Samotny kemping? Nie ma mowy. Ktoś albo coś musiało sprowadzić go tutaj, na to lodowate pustkowie.

Wszyscy, z którymi rozmawiała, natychmiast spisywali go na straty, ale Sophie rozumiała ich podejście. Mimo to nękały ją

wątpliwości. Nie potrafiła zamknąć sprawy śmierci Harringtona w małe pudełko i odsunąć w niepamięć. Musiała odkryć całą prawdę na jej temat.

*Wpis do dziennika numer 748 Obóz Arktyczny*

*Od tygodnia znowu jesteśmy w obozie.*

*K-74 przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Ricky jest silniejszy i bardziej żwawy niż kiedykolwiek. Na szczęście Brandon i Kirk są tak zajęci swoimi badaniami, że nie wchodzi nam w drogę. Erie chce przyspieszyć w kwestii danych na temat ludzi. Ja muszę być tym cierpliwym i skrupulatnym. Jeśli nie utrzymam go w ryzach, Erie może nas wydać i wszystko zepsuć.*

*Wszyscy mamy nerwy napięte do granic możliwości. Najchętniej pozbyłbym się stąd Brandona i Kirka. Męczą mnie już ich nieznoszące sprzeciwu i pewne siebie opinie na ich własny temat. Wydaje im się, że świat padnie na kolana, kiedy ujrzy wyniki ich badań. Gdyby tylko wiedzieli, jak drugorzędna jest ich praca w porównaniu z naszą.*

*Najgorszy jest Brandon. Stale biadoli o presji, jaką wywiera na nim fundacja, żeby coś wreszcie opublikował. To jego jęczenie i obawy dokuczają nam wszystkim. Nie spał nawet przez chwilę, odkąd tu jest, bo cały czas pracuje. Nie mogę powiedzieć, żebym mu współczuł. Zachowuje się tak, jakby był najważniejszy z nas wszystkich, a my tylko jedziemy na jego zaangażowaniu i pracy.*

Jack pomyślał o wielu sprawach naraz. Zadzwoił do biura FBI w Chicago i rozmawiał z agentem, który gromadził dla niego informacje. Potem zadzwonił do oficera Joego Rooneya do domu i umówił się z nim na spotkanie.

Łatwiej było Rooneyowi przyjechać do nich, bo mieszkał kilka kilometrów na południowy zachód od Barrow, w miejscu, które ciężko byłoby znaleźć każdemu, kto nie znał dobrze okolicy. Poza tym był świeżo upieczonym mężem, a jego żona chciała zrobić zakupy. Jack zgodził się zorganizować ich spotkanie w ulubionej restauracji Rooneya o nazwie Czerwona Foka.

Rooney przybył jako pierwszy i kiedy Jack i Sophie weszli do środka, wstał od stołu w głębi i pomachał im.

Uścisnęli sobie dłonie i usiedli, po czym Rooney zaproponował, żeby spróbowali gulaszu z mięsa wieloryba.

- To ostre danie, ale wychowałem się na nim i uwielbiam je. Niestety, moja żona jest z Anchorage i do tej pory nie opracowała metody przyrządzania go, więc mogę je zjeść tylko wtedy, gdy jestem tutaj.

Jack był odważniejszy niż Sophie. Ona zamówiła kanapkę, a on zaryzykował z gulaszem. Przełknął tylko dwa kęsy, kiedy zdecydował, że także chce kanapkę.

Joe tymczasem zajadał się ze smakiem.

- Domyślam się, że trzeba wychować się na takim jedzeniu, żeby je polubić - skwitował.

Jack postanowił przejść do meritum.

- Proszę opowiedzieć nam wszystko od początku. Kto znalazł szczątki Harringtona?
- Pilot helikoptera. Nazywa się Massack i znam go od lat. Nawet chodziliśmy razem do liceum. On i drugi pilot, Walters, latali blisko wybrzeża, sprawdzając wędrówki niedźwiedzia. Powiedział mi, że wylądowali śmigłowcem w pobliżu jakichś śladów i niemal potknęli się o ludzką stopę. Był w szoku, kiedy ją zobaczył.
- Fakt, coś takiego może zaskoczyć. - Jack pokiwał głową.
- Kiedy pakował nogę, dostrzegł róg wizytówki. Wyciągnął ją i odczytał z niej pani nazwisko. - Joe odsunął pusty talerz i oparł się na stole łokciami. - Ślady prowadzące od szczątków były jeszcze świeże. Domyślił się, że to robota niedźwiedzia polarnego, a po wielkości śladów nabrał pewności, że to był Barry. Nie ma tu innego tak wielkiego niedźwiedzia.
- Kiedy znaleziono portfel? - zapytała Sophie.
- Jakiś tydzień później. Przeszukaliśmy okolicę bardzo dokładnie i znaleźliśmy tylko strzępy namiotu. - Pokręcił głową. - Dziwne miejsce na rozbijanie namiotu, ale tam go znaleźliśmy. Jack odchylił się w tył i położył ramię na oparciu krzesła Sophie.
- Znaleźliście coś jeszcze?
- Trochę plastiku - powiedział Rooney. - Jakieś fragmenty, które wyglądały jak części aparatu. Wysłaliśmy je do laboratorium razem z tym, co zostało z namiotu.
- Jak Paul zdobył mój numer telefonu? Zadzwoił do mnie tuż po telefonie oficera. - Sophie zwróciła się do Jacka.
- Paul Larson? - spytał Rooney. - Dzwonili do mnie z Dead-horse i pytali, czy znam kogoś o tym nazwisku.
- Tak, mówił, że współpracuje z policją i przeprowadza własne śledztwo - wyjaśniła Sophie.
- Mogę już teraz powiedzieć, że nie współpracuje z nami nikt spoza departamentu. Ten człowiek zadzwonił do pani zaraz po moim telefonie? To dziwne. Nawet nie zdążyłbym zapisać



tych informacji w raporcie. Jak sądzicie, o co chodzi temu mężczyźnie?

- Chciałbym to wiedzieć - powiedział Jack.

Jeszcze przez jakiś czas rozmawiali o Larsonie, po czym Sophie zmieniła nieco temat.

- Jak rozumiem, szczątki Harringtona znaleziono w pobliżu wioski zwanej Inook. Mam nadzieję, że ktoś stamtąd go widział. Przecież ten człowiek nie spadł z nieba razem ze swoim namiotem. - Nagle przypomniała sobie o czymś jeszcze. - Paul wspomniał o dwóch braciach o nazwisku Coben, którzy są myśliwymi. Mówił, że rozmawiali z Harringtonem, ale mogę się domyślać, że to także kłamstwo. Słyszał pan kiedykolwiek o Cohenach?

- Nie, nie słyszałem - odparł Joe. - To z pewnością kolejne kłamstwo, ale popytam gdzie się da.

- Proszę powiedzieć coś o Inook - wtrącił się Jack.

- Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Mieszka tam garstka ludzi, ale nie są mocno rozproszeni, a to dobrze, jeśli chcielibyście z nimi wszystkimi porozmawiać. Prosto na północ od wioski jest ocean, a na wschód od Inook znajdują się zabudowania badawcze. Jest tam paru naukowców, którzy badają zwyczaje wilków. Zdaje się, że to biolodzy.

- Ilu ich tam jest?

- Chyba czterech. Późną jesienią wyjeżdżają, by ponownie wrócić na wiosnę.

- Zwyczaje wilków? - spytała Sophie.

- Relacje w stadzie, kto nim dowodzi i takie rzeczy. Wygląda na to, że są tacy, którzy chcą posiadać taką wiedzę, bo badacze ciągle dostają nowe granty na kontynuację badań. A mnie się zdaje, że obserwowanie całymi miesiącami grupki wilków musi być bardzo nudne. - Potem wrócił do tematu Inook. - Małe samoloty przywożą zaopatrzenie, a ludzie robią zapasy na ciemne dni zimy. Stoi tam mała chatka, którą ktoś opuścił wiele lat temu, i jeśli pogoda nie sprzyja, piloci mogą się w niej schronić. Dbają też, żeby zawsze był w niej prowiant i najpotrzebniejsze rzeczy.

**240**

- Czym zajmują się ludzie, którzy tam mieszkają? - zaciękała się Sophie.

- Łowią ryby - odparł Joe z uśmiechem. - Ich sklepem spożywczym jest właśnie ocean.

- Czy zechciałby pan zorganizować mi spotkanie z pilotami, którzy znaleźli Harringtona? - spytał Jack. - Chciałbym usłyszeć ich wersję. Nie wątpię w pańską - dodał natychmiast - ale może zapomnieli o czymś wspomnieć.

- Rozumiem. Załatwię to. Chce pan, żebym był przy tej rozmowie?

- Dobrze by było.

- Wiem, że obaj są teraz w mieście. Czy bardzo zależy wam na tym, żebym pojechał z wami do Inook? Mógłbym wyruszyć późnym popołudniem.

- Nie, dziękujemy za propozycję. Ale wtedy będzie się już ściemniać - powiedziała Sophie, myśląc, że będą musieli zaczekać do następnego dnia rano.

Jack uśmiechnął się na jej słowa.

- Wyjźnij lepiej przez okno. Tu jest ciągle ciemno.

- Nie, jest tylko lekkie zachmurzenie - sprostował Rooney. - Jeszcze przez godzinę słońce będzie w górze. Od połowy listopada pozostaje w ukryciu.

- Jak długo go nie oglądacie? - spytał Jack.

- Jakies sześćdziesiąt pięć dni, ale przez ten czas nie jest zupełnie ciemno. Moja żona jeszcze nie przywykła do naszych dni. Wychowała się w Iowa, a w Anchorage mieszkała przez kilka lat, zanim ją poznałem. Próbuję ją przekonać, że tu jest romantycznie.

Jack uznał to za dość naciągany argument.

Jakiś czas później Joe Rooney przyprowadził pilotów, Massacka i Waltersa, do hotelu na spotkanie z Jackiem, a Sophie została w pokoju, starając się zacząć pisanie artykułu o ludziach z Barrow. Potrzebowała chwili spokoju i pretekstu, żeby pomyśleć o czymś innym niż William Harrington, bo przez cały czas w jej głowie kołatały się kłamstwa Larsona.

Jack wrócił późno i Sophie już spała. Zostawiła zapaloną lampkę przy łóżku, a jej laptop leżał obok. Jack odłożył klucz do pokoju na stolik. Przeczytał kilka pierwszych zdań jej artykułu, które zaciekały go na tyle, że wziął laptop i przeczytał cały tekst do końca.

Sophie pisała o parze starszych ludzi, których spotkali w restauracji. Nazywali się Samuel i Anna. Jack był pod wrażeniem, jak dokładnie Sophie przytoczyła wszystkie informacje, które podali. Ale jeszcze większe wrażenie zrobiło na nim to, jak pięknie odmalowała relację między tymi ludźmi, przedstawiła ich życie, jakby byli bohaterami opowieści. Samuel i Anna znali się od czasów studiów i obydwójce śmiali się, mówiąc, że to była miłość od pierwszego wejrzenia. Odchowali dzieci i po czterdziestu latach małżeństwa obserwowali, jak teraz ich dzieci wychowują swoje. Sophie opisała sposób, w jaki Samuel patrzył na Annę, jakby nadal była najpiękniejszą dziewczyną, jaką spotkał w życiu, a Jack natychmiast przypomniał sobie twarz tego staruszka. W oczach Samuela malowała się miłość do jednej kobiety na całe życie.

Jack siedział jeszcze jakiś czas na brzegu łóżka i rozmyślał nad artykułem. Myślał też o Sophie. Kiedy wreszcie wsunął się pod kołdrę, delikatnie otoczył ją ramionami, pocałował w czoło i zasnął.

Następnego ranka, kiedy Sophie brała prysznic, Jack skontaktował się z Alekiem. Wyszła z łazienki ubrana, a kiedy się pakowała, Jack chodził po pokoju. Zasunęła swój bagaż podręczny, położyła go obok kurtki i usiadła na skraju łóżka, czekając. Jack w końcu zauważył, że mu się przygląda.

Przekrzywił głowę. » - Co? - zapytał.

- To ty mi powiedz - odparła. - Coś cię gryzie. Stało się coś, kiedy byłam pod prysznicem?

- Próbuję coś przemyśleć. Pamiętasz jeszcze, co powiedział ci Larson?

- Owszem - kiwnęła głową. - Wygooglował mnie.

- Co takiego?
  - Powiedział, że znalazł mnie przez Google i patrzy na moje zdjęcie. Teraz przyprawia mnie to o dreszcze - dodała.
  - Gdzie znalazł twoje zdjęcie?
  - Gazeta czasami umieszcza moje zdjęcie obok artykułu - wyjaśniła. - Daj spokój, Jack. Wiesz przecież, że w tych czasach każdy może znaleźć coś o innych w internecie.
  - Ten facet zadał sobie wiele trudu, żeby cię tu ściągnąć. Nie wiemy, kim jest i nie znamy jego zamiarów. Skłaniam się ku temu, żebyśmy zmienili plany.
- Sophie uniosła dłoń.
- Wiem, co zaraz powiesz. Mamy wracać do Chicago, tak? Zgadzam się, ale najpierw pojedziemy do Inook. Tak daleko się zapuściłam, i nie chcę jeszcze wyjeżdżać. Przecież kilka dodatkowych godzin nam nie zaszkodzi. To mała wioska na wybrzeżu. Porozmawiam z kimś, kogo tam spotkamy i potem możemy wracać.
  - Nie, sądzę, że lepiej będzie...
  - Jack - przerwała mu - jadę z tobą lub bez ciebie.
  - Oj, Sophie - w jego głosie brzmiało rozbawienie. - Jakie to urocze.
  - Urocze? - spytała podejrzliwie.
  - To urocze, że wydaje ci się, że masz coś do powiedzenia. To ty jedziesz tam, gdzie ja, a nie na odwrót.
  - Chcesz się założyć? - powiedziała i skrzyżowała wyzywająco ramiona na piersi.

*Wpis do dziennika numer 761 Obóz Arktyczny*

*Co za straszny dzień!*

*Dziś rano Brandon był tak pobudzony, że bałem się, że zrobi coś drastycznego. Powiedziałem Ericowi w żartach, że chyba Brandon zażył dawkę K-74, nie mając pojęcia, że Erie naprawdę mu ją podał.*

*Okolo godziny 15 serce Brandona się zatrzymało. Zadzwoniliśmy po helikopter medyczny, ale było już za późno.*

*Kiedy przylecieli, on już nie żył.*

*Widać było, że Erie jest przerażony. Kiedy go zapytałem, przyznał, że wstrzyknął Brandonowi K-74, mówiąc, że to lekki środek uspokajający. Teraz dowiedzieliśmy się, że Brandon utrzymywał w tajemnicy swoje problemy z sercem.*

*Kirk twierdzi, że nie będzie autopsji. Całe szczęście dla nas.*

Dwie godziny później Jack i Sophie wylecieli do Inook. Jedną z godzin spędzili na zażartej kłótni, ale Sophie była pewna, że Jack w końcu się podda.

Kiedy znaleźli się w powietrzu, Chipper zapytał Jacka, czy nie mieliby nic przeciwko, gdyby w drodze powrotnej do Barrow zrobili sobie mały postój.

- Wiozę zaopatrzenie, które powinienem zostawić w jednej z wiosek na wybrzeżu. To nie zajmie dużo czasu, a mógłbym oszczędzić sobie jutrzejszego lotu.

- Planujemy spędzić w Inook większość popołudnia, więc może poleci pan z zaopatrzeniem i wróci po nas? - zasugerował Jack.

- Nie będziecie musieli na mnie czekać - zapewnił ich z wdzięcznością Chipper.

- Kiedy zbliżymy się do Inook, może mógłby pan zrobić kółko, żebym przyjrzał się okolicy? Chciałbym zobaczyć, gdzie znajdują się chaty naukowców.

Pilot z radością spełnił jego życzenie. Przeleciał ponad wodą, a potem nad zgrupowaniem budynków z prefabrykatów, połączonych ze sobą podobnie jak hotel w Deadhorse.

- To tutaj mieszkają ludzie, którzy obserwują wilki. Słyszałem, że całkiem sprytnie to sobie urządzili i mają antenę satelitarną i odtwarzacze dvd. Wiem, bo przywoziłem im płyty. Oglądają dużo filmów, kiedy nie mogą wyjść na zewnątrz.

Zabudowania wyglądały na opuszczone, ale świeży śnieg

zasłoniłby każde ślady stóp. Jednak ze środka budynków nie padało żadne światło.

- Pewnie zamknięte na zimę - stwierdziła Sophie.

Hałas silnika zagłuszył jej głos, więc ani Jack, ani Chipper nie usłyszeli jej uwagi.

Przelecieli jeszcze nad Inook i wylądowali. Jack rozsunął torbę, wyjął dodatkowy zapas naboju i wsunął go do kieszeni narciarskiej kurtki. Drugi zestaw podał Sophie i kazał jej schować go w kieszeni.

- Spodziewacie się problemów? - zapytał Chipper.

- Nie. Po prostu lubię być przygotowany - odparł Jack.

- Przesadzasz - powiedziała Sophie, wysiadając z samolotu. - Nie wybieramy się na wojnę.

Jack nie odpowiedział. Po chwili stali obok siebie i obserwowali odlatujący samolot. Nagle znaleźli się całkiem sami po środku białego pustkowia.

Sophie obróciła się dookoła, wypatrując śladów życia. Nie dochodził do nich żaden dźwięk.

- Jack, mogłabym też dostać broń? - spytała drżącym głosem.

- To jednak się denerwujesz? - zapytał. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. - Pora zastukać do drzwi i mieć nadzieję, że nie otworzą ich nam strzelbą.

- Jesteś taki nieufny - stwierdziła.

Z trudem oddychała, gdyż mróz sprawiał, że czuła, jakby jej płuca miały zaraz zamarznąć i w każdej chwili mogły pęknąć.

- Czy na takim pustkowiu i dziczy otworzyłabyś komuś obcemu drzwi bez najmniejszego zabezpieczenia się? - spytał, po czym dodał: - Zresztą nieważne. Znam odpowiedź. Ty byś otworzyła.

r- A ty nigdy sobie nie odpuścisz?

Szedł przed nią, więc nie widziała uśmiechu na jego twarzy.

- Nie odpuszczę czego?

- Tego, że wyjrzałam przez to piekielne okno i zostałam postrzelona.

Jack pomyślał o Samuelu i Annie. Czy kiedykolwiek sprze-

czali się tak jak on i Sophie? A jeśli tak, to czy mieli z tego tyle samo radości?

Teren był płaski, ale Sophie czuła, jakby wspinali się pod wielką górę. Oczywiście Jack nie dostał nawet najmniejszej zadyszki. Ten facet musiał być w doskonałej formie. Zresztą powinna to wiedzieć, pomyślała, przypominając sobie twardość jego mięśni pod palcami.

- Czy Joe nie mówił, że domy są tutaj blisko jeden drugiego?

- wysapała.

- Tak mówił. Ale pewnie według norm Alaski. Zdawało jej się, że przeszli kilometr, gdy znaleźli pierwszy dom, ale Jack zapewniał ją, że to nie była nawet jedna czwarta kilometra. Tak jak większość tutejszej zabudowy budynek był z prefabrykatów. Miał jedno okno na ścianie z drzwiami, a obok schodów stały zaparkowane dwa skutery śnieżne.

Indianka, która otworzyła im drzwi, wyglądała na zaskoczoną.

- Zdaje się, że nie widują tutaj zbyt wielu akwizytorów

- szepnęła Sophie.

Kobieta dała im znak, żeby weszli do środka, a Sophie poczuła ulgę, wchodząc do nagrzanego pomieszczenia. Jack zadał kilka pytań, ale kobieta nie była chętna do rozmowy.

- Ma pani piękny dom - zagaiła Sophie.

Potem powiedziała kilka słów o sobie i dlaczego postanowiła zawitać w te strony. Po paru minutach kobieta opowiadała już historię swojego życia. Miała na imię Mary i była matką trójki zdrowych dzieci. Jej mąż zajmował się rybołówstwem, razem z sąsiadem. Kiedy Mary poczuła się już bezpiecznie w ich towarzystwie, podzieliła się informacjami o wiosce i jej mieszkańcach.

- Gdyby jedno z nas spotkało tego mężczyznę, o którym mówicie, wszyscy by o tym wiedzieli. Dziś jeszcze przed wieczorem wszyscy będą rozprawiali o kobiecie z niebieskimi oczami i jej przystojnym mężu. - Pokręciła głową i powiedziała z przekonaniem: - Nie było tu żadnego Harringtona. Czy ten mężczyzna zaginał?



- Nie, miał nieszczęśliwy wypadek. Zabił go niedźwiedź polarny.

Mary pokiwała z rozwagą.

- Ach tak. Barry go pożarł. Nie znaliśmy nazwiska tego człowieka. A teraz już znamy. William Harrington.

- Czy poznała pani naukowców, którzy zajmują się badaniami nad wilkami? - zapytała Sophie.

- Nie. Nie spoufalają się z nami. Obserwują wilki i czasem nas także. Może prowadzą też badania nad nami?

Mary nalegała, żeby zostali u niej na posiłku. Wiedząc, że odmawiając takiej uprzejmej propozycji, można urazić gospodynię, Sophie postanowiła uprzedzić Jacka i zabrała głos, zanim on zdążył.

- Jedliśmy tuż przed przyjazdem tutaj, ale z przyjemnością napiłabym się czegoś gorącego.

Parząc herbatę, Mary opowiedziała im o pozostałych mieszkańcach wioski.

Potem wskazała im drogę do trzech sąsiadów, o których wiedziała, że są w domu.

Kolejną godzinę spędzili, pukając do drzwi i zadając pytania.

- Powinniśmy byli posłuchać Mary - stwierdziła Sophie, kiedy wyszli z ostatniego domu. - Mówiła nam, że nikt tu nie widział Harringtona, i miała rację. To bardzo miła kobieta, prawda?

- Zdobyłaś jej serce - powiedział.

- Myślisz, że moglibyśmy zatrzymać się w tej opuszczonej chacie, o której mówił Joe? Zimno mi. Mróz wydaje mi się silniejszy od czasu, kiedy ogrzałam się w domu Mary.

Jack objął ją ramieniem.

- Jasne. Zdaje się, że wykonaliśmy nasze zadanie tutaj. Chipper niedługo po nas przyleci. - Wskazał palcem na drewnianą chatę stojącą pięćdziesiąt metrów przed nimi. - To pewnie tam.

Tulił ją mocno kiedy szli do chaty, a Sophie modliła się, żeby w środku zastali sprawny piecyk, który da się od razu podłączyć.

- Zdaje się, że nigdy nie dowiem się, dlaczego Harrington tu przyjechał - stwierdziła.  
Weszli po schodkach i stanęli przed drzwiami. Jack sięgnął po klamkę dokładnie w chwili, kiedy głośny huk wypełnił powietrze i coś roztrzaskało drewno, którego drzazgi rozprysnęły się wokół twarzy Sophie. Reakcja Jacka była natychmiastowa. Otworzył drzwi i wepchnął Sophie do środka, osłaniając ją swoim ciałem, kiedy obydwoje padli na podłogę.

*Wpis do dziennika numer 807 Chicago*

*Nie możemy pozwolić sobie na kolejny błąd, jak ten, który popełnił Erie z Brandonem. Jeśli Projekt Alfa ma być dalej prowadzony, to musimy być rozważni i ostrożni. Oczyszciliśmy formułę leku i wierzymy, że zdołaliśmy opracować właściwą dawkę.*

*Rozpoczęliśmy próby na ludziach i byliśmy zaskoczeni liczbą ochotników. To niesamowite, ilu ludzi gotowych jest poddać się testom, jeśli odpowiednio zagra się na ich ego. Nawet zmuszeni przez nas do dochowania tajemnicy, chcą w ten sposób coś sobie udowodnić.*

*Wydaje im się, że testują środek dietetyczny. Przekazaliśmy im tylko tyle informacji, żeby pozyskać ich zaufanie i chęć współpracy.*

*Wyniki są fantastyczne. Lepsze nawet, niż się spodziewaliśmy. Wprowadzenie czynnika stresu było szczególnie ekscytujące. Kolejnym krokiem będzie zwiększenie stresu, żebyśmy mogli zbadać, jaki ma wpływ na wyniki.*

Kolejny huk. Zabrzmiało to tak, jakby demoniczna siła rozplątała na pół całe Inook. Jack kopniakiem zatrzaskał drzwi chaty i odciągnął Sophie z linii ognia.

- Czy to był...? - wyszeptała przerażona.

- Szybkostrzałowy karabin. Nie wstawaj! - Jego głos był twardy, pełen gniewu.

Nie musiał jej powtarzać. Choć jej ciało zareagowało natychmiast, to jej umysł dopiero po paru sekundach zarejestrował fakt, że ktoś próbuje ich zabić.

Jack zerwał z dłoni rękawiczki, sięgnął po pistolet i przeturlał się pod okno. Oparł się plecami o ścianę i wsłuchiwał w ciszę, czekając na dźwięk, który powie mu, skąd padł strzał.

Minęło dziesięć sekund. Potem kolejne dziesięć i nic. Powoli uniósł się, żeby wyrzeć przez okno, ale nie było można nic zobaczyć. Wiał bardzo silny wiatr, który podrywał śnieg z ziemi, a dodatkowo sypało z nieba.

Sophie przeczłgała się do przeciwległej ściany, a potem uniosła i usiadła, opierając się o szafkę. Rozejrzała się po chacie, szukając czegokolwiek, co posłużyłoby im do obrony. Pomieszczenie było skąpo umeblowane. Oprócz szafki był tam stół i krzesło oraz składane łóżko. Gruba zasłona, zawieszona w celu dodatkowej ochrony przed mrozem, była odwieszona na hak obok małego okna, które było jedynym źródłem światła.

Kolejna seria wystrzałów dosięgła ścian chaty. Niektóre z kul przedostały się do środka i wbiły się w stół i krzesła.

- Schowaj się za szafką! - krzyknął Jack.

Sophie rzuciła się, by wykonać jego polecenie i przykucnęła dokładnie w chwili, gdy kula dosięgnęła puszeki stojącej na półce nad jej głową. Fasola po bretońsku. Puszka zakręciła się, poleciała na ścianę, a potem spadła na podłogę. Strzelec zuchwale zbliżał się coraz bardziej. Jack usłyszał odgłos silnika w oddali. Znowu wyrzwał przez okno i przez śnieżycę dostrzegł światło kołyszące się w okolicach, gdzie parę godzin temu wylądował Chipper. To musi być skuter śnieżny. Średnica światła zwiększała się, a odgłos silnika stawał się coraz głośniejszy.

- Bez względu na wszystko, nie podnoś się - krzyknął Jack do Sophie.

- Jack, uważaj! Uważaj... proszę cię.

Sophie patrzyła, jak Jack podnosi się i sięga do klamki drzwi. Uchylił je na nie więcej niż dwa centymetry.

Wyciągnął ręce przed siebie i wymierzył broń, czekając, aż skuter śnieżny się zatrzyma. Nadal był za daleko na strzał. Musiał podjechać bliżej.

- Jeszcze bliżej. Jeszcze trochę - mówił do siebie spokojnie.

Jego życzenie się spełniło. Skuter podjechał do chaty i zatrzymał się. Strzelec wyłączył silnik, ale zostawił włączone światła. Zsiadł z pojazdu, stanął obok i uniósł w górę karabin. Jakby zdając sobie sprawę z tego, że jest świetnie widoczny w świetle skutera, opuścił broń i pochylił się przez siedzenie, żeby wyłączyć reflektory.

Przez chwilę znalazł się na tle światła. To wystarczyło Jackowi. Jedną ręką pchnął drzwi i wychylił się, oddając strzały. Pierwsza kula trafiła mężczyznę w ramię, a siła strzału obróciła nim dokoła. Druga kula przeszła mu szyję. Był martwy, zanim upadł na ziemię.

Podmuch wiatru przymknął drzwi chaty i Jack musiał je mocno przytrzymywać, żeby pozostały uchylone, gdy on przebiegał wzrokiem po okolicy w poszukiwaniu kolejnego celu. Dał znak Sophie, żeby została tam, gdzie jest, i zniknął w śnieżnej zadymce.

Sophie leżała, trzęsąc się przez, jak jej się zdawało, całą wieczność. Czuła się bezradna. Jej telefon nie miał zasięgu, a ludzie w tej maleńkiej wiosce też nie mieli telefonów, więc nie było możliwości wezwać pomoc. Każda minuta nieobecności Jacka była niczym godzina. Co się dzieje? Czy jest cały i zdrowy? Dlaczego jeszcze nie wraca?

W chacie było zimno jak w chłodni, więc szczękała zębami, ale chyba bardziej ze zdenerwowania. Nie mogła już dłużej tak beczynnie czekać. Wstała i podbiegła do drzwi. W chwili, gdy sięgała do klamki, drzwi otworzyły się. Stał w nich Jack z karabinem strzelca.

Objął Sophie wolnym ramieniem i wciągnął ją z powrotem do środka, po czym zaryglował drzwi. Najpierw zapalił świecę stojącą na stole, a potem zaczął się rozglądać za czymś, co mogłoby ogrzać pomieszczenie.

Sophie ostrożnie podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła martwe ciało na śniegu.

- Skąd on przyjechał? - spytała. Ale zanim zdołał jej odpowiedzieć, pomyślała o wiosce. - A co z Mary i innymi mieszkańcami?

- Jeśli są wystarczająco mądrzy, to zaryglują drzwi i zostaną w domach.

Sophie ledwie widziała kształty domów w oddali. Nie dostrzegła w ich pobliżu żadnego ruchu, więc jej wzrok znowu powędrował do martwego ciała.

- Co teraz zrobimy? - zapytała.

- Na razie zostaniemy tutaj - odparł. - Jeśli nie pojawi się następny, to przesuniemy gdzieś ciało. Ktoś mógłby go zacząć szukać.

Jack znalazł grzejnik naftowy i podłączył go. Sophie pocierała dłonie i przestępowała z nogi na nogę, kiedy Jack uruchamiał grzejnik. Na stole leżał karabin, zabrany martwemu mężczyźnie. Do niego przytwierdzona była luneta.

- Jack, kim był ten facet? - spytała.

- Nigdy wcześniej go nie widziałem. A ty, może widziałaś go w Deadhorse albo w Barrow?

- Z tej odległości nie widzę twarzy - odparła, po czym zasłoniła okno zasłoną.
- Jack podszedł i stanął przed nią. Była blada i roztrzęsiona. Objął ją ramionami.
- Nie dopuszczę, żeby coś ci się stało.
- Sophie złapała go za kołnierz kurtki i przyciągnęła do siebie jeszcze mocniej.
- Wiem. A ja nie pozwolę, żeby tobie coś się stało. Ty masz pistolet, a ja mogę wziąć ten karabin?
- Sądzisz, że dałabyś sobie z nim radę?
- Gdybyś mnie poinstruował... - Spojrzała na drzwi. - Dlaczego to się dzieje? Dlaczego ktoś chciał nas zabić?
- Nie wiem - odparł. - Ale się dowiem.
- Skąd się wziął ten facet? - spytała jeszcze raz. - Mary mówiła, że mężczyźni z wioski wracają późno wieczorem.
- Przyjechał ze wschodu, a jedyne zabudowania, jakie znajdują się w tym kierunku, to stacja naukowców.
- Pamiętam - potwierdziła podekscytowana Sophie. - Chipper mówił nam, że mają tam najnowocześniejsze wyposażenie. Jeśli mają telefon satelitarny, moglibyśmy zadzwonić na policję w Barrow i wezwać pomoc.
- Zaczekamy, aż przyleci Chipper. Nie możemy bardziej ryzykować.
- Jak możesz być tak spokojny?
- Ćwiczenie czyni mistrza - powiedział.
- Uśmiechnął się, ale wewnątrz czuł narastający gniew. Miał ochotę zastrzelić tego sukinsyna jeszcze kilka razy.
- Przeszedł przez pokój i zatrzymał się przy oknie, gdzie uchylił lekko zasłonę, na tyle, żeby móc obejrzeć teren przed chatą. Minęły kolejne minuty i nikt się nie pojawił.
- Idę przestawić skuter śnieżny i przenieść ciało za chatę - w końcu się odezwał. - A ty zabarykaduj drzwi, kiedy wyjdę.
- O, nie. Nie ma mowy - zaprotestowała. - Nie zamierzam tu znowu na ciebie czekać.
- W takim razie trzymaj się tuż za mną - ostrzegł ją Jack.

Wyszedł pierwszy na zewnątrz. Panowała tam upiornie martwa cisza.

Sophie podeszła za Jackiem do skutera. Na tle białego śniegu krąg krwi rozlanej wokół głowy strzelca wyglądał na czarny. Zebrała się w sobie i spojrzała na twarz mężczyzny.

- Znam go - powiedziała i krzyknęła przerażona.



*Wpis do dziennika numer 874 Chicago*

*Znaleźliśmy idealnego kandydata do badań. Jest bardzo wysportowany i zgłosił się do projektu, wiedząc, że może być testowany w każdej chwili. Ma przerośnięte ego, przez co za wszelką cenę chce sobie coś udowodniać. Dodatkowo nie ma żadnej rodziny i bardzo niewielu znajomych. Gdyby musiał zniknąć na kilka tygodni, nikt nie będzie za nim tęsknił.*

Sophie odsunęła się od ciała. - Chicago - powiedziała. - Rozmawiałam z nim w Chicago. Był nieuprzejmy i pomyślałam sobie, że wygląda jak osiłek z kreskówki.

Jack przyklęknął i skrupulatnie przeszukał wszystkie jego kieszenie w poszukiwaniu dokumentów. Znalazł broń, którą zabezpieczył i podał Sophie. W innej kieszeni znalazł dwa magazynki i też jej podał.

- To był recepcjonista - dodała. - Ale odniosłam wrażenie, jakby tylko zastępował kogoś w recepcji.

- Sophie, gdzie to było? - zapytał Jack. - Gdzie go dokładnie spotkałaś?

- W holu apartamentowca, w którym mieszkał William Harrington.

Jeśli ta informacja zaskoczyła Jacka, to tego nie okazał.

- Wracaj do środka, bo zamarzniesz tu na kość.

Jego mina mówiła, że na nic się zdadzą wszelkie argumenty. Ruszyła w stronę chaty, ale po drodze upuściła jeden z magazynków. Wygrzebała go ze śniegu i ścisnęła mocniej, żeby znowu nie zgubić. Gdy znalazła się w środku, położyła broń i magazynki na stole, obok karabinu. Poczowała się trochę bezpieczniej, bo gdyby teraz ktoś zaczął do niej strzelać, to ma już czym się bronić. Mało istotne było to, że nigdy wcześniej nie trzymała pistoletu w dłoni. Jack pokaże jej, jak odbezpieczać i ładować broń. A jeśli będzie musiała strzelać, żeby zabić, to jest na to gotowa.

Przypomniała sobie o plamach krwi na śniegu i wyszła na zewnątrz. Kiedy Jack przeprowadzał skuter za chatę i ukrywał ciało, ona zbierała śnieg i przysypywała nim ślady krwi. Potem zaczęła go udeptywać, żeby wiatr nie zdążył go rozwiać. Zdawało jej się, że temperatura spadła. Czy tu nigdy nie robi się zbyt zimno, żeby padał śnieg, a może to tylko mit pogodowy? Trzeba było uważać na lekcjach geografii a nie flirtować z Billym Gibsonem.

Zanim znaleźli się z powrotem w chacie, już odczuli pierwsze oznaki hipotermii. Sophie nie miała czucia w stopach, ale kiedy chodziła przed grzejnikiem, zaczęła odczuwać kłujący ból w palcach u nóg. Wiedziała, że to dobry znak, mimo że naprawdę ją bolały.

Jack przeszukiwał szuflady w szafce w poszukiwaniu czegośkolwiek, co mogłoby im się przydać na wypadek, gdyby musieli spędzić tu całą noc. Na dnie jednej z szuflad znalazł stertę magazynów porno i latarkę, co wyjaśniało, jak spędzali tu czas niektórzy z pilotów zmuszeni do nocowania w Inook. Baterie były już słabe. Położył latarkę na stole obok innych rzeczy i przyglądał im się przez chwilę.

- To najgorzej wyposażona chata, jaką widziałem - mruknął.

- A co powinno tu być? - spytała.

Zdjęła rękawiczki i zaczęła rozgrzewać dłonie w pobliżu piecyka.

- Cokolwiek. Będziemy potrzebowali więcej nafty, a nie widzę tu zapasów.

- Chipper wkrótce przyleci. - Starła się, żeby jej głos brzmiał optymistycznie.

Jack pokiwał głową.

- Jest tu obok mała szopa. Pójdę tam zajrzeć.

- Może być zamknięta - powiedziała.

- Jeśli tak jest, to rozwalę zamek. - Odślonił okno i rozejrzał się po terenie przed chatą.

- Jack, co ci chodzi po głowie? - spytała podejrzliwie. Nie chciał jej straszyć, ale wolał, żeby była przygotowana.

- Jeśli facet, którego zabiłem, miał przyjaciół, którzy na niego czekają, to możemy mieć jeszcze gości. Musimy być gotowi na wszystko... Tak na wszelki wypadek.

Spojrzał na nią, żeby przekonać się, jak przyjmie tak czarny scenariusz. Ale Sophie zwyczajnie mu przytaknęła.

Zawiązała szalik wokół szyi i założyła rękawiczki.

- Pokaż mi, jak się posługiwać bronią. Jack uśmiechnął się.

- Co?

- Jesteś twardsza, niż by się mogło wydawać.

Wręczył jej pistolet i kilka razy kazał jej go odbezpieczyć i zabezpieczyć, aż nabrał przekonania, że w kryzysowej sytuacji będzie o tym pamiętała. Potem pokazał jej, jak się ładuje magazynek i strzela.

Sophie włożyła dodatkowe magazynki do lewej kieszeni, zasunęła suwak i sprawdziła jeszcze raz, jak się odbezpiecza broń, a potem włożyła ją do prawej kieszeni.

- Idę do szopy. Zaraz wracam - powiedział Jack. Zanim otworzył szerzej drzwi, wyjrzał jeszcze przez szczelinę.

Sophie stanęła tuż za nim.

- Idę z tobą. Mogę pomóc ci przynieść rzeczy, które mogą nam się przydać. - Dała mu kuksańca w plecy. - Pospiesz się, bo wpuszczasz zimno do chaty.

Zamknął za nimi drzwi i ruszył. Sophie szła obok, więc zwolnił nieco kroku, żeby mogła nadażyć.

- Uparłaś się, żeby przyjeżdżać na Alaskę - warknął pod nosem. - A ja tak nienawidzę mrozu.

Zignorowała jego zrzędzenie. Śnieg już nie sypał taki gęsty i Sophie mogła wypatrzyć coś na wschodzie. Na ciemnym horyzoncie rysował się kształt budynku. Joe mówił im, że naukowcy ze stacji badawczej zabierali się stąd na jesieni, ale może temu osiłkowi udało się dostać do środka i tam czekał na nią i Jacka?

- Skąd ten osiłek... to znaczy facet, który do nas strzelał, wiedział, że tu będziemy? Musiał nas śledzić - stwierdziła.

Dotarli do szopy i Jack właśnie starał się otworzyć jej drzwi.

Sophie owinęła się szczelniej szalikiem wokół nosa i ust, żeby odrobinę ocieplić powietrze, które wdychała. Nagle usłyszała jakiś odgłos z'oddali i odwróciła się, spoglądając w zachmurzone niebo nad nimi, spodziewając się, że zobaczy na nim samolot Chippera.

- Słyszałeś...?

Jack złapał ją i pociągnął za szopę.

- Ktoś tu jedzie. Nie ruszaj się stąd.

Ostrożnie wyjrzał zza rogu. Dwa... nie, trzy światła zbliżały się ze wschodu do chaty. Trzech mężczyzn jechało na skuterach śnieżnych z dużą prędkością. Teraz Jack i Sophie nie mogli ryzykować powrotu do chaty, więc czekali. Mężczyźni zwolnili i zaczęli dawać sobie znaki. Jeden ruszył do chaty od strony drzwi frontowych, przystając kilkakrotnie, żeby nikt go nie zauważył. Pozostali dwaj pojechali na tyły chaty. Kiedy mijali skuter śnieżny, który Jack tam zaparkował, nagle się zatrzymali.

- Znaleźli ciało - szepnął Jack.

Jeden z mężczyzn przywołał gestem drugiego i obaj zawrócili i odjechali kilkadziesiąt metrów dalej, żeby się naradzić. Jack widział, jak jeden z nich wyciągnął kanister z benzyną z bagażnika swojego skutera. Tym razem pieszo zakradli się pod chatę. Trzeci mężczyzna zbliżył się do drzwi i wycelował w nie broń, a pozostali dwaj pochyleni przebiegli pod oknem. Jeden wyjął szmatę z kieszeni, zanurzył ją w kanistrze i podpalił. Rozbił szybę i wrzucił szmatę do środka, a ten, który trzymał kanister, wrzucił go do chaty. Przez rozbitą szybę widać było rozbłyskujące płomienie i chata stanęła w ogniu. Mężczyźni przykucnęli w śniegu, czekając, aż Sophie i Jack wybiegną przez drzwi.

Sophie nie mogła wyjąć pistoletu z kieszeni, więc zdjęła rękawiczkę i rozprostowała kilkakrotnie palce, żeby pobudzić w nich krążenie, a potem chwyciła rękojeść broni i położyła palec na spuście.

Jeden z mężczyzn odwrócił się i zauważył ruch przy szopie. Zanim zdążył unieść broń i wymierzyć, Jack wycelował i strzelił. Strzał był celny. Mężczyzna upadł twarzą w śnieg.

Jack odchylił się i ponownie strzelił. Ranił drugiego mężczyznę, trafiając go w ramię, a potem strzelił jeszcze raz. Kula trafiła go w kolano, kiedy próbował odwrócić się do strzału. Upadł, krzycząc na całe gardło. Trzeci mężczyzna zniknął. Po chwili usłyszeli odgłos uruchamiania silnika. Jack podbiegł do mężczyzny wijącego się z bólu i kopniakiem odsunął od niego broń.

Sophie pobiegła za Jackiem.

- Ten nigdzie nie zwieje - krzyknęła, mierząc z pistoletu w głowę mężczyzny. - Goń drugiego.

- Jeśli się ruszy, zastrzel go - przykazał Jack.

Podbiegł do skutera, uruchomił go i ruszył za uciekinierem na wschód. Po chwili ścigany skręcił na północ i gnał na pełnej mocy silnika. Jack uznał, że stracił orientację, gdyż w tamtą stronę nie było nic poza oceanem.

Niebo pociemniało, więc łatwiej było podążać za światłami skutera. Nagle światła zafalowały, a Jack usłyszał odgłos wystrzału. Mężczyzna strzelał do niego. Przy takiej prędkości to tylko kwestia czasu, kiedy straci kontrolę nad pojazdem i sam się zabije. Jack zwolnił, zwiększając tym samym odległość między nimi, a facet uciekał zygzakiem przez śnieg, podczas gdy jego skuter podskakiwał na każdym wyboju.

Ile kilometrów przejechali? Jack czuł, że twarz piecze go z zimna, a oczy szczypią od pędu powietrza. Dokąd on zmierzał? Stracił orientację w terenie? Znajdowali się już niebezpiecznie blisko oceanu.

Lada chwila mężczyzna będzie musiał skręcić albo zawrócić. Jack zwolnił jeszcze bardziej, nie spuszczając z oka uciekiniera.

Nagle usłyszał głośny trzask, który odbił się echem. Po nim nastąpił przerażający krzyk i dźwięk plusku. Światła skutera zwróciły się ku niebu, a potem zniknęły. Kolejny krzyk, a później już tylko cisza.

- Sukinsyn - szepnął Jack. - A to sukinsyn.

Jack spojrzął na lód pod sobą. Uznał, że to mało bezpieczne miejsce, natychmiast zawrócił skuter i czym prędzej odjechał

z powrotem. Kierując się na południe, dostrzegł światło w oddali. Płonąca chata stała się jego latarnią morską. Sophie zaczynała się już denerwować. Jacka nie było bardzo długo. Kiedy usłyszała szum silnika skutera, odetchnęła z ulgą. To musi być on. Musi.

Facet, którego pilnowała, spojrzał na nią.

- FBI już jest w drodze - powiedziała do niego, przestępując z nogi na nogę. Ciepło bijące od płonącej chaty ogrzewało jej twarz, ale stopy nadal miała przemarznięte. Ogień i lód. Dziwnie było obserwować, jak ogień pochłania chatę, topiąc śnieg dokoła niej, a śnieg natychmiast z powrotem zamarza. Przedziwne połączenie: ogień i lód...

Sophie jeszcze nigdy nie cieszyła się tak na czyjś widok. Kiedy Jack podszedł do niej, miała ochotę rzucić mu się na szyję, ale powstrzymała się. Najpierw będzie musiał pomóc jej uwolnić dłoni z uścisku na rękojeści pistoletu. Miała wrażenie, że palec przymarzył jej do spustu.

Jack wyjął broń z jej dłoni i spojrzał na leżącego mężczyznę.

- Jak się nazywasz? - spytał.

- Potrzebuję pomocy medycznej - jęknął facet, ale na jego twarzy malowała się wściekłość.

- Jak się nazywasz? - powtórzył Jack.

- Potrzebuję pomocy... Jack kopnął go w nogę.

- Jak się nazywasz? - powtórzył. Mężczyzna wrzasnął z bólu.

- Carter! Doktor Erie Carter. A teraz sprowadź dla mnie pomoc!

- Jesteś lekarzem? To sam sobie pomóż. Erie zaśmiał się szyderczo.

- Mam doktorat z biologii...

- Zajmujesz się badaniem wilków? - spytała Sophie. Odwrócił głowę w jej stronę.

- Wszystko zmarnowane. Wszystko zepsułaś. Dlaczego nie mogłaś sobie odpuścić?

Usłyszeli warkot silnika samolotu.

- Chipper wrócił - powiedział Jack.

- Czego nie mogłam sobie odpuścić? - zapytała Cartera.

- Obiektu naszych testów. Dlaczego nie zostawiłaś go w spokoju, tylko ciągle tropiłaś?

- Masz na myśli Williama Harringtona? - spytała zaskoczona.

- Durna babo, po co się wtrącałaś?!

- Co takiego testowaliście? - zapytała Sophie. - Co mu zrobiliście?

Nie odpowiedział.

- Chodź, Sophie - powiedział Jack. - Odprowadzę cię do samolotu i wrócę po niego. Musisz się rozgrzać.

Doktor Carter nigdzie się nie wybierał. Jack wskoczył na skuter, a Sophie usiadła za nim. Jack dał znak Chipperowi, żeby został tam, gdzie jest, bo to oni do niego podjadą. Otworzył przed Sophie drzwi samolotu, a ze środka buchnęło ciepło, które przyjemnie rozlało się wokół jej twarzy. Kiedy już usiadła, Jack wszedł do środka i zamknął drzwi. Nie obchodziło go, że Erie będzie musiał jeszcze na niego poczekać na mrozie, kiedy on się ogrzeje. Kilka minut go nie zabije.

- Zawiadom policję z Barrow - powiedział do Chippera i szybko wyjaśnił, co się stało.

Błękitne oczy pilota zrobiły się wielkie jak spodki, a kiedy Jack skończył wyjaśnienia, wyglądał zupełnie jak przerażony cocker spaniel.

- Co pan zamierza zrobić z Carterem? - spytał po chwili.

- Związę go i wrzucę do luku bagażowego.

Kiedy już uznał, że da radę ponownie wystawić się na działanie mrozu, wysiadł z samolotu i poszedł w stronę miejsca, w którym zostawił Erica Cartera. Zdało mu się, że zauważył jakiś ruch przed sobą, więc zwolnił, a po chwili się zatrzymał. Światło skutera odbijało się w dwóch małych punkcikach. To była para oczu. Świecące czerwienią oczy wpatrywały się w niego. Odwrócił światła skutera i zobaczył kolejne cztery



pary oczu. Około trzydziestu metrów od Erica stała grupka wilków.

Jack usłyszał ich wygłodniałe warknięcia. Skupił wzrok na największym osobniku, który stał na czele stada. Był ogromny. Na białej sierści miał czarną pręgę przebiegającą wzdłuż kręgosłupa. Ich spojrzenia spotkały się i przez chwilę Jack czuł, jak zwierzę patrzy mu prosto w oczy. Gdy chciał sięgnąć po broń, wilk odwrócił się w stronę Erica i rzucił się na niego z prędkością błyskawicy. Jego kły zatopiły się w gardle Cartera, zanim Jack zdążył wydobyć broń. Pozostałe osobniki doskoczyły do ofiary i było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Za późno, żeby uratować człowieka. Wilk przewodzący stadu podniósł głowę i ponownie spojrzał na Jacka, a potem wrócił do uczty.

Jack zaczął uciekać.

Odetchnął, dopiero kiedy znalazł się w samolocie.

- Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego - powiedział.

- Co się stało? - spytała Sophie. Jack pokręcił głową.

- Gdzie jest badacz?

- Nie przeżył - odparł Jack.

- Pewnie wykrwawił się na śmierć - zasugerowała.

- Tak, z pewnością się wykrwawił - powiedział Jack. Silniki samolotu zagłuszały wycia wilków.

Jack opadł na siedzenie i zamknął oczy.

- Jasna cholera - szepnął. - A niech to.

- Jack? - odezwała się Sophie i poklepała go w ramię.

- Mhm?

- Co się stało z mężczyzną, którego goniłeś?

- Poszedł popływać - odpowiedział, nie otwierając oczu.

*Wpis do dziennika numer 927 Obóz arktyczny*

*Kiedy wstrzyknęliśmy mu K-74, William Harrington pozostawał nieprzytomny. Umieściliśmy go w ustalonym miejscu i obserwowaliśmy z odległości.*

*Kiedy odzyskał przytomność, był nieco zdezorientowany, ale reagował tak, jak się tego spodziewaliśmy: był przestraszony.*

*Za to my popełniliśmy błąd, nie biorąc pod uwagę wszystkich możliwych scenariuszy - szczególnie udziału miejscowych gatunków.*

*Patrzyliśmy, jak poziom stresu Harringtona rośnie dramatycznie. Jednak nie mogliśmy poznać powodu jego reakcji, gdyż nasze zdalne kamery nie obejmowały całego terenu. Nie było też słychać krzyków Harringtona. Po paru minutach w polu widzenia pojawił się tak ogromny niedźwiedź polarny, jakiego nigdy dotychczas nie widzieliśmy.*

*Harrington nie miał dokąd uciec ani gdzie się schować. Nie mógł też stawić oporu takiemu zwierzęciu.*

*Test zakończył się klapą.*

Sophie nalegała, żeby następnego ranka wrócili do Inook. Koniecznie chciała zobaczyć obóz badaczy, gdyż miała nadzieję dowiedzieć się, czym zajmował się doktor Eric Carter.

Agenci FBI już byli w drodze z Anchorage, a policja z Barrow zdążyła przeprowadzić wstępne przeszukanie zabudowań.

Ciała, które zostały przed spaloną chatą, a raczej to, co z nich zostało po uczcie wilków, odwieziono do kostnicy. Jack przyglądał się, jak pakowano je w czarne worki. Nie sposób było rozpoznać Erica Cartera, więc identyfikacja zostanie przeprowadzona na podstawie odcisków palców. Jack stał nad drugim ciałem i przyglądał się jego twarzy. Gdzieś już ją widział, tylko gdzie? Odegrał w pamięci kolejne wydarzenia z ostatnich kilku dni i w końcu przypomniał sobie. Razem z Sophie mijali tego człowieka w drodze do samolotu Chippera. Stał przed ich hotelem i omal nie wpadł pod ciężarówkę, kiedy rzucił się przez ulicę do swojego samochodu. W takim razie ten sukinsyn ich śledził.

Jack dopilnował, żeby Sophie trzymała się z daleka od potwornej sceny przed spaloną chatą. Upierał się, że już zbyt wiele przeszła. Została więc z policją, kiedy ta przeszukiwała cztery pokoje w kwaterze badaczy. Sophie także przejrzała każde z pomieszczeń w poszukiwaniu wskazówek, dlatego Harrington przyjechał na Alaskę. Wiedziała, że miał związek z Projektem Alfa, ale nadal nie miała pojęcia, na czym polegał

ów projekt. Miała za to przeczucie, że badacze wilków mieli wiele wspólnego z tym projektem. Jaką tajemnicę skrywał Erie Carter? I dlaczego tak bardzo bał się, że Sophie ją odkryje?

Znaleziono laptopy pełne różnych danych, ale wszystkie one dotyczyły wilków. Były tam także nagrania wideo. Wszystkie płyty miały etykiety i kolejne numery. Tematem płyt z numerami od jednego do dwudziestu był samiec alfa o imieniu Ricky. Jeden z oficerów policji włożył płytę do odtwarzacza i kilku innych zebrало się, żeby obejrzeć, jak Ricky i jego stado atakują karibu.

- Jak udało im się to sfilmować i wilki ich nie zaatakowały?

- zapytał.

- Popatrzcie na te kły - odezwał się inny oficer. - Myślę, że sam dałby radę powalić niedźwiedzia polarnego.

Jack dołączył do grupy. Kiedy zobaczył wilka, natychmiast go rozpoznał. Oglądając ten film, poczuł dziwną więź ze zwierzęciem, prawdopodobnie dlatego, że miał okazję spojrzeć mu prosto w oczy i dostrzec jego siłę. Był mu też wdzięczny za to, że go nie zaatakował. Przeraził go, ale zostawił w spokoju.

- Jest niesamowity - zauważył jeden z oficerów. - Myśli pan, że mógł być wśród tych wilków, które wczoraj zabiły badacza? - zwrócił się do Jacka.

- Tak - odpowiedział Jack, nie wdając się w szczegóły.

- Był tam.

Sophie siedziała przy biurku w małym pokoju, którego badacze używali jako gabinetu, i przeglądała notesy. Jack zaglądał do niej co kilka minut. Stawał w drzwiach i przyglądał się jej, aż podnosiła na niego wzrok. Sprawdzał, czy czegoś nie potrzebuje i za każdym razem pytał, czy nie ma ochoty wracać do Barrow.

Wiedziała, że martwił się o nią, ale nie rozumiała dlaczego. Była otoczona przez mężczyzn z bronią i miała przecież ochroniarza z FBI.

- Martwisz się, że wyczytam tu coś, co mnie wystraszy?

- spytała, kiedy Jack pojawił się po raz czwarty.

- Jest taka możliwość.

- Oj, daj spokój. Po wczorajszym nic mnie tutaj nie wystraszy. Ta lektura może mnie jedynie znudzić, ale nie przerazić.

Uśmiechnął się.

- Nie lubisz wilków.

- Owszem - odparła. - Ale nie przeraża mnie zapis ich dziennej rutyny. Jedzenie, sen, zabijanie, jedzenie, sen, zabijanie... i tak dalej.

- Tak wygląda ich życie.

- Racja. Badali tutaj ich zachowania w ramach stada. Najbardziej interesował ich samiec alfa, to, jak kontrolował pozostałe osobniki. Relacje rodzinne. - Zamknęła notes, odłożyła go na biurko i wstała. - Nie wiem, jak ci naukowcy to znosili. Całe dni obserwacji wilków... i to w takich warunkach. - Podeszła do Jacka. - Policja znalazła coś, co łączyłoby Harringtona z projektem?

- Jeszcze nie. Ale dopiero zaczęli śledztwo.

Kiedy spojrzała na niego, poczuł ucisk w piersiach. Była piękna, owszem, ale było w niej coś więcej. W jej oczach malowały się miłość, zaufanie i całkowite oddanie. Uniósł jej ręce i założył je sobie na szyję.

- Zgadnij, co zamierzam zrobić - powiedział, przeciągając samogłoski.

Przysunęła się do niego i zaczęła muskać wargami jego usta, kusząco, podniecająco.

- To? - spytała, po czym zaczęła go całować namiętnie. - Czy to?

Jack zapragnął jej z całych sił, więc zatopił wargi w jej ustach, a jego język poruszał się w niej zachłannie. Uwielbiał czuć bliskość jej ciała, to, jak ochotczo przywierała do niego, i wiedział, że ona też to lubi. Najchętniej zdarłby z niej ubranie i kochał się z nią tu i teraz, ale opanował się.

- To nie jest odpowiedni czas, ani miejsce, skarbie - powiedział drżącym głosem. - Chyba że chcesz pojawić się w wiadomościach o szóstej.

- Państwa pilot chciałby wiedzieć, kiedy... - przerwał im jeden z oficerów, ale Jack nie dał mu skończyć.

- Powiedzcie mu, żeby włączył silniki. Właśnie wychodzimy.

Kilka minut później opatulona Sophie kroczyła z Jackiem w stronę samolotu. Wiatr znowu się wzmógł i nawet ten krótki odcinek drogi był koszmarem.

- Nienawidzę... - zaczął Jack.

- Wiem - powiedziała i poklepała go po ramieniu. - Nienawidzisz mrozu.

Lot powrotny do Barrow obfitował w turbulencje, ale Sophie nie narzekała. Po doświadczeniach z ostatnich dwudziestu czterech godzin trzęsienia małego samolotu były jak dziecinna igraszka.

Kiedy już wylądowali w Barrow, Sophie spędziła kilka godzin na posterunku policji. Starła się być pomocna i bez przerwy przeproszała za to, że nie potrafi odpowiedzieć na tak wiele pytań. Czy kiedykolwiek uda jej się dowiedzieć, co przydarzyło się Williamowi Harringtonowi?

- Wiem, że Harrington był zaangażowany w coś, co nazywał Projektem Alfa. Nie wiem tylko, na czym polegał jego udział.

- Co łączyło Harringtona z naukowcami? - zapytał jeden z oficerów.

- Osilek.

- Słucham?

Sophie spojrzała na Jacka.

- Ty im to wyjaśnij.

- Sophie spotkała w Chicago jednego z mężczyzn, którzy nas zaatakowali. Widziała go w apartamentowcu Harringtona i mężczyzna ten powiedział jej, że Harrington wyjechał do Europy - tłumaczył Jack.

Przesłuchanie ciągnęło się dalej i dopiero kiedy policja uznała, że Sophie powiedziała im wszystko, co wiedziała, dano jej szansę na zadanie kilku pytań.

- Ci mężczyźni, którzy nas zaatakowali... Kim oni byli?

- Sami państwo zidentyfikowali jednego z nich jako doktora Erica Cartera, ale tożsamości pozostałych jeszcze nie znamy

- odpowiedział oficer dowodzący. - Szukamy dokumentów. FBI zbada odciski palców.

Joe Rooney stał obok Jacka i przysłuchiwał się wszystkiemu z uwagą. W końcu i on włączył się do rozmowy.

- O ile nam wiadomo, nigdy nie było więcej jak czterech badaczy w obozie. Oprócz Cartera byli tam Brandon Finch, Marcus Lemming i Kirk Halpern. Rozmawialiśmy już z doktorami Lemmingiem i Halpernem. Są w Chicago i zapewnijają, że nie mają pojęcia, czym zajmował się Eric Carter. Lemming powiedział, że Carter często zostawał dłużej, kiedy pozostali wracali już do domów i nigdy nie mówił, czym się wówczas zajmował.

- Rozmawialiście z czwartym badaczem, Brandonem Finchem? Gdzie on jest? - spytała Sophie.

- W urnie na kominku żony - powiedział Joe. - Kilka miesięcy temu zmarł na atak serca. Najwyraźniej miał problemy z sercem, które ukrywał przed innymi z obawy, że nie pozwolą mu kontynuować prac badawczych. Agenci przeszukają dom Erica Cartera i jego laboratorium w Chicago. Sprawdzą też pozostałych badaczy.

- A co z mężczyzną, którego Jack gonił skuterem?

- Nie mieliśmy czasu, żeby zebrać ekipę poszukiwawczą

- odparł Joe. - Będą mieli ciężkie zadanie z uwagi na przemieszczającą się pokrywą lodową.

- Jeden z tych martwych mężczyzn udawał Paula Larsona. Tak sędzę - powiedziała Sophie. - Żałuję, że nie słyszałam ich głosów.

' - Niebawem otrzymamy pomoc z Anchorage - zapewnił ją Joe. - W ciągu kilku dni powinniśmy więcej wiedzieć. To był bardzo długi dzień. Kiedy policja skończyła już przesłuchiwanie, Jack zaprosił funkcjonariuszy, by towarzyszyli im przy kolacji, i większość przyjęła propozycję. Restauracja Czerwona Foka była pełna ludzi. Kiedy Jack,

Sophie i policjanci weszli do środka, przez tłum przeszedł szmer. Całe miasto słyszało już, co się wydarzyło w Inook i Sophie czuła się jak eksponat wystawowy. Bez wątpienia ona i Jack byli tematem przewodnim rozmów przy wszystkich stolikach.

Znowu na stole pojawił się specjał z mięsa wieloryba i Jack zdecydował się spróbować go ponownie. Wzdrygnął się przy pierwszym kęsie.

- Musi pan nie przerywać jedzenia. Przy trzecim kęsie zasmakuje - odpowiedział mu Joe.

Jack zdołał zjeść tylko dwa kęsy i poddał się.

- Trzeba stopniowo przyzwyczajać się do takiego smaku - powiedział na swoje usprawiedliwienie.

Sophie skorzystała z okazji, żeby zebrać nieco więcej informacji na temat Barrow. Wstała i podeszła do stolika obok, przy którym siedzieli ojciec i syn, i zapytała ich, czy nie mieliby nic przeciwko temu, gdyby zadała im kilka pytań.

Do czasu, kiedy Jack uznał, że jest już gotowy do wyjścia, niemal wszyscy goście restauracji zgromadzeni byli wokół Sophie i pomagali jej w uzupełnianiu notatek.

- Niech pani nie zapomni napisać o tym, że u nas nie ma przestępstw - zasugerował jeden z mężczyzn.

- Nie było do wczoraj - zauważył drugi.

- Racja - przytaknął pierwszy.

Później, kiedy już znaleźli się w hotelu, Sophie usiadła przy biurku i zaczęła pisać, a Jack w tym czasie wykonał kilka telefonów. Kiedy skończyła artykuł, spojrzała na zegarek. Pisanie zajęło jej dwie godziny. Odwróciła się. Jack siedział na łóżku i czytał. Ubrany był tylko w bokserki.

Sophie poszła do łazienki i wzięła prysznic. Owinięta ręcznikiem wróciła do pokoju i stanęła przy łóżku w wyczekującej pozie. Kiedy Jack podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się, pozwoliła, żeby ręcznik opadł na podłogę.

Jack podniósł koldrę, żeby mogła wśliznąć się obok niego. Ogrzał jej ciało swoim i zaczął całować.

- Jack...



- Podoba ci się to? - spytał, przesuwając palcami po jej piersiach w dół, do brzucha.

Westchnęła gwałtownie.

- Tak, ale dziś jest ostatni raz...

- A to ci się podoba...?

Ojciec znowu pojawił się w wiadomościach. Sophie wróciła do domu akurat na świętowanie. Zdążyła się rozpakować i właśnie zamierzała odsłuchać wiadomości na sekretarce, kiedy zadzwonił do niej pan Bitterman.

- Włącz telewizor. Szybko. Właśnie leci w wiadomościach. FBI będzie dziękować twojemu ojcu.

Rozłączył się, zanim zdążyła o cokolwiek zapytać. Posłusznie włączyła lokalne wiadomości i nacisnęła przycisk nagrywania, a potem usiadła na łóżku, żeby obejrzeć.

Natalie Miller nadawała na żywo z sądu.

- Kevin Devoe i jego żona, Meredith, zostali aresztowani i oddani w ręce FBI. Z tego, co udało nam się ustalić, FBI otrzymało dowód, że to państwo Devoe ukradli pieniądze z funduszu emerytalnego pracowników Kelly's Root Beer i ukryli je na kilku tajnych kontach, używając do tego fikcyjnych firm.

Po chwili pokazano kolejnego reportera, stojącego w towarzystwie starszego mężczyzny, który machał czekiem.

- Wszystko jest tutaj - powiedział, uśmiechając się szeroko do kamery. - To dokładnie taka kwota, jaką powinienem otrzymać, kiedy zamknęły się zakłady Kelly'ego. Wszystko co do centa. Wszyscy pracownicy otrzymali чеки jednocześnie. Ja to wiem, bo rozmawiałem ze swoimi przyjaciółmi. To Bobby Rose tego dokonał. To on znalazł te pieniądze i nam je oddał. On wiedział, co planowali ci oszuści.

- Skąd pan wie, że to Bobby Rose? - spytał zębaty reporter.

- A kto poza Bobbym ma łeb na karku i potrafi dojść do prawdy i oddać nam nasze pieniądze? Ja panu coś powiem - dodał, machając palcem przed twarzą reportera. - Bobby troszczy się o swoich. O Chicago - wyjaśnił. - Tak, to był Bobby Rose, nasz Robin Hood. Mnie pan nie przekona, że to był ktoś inny.

Reporter spojrział prosto do kamery.

- Natalie, FBI nie potwierdza i nie zaprzecza, że wiedzą, kto za tym stoi. Jutro ma się odbyć konferencja prasowa.

Proszę zostać z nami, wkrótce podamy najświeższe informacje.

Nic nie wspomniano o ponownym otwarciu zakładów Kelly'ego. Pan Bitterman będzie zawiedziony, jeśli do tego nie dojdzie. Sophie zadzwoniła do niego i po omówieniu dobrych wieści przekazała mu parę szczegółów dotyczących jej wyjazdu na Alaskę. Rozmawiali o Harringtonie i o tym, czego dowiedziała się o badaczach, ale nie mogła zebrać się na odwagę, żeby już teraz powiedzieć o zabitych. Zaczeka z tym, aż znajdą się twarzą w twarz. Poza tym sama potrzebuje czasu, żeby to przetrwać.

Omówiła z szefem kilka tematów, które chciałyby opisać w artykułach o mieszkańcach Barrow, a on zasugerował, że mogłyby popracować nad tym w domu, gdzie nikt nie będzie jej przeszkadzał. Z chęcią się do tego zastosowała i natychmiast zabrała się do pracy. Najpierw napisała historię drużyny futbolowej. Potem zrobiła kilka końcowych poprawek do artykułu o Samuelu i Annie. Napisała nawet o hotelu w Deadhorse, ale nie była gotowa, żeby napisać oos o Harringtonie. Nadal w jego historii było zbyt wiele białych plam.

Następnego dnia otrzymała kolejną porcję dobrych wiadomości. Zadzwonił do niej detektyw Steinbeck, żeby powiedzieć jej, że policja zidentyfikowała mężczyznę, który do niej strzelał przez okno. Współpracując z FBI, sprawdzili odciski palców

jednego z ciał z Alaski i dowiedzieli się, że należą do byłego skazańca, który mieszkał w Chicago. Nazywał się Ivan Brosky i miał bardzo obszerną kartotekę. Kiedy przeszukali mieszkanie Brosky'ego, znaleźli skrzynię broni, a technikom balistycznym udało się dopasować jedną z broni do pocisku. Dalsze dochodzenie będzie już prowadzone przez FBI. Zaraz po telefonie od Steinbecka zadzwonił do niej Gil.

- Dobre wieści, prawda, Sophie? - powiedział. - Mają tego gościa.

- Skąd wiesz... - zaczęła, ale nie skończyła, bo w sumie nie była tym wcale zaskoczona. Gil miał swoje sposoby na to, by wiedzieć o wszystkim.

- Dzisiaj na dole jest Tony, ale Alec powiedział, że można go odesłać do domu. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedziała. Zjrzę do ciebie za kilka dni, żeby się upewnić, że wszystko w porządku.

Sophie podziękowała mu i rozłączyła się. Może jej życie wreszcie wróci do normalnego trybu? O piątej zadzwoniła Cordie.

- Ubieraj się. Regan i ja zabieramy cię do Fortune's.

- Nie mam nastroju - powiedziała. - Może jutro. Cordie nie przyjęła do wiadomości takiej odpowiedzi.

- Uwielbiasz Fortune's. Przyjedziemy po ciebie o siódmej. Bądź gotowa.

Może po tym wszystkim dobrze będzie znowu znaleźć się w towarzystwie przyjaciółek? Sophie potrzebowała czegoś poza pracą, żeby przestać myśleć o Jacku. Miała nadzieję, że jedna z nich będzie miała jakiś straszny problem, na którym będzie mogła się skupić.

Szybko skończyła pracę i przebrała się w ulubioną czarną, jedwabną sukienkę. Zrzuciła czerwony szal na wełniany płaszcz, na wypadek gdyby w restauracji było chłodno.

Trzy kobiety wywołały spore zamieszanie, kiedy podążyły za kelnerem do stolika w przytulnej wnęce oddzielonej zasłonami.

- Gdzie jest dziś Alec? - zapytała Cordie, kiedy siadały przy stoliku.

- Pracuje nad czymś z Jackiem, ale nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi - odparła Regan.  
Cordie opowiedziała o szkole, a Regan wprowadziła je w aktualny stan poszukiwań nowego mieszkania.
- Nie chcę wielkiego domu, którym musiałabym się zajmować. Jeszcze nie teraz. Poza tym Alec może zostać przeniesiony. No dobra, koniec pogaduszek. Sophie, teraz ty. Powiedz nam, czego dowiedziałaś się o Harringtonie?
- Ja też chcę posłuchać o Alasce - dołączyła Cordie. Sophie nie wiedziała, od czego zacząć. Przez cały posiłek opowiadała o swojej podróży. Jej przyjaciółki siedziały z szeroko otwartymi oczami, prawie nie tykając jedzenia.
- O mój Boże... Sophie... - westchnęła Regan, a łzy napłynęły jej do oczu. - Przecież mogłaś zginąć.
- Więc facet, który cię postrzelił...
- Osilek - wtrąciła Regan. - Ten, którego nazywała osiłkiem.
- Śledził cię i pojechał za tobą na Alaskę. Czyli nie chodziło tu o zakłady Kelly'ego, tak jak większość sądziła.
- A propos Kelly's... - przerwała jej Regan. - Twój ojciec jest teraz bohaterem.
- Dzisiaj bohaterem, jutro kryminalistą, pomyślała Sophie.
- O ile chcecie się założyć, że teraz FBI jeszcze bardziej będzie chciało odnaleźć mojego ojca?  
Przyjaciółki pokiwały głowami. Znały jej ojca od lat i wiedziały, jaki potrafił być nieuchwytny.
- Rozmawiałaś z Jackiem od powrotu do domu? - spytała Cordie.
- Sądzicie, że zakłady Kelly'ego znowu zostaną otwarte? Pan Bitterman twierdzi, że tak. - Sophie nie chciała rozmawiać ?na ten temat.
- Regan i Cordie wymieniły spojrzenia.
- Nie zmieniaj tematu - powiedziała Cordie. - Spędziłaś kilka dni i nocy z fantastycznym mężczyzną i ani razu o nim nie wspomniałaś. Dlaczego sądzisz, że... O mój Boże! Wiem dlaczego. Spałaś z nim!

Zaprzeczać, zaprzeczać, zaprzeczać... Ale nie przyjaciółkom. Im nie mogła kłamać.

- Owszem - przyznała. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Mam przecież zasady. Zwłaszcza jeśli chodzi o agentów FBI, ale...

Regan już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale Cordie nie dała jej dojść do słowa.

- Wiemy, że jesteś żoną agenta, Regan. Ale twój ojciec nie ma kariery kryminalisty.

Sophie wyglądała na zmartwioną.

- Może on zrezygnuje?

- Kto, Jack? - spytała Regan.

- Oczywiście, że Jack - powiedziała Cordie wyraźnie poirytowana. - Sophie, a jeśli nie będzie chciał z ciebie zrezygnować?

- Nie mogę pozwolić, żeby to trwało. Tracę głowę.

- Zakochałaś się - stwierdziła Regan.

- Jasne, że tak - powiedziała Cordie. - Przecież Sophie nie chodzi z byle kim do łóżka. Gdyby nic do niego nie czuła, nie przespałaby się z nim. - Odwróciła się do Sophie. - Więc nie chcesz więcej iść z nim do łóżka?

- Jasne, że chcę iść z nim znowu do łóżka. To właśnie jest problem!

Cordie spojrzała na nią ze współczuciem.

- Może nie masz się czym martwić, bo on nie planuje się z tobą więcej spotykać. Może już się usunął, skoro jesteś z powrotem w Chicago i do tego bezpieczna.

Taka możliwość przyprawiła Sophie o ból serca.

Tej nocy, kiedy leżała w łóżku, powracały do niej falami obrazy Harringtona, Inook i badaczy. Wyjechała na Alaskę, żeby napisać artykuł o Harringtonie, ale od powrotu do domu robiła wszystko, żeby tego uniknąć. Miała wyrzuty sumienia. Przysięgła sobie, że odda mu cześć, i przynajmniej w ten sposób mogła to zrobić.

Odrzuciła kołdrę i podeszła do komputera. Przez kolejne

godziny spisała wszystko to, co wiedziała o Williamie Harringtonie i jego ambicjach, oraz zniknięciu. Długo i intensywnie zastanawiała się nad zakończeniem artykułu. W końcu przecież nie miała wszystkich kawałków układanki.

*William Harrington uwielbiał wyzwania. Dzięki nim stawał się silniejszy. Na razie powód, dla którego wyruszył na Alaskę, pozostaje spowity tajemnicą, lecz pewnego dnia ta tajemnica zostanie odkryta i poznamy całą prawdę. To jeszcze nie koniec jego historii.*



To jeszcze nie koniec jego historii. Marcus Leming przeczytał te słowa w gazecie i wpadł w szal. Był blisko celu i nic nie mogło mu teraz przeszkodzić. Swoją głupotą Erie omal nie zniszczył jego marzeń, a sam zapłacił za to najwyższą cenę. Z drugiej strony Marcus był zbyt ostrożny i inteligentny, żeby pozwolić, by przeciekło mu to przez palce.

Każdy ostatni skrawek badań był opracowany, precyzyjnie opisany i złożony w bezpiecznym miejscu. Nikt się o nich nie dowie, dopóki nie nadejdzie pora, żeby przekazać je kupcowi. I nikt się nigdy nie dowie o układzie, jaki zawarł, opiewającym na pięćdziesiąt milionów dolarów za badania i formułę Erica. Nie obchodziło go, co kupiec zamierza z tym zrobić. To było częścią umowy poufności. Kupujący chciał, żeby to na jego badaczy spłynęła chwała odkrycia, ale to zupełnie nie przeszkadzało Marcusowi. Gdyby odkryto prawdę, wyszliby na głupców.

Był tylko jeden mały problem, z którym Marcus musiał się uporać, zanim wróci w spokoju do domu: Sophie Summerfield Rose. Erie mówił, że jej nic nie powstrzyma. A ten artykuł, który właśnie napisała, mówił dokładnie to samo: To jeszcze nie koniec jego historii.

Marcus będzie musiał ją uciszyć. Domyślał się, że mógłby znaleźć kolejnego z przyjaciół Erica, żeby ją usunął, ale ostatni schrzanił robotę, więc dlaczego tym razem miałyby pójść lepiej? Sam będzie musiał się tym zająć, a ponieważ działania naukowe zawsze muszą mieć cel, wyciągnie z tego porwania

dodatkowe korzyści dla swoich badań. Sophie stanie się jego pierwszym żeńskim obiektem. Po eksperymencie poda jej śmiertelną dawkę i skremuje ciało. Nie ma zwłok, nie ma zbrodni. Będzie miał za to materiał naukowy... Albo przynajmniej prywatną satysfakcję.

Problemem było to, jak ją porwać, żeby nikt tego nie zauważył. Tę kwestię będzie musiał dobrze rozpracować.

Przygotowanie i cierpliwość - tego wymagała sytuacja. Jeśli Sophie Rose nie wykona żadnych gwałtownych ruchów i da mu trochę czasu, zdoła opracować szczegółowy plan. Miał nadzieję, że będzie miał sposobność porozmawiania z nią, zanim umrze. Zapytają wówczas, dlaczego zadała sobie tyle trudu, żeby dojść do prawdy. Co ją to obchodziło? William Harrington był przecież nikim. Nie miał przyjaciół, kochanek ani krewnych. Był samotnikiem, a ona przeprowadziła z nim tylko jeden wywiad. Nawet go nie znała.

Kiedy Erie dowiedział się, że Harrington wspomniał jej nazwę Projekt Alfa, zaczął się bać, że Sophie dokopie się do prawdy i zbliży do nich za bardzo, więc wynajął jednego ze swoich niechlubnych przyjaciół, żeby się jej pozbyć. Ale Marcus już wtedy uważał, że Erie postąpił zbyt lekkomyślnie. Nikt, nawet Harrington, nie wiedział, czym naprawdę jest Projekt Alfa. A teraz sprawy tak się pogmatwały, i nie wiadomo było, do czego ta dziennikarka może być zdolna, żeby odkryć ich tajemnicę.

Jeśli szczęście mu dopisze, będzie miał miesiąc, żeby się z nią uporać. Za miesiąc dostanie swoje pięćdziesiąt milionów.

Panu Bittermanowi bardzo spodobały się artykuły. Szczególnie przypadł mu do gustu tekst, który Sophie napisała o drużynie futbolowej, ale i artykuł o Harringtonie go poruszył.

Uznała, że dobrze było wrócić do pracy i do rutyny.

Nie widziała się z Jackiem od czasu, kiedy przywiózł ją do domu z lotniska. Sprawdził dokładnie każdy pokój, żeby mieć pewność, że nikt nie czai się w jakimś zakamarku, żeby ją ogłuszyć, po czym pocałował w czoło i wyszedł.

Sophie usilnie starała się przegonić wszelkie myśli o nim, ale wieczorem zdecydowała się obejrzeć to sławetne nagranie na YouTube. Odtwarzała je kilka razy i za każdym razem dostrzegła coś nowego: spokój, z jakim odnalazł się w tej przerażającej sytuacji; to, jak umiał uspokoić pozostałych ludzi. Nie zdziwiła jej jego odwaga. Już widziała go w akcji i wiedziała, jak zachowywał się w sytuacji kryzysowej, jak potrafił ochraniać innych. Ją też ochraniał niczym samiec alfa. Tak, Jack był samcem alfa.

Za pięć dwunasta Sophie poszła do garderoby, wydobyła telefon komórkowy ze skrytki i czekała, aż ojciec zadzwoni. Jak zawsze był punktualny.

- Cześć, tato.

- Opowiedz mi o swojej wyprawie - powiedział na powitanie.

Ale Sophie chciała, żeby to on pierwszy opowiedział jej o sprawie zakładów Kelly'ego.

- Teraz twoja kolej, księżniczko - powiedział, jak już spełnił jej życzenie.

Sophie trochę złagodziła część dotyczącą strzelaniny i pożaru. Opowiedziała mu też o pogodzie, ludziach i jedzeniu, ale ojciec miał swoje sposoby na wykrycie prawdy i doskonale wyczuwał, co tak naprawdę się wydarzyło. Zabrzmiał niczym zrzędlawy rodzic, kiedy powiedział, że nigdy by jej nie namawiał do wyjazdu, gdyby tylko wiedział, na jakie niebezpieczeństwo została narażona, i obiecał jej, że następnym razem, kiedy zechce gdzieś podróżować, wyśle z nią ekipę ochroniarzy. Sophie zapewniła go, że to nie będzie konieczne. Nie planowała więcej takich wypraw.

- Podobał mi się twój tekst o Harringtonie - powiedział, zmieniając temat na przyjemniejszy. - Wykonałaś kawał dobrej roboty.

Po kilku minutach rozmowy zwrócił się do niej z troską:

- Coś cię martwi. Słyszę to w twoim głosie. O co chodzi?

- To ci się nie spodoba.

- Jestem twoim ojcem. Możesz mi o wszystkim powiedzieć. Wzięła głęboki wdech.

- Zrobiłam coś głupiego. Zakochałam się.

- To wspaniale.

- W... nim.

- Kim?

- Agencie FBI. - Zdawało jej się, że usłyszała, jak ojciec z trudem przełyka. Wzięła więc kolejny głęboki wdech. -

Jest coś jeszcze.

- Jesteś w ciąży?

- Nie. On jest absolwentem prawa.

Wiedziała, co ojciec myślał o prawnikach. Sam był jednym z najlepszych, ale wiedział, do czego niektórzy potrafią być zdolni. Doświadczył tego na własnej skórze. Wiele lat temu jako entuzjastyczny młody prawnik nieświadomie przyjął pracę w najbardziej skorumpowanej firmie prawniczej w Chicago: Ellis, Ellis i Cooper. Ta firma zmieniła go w człowieka, jakim jest dzisiaj.

Punktem zwrotnym stała się sprawa Bridget O'Reilly. W eksplozji samochodu zginął jej mąż, troje dzieci i matka. Bridget ocalała, ale miała poparzoną ponad połowę ciała. Gdyby producent samochodów wziął sobie do serca uwagi i ostrzeżenia od dealerów i mechaników na temat wadliwego złącza, nigdy nie doszłoby do eksplozji. Sąd przyznał Bridget trzydzieści dwa miliony dolarów odszkodowania, ale kiedy już wszystkie apelacje zostały rozpatrzone i odrzucone, a firma Ellis i Ellis zainkasowała swoje honorarium i zrefundowała wszystkie wydatki, Bridget została z dwustoma tysiącami dolarów. Ta kwota nawet w części nie mogła pokryć wydatków szpitalnych. Przykuta do łóżka i bez wystarczających środków finansowych, Bridget nie mogła zapewnić sobie koniecznej opieki medycznej. Zmarła na infekcję, zanim zdążyła wywalczyć pomoc ze środków społecznych. W tym czasie Ellis, Ellis i Cooper świętowali nieoczekiwany dopływ gotówki. Bobby Rose pomógł wygrać sprawę Bridget, a spędzając z nią dużo czasu, zaprzyjaźnił się z kobietą. Naiwnie wierzył w to, że sprawiedliwości stanie się zadość, ale zmienił zdanie, kiedy patrzył, jak Bridget umiera bez grosza przy duszy, podczas gdy jego partnerzy z firmy prawniczej wyjeżdżają na wakacje i budują sobie wielkie domy, pasujące do rozmiarów ich ego. Zrezygnował z posady. Nawet nie musiał im mówić dlaczego. Wiedzieli i mieli niezły ubaw z jego moralnego oburzenia. Sześć miesięcy później, pewne inwestycje, które firma traktowała jako ucieczkę przed podatkami, nagle zanotowały niespodziewane i znaczące straty. Po tym nastąpiły niewyjaśnione wypłaty z kont bankowych. Na ich oczach ulotniły się wszystkie aktywa firmy. Jako że wiele z transakcji firmy miało podejrzany charakter, prawnicy starali się utrzymać te straty w tajemnicy. Obawiali się nie tylko zainteresowania ze strony władz, ale także utraty reputacji. Byli wysoko opłacanymi prawnikami. Kto zaufałby firmie, która nie potrafiła ochronić własnych kont?

Od tego czasu Bobby przysiągł sobie, że dopilnuje, żeby grube ryby, które doszły do bogactwa, stosując podstęp i okrucieństwo, nie mogły dłużej cieszyć się luksusem. Przez lata zyskał sławę człowieka odpowiedzialnego za bankructwa wielu bezwzględnych biznesmenów. Oczywiście, żeby tego dokonać, sam musiał niejednokrotnie uciekać się do wątpliwych metod i dlatego stale był poszukiwany przez wymiar prawa. Bobby był jednak nie tylko bystry, ale miał też niezwykły dar znikania, kiedy było to konieczne. Nigdy nie był poszukiwany jako oskarżony o przestępstwo kryminalne, ale jako świadek.

Jedynym, czego żałował to to, że nie było go przy Sophie, kiedy dorastała. Jej matka zmarła, kiedy Sophie była jeszcze dzieckiem, a okoliczności sprawiły, że nie mógł być dla niej takim ojcem, jakim chciałby być. Jednakże Sophie nigdy nie wątpiła w to, że ją kocha.

- Tato, powiedz coś - ponagliła go Sophie, kiedy zamilkł. - Mówiłam, że jest prawnikiem.

- Zaskoczyłaś mnie, skarbie, nie zaprzeczam, ale jakoś przez to przejdziemy.

- Nie chcę, żebyś się martwił. Po prostu poczułam, że muszę ci o tym powiedzieć, ale to i tak nie ma przyszłości. On już się chyba wycofał i ja też to zrobię.

Sophie uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie była zakochana i jeśli to było właśnie to uczucie, to nie było przyjemne.

- Myślisz, że mogłabyś wyjechać na pewien czas, żeby wszystko przemyśleć? Może dołączyłabyś do mnie w Monte Carlo?

- Brzmi to nieźle - powiedziała, ale w jej głosie nie było entuzjazmu. - Będę musiała poczekać z tym do Święta Dziękczynienia. Zbyt wielu ludzi jeszcze na mnie liczy.

- Rozumiem. Wiem, co musisz zrobić. W takim razie po Święcie Dziękczynienia. Teraz idź spać i nie myśl tak dużo. Sprawy często same się rozwiązują.

Udała, że mu wierzy.

Praca była dla niej pewnym ratunkiem. Zajęła się więc wielo-

godzinnym pisaniem. Udało jej się przez cały ten czas nie myśleć o Jacku... do chwili, kiedy położyła się do łóżka. Zamknęła oczy, a on tam był.

- Zmiataj z moich snów - wyszeptała.

Co teraz robił? Gdzie był? Czy wziął sobie wolne i pojechał na jakąś gorącą wyspę, tak jak chciał? A może wrócił do pracy?

Czy przekazał komuś śledztwo z Inook, czy nadal się nim zajmował? Od kilku dni nie miała żadnych wieści. Z pewnością nadal szukają odpowiedzi. Czy udało im się odkryć motyw, dla którego ci mężczyźni próbowali zabić ją i Jacka? Projekt Alfa... czterech naukowców... William Harrington. Zasnęła, starając się połączyć jakoś te dane.

Teraz, kiedy już ucichły emocje związane z nagraniem na YouTube, Jack mógł wrócić do pracy. Jego popularność zmalała, ponieważ pojawiły się dwie kolejne gwiazdy internetu, które świat chciał oglądać. Obie były ikonami Hollywood, ze szczytów list popularności, które sfilmowano, jak się okładają pięściami na przyjęciu ślubnym, bo pan młody miał zły gust, rzucając jedną seksbombę, by poślubić inną. Nagranie stało się tak popularne z uwagi na wulgarny język i ujęcie, w którym skąpo odziana aktorka przepycha się przez tłum gości, by dopaść pasowiejącą na jej widok pannę młodą. Gwiazdka z ciętym językiem zadała pierwszy cios, ale to ona skończyła bijatykę w torcie weselnym, wartym dziesięć tysięcy dolarów. Film ten stał się prawdziwym hitem.

W międzyczasie Jack ponownie został przydzielony do sprawy pewnego oszustwa, ale kiedy na tapecie pojawiło się Inook, poszedł do Pittman i wyklócał się, że będzie o wiele bardziej przydatny przy opracowywaniu informacji napływających z Alaski. Jego argumenty były przekonujące i Pittman przychyliła się do nich.

- Znam pana, agencie MacAlister. Będzie pan pracował nad tą sprawą za moją zgodą lub bez niej. Mam rację? Zresztą nieważne, proszę nie odpowiadać. W porządku, przywracam pana. Zaraz zadzwonię i poinformuję wszystkich, że to pańska sprawa. Tylko proszę ją szybko zamknąć. Nie lubię, kiedy moi agenci dostają po tyłku. Wszystkie pudła z dokumentami, które zostały zebrane



w obozie naukowców na Alasce, zostały przywiezione do Chicago. W Anchorage nie mieli siły roboczej, a poza tym pierwsza zbrodnia została popełniona właśnie w Chicago, więc sprawa trafiła tutaj. Agenci już ślęczeli nad każdym najmniejszym skrawkiem papieru z tych pudeł i przejrzel wszystkie płyty z filmami. Same wilki. Godziny, dni i miesiące nagrań wideo o wilkach. Tylko jedna rzecz była niezwykła w tych nagraniach: kończyły się przed końcem roku. Czy podczas ostatnich miesięcy też coś było filmowane? A jeśli tak, to gdzie są płyty?

Jack obejrzał nagrania, przewijając te miejsca, w których nic się nie działo. Sophie miała rację. Wilki tylko jadły, spały, zabijały, spały, jadły...

Właśnie przeglądał jakiś notatnik, kiedy weszło do niego dwóch asystentów, wwożąc wózek pełen nowych pudełek.

- A te skąd są? - zapytał Jack.

- To z archiwum Fundacji TNI<sup>1</sup>. Badania, które prowadzili nasi naukowcy w ciągu ostatnich kilku lat.

Jak do tej pory wszystko, co sprawdzili w FBI, dowodziło, że zajmowali się zwykłymi badaniami naukowymi i niczego specjalnego nie odkryli. Jack wrócił myślami do tego, co Carter powiedział Sophie, zanim dopadł go Ricky. Co mogłaby odkryć? Co takiego ukrywał?

Agenci rozmawiali już kilka razy z pozostałymi naukowcami, którzy nie byli w stanie rzucić światła na sprawę Cartera. Jack zapoznał się z aktami każdego z czterech naukowców i nie był zadowolony z tego, co znalazł. Ktoś w TNI musiał wiedzieć o tajemnicy Cartera.

Jack uznał, że nadszedł czas, żeby to on osobiście z nimi porozmawiał. Zacznie od doktora Marcusa Lemminga z Chicago. Złożył niezapowiedzianą wizytę w biurze badacza i sekretarka powiedziała mu, że doktor Lemming wyjechał do Północnej Dakoty na seminarium. Kolejny naukowiec, doktor Kirk Halpern mieszkał pod Minneapolis. Jack załatwił sobie poranny

**288**

---

<sup>1</sup> TNI - Transnational Institute - światowe stowarzyszenie stypendystów (przyp. tłum.).

lot i jeszcze tego samego popołudnia zapukał do drzwi Hal-perna.

Naukowiec zaprosił go do zagraconego salonu. Drobny mężczyzna z zaokrąglonymi plecami i zachowaniem staruszka, jak wskazywały na to dokumenty, miał czterdzieści pięć lat. Rzucające się w oczy zmęczenie wyraźnie go postarzało.

- Mogę zaproponować panu coś do picia? - spytał doktor Halpern. Zdjął kilka gazet z fotela i wskazał Jackowi to miejsce.

- Moja żona dbała o porządek. Ale zmarła sześć lat temu.

- Rozejrzał się po pokoju. - Obawiam się, że trochę się zaniedbałem.

- Jak pańska żona znosiła te długie wyjazdy na Alaskę?

- zapytał Jack.

- Jeździła ze mną - odpowiedział, a jego twarz rozpromieniła się na chwilę. - Uwielbiała moją pracę i pomagała mi w niej. Dopiero kiedy odeszła, dołączyłem do ekipy Erica, Marcusa i Brandona w Inook.

- Proszę mi o nich opowiedzieć, doktorze.

Jack wstał i zdjął płaszcz. Zauważył, że Halpern zwrócił uwagę na jego broń. Jack położył płaszcz na oparciu fotela i usiadł ponownie.

- Proszę mówić do mnie Kirk. Nie powiem panu niczego więcej, co już powiedziałem innym agentom.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał to wszystko jeszcze raz powtórzyć - poprosił Jack.

- Nie mam zbyt wiele do opowiedzenia. - Zdjął z drugiego fotela wyszywaną poduszkę i zajął miejsce. - Zaczę może od szefa naszego zespołu, Brandona, doktora Brandona Fincha. Był bardzo dobrze zorganizowany.

Przygotowywał nam nawet grafiki, żebyśmy nie marnowali czasu. Po pewnym czasie zaczął nam działać na nerwy.

Wszystko musiało być tak jak on chciał. Miał obsesję na punkcie wszystkiego, poczynając od tego, w jaki sposób przygotowywaliśmy jedzenie, kończąc na tym, o której kładliśmy się spać. To było irytujące. Miałem z nim dobre stosunki, ale sprzecaliśmy się od czasu do czasu. Izolacja i podbiegunowa pogoda także potrafią dać się we znaki.

Było mi bardzo przykro, kiedy zmarł. Żaden z nas nie wiedział o jego kłopotach z sercem. Miał nadwagę, ale zawsze dotrzymywał nam kroku.

- Jakie stosunki mieli z nim pozostali badacze?

- Zaakceptowali go tak jak ja. Od czasu do czasu były jakieś spięcia, ale nigdy na tyle poważne, żeby atmosfera się sama nie oczyściła.

- A co możesz powiedzieć o Ericu Carterze?

- Młody, ambitny, zaangażowany. Od razu zaprzyjaźnił się z Marcusem, jako że obaj byli w tym samym wieku. Dobrze im się razem pracowało i mieli wspólne zainteresowania. W każdym razie na początku. Później Erie zaczął więcej pracować sam. Im dłużej tam byliśmy, tym bardziej słabła ich przyjaźń. Pewnego wieczoru, kiedy Erie badał jakieś próbki krwi, które pobrał, Marcus wziął Brandona i mnie na bok i powiedział nam, że martwi się o Erica. Zapytał nas, czy zauważyliśmy jakieś zmiany. Faktycznie, zauważyliśmy. Erie stał się bardzo wycofany, nie pozwalał, żeby którykolwiek z nas zerknął do jego notatek dopóki ich nie uporządkował. Większość z tego i tak była dla nas bełkotem. Marcus twierdził, że nie jest w stanie odczytać jego bazgrołów.

- Nie masz żadnego pomysłu, co Carter mógł ukrywać?

- Nie. Dowiedziałem się od agentów, że' zanim zmarł, powiedział panie Rose coś o jakimś obiekcie badań. Obawiał się, że ona coś odkryje. Nie mam pojęcia, co miał na myśli.

Jack miał już przejść do Marcusa Lemminga, kiedy przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie.

- Który z was robił nagrania?

- Z początku każdy z nas miał dyżur przy kamerze, ale parę ostatnich lat Erie nalegał, żeby to była jego działka.

- Więc istnieją nagrania z ostatniego roku?

- Oczywiście. Erie bez przerwy je oglądał. To doprowadzało nas do szału. W końcu przenieśliśmy odtwarzacz do małego pokoju tak, żebyśmy mogli zamknąć drzwi. A on oglądał je godzinami. Uwielbiał Ricky'ego, ale przecież wszyscy go lubiliśmy. To był okazały samiec alfa. Mam nadzieję, że będę mógł

obserwować go do końca. Nie sędzę, żeby jeszcze długo pożył. Przez ostatnie dwa lata byłem wyłączony z badań nad Rickym, bo Brandon poprosił mnie, żebym tropił z nim szczenięta Ri-cky'ego z drugiego stada. Można powiedzieć, że tworzyliśmy swego rodzaju drzewo rodowe. Sporo się nauczyliśmy, ale nie udało nam się sfilmować nowego stada tak, jakbyśmy sobie tego życzyli. Erie zawłaszczył dobry sprzęt. Miał trzydzieści płyt pełnych materiału filmowego. Nocami oglądał je z wyłączonym dźwiękiem. Nie chciał słuchać, tylko patrzył. Po kolei, od pierwszej do trzydziestej, a kiedy skończył, zaczynał od początku. Marcus podejrzewał, że Erie przeżywa załamanie nerwowe. Chciał, żeby wrócił do domu na jakiś czas i wybrał się do specjalisty. Odesłalibyśmy go do domu, ale i tak planowaliśmy zaraz zamknąć obóz na zimę, więc postanowiliśmy jeszcze przez jakiś czas znieść jego dziwne zachowanie. Uważałem, że kiedy Erie wróci do miasta, to się z tego otrząśnie. Jack wrócił do tematu nagrań.

- Mówiłeś, że od pierwszej do trzydziestej płyty. Jesteś pewien tej liczby?

- O, tak. Jestem pewien.

- Znalazłem tylko dwadzieścia trzy płyty. Kirk oparł się w fotelu.

- A co się stało z pozostałymi siedmioma?

- Ty mi to powiedz. Podrapał się po policzku.

- Nie wiem. Erie musiał coś z nimi zrobić. Może odesłał je do domu? Sprawdzaliście? - Uśmiechnął się zaraz. - Jasne, że sprawdzaliście.

Jack postanowił przejść do ostatniego badacza: Marcusa Lemminga.

- Tak jak mówiłem, przyjaźnił się z Erikiem, dopóki ten nie zaczął się dziwnie zachowywać - powiedział Kirk. - Marcus zajmował się badaniem stada i kiedy kończyliśmy robotę, był bardziej związany ze mną niż z Erikiem. Wieczorami, kiedy Erie oglądał nagrania, Marcus i ja graliśmy w karty i scrabble.

Od czasu wyjazdu z Inook rozmawiałem z nim kilka razy.

Marcus rozważa przeniesienie się z powrotem do Północnej Dakoty, żeby być bliżej rodziny. Te badania kompletnie go wypaliły.

Po godzinie Jack wkładał właśnie płaszcz, kiedy przyszło mu do głowy jeszcze jedno pytanie.

- Nigdy nie nazywaliście swoich badań Projektem Alfa?

- Już chyba ze sto razy słyszałem to pytanie od agentów i od panny Rose. Nie, nie nazywaliśmy tego projektu Alfa.

- Rozmawiałaś z Sophie?

- Tak, wczoraj dzwoniła. Mówiła, że chciałaby przyjechać. Bardzo długo rozmawialiśmy przez telefon. Pytała o Projekt Alfa, a potem zaczęliśmy rozmawiać o mojej żonie. Miło było powspominać. Zdaje się, że mocno odbiegłem od tematu, ale panna Rose zdawała się prawdziwie zainteresowana.

Taka była jego Sophie. Każdego potrafiła skłonić do opowiedzenia historii swojego życia. Ale zaraz, przecież to nie była „jego Sophie”. Jack myślał o niej bardzo dużo i tęsknił za nią.

Była w jego myślach, kiedy wracał do Chicago. Nadal „wściubiła nosa”, tak jak zarzucił jej to Erie. Nie dawała za wygraną, a Jack miał złe przeczucia. Chciał do niej zadzwonić i powiedzieć jej, żeby przestała. Czuł, że musi z nią porozmawiać i przekonać ją, by się wycofała. Musi się z nią znowu zobaczyć.

Gulgulgul, gulgulgul, gulgulgul. Z mieszaniną niedowierzania i szoku Sophie przyglądała się protestującym, którzy pikietowali przed sklepem spożywczym. Bitterman przydzielił jej zadanie i było to jedno z tych, które trafiały do jej notesu pod hasłem „nienawidzę-ta-kiej-roboty”. Niewykluczone, że konkretnie to zadanie może się znaleźć w piątce najgorszych.

Siedmioro protestujących z plakatami w rękach maszerowało w tę i z powrotem przed wejściem do sklepu. Troje z nich przebranych było za indyki.

Sophie przeszła przez parking. Zebrała się w sobie i zaczepiła kobietę idącą na końcu wężyka.

- Przepraszam, czy mogłaby mi pani powiedzieć, kto tu jest głównym indykiem? Chciałabym się dowiedzieć przeciwko czemu protestujecie.

Pewien dżentelmen z okrągłą twarzą okoloną piórami i z pomarańczowymi koralami zwisającymi z brody podszedł do Sophie.

- To ja. Ja to zorganizowałem - oznajmił z powagą.

- Piszę artykuły dla Illinois Chronicle. Czy mogę zadać panu kilka pytań w sprawie waszego protestu?

- Oczywiście. Zależy nam na tym, żeby zwrócić uwagę na ten horror.

- O jakim horrorze pan mówi? - spytała Sophie.

- O bestialskim okrucieństwie wobec indyków.

- To barbarzyństwo! - zakrzyknęła kobieta z plakatem.

- Mordercy hodują je tylko po to, by je zabić i zjeść. To zbrodnia!

- Protestują<sup>1</sup> państwo przeciwko sprzedaży przez sklep spożywczy indyka na Święto Dziękczynienie, tak? - spytała ze spokojem Sophie.

Chuda starsza kobieta z grubymi okularami wystąpiła z szeregu.

- Właśnie tak. I nie ruszymy się stąd, dopóki mordowanie nie ustanie.

Każdy z protestujących miał coś do dodania i upewniali się, czy Sophie dobrze zapisuje ich nazwiska. Kiedy już nie przychodziło jej do głowy żadne inne absurdalne pytanie, podziękowała im za wywiad i odwróciła się, żeby odejść. Za nią mała, ale głośna grupka, zaskandowała: Ocalić indyki! Ocalić indyki!

Sophie wyjęła telefon komórkowy i zrobiła nim kilka zdjęć. Cordie i Regan nigdy w to nie uwierzą, jeśli nie pokaże im dowodu.

Nie spieszyła się, wracając pieszo do pracy. Przechodnie pędzili we wszystkich kierunkach, opatuleni grubymi płaszczami z postawionymi wysoko kołnierzami i w wełnianych czapkach naciągniętych na uszy. Sophie nie zauważyła zimna i zaskoczyło ją, kiedy spojrzała na budynek First Commerce Bank i zobaczyła na wyświetlaczu obok godziny, wielkimi literami świecąca temperaturę: minus dwa stopnie Celsjusza. Biorąc pod uwagę to, gdzie ostatnio była, taka temperatura była jak balsam.

Co tu napisać o ludziach-indykach? Nie mogła nazwać ich wariatami, a artykuł miał mieć wydźwięk pozytywny i radosny, bo właśnie takie rzeczy ludzie chcieli czytać. W porządku, zrobi z nich radosnych ludzi-indyki.

O Boże, jak do tego doszło, że musiała pisać o protestujących o prawa indyków i o kłopotach sercowych kobiet bluszczów?

Dość z narzekaniem, upomniała się w duchu. Napisze artykuł bez zrzędenia, bo na tym polega jej praca. Ale jak tylko go skończy, pomyślała, to chyba wybiegnie na środek ulicy w nadziei, że rozjedzie ją jakiś bardzo duży autobus.

Gary znowu siedział w jej boksie. Zrobił się już tak bezczelny, że nawet nie udawał, że czegoś szuka. Sophie nie próbowała być uprzejma.

- Wynoś się. - Miała ochotę go wypchnąć, ale znając Ga-ry'ego, pewnie oskarżyłby ją o napaść. - To moje miejsce, nie twoje.

- Tylko się rozglądałem - odparł posepnie.

Nie zapytała, czego szukał. Kiedyś powiedział jej, że ona zawsze dostaje dobre historie - z pewnością nie słyszał o ludziach-indykach - i z pewnością chciał zobaczyć, czy nie uda mu się podebrać jakiegoś tematu. Rozejrzała się po swoim boksie, żeby upewnić się, czy czegoś nie ukradł, a potem usiadła przed komputerem, wpisała hasło i zaczęła spisywać artykuł. Od początku do końca zajęło jej to całe dwadzieścia minut. Dołączyła do tekstu notatkę z prośbą do pana Bittermana, żeby nie umieszczał przy artykule jej zdjęcia.

Spojrzała na stertę zadań, które miała do nadrobienia. Co będzie następne, pomyślała. Oparła się na krześle i wzięła głęboki wdech. Na biurku leżał jej stary notes. Wzięła go do ręki i przekartkowała kilka stron, znowu myśląc o wywiadzie, który przeprowadziła z Harringtonem. Wiedziała, że coś przegapiła, i to doprowadzało ją do szału. Do tej pory przeczytała swoje notatki już ze dwadzieścia razy, ale zabrała się do nich raz jeszcze.

Wybrany do jakiegoś ekskluzywnego klubu. Czy chodziło tu o Projekt Alfa? Nazwał go klubem i porównywał do kwalifikacji olimpijskich. Chwalił się, że przeszedł całą masę testów.

- *Proszę tylko na mnie spojrzeć* - tak jej powiedział. Klub supermanów? Przy tym zdaniu dopisała znak zapytania. - *Proszę tylko na mnie spojrzeć.*

Pomyślała, że powinna porozmawiać jeszcze raz z Kirkiem Halpernem, więc wykręciła jego numer telefonu. Kirk ucieszył się, słysząc jej głos.

- Bardzo przepraszam, że znowu pana nękam - zaczęła - ale myślałam o wilkach, które panowie badali.



- Z przyjemnością odpowiem na wszystkie pani pytania
- zaoferował.
- Czy te konkretne wilki były nadzwyczaj żywotne lub silne? - spytała.
- Nie powiedziałbym, że były nadzwyczajne - odparł.
- Były takie, jak się tego spodziewaliśmy po tym podgatunku.
- Czy zauważył pan jakąś znaczącą poprawę w ich kondycji podczas obserwacji?
- Prawdę mówiąc, nie uczestniczyłem w obserwacji tych samych zwierząt przez całe badania. Ostatnie dwa lata i doktor Finch zajmowali się inną grupą. Erie i Marcus kontynuowali badania nad pierwszym samcem alfa. Był oczywiście najsilniejszy w stadzie. Jak pewnie pani wie, nazwaliśmy go Ricky. Był już dojrzałym osobnikiem, kiedy zaczęliśmy nasze obserwacje, więc prawdopodobieństwo, że będzie stawał się silniejszy było naprawdę nikłe. Nie potrafiliśmy ocenić dokładnie jego wieku, ale podejrzewaliśmy, że jest starszy, zważywszy na sierść i starte zęby. Długość życia wilków arktycznych to jakieś siedem lat. Niesamowite więc było to, że pod koniec naszych badań Ricky nadal żył.
- Ile z panów obserwacji zostało nagrane na wideo?
- Doktor Carter był bardzo skrupulatny w kwestii nagrań, ale właśnie dowiedziałem się, że ostatnie płyty gdzieś zniknęły. Agent FBI, Jack MacAlister, był właśnie u mnie i pytał o to samo.
- Kiedy od pana wyszedł? - zapytała.
- Jakieś piętnaście minut temu.
- Bardzo panu dziękuję - powiedziała. - Bardzo mi pan pomógł.
- » - Proszę dzwonić w razie potrzeby.

Sophie odłożyła telefon i zaczęła w zamyśleniu stukać ołówkiem w brodę. Jak mogła dostać się do tych nagrań wideo? Wszystko, co znajdowało się w obozie w Inook, zostało zewidencjonowane do bieżącego śledztwa i z pewnością jest skrupulatnie strzeżone.

Będzie musiała użyć podstępów. Kirk Halpern niechętnie pomógł jej, wspominając o tym, że dopiero co wyszedł od niego agent MacAlister. Musiała się pospieszyć, zakładając, że Jack wróci pierwszym możliwym lotem do Chicago. Czas odgrywał tu ważną rolę.

Zadzwoiła do Aleca i nie podając powodu, zapytała, czy mógłby się z nią spotkać w holu budynku FBI. Zgodził się, jako że był właśnie w biurze.

Uśmiechnęła się słodko i pocałowała go w policzek, kiedy się spotkali.

- Jack powiedział mi, że powinnam obejrzeć jakieś nagrania z wilkami - powiedziała. Wzruszyła ramionami i westchnęła.

- Wiem, że to będzie straszna nuda, ale skoro mnie prosił i obiecałam, że to zrobię... Mógłbyś mi je dać?

Alec uśmiechnął się do niej. Znał dość długo Sophie żeby wiedzieć, kiedy powinien nabrać podejrzeń.

- To nie jest wypożyczalnia wideo. Nie możesz ich stąd wynieść.

- Fakt, masz rację. A może mogłabym je tutaj obejrzeć? To chyba nie byłby problem, prawda?

- Może powinienem najpierw pogadać o tym z Jackiem?

- zasugerował.

- Dobry pomysł. Jack jest tutaj? Na pewno powie ci, że chciał mojej pomocy.

- Nie, nie ma go.

- To może do niego zadzwonisz? - spytała, mając nadzieję, że siedzi teraz w samolocie.

- Wątpię, żeby udało mi się go teraz złapać. Ale myślę, że mogę zorganizować ci to oglądanie nagrań.

Pięć minut później, uzbrojona w plakietkę gościa przypiętą do bluzki, Sophie kroczyła korytarzem z Alekiem do skąpo umeblowanego pokoju. Jakiś człowiek od spraw technicznych przyniósł odtwarzacz dvd, podłączył go i zapytał, które z płyt chciałyby obejrzeć.

- Trzy pierwsze i trzy ostatnie - powiedziała.

Alec został z nią w pokoju, kiedy oglądała wilki. Robił

papierkową robotę, ale co jakiś czas zerkał na nią i pytał, czy coś znalazła.

- Nie, jeszcze nie - odpowiadała za każdym razem. Przejrzała pierwszą i ostatnią płytę.

- W porządku. Skończyłam - oznajmiła. - Nie muszę już więcej oglądać. Dziękuję ci, Alec.

Odprowadził ją do holu.

- Powiedz mi, Sophie, czego szukałaś? Uśmiechnęła się do niego.

- Supermana. To na razie!

Odwróciła się do wyjścia dokładnie w chwili, kiedy do budynku wszedł Jack. Wyglądał na równie zaskoczonego jak ona na jego widok.

- Cześć - powiedział.

- Hej - rzuciła, nie zatrzymując się w drodze do wyjścia.

- Do zobaczenia.

Chciała go minąć, ale złapał ją za ramię.

- Musimy porozmawiać.

- Kazałeś jej obejrzeć nagrania wideo z Alaski? - spytał Alec.

- Nie - powiedział, patrząc na Sophie.

- A ja sądziłam, że tego chciałeś - powiedziała głosem niewiniątka.

- Sophie, chyba nie okłamałaś agenta federalnego, co?

- spytał Jack.

Sophie rzuciła szybko okiem na zegarek.

- O Boże. Jestem już spóźniona na spotkanie. - Po tych słowach ruszyła do wyjścia. - Miło było znowu cię zobaczyć.

Sophie wypadła z budynku federalnego jak burza i omal nie przewróciła starszej kobiety z zakupami. Jack nie poszedł za nią. Patrzył za nią, aż zniknęła z pola widzenia, a potem odwrócił się i ruszył do windy. Alec nie mógł się oprzeć.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie - uciął Jack.

Alec uśmiechnął się szeroko. Jack był ostrożnym facetem i tak jak większość mężczyzn zachowywał emocje dla siebie. Związki nie były bezpiecznym tematem do rozmów i z pewnością nie zamierzał mówić o kobiecie, którą kochał. Ani teraz, ani nigdy.

Alec rozpoznawał te znaki. Życie Jacka ostatnio bardzo się skomplikowało i widać było, że to go rozbija. Czy jego przyjaciel osiągnął już stan cierpienia? Z wyrazu jego twarzy Alec mógł wywnioskować, że tak. Z pewnością osiągnął taki stan, w którym wszyscy dokoła doskonale widzą, co się dzieje, a on nie przyjmuje tego do wiadomości. Alec sam kiedyś przez to przechodził. Wiedział, że to tylko kwestia czasu, kiedy Jack się podda.

Jack i Sophie. To dopiero będzie ciekawa kombinacja. Jack uderzył pięścią w guzik windy.

- Po co Sophie chciała obejrzeć te nagrania? Powiedziała ci? Alec zaczekał, aż drzwi windy się zamkną.

- Powiedziała, że ma pewną teorię, ale nie jest jeszcze gotowa, żeby o niej mówić.

- Nie jest gotowa? Dlaczego nie zmusiłeś jej, żeby o tym powiedziała?
  - Zmusić ją? Ty chyba żartujesz?
  - Przecież jesteś agentem FBI...
  - Trzeba by całej ekipy agentów, którzy by pracowali nad nią przez całą dobę, żeby zmusić ją do powiedzenia, co jadła na lunch. I nawet wówczas pewnie by skłamała.
  - Jeśli coś odkryła i pójdzie za tym tropem, to może wpakować się w niezłe tarapaty. Zdajesz sobie sprawę z tego, ile razy do niej strzelano? To ja ci powiem: za dużo. Zadzwońię po Gila, żeby znowu ją ochraniał.
  - Dobry pomysł - powiedział Alec. - Lubi mieć ekstra pieniądze na grę w pokera, a poza tym uwielbia Sophie. Dopiero kiedy znaleźli się w biurze, Jack opowiedział Alecowi o swojej wycieczce do Minneapolis i rozmowie z doktorem Halpernem.
  - Napisał sporo książek i otrzymał nagrody, ale jest bardzo skromny - powiedział Jack. - Nie wyobrażam sobie, jak zniósł tyle czasu w zamknięciu z trzema innymi mężczyznami na Alasce. Dziwi mnie, że to go nie wkurzyło.
  - Bo to cisi są tymi, którzy naprawdę pracują. Jak rozumiem, Marcus Lemming jest, wybacz dwuznaczność^ na drugim biegunie. Dowody świadczą, że nie ma oporów w mówieniu, jaki to on jest wspaniały.
- Jack i Alec przejrżeli akta zebrane w tej sprawie. Zamykając ostatnią teczkę, Jack odsunął się na krześle od biurka i wyciągnął nogi.
- Według raportów, Halperna i Lemminga nie było w Inook, kiedy zginął William Harrington. Twierdzą, że nigdy o nim nie słyszeli. Erie był tam sam i nie wiedzą, co tam robił. Lemming wraca dziś wieczorem do miasta. Złożę mu wizytę - powiedział Jack.
- Jack zatrzymał samochód przed wejściem do małego domu z lat sześćdziesiątych, należącego do Marcusa Lemminga. Jednopiętrowa, kanciasta bryła wyglądała ubogo na otaczającym ją

terenie. Nie było wokół niej ani jednego drzewa, krzewu, czy nawet źdźbła trawy. W roli trawnika występowały nisko skoszone chwasty.

Naukowiec, który większość czasu spędzał na Arktyce, prawdopodobnie nie miał czasu, żeby dbać o dom, pomyślał Jack. Ale zastanowiło go, co o nim sądzą sąsiedzi, których trawniki były wypielegnowane, a krzewy precyzyjnie przycięte.

Alec miał rację co do Marcusa Lemminga: był całkowitym przeciwieństwem Kirka Halperna. Otworzył mu drzwi krzepki mężczyzna z kanciastą szczęką i nieufnym spojrzeniem. Kiedy Jack pokazał mu identyfikator i poprosił o kilka minut rozmowy, Lemming odsunął się na bok i wpuścił go do domu.

Wnętrze domu było niemal tak przestronne jak jego zewnętrzne otoczenie. Mały salon miał gołe, drewniane podłogi. Przy jednej ścianie leżał futon, a biurko z fotelem stało przy oknie wychodzącym na ulicę. Druga ściana pokryta była w całości regałem na książki, którego półki ugięły się od ciężaru woluminów.

- Co takiego chciałby pan wiedzieć? - zapytał Lemming. - Już powiedziałem innym agentom wszystko, co wiem o Ericu.

- Jakby pan opisał relacje z nim? - spytał Jack.

- Dobrze nam się układało. Na początku byliśmy przyjaciółmi, ale z czasem stało się dla nas wszystkich jasne, że Erie mi zazdrościł. Opublikowałem już kilka książek i zaproszono mnie do dwóch zespołów naukowych w największych instytutach. Za to życiorys Erica, nie lubię mówić źle o zmarłych, był raczej żalorny. Stał się bardzo zaborczy w kwestii swojej pracy i nie chciał się niczym dzielić z resztą z nas. Miał w zwyczaju pracować po nocach nad swoimi notatkami i nagraniami. Robił wrażenie paranoika, jakby bał się, że ktoś wykradnie jego pomysły. Mogę pana zapewnić, że Erie Carter nie miał niczego, co mógłbym pragnąć lub chcieć mu ukraść.

W głosie Lemminga nie było nawet krzty sympatii, kiedy dalej wyszydził referencje Cartera.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak się w sobie zamknął. Może dopadł go stres?

- Zatem nie widział pan danych, które zebrał, ani nagrań?
- Kilka z nich widziałem. Ale, tak jak mówiłem, im bliżej było końca, tym bardziej ukrywał je przed nami.
- Czy wie pan, co się stało z jego nagraniami?
- Reszta z nas wysyłała pocztą elektroniczną wyniki badań do domu, a kopie dysków twardych pakowaliśmy i wysyłaliśmy zwykłą pocztą. Nie wiem, co Erie robił ze swoimi materiałami.
- Znaleźliśmy jego notesy i trochę płyt z filmami, ale wygląda na to, że większość zaginęła. Wie pan coś o tym?
- Nie mam pojęcia.

Im więcej Jack zadawał pytań, tym bardziej Lemming robił się niecierpliwy. Kiedy padło nazwisko Harringtona, na jego twarzy pojawiło się zafrasowanie.

- Słyszałem, co się stało - powiedział. - Niedźwiedź polarny... - Pokręcił głową. - Straszna śmierć. Nie mam pojęcia, co ten człowiek robił na takim pustkowiu.

Jack zadał jeszcze kilka pytań, ale odpowiedzi Lemminga nie wnosiły nic nowego, czego Jack nie wyczytałby już z akt. Jednakże zaczął dostrzegać pewną nutę przewodnią każdej wypowiedzi Lemminga: Erie Carter działał w pojedynkę.

Dlaczego tak bardzo to podkreślał? Dlaczego takie ważne było dla niego, żeby się zdystansować? Te pytania Jack zachował dla siebie... Na razie.

Parę minut później siedział już w swoim samochodzie i ruszał spod domu naukowca. Obejrzał się jeszcze przez ramię i zobaczył Lemminga stojącego w oknie.

Jack wyglądał nieźle, naprawdę dobrze, pomyślała Sophie. Ale zdawał się też zmęczony. Całe popołudnie spędziła na przydzielonym jej zadaniu i udało jej się wyprzeć z głowy wszelkie myśli na temat Jacka MacAlistera, lecz teraz znowu do niej powróciły.

Zastanawiała się, co by się stało, gdyby rzuciła mu się na szyję w holu budynku FBI. Zawyłyby alarmy?

Głupi pomysł. To wszystko było fatalnym błędem. Jednak tęskniła za jego pocałunkami.

Mimo ogarniającej jej melancholii, nakazała sobie przestać o nim myśleć. Miała teraz ważniejsze sprawy, nad którymi powinna się zastanawiać. Na przykład indyki...

Od czasu ich powrotu z Alaski Jack nawet do niej nie zadzwonił. Dlaczego?

Szła szybkim krokiem do redakcji. Musiała dotrzymać terminu oddania artykułu. Przyspieszyła kroku tak, że niemal biegła, co było mało wygodne na wysokich obcasach.

Kiedy dotarła do swojego biurowca, była już w bardzo bojowym nastroju. Miała nadzieję, że znowu zastanie Gary'ego w swoim boksie. Miałaby wtedy powód, żeby mu przywalić. A niech ją pozwie! Co ją to obchodziło? Nie miała żadnych pieniędzy, więc niczego nie straci.

Kiedy szła do swojego biurka, zauważył ją Bitterman. - Blon... - krzyknął, ale powstrzymał się i nie dokończył. Sophie poczuła satysfakcję. A więc jednak można było czegoś nauczyć pana Bittermana.



- Zostaw swoje rzeczy, Sophie, i chodź do mnie. Mam dla ciebie następne zadanie.

Jeśli to zadanie to ciąg dalszy historii ludzi-indyków, to mogłaby kupić sobie indyka, najlepiej mrożonego, i rozwalić nim głowę Bittermanowi.

Musi przestać tak myśleć. Ta praca zmieniają w agresywną osobę.

Gary siedział skulony przy swoim biurku i nawet nie podniósł wzroku, kiedy go mijala. Z każdą minutą ten dzień stawał się lepszy.

Weszła do biura pana Bittermana z bloczkiem w dłoni i zamknęła za sobą drzwi.

- Zauważyłaś, że nie nazwałem cię „blondyną”?

- Tak, zauważyłam i naprawdę to doceniam. Teraz mógłby pan jeszcze popracować nad tym, żeby na mnie nie gwizdać.

- Dobrze - powiedział. - A teraz siadaj i powiedz mi, czego się dowiedziałaś w FBI. Masz coś nowego?

- Tak jakby - wykręciła się. - Mam pewną teorię, ale na razie jest w powijakach. Jest pan pewien, że chce ją poznać?

- Tak.

- Sądzę, że doktor Erie Carter nie tylko obserwował wilki. Myślę, że coś im robił. A konkretnie jednemu z nich, samcowi alfa. Jednak nie potrafię tego udowodnić. FBI mogłoby to zrobić - dodała. - Ich specjaliści mogliby pobrać próbki krwi od zwierząt, albo zbadać stado, lub...

- Co masz na myśli, mówiąc, że robił coś zwierzętom?

- Sądzę, że Carter w jakiś sposób je zmieniał.

- Mówisz poważnie?

«- Brzmi, jak wariactwo, prawda? Przytaknął.

- Podzieliłaś się swoją teorią z Jackiem albo Alekiem?

- Nie. - Zanim zdążył zapytać ją dlaczego, powiedziała: - Nie mam nic przeciwko temu, żeby pan się ze mnie śmiał, ale nie chcę, żeby oni to robili.

**304**

- Niech FBI to zbada - rozkazał.

Nie oponowała, bo i tak jej możliwości w tym miejscu się kończyły.

- Tak. Ja już zrobiłam wszystko, co mogłam. Chyba że wreszcie znajdą się brakujące nagrania wideo i dadzą odpowiedzi na większość pytań.

- Nie chcę, żebyś się tym dalej zajmowała. Zgoda? Przytaknęła.

- Mówił pan, że ma dla mnie jakieś zadanie. Obawa zniknęła z jego oczu.

- No właśnie. Mam coś. Tylko obiecaj mi, że wysłuchasz mnie do końca, zanim zaczniesz się kłócić.

- W porządku... - powiedziała podejrzliwie.

- Chciałbym, żebyś przejęła rubrykę „Kuchnia Kathy”.

- Przejęła?

- Kathy otwiera piekarnię na wiosnę.

- I potrzebuje pan kogoś, kto ją zastąpi, dopóki nie znajdzie się ktoś na stałe?

- Nie. Chcę, żebyś to ty przejęła jej funkcję. Nazwiemy ją „Kuchnia Sophie”.

Wybuchnęła śmiechem, ale przestała się śmiać, kiedy zauważyła, że Bitterman jej nie wtóruje.

- Pan nie żartuje.

- Nie.

- Przecież ja nie mam pojęcia o gotowaniu. Nie potrafiłabym nawet...

- Będiesz miała czas, żeby się nauczyć. Pięć miesięcy. Jeśli chcesz, opłacę ci gotowania. Nie oceniaj się zbyt nisko.

Potrafisz zrobić wszystko, co tylko przyjdzie ci do głowy.

- Aleja...

- Dobrze, cieszę się, że się zgadzasz. Odesłałem ci ten tekst do korekty. Chcę, żebyś zajęła się tym od razu.

- Ale...

Dobrze, że miała poczucie humoru, inaczej poszłaby znowu

szukać tego autobusu. Najpierw indyki, a teraz kuchnia. Czy mogło być gorzej?

Gary uśmiechał się złośliwie, kiedy go mijała. Co za palant, pomyślała po raz tysięczny. Co z oczu, to z serca.

Zapomniała o Garym w chwili, kiedy zajęła się pracą. Bitterman chciał, żeby zrobiła korektę jednego z jej artykułów, co było synonimem: „Napisz go jeszcze raz, bo mi się nie podoba”.

Była już przy ostatnim akapicie, kiedy zadzwonił jej telefon. Odebrała, nie odrywając oczu od ekranu komputera.

- Halo?

- Czy to Sophie Rose? - odezwał się głęboki, zgrzytliwy głos.

To nie był zwykły telefon do gazety.

- Tak? - odpowiedziała z wahaniem.

- Mam coś, co chciałaby pani zobaczyć - powiedział.

- Kto mówi? - zapytała.

- Nie mogę powiedzieć.

- W takim razie odkładam słuchawkę - odparła. Już miała to zrobić, kiedy mężczyzna powiedział:

- Proszę się nie rozłączać. Potrzebuję pani pomocy. Jego błagalny ton powstrzymał ją.

- Słucham.

- Mam nagrania, z których dowie się pani, co Erie Carter robił na Alasce.

To przykuło jej uwagę.

- Skąd pan je ma? - spytała po chwili.

- Nie mogę powiedzieć. Jedyne, co mogę powiedzieć to to, że nie miałem z tym nic wspólnego. Nie wiedziałem, co on robił. To nie było etyczne i nie powinienem był nigdy się w to angażować. Muszę się tego pozbyć.

- Proszę zanieść nagrania do FBI - podpowiedziała.

- Nie mogę. Będą chcieli mnie aresztować.

- W takim razie proszę je przynieść do redakcji - zasugerowała.

- Nie mogę. - Jego głos zabrzmiał szaleńczo. - Nie pozwolę,

żeby ktokolwiek inny je dostał. Tylko pani ufam. Czytam pani artykuły. Albo je pani sama ode mnie weźmie, albo je zniszczę i nigdy nie dowie się pani, co się przydarzyło Williamowi Harringtonowi.

- Gdzie pan jest? - zapytała.

- Na rogu Sześćdziesiątej Ósmej i Prescott. Spotkajmy się tam - powiedział. - Tylko niech przyjdzie pani sama, inaczej nie dostanie pani nagrań.

- Nie, to ja wybiorę miejsce - powiedziała.

- W porządku. Gdzie?

Sophie zaczęła gorączkowo szukać w pamięci miejsc publicznych, w których jest dużo ludzi.

- W Cosmo - powiedziała i podała adres.

- Proszę być o siódmej. I lepiej bez towarzystwa, bo inaczej umowa przepadnie - ostrzegł ją rozłączył się.

Na zegarku Sophie była 18:15. Jeśli się pospieszy, zdąży być w Cosmo trochę wcześniej. Po drodze zadzwoni do Jacka i poprosi go, żeby się tam spotkali.

Nie wyłączyła komputera, ani nie powiedziała Bittermanowi, że wychodzi. Chwyła torebkę i popędziła do wyjścia.

Na ulicy rozejrzała się za taksówką. W godzinach szczytu znalezienie pustej taksówki graniczyło z cudem. Będzie musiała pojechać kolejką.

W biegu wyciągnęła telefon z torebki, żeby wybrać numer Jacka. Telefon zadzwonił, zanim zdążyła go otworzyć. To był jej ojciec.

- Co powiesz, żebym zaprosił cię dzisiaj na kolację, księżniczko? - spytał. - Jestem znów w mieście i dzisiaj nikt mnie nie ściga. Moglibyśmy spotkać się na żywo.

- Byłoby super, tato - powiedziała. - Ale teraz nie mogę rozmawiać.

- A gdzie jesteś? - spytał. - Słyszę, że brakuje ci tchu.

- Przechodzę przez park Nelsona, żeby złapać kolejkę - odparła. - Mam umówione spotkanie.

- Robi się ciemno. Nie powinnaś spacerować po ciemku po parku. Czemu nie chcesz, żebym kupił ci samochód?

**310**

- Nie teraz, tato - ponagliła go. - Później do ciebie od-dzwonię. Muszę się teraz połączyć z Jackiem. To bardzo ważne.

- Z Jackień? MacAlisterem? - spytał.

- Tato, nie mogę... - urwała. - Nie... nie... - usłyszał jej krzyk, a potem odgłos szamotaniny.  
Połączenie zostało zerwane.

Jack siedział przy stole konferencyjnym z trzema innymi agentami i stertą teczek z aktami sprawy. Pittman weszła do sali, niosąc kolejne trzy teczki i zajęła miejsce u szczytu stołu. Minutę później pojawił się Alec.

- Spóźnił się pan, agencie Buchanan - warknęła Pittman.

- To prawda. - Nie próbował się tłumaczyć, bo i tak żadne tłumaczenie by jej nie zadowoliło. Nie był dzieckiem i miał prawo się spóźnić.

- Zaczniemy od śledztwa z Alaski. Jack, pan pierwszy. Jack opowiedział o swoich rozmowach z Kirkiem Halpernem i Marcusem Lemmingiem.

- Obaj w zasadzie potwierdzili wersję, którą znamy z akt sprawy. Halpern powiedział mi, że Lemming miał najlepszy kontakt z Carterem. Spędzali razem dużo czasu. Natomiast Lemming, nie uwierzylibyście, jak bardzo go nie znosił. Oskarżał Cartera o wszystko poza śniegami Alaski. Ewidentnie nie podobały mu się pytania, jakie mu zadawałem, i postanowił powiedzieć mi to, co chciał, żebym wiedział. To arogancki typ. Zasugerował, że Carter nie był tak bystry jak on. Jestem pewien, że chciał, bym uwierzył, że Carter miał przed nimi sekrety. Odrobinę za bardzo protestował, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Sądzę, że powinniśmy go śledzić.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka zajrzała asystentka Pittman.

- Nie życzę sobie, aby nam przeszkadzano - przypomniała jej Pittman.

- Jest telefon do agenta MacAlistera.
- Zapisz, o co chodzi. Jesteśmy w trakcie ważnej rozmowy.
- To Bobby Rose.

Wszyscy przy stole spojrzeli na Jacka.

- Bobby Rose? - powtórzyła Pittman z zaskoczeniem. - Po co miałby do pana dzwonić, agencie MacAlister?

Jack już wstał, żeby wziąć telefon od Jennifer.

- Pan Rose nalega, że to coś bardzo pilnego - powiedziała asystentka.

Coś się stało Sophie. Jack wiedział to, jeszcze zanim przejął słuchawkę. Inaczej Bobby Rose by do niego nie dzwonił.

- Przełącz go na głośnik - rozkazała Pittman.
- Linia czwarta - powiedziała Jennifer, zamykając za sobą drzwi.
- Tu MacAlister.
- Sophie zaginęła. Ktoś ją porwał.
- Kiedy? Jak to się stało?
- Przechodziła przez park Nelsona w stronę kolejki elektrycznej.

Pittman przedstawiła się i zapytała:

- Skąd pan wie, że została porwana?
- Rozmawiałem z nią przez telefon. - Lęk sprawił, że z trudem mówił. - Powiedziała mi, że idzie na spotkanie z kimś i że musi zadzwonić do ciebie, Jack. Miała powiedzieć ci coś bardzo ważnego.
- Kiedy to było? - zapytał Alec.
- Pięć minut temu. Właśnie się ze mną żegnała i nagle krzyknęła... A potem już jej nie było.
- Ustalimy miejsce jej pobytu - powiedziała Pittman i dała znak jednemu z agentów.
  - Gdzie pan teraz jest, panie Rose?
- W drodze do parku.
- Spotkamy się na miejscu - powiedział Alec.
- Posłuchaj mnie, MacAlister. Masz ją znaleźć. Słyszysz mnie? Masz ją znaleźć.

Po skończeniu rozmowy Jack spojrzął na Pittman.

- Ten sukinsyn Lemming ją ma - powiedział gniewnym głosem. - Ja to wiem. - Odsunął krzesło i wybiegł z sali. Pittman złapała za słuchawkę i zadzwoniła po wsparcie, a potem zaczęła wydawać polecenia pozostałym agentom.

Alec dogonił Jacka na parkingu.

- Ja kieruję - krzyknął do partnera.

Jack trząsł się z wściekłości, ale starał się nie myśleć o tym, co mogło się stać Sophie, tylko skupić na jej odnalezieniu.

Park Nelsona nie był daleko, ale kiedy Alec i Jack dotarli na miejsce, obszar roił się już od policji. Nie było żadnego śladu Sophie i nikt nic nie widział.

- Alec, on ją ma. Wiesz, że mam rację. Powinienem być go przyskrzynić. Powinienem...

- Nie ma żadnego dowodu.

- Pieprzyć dowody.

Rozejrzał się po tłumie i policjantach. Na miejsce przybywali kolejni agenci.

- Jesteśmy blisko biura Sophie. Może zostawiła jakąś wiadomość: adres, notatkę, cokolwiek? - powiedział Jack i ruszył biegiem do auta. - Tracimy czas. Im dłużej ją ma...

- Znajdziemy ją - obiecał Alec, wskakując na siedzenie kierowcy. - Po co Lemming miałby ryzykować, porywając ją? Wiedział, że nie mamy przeciwko niemu żadnego dowodu. Gdybyśmy coś na niego mieli, już by siedział w areszcie. To nie ma sensu.

Alec zahamował gwałtownie przed budynkiem gazety i zostawił samochód na światłach awaryjnych na jezdni.

- Nie wiem, dlaczego on to robi - powiedział Jack. Bitterman gasił właśnie światło w biurze, kiedy zobaczył biegnących ku niemu Jacka i Aleca.

- Co się stało?

Alec szybko przekazał mu informacje. Bitterman pobladł.

- Czy mówiła, dokąd idzie, kiedy stąd wychodziła? - spytał Alec.

- Sądziłem, że poszła do domu. Miała co prawda oddać mi artykuł, ale wyszła, nie kończąc go. To nietypowe dla Sophie.



- Czy coś panu mówiła? Cokolwiek na temat tego, gdzie była i z kim rozmawiała?
  - Mówiła mi o tych naukowcach z Alaski. Sądziła, że robili coś tym biednym zwierzętom. Kazałem jej przysiąc, że przestanie węszyć, a ona się zgodziła i powiedziała, że pozostawi sprawę do rozwiązania FBI.
- Bitterman zaprowadził agentów do jej biurka. Gary podskoczył na widok Jacka i Aleca.
- Co się dzieje? - spytał.
  - Sophie zaginęła.
- Gary natychmiast spuścił wzrok na swoje buty.
- Nie martwiłbym się. Pewnie poszła na zakupy. Wróci. Jack przeglądał rzeczy na biurku Sophie, szukając czegokolwiek, co mogłoby rzucić światło na jej poczynania.
  - Nie poszła na zakupy - głos Bittermana był bliski krzyku. - Ktoś ją porwał.
  - Ach... Rozumiem. Mam nadzieję, że nic jej nie będzie. Jack dostrzegł pluskwę z tyłu monitora Sophie.
  - A to co?
- Spojrzał na Aleca i sięgnął po telefon Sophie. Po chwili już go rozkręcił.
- Kolejna pluskwa - powiedział. - Krótki zasięg.
- Alec spojrzał na Gary'ego, a Jack powoli zbliżył się do niego.
- Chcesz iść na stronę? - spytał Alec.
  - Po co? Jeszcze nie skończyłem pracy.
- Jack nie zamierzał tracić czasu na wyjaśnienia. Chwycił Gary'ego za koszulę i wyrzucił go z boksu.
- Co my tu mamy? - powiedział Alec, wskazując na słuchawkę ukrytą pod pudełkiem spinaczy w szufladzie.
- Gary chciał się wycofać, ale Alec zastąpił mu drogę.
- Podśluchiwałeś jej rozmowy telefoniczne, prawda? Podłożyłeś pluskwy w jej boksie i w biurze Bittermana.
  - Nie. Nie zrobiłem tego...
  - To ty?! - wrzasnął Bitterman.
  - Co usłyszałeś z ostatniej rozmowy Sophie? - spytał Alec, siląc się na spokój.

Jack chwycił Gary'ego za gardło.

- Posłuchaj mnie, ty zbrojeńcu. Nie będę tracił czasu. Jeśli coś wiesz, lepiej mów teraz. Policzę do pięciu, a potem skręcę ci kark. Jeden... dwa... trzy...

- Dobrze, dobrze. Jakiś facet zadzwonił i powiedział, że potrzebuje jej pomocy. Chciał dać jej jakieś nagrania wideo, które mogłaby dostarczyć FBI. Kazała mu przynieść je tutaj, ale się nie zgodził, więc poszła się z nim spotkać.

- Dokąd?

- Do Cosmo. Chciał się spotkać gdzie indziej, ale się nie zgodziła.

- Gdzie chciał się z nią spotkać? - spytał Alec.

- Na rogu Sześćdziesiątej Ósmej i Prescott.

- Kiedy powiedziałem ci, że Sophie zniknęła, dlaczego nie powiedziałeś nam tego? - spytał Bitterman.

- Wtedy dowiedziałby się pan, że ją podsłuchiwałem, i miałbym kłopoty. Nie chciałem nikomu wyrządzić krzywdy. Byłem pewien, że jej ojciec zadzwoni, a wtedy mógłbym sprzedać jakieś...

Jack przyłożył mu tak, że Gary przeleciał przez swoje biurko. Alec ruszył biegiem do schodów, telefonując do kogoś. Jack był tuż za nim.

Bitterman krzyknął za nimi:

- Jak mogę pomóc?

- Niech pan go tu zatrzyma - krzyknął Jack. - Proszę nie spuszczać go z oka i jeśli jeszcze coś sobie przypomni, to proszę dzwonić do mnie.

- Nic więcej nie wiem - jęknął Gary. - Nie możecie mnie zatrzymać...

Bitterman złapał telefon i wezwał ochronę. Jack i Alec wybiegli na ulicę.

- Zadzwonię do Pittman - powiedział Jack, kiedy Alec uruchamiał silnik. - Nie znam tego miasta. Gdzie jest róg Sześćdziesiątej Ósmej i Prescott?

Jack powtórzył pytanie szefowej, która miała mapę miasta rozłożoną na stole konferencyjnym, ale nie musiała z niej korzystać.

- To teren starych magazynów - powiedziała. - Duży obszar. Będziecie potrzebowali pomocy do przeszukania. W ciągu kilku minut otrzymali wsparcie. Jack słyszał zbliżające się syreny policyjne.

- Daleko jeszcze?

- Nie. Niedaleko - powiedział Alec. - Ona jest silniejsza, niż się wydaje, Jack. Jeśli wytrzyma...

- Możesz przyspieszyć?

Alec jechał niczym kierowca rajdowy na ostatnim okrążeniu. Pittman oddzwoniła i Alec przełączył ją na głośnik.

- Już otaczają teren. Reszta ludzi jest w drodze. Samochody policyjne zablokowały Sześćdziesiątą Ósmą.

Alec zahamował, a Jack wyskoczył, zanim samochód całkiem się zatrzymał. Spojrzał na zegarek. Porwał ją prawie godzinę temu. Z każdą minutą jej szanse malały. Trzymaj się, Sophie!

Sophie powoli odzyskiwała przytomność. Jęknęła i spróbowała usiąść. Upadła jednak, więc znowu spróbowała, tym razem podpierając się porządnie obydwoma rękoma o podłogę. Było kompletnie ciemno. Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu włącznika światła, ale niczego takiego nie znalazła. Ponownie dotknęła podłogi. Była zimna, twarda... Beton?

Wreszcie znalazła dość siły, żeby wstać. Chwiała się przez chwilę, ale utrzymała pozycję pionową. Serce jej waliło, była oszołomiona i dezorientowana. Wyciągnęła ręce do przodu i wykonała próbny krok. Gdyby udało jej się znaleźć jakieś okno lub drzwi, mogłaby wpuścić do środka trochę światła.

Coś stało jej na drodze. Pchnęła to i usłyszała trzask. Potem znowu wyciągnęła ręce przed siebie i wyczuła karton. Stała w kompletnym bezruchu. Zaczęła głęboko oddychać, żeby opanować narastający strach. Gdzie ja jestem? Nie słyszała żadnych dźwięków, żadnych hałasów z ulicy.

Ktoś ją uderzył, bo nadal czuła ból. Dotknęła twarzy i wymacała coś lepkiego. Krew z rany?

Nagle zaczęła coś sobie przypominać. Ojciec. Rozmawiała z ojcem. Tak, trzymała telefon przy uchu i nagle pojawił się ten przejmujący ból... a potem zapadła ciemność.

Musi znaleźć jakieś okno lub drzwi i wydostać się stąd na zewnątrz. O Boże, a jeśli znajduje się w tunelu, albo jaskini? Jeśli nie uda jej się wydostać?

Ponownie starała się zapanować nad strachem. Wyciągnęła

przed siebie ręce i szła, dopóki nie natknęła się na ścianę. Pustaki? Przesuwała się wzdłuż ściany, aż natrafiła na drzwi. Wymacała klamkę, która zapiszczała, kiedy Sophie próbowała ją nacisnąć.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i Sophie wylądowała na podłodze.

Krzyknęła, ale poderwała się na nogi. Oślepiające światło zostało skierowane na jej twarz tak, że nic nie widziała.

Uniosła dłoń, zasłaniając oczy i zobaczyła sylwetkę mężczyzny, ale nie rozpoznała go.

- Witaj, Sophie. Chciałbym się przedstawić. Jestem doktor Marcus Lemming. Rozpoznajesz mój głos?

Przeprowadziliśmy kilka miłych pogawędek przez telefon. Oczywiście wówczas posługiwałem się nazwiskiem Larson. Paul Larson.

Skierował światło latarki na pudło kartonowe, przesunął je i zrobił krok naprzód. W lewej ręce trzymał stalowy łom.

- Wpędziłaś mnie w niezłe tarapaty. Wiesz dlaczego? Bo nie mogłaś przestać wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Musiałaś drażyć... musiałaś się dowiedzieć...

Zamachnął się pięścią i uderzył ją w ramię, przewracając na podłogę. Skuliła się na podłodze. Zanim zdążyła odzyskać siły, chwycił ją za ramię i podniósł do góry.

- Co wiesz o Projekcie Alfa?

Nie odpowiedziała wystarczająco szybko.

- Co ci powiedział Harrington? - wrzasnął Lemming.

- Nic - powiedziała drżącym głosem. - Nie powiedział...

- Nie kłam. Co wiesz? Powoli kołysał łomem w dłoni.

- Jak dowiedziałaś się o tym miejscu? Skąd wiedziałaś, jak tu przyjść?

- Nie wiedziałam... Ja...

- Kłamiesz! - wrzasnął. - Znalazłaś mój dziennik? W ten sposób dowiedziałaś się o projekcie? Nie, nie mogłaś - odpowiedział sam sobie. - Dziennik jest tutaj.

Zbliżył się do niej o krok.

- Kto ci powiedział?

- Nikt... Ja nie...

Uderzył ją łomem, ale na tyle ostrożnie, żeby nie zabić. Najpierw chciał usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania. Ostre zakończenie rozcięło jej skórę nad uchem i krew zaczęła spływać po szyi. Próbowwała odzyskać ostrość widzenia. Poruszał się na tle światła i na ścianie tańczyły cienie. Zdawało jej się, że dostrzegła jakiś ruch w rogu. Może tam ktoś był? Może ktoś za nią poszedł? Ojciec? A może Jack? Czy ojciec zadzwonił do Jacka? Proszę, nich to będzie Jack. Sophie postanowiła odwrócić uwagę Lemminga. Jednak w głowie miała pustkę.

- Skąd wiedziałaś, jak tu przyjść? - spytał znowu.

To pytanie nie miało sensu. Postradał zmysły, pomyślała Sophie.

- Ty wiesz, jak się tu znalazłam - powiedziała. - Dobrze wiesz.

Zatrzymał się i przekrzywił głowę, zastanawiając się nad jej odpowiedzią.

- Ja wiem? Skąd miałbym...? - zaprzeczył ruchem głowy. - Nie. Kłamiesz.

- Jeśli mnie zabijesz, to cię dorwą.

- Nigdy mnie nie znajdą. Będę miał pięćdziesiąt milionów dolarów i nową tożsamość. - Pociągnął ją na kolana. -

Miałem wobec ciebie wielkie plany, ale teraz muszę je zmienić. Szkoda, że byłaś taka wścibska. Sama zmusiłaś mnie, żebym to zrobił...

Alec Buchanan był dowodzącym akcją. Pochylał się nad maską samochodu, a przed nim leżała mapa terenu, którą jeden z policjantów wyjął ze schowka między siedzeniami radiowozu. Po obu stronach Aleca stało dwóch detektywów w cywilu, jeden z nich oświetlał latarką mapę, a reszta przyglądała się, jak Alec wyznacza obszary do przeszukania dla poszczególnych grup. Policja i agenci FBI zebrali się na opuszczonym parkingu na końcu dużego kompleksu budynków w rejonie magazynów i hurtowni. Większość pracowników wróciła już do domów na noc, więc ulice były puste.

- To zajmie nam całe dnie - jęknął szeptem jeden z oficerów do swojego partnera. Spojrzał ponad samochodem na twarz agenta MacAlistera i natychmiast pożałował swojego komentarza.

- Co z samochodem Lemminga? - spytał Alec jednego z detektywów.

- Wszyscy gliniarze w mieście go szukają. Znajdziemy go.

- Mógł zaparkować wewnątrz jednego z tych magazynów. Młody policjant w mundurze wyszedł przed resztę i zwrócił się do Aleca.

- Przepraszam, ja znam ten obszar. Myślę, że mógłbym pomóc. - Wskazał na mapę. - Prescott kończy się tutaj - powiedział. - Budynki na wschód są zabite deskami. Musiałem wyciągać stamtąd dzieciarnię. Miasto planuje je zburzyć, ale jeszcze się do tego nie zabrało. Jest kilka miejsc, w których mógłby się wcisnąć samochód, także w uliczkach. Ja bym zaczął tutaj

i kierował się na wschód. - Wskazał palcem drugi wyznaczony teren. - Rejon tych trzech przecznicy jest pełen prywatnych magazynów. Niektóre mają ogrodzenia, inne nie. Nie sądzę, żeby mógł tam ukryć samochód. Musiałby zaparkować na ulicy albo pomiędzy magazynami.

Agenci i policjanci rozbiegli się we wszystkich kierunkach, żeby otoczyć teren i powoli go zawęzić. Alec dopilnował, żeby każdy policjant w mieście był w stanie gotowości, ale priorytetowa akcja odbywała się w dystrykcie magazynów. W tej chwili to był jedyny ślad, jakim dysponowali.

Hank Sawyer przejął dowodzenie od Aleca, żeby ten mógł wyruszyć na poszukiwania z Jackiem. Wsiedli do samochodu i ruszyli na wschód. Przejechali przez zerwaną drucianą siatkę i skręcili w Siedemdziesiątą Ulicę.

- Chwila, chwila - odezwał się Jack. - On musiałby mieć powód, żeby przyjechać do jednego z tych prywatnych magazynów. Kiedy ekipa przeszukiwała jego dom i biuro, znaleźli jakieś dane komputerowe, ale nie wyglądały one na kopie twardych dysków. Kirk Halpern mówił o kopiach dysków, które przesyłali pocztą do domów. Lemming musiał gdzieś je przechowywać. Te brakujące dyski mogą być tutaj. Spójrz, gdzie jesteśmy. Nikt nie będzie zadawał pytań, kiedy zechcesz wynająć jedno z tych pomieszczeń. Jeśli zapłacił gotówką i używał innego nazwiska...

- Po co miałby przywozić tu Sophie?

Jack pokręcił głową, czując, że szukając odpowiedzi na to pytanie, chwyta się niczym tonący brzytwy.

- Zamierza wyjechać z Chicago. Może nawet chce się odpłacić Sophie. Może zbyt blisko go podeszła... Nie mam pojęcia. Jednego jestem pewien: jeśli ją ma i zamierza uciec, nie weźmie jej ze sobą.

Alec skręcił w wąską uliczkę pomiędzy dwoma wysokimi budynkami. Z wyłączonymi światłami samochód toczył się żółwym tempem. Większość latarni była przepalona albo stłuczona. Jedynym źródłem światła była zwisająca ze słupa migocząca żarówka. Wjeżdżając w uliczkę, jakieś cztery przecznice



dalej, zobaczyli samochód policyjny, który, tak samo jak oni, powoli patrolował okolicę.

- Trzymaj się małych uliczek - powiedział Jack.

Nocne powietrze zasnuwało okna mgłą. Jack odsunął szybę po swojej stronie, żeby mieć lepszą widoczność.

- Zaczekaj - odezwał się nagle. Wystawił głowę przez okno i zmrużył oczy.

Trzy przecznice dalej, między dwoma śmietnikami stał wciśnięty samochód. Alec zatrzymał auto.

- Jest - powiedział Jack. - To samochód Lemminga. - Wsiadł z auta Aleca. - Dzwon do Sawyera i powiedz mu, żeby nie używali świateł ani syren.

Sam powoli ruszył uliczką, przyglądając się uważnie drzwiom po lewej stronie. Alec tymczasem ruszył za nim, koncentrując się na magazynach po prawej. Przesuwane drzwi były na tyle duże, że pomieściłyby ciężarówkę, co wskazywało na rozmiary pomieszczeń za nimi. Obok każdych drzwi garażowych znajdowały się małe, boczne drzwi. Wszystkie były zamknięte.

Jack doszedł już prawie do końca szeregu drzwi, kiedy dostrzegł stróżkę światła prześwitującą przez szczelinę przy gumowej taśmie izolacyjnej. Przysunął się, starając się usłyszeć jakieś dźwięki.

Stłumiony męski głos brzmiał groźnie, ale Jack nie potrafił rozróżnić słów. Wtem usłyszał krzyk... Krzyk Sophie.

Przestrzelił zamek, kopnął drzwi i wpadł do środka, wkraczając w sam środek sceny: pomieszczenie zastawione było górą pudeł kartonowych, na których szczycie leżała latarka, a snop światła skierowany był na Sophie, która klęczała na podłodze. Lemming stał nad nią, trzymając w ręku łom. Właśnie zamie-real się nim na Sophie, kiedy Jack oddał strzał.

Jeden strzał to za mało. To był celny strzał w środek klatki piersiowej, ale Marcus Lemming nie upadł. Zachwiał się, odzyskał równowagę i zamierzył się znowu na Sophie. Biegając w jego stronę, Jack strzelił jeszcze dwa razy, a potem chwycił Sophie za rękę i zasłonił ją własnym ciałem.

W końcu Lemming upadł twarzą w dół, na betonową podłogę, nadal dzierżąc w dłoni łom.

Jack przykleknął obok Sophie i zobaczył krew na jej twarzy.

- Sophie, spójrz na mnie. Otwórz oczy.

Powoli odzyskiwała ostrość spojrzenia. Zobaczyła Marcusa, a potem pochylającego się nad nią Jacka. Ten wziął ją w ramiona i delikatnie uniósł, a ona oparła głowę pod jego brodą i poczuła, jak cały drży. Ruch sprawiał jej potworny ból, ale zmusiła się, żeby obrócić głowę na tyle, by móc przysunąć usta do jego ucha.

- Dwóch - szepnęła.

Jack zrozumiał. Uniósł wzrok w samą porę, by między pudłami przy dalszej ścianie dostrzec poruszający się cień. W mgnieniu oka zasłonił ciałem Sophie i wystrzelił. Cień wyłonił się i zaczął się dziko ostrzeliwać. Jack opróżnił magazynek i sięgał po zapasowy, kiedy w drzwiach pojawił się Alec.

- Po lewej za pudłami! - krzyknął do niego Jack.

- Mam go. Zabierz ją stąd - rozkazał Alec. Strzelił raz i zasłonił sobą Jacka.

Usłyszeli kliknięcie i wiedzieli już, że sukinsyn opróżnił swój magazynek.

- Poddaję się. Poddaję się. Nie strzelać. Rzucam broń i wychodzę. Nie strzelać.

W kręgu światła z rękoma w górze pojawił się Kirk Halpern. Sukinsyn się uśmiechał.

W szpitalu panował chaos. Sophie została najpierw zabrana na radiologię, a teraz była z powrotem w izbie przyjęć, na łóżku za parawanem i czekała na przyjazd chirurga plastycznego, który miał założyć jej szwy. Regan i Cordie stały przy jej boku. Pielęgniarka rozpoznała Sophie i zaraz poprosiła o przerwę obiadową.

Sophie miała paskudny ból głowy, ale lekarz nie chciał dać jej niczego przeciwbólowego, nawet aspiryny, dopóki nie pozna wyników badań.

- Czekaj, żeby potwierdzić, czy nie masz wstrząsu mózgu - wyjaśniła Cordie.

- Jest tu mój ojciec? - spytała Sophie. - Rozmawiałam z nim przez telefon, kiedy to się stało.

- Już tu jedzie - uspokoiła ją Regan. - Słyszałam, że nieźle dał popalić policji w parku. Znaleźli twój telefon obok fontanny, a na nim ślady krwi. Mało nie wyszedł z siebie.

- Gdzie są Jack i Alec?

- Byli tu, ale pojechali, kiedy dowiedzieli się, że wyzdrowiejesz.

- Dzięki Bogu - szepnęła.

- Co masz na myśli? Wiemy, co czujesz do Jacka - powiedziała Cordie.

- Mój ojciec też to wie. Ale nie sądzę, żeby ich spotkanie tutaj było dobrym pomysłem.

Cordie poklepała ją po dłoni.

- Wszystko się ułoży - powiedziała, spoglądając ponad łóżkiem na Regan.  
Sophie podciągnęła koc na nogi.  
- Zimno tu - stwierdziła.  
- Miałaś poważne przejście - wyjaśniła Regan ze współczuciem. - Teraz twoje ciało zaczęło odreagowywać. Chcesz jeszcze jeden koc?  
- To było straszne - wydusiła Sophie, a jej oczy zaszyły łzami. - Myślałam, że...  
- Jutro nam opowiesz - przerwała jej Cordie. - Teraz jest jeszcze za wcześnie. - Starając się poprawić nieco nastrój, dodała: - Pan Bitterman odetchnął z ulgą, kiedy dowiedział się, że nic ci nie będzie. Bardzo cię lubi.  
- W skrytości ducha jest bardzo wrażliwy.  
- Kazał przekazać ci, że aresztowali Gary'ego. Wyprowadzili go w kajdankach.  
- Dlaczego? Co takiego zrobił?  
Sophie była zaskoczona tym, co usłyszała od Cordie, kiedy ta powtórzyła jej swoją rozmowę z Bittermanem.  
- Co za padalec - skwitowała Regan, a Sophie nie zaprzeczyła.  
Stażystka odsłoniła parawan i podeszła z tacą. Kiedy zobaczyła Sophie, zamarła, powoli wycofała się, ponownie zasłaniając zasłonę.  
- Co to miało znaczyć? - zdziwiła się Regan.  
- Personel nie jest tu najmiłszy - szepnęła Cordie. Odezwał się dzwonek telefonu. To Alec dzwonił do Regan, żeby powiedzieć jej, że nie wróci do szpitala. Doktor Halpern, którego Cordie nazwała Frankensteinem, rozgądał się na przesłuchaniu i nie chciał adwokata. Korzystali więc z sytuacji, żeby wyciągnąć od niego najwięcej jak się da. Chirurg plastyczny nie spieszył się z przyjazdem do szpitala, ale kiedy już dotarł, okazało się, że jest bardzo miły i potrafi szybko pracować. Po obejrzeniu ran na twarzy Sophie uniósł jej podbródek i przyjrzał się jej dokładnie.  
- Piękna skóra - powiedział. - Bez skaz. Dobra struktura kostna. Idealny nos...

- Nie przyszła tu na lifting - wtrąciła się Cordie, a lekarz uśmiechnął się do niej.

- Wszystkie trzy mogłybyście zagrać Aniołki Charliego. - Potem zwrócił się znowu do Sophie. - Nie będzie pani potrzebowała Botoxu jeszcze przez długi czas. Pod warunkiem, że będzie pani unikała stresu. Ja będę potrzebował go pewnego dnia. Chirurdzy plastyczni żyją w stresie.

Sophie wybuchnęła śmiechem, gdyby tak bardzo nie bolała ją głowa.

- Sądzi pan, że ma stresujące życie? A przed iloma kulami udało się panu dzisiaj obronić? - spytała.

Lekarz zauważył, że wkroczył na grząski teren, więc zmienił temat.

- Nie ma pani wstrząsu mózgu, więc będzie pani mogła wrócić dziś do domu i wyspać się we własnym łóżku.

Ojciec Sophie przyjechał do szpitala w samą porę, żeby móc zawieźć ją do domu. zaproponował, że mógłby zostać u niej na noc, ale odmówiła. Taką samą rozmowę przeprowadziła już z Regan i Cordie. Obiecała, że zaraz po jego wyjściu pójdzie prosto do łóżka.

Czuła się wyczerpana i brudna. Wzięła prysznic, uważając, żeby nie zamoczyć opatrunku na głowie. Włożyła koszulę nocną, wyszczotkowała zęby i położyła się do łóżka. Zmęczenie obezwładniło ją całkowicie, ale sen nie przychodził, dlatego włączyła telewizor i zaczęła przeskakiwać po kanałach. Zatrzymała się na kanale kulinarnym. Nigdy wcześniej go nie oglądała. Za to Jack go lubił. Co on teraz robił? Skończył już z Halpernem? Miała nadzieję, że uzyskał odpowiedzi na wszystkie pytania. Czy zadzwoni do niej jutro?

Zasnęła, wyobrażając sobie, że jest w jego ramionach, i zastanawiając się, czy i on o niej myśli.

Jack nie mógł przestać myśleć o Sophie i mniej więcej co pół godziny wychodził z pokoju przesłuchań, żeby dowiedzieć się o jej stan. Wiedział, kiedy wyszła ze szpitala i kiedy przyjechała do domu.

Zresztą, podobnie jak Alec, musiał robić przerwy, żeby odpocząć od Kirka Halperna. Kiedy chęć przyłożenia mu pięści stawała się zbyt silna, Jack wiedział, że czas wstać i wyjść.

Halpern nieźle go oszukał. Zrobił wrażenie dobrze ułożonego, skromnego naukowca, który siedział w swoim sfatygowanym fotelu i opowiadał o zmarłej żonie i chwalił Sophie za jej zaangażowanie. A teraz, kiedy gra dobiegła końca, pokazał swoją prawdziwą twarz. Nie musiał już udawać uczciwości.

Halpern był zadowolony z siebie i próżny, i chciał, żeby przekonali się, jaki okazał się cwany. Najwyraźniej niezwykle ważne dla niego było uznanie wobec siły jego intelektu. Alec i Jack zaspokajali więc jego potrzebę, byle tylko wyznał im wszystko, co wiedział.

- Nigdy nie dowiesz się, jak ludzie są głupi, dopóki z nimi nie zamieszkaż - stwierdził Halpern. - Erie i Marcus myśleli, że ich tajemnice, ich Projekt Alfa - powiedział prześmiewczo - są bezpieczne, ale rozszyfrowanie ich było jak bułka z masłem. Po pierwszym roku badań wiedziałem, że coś knują. Nawet dziecko potrafiłoby obsłużyć sprzęd podsłuchowy, a łamanie haseł i kodów jest tak proste, że, można powiedzieć, stało się moim hobby. Można się nieźle zanudzić, kiedy nie masz nic innego do roboty poza obserwowaniem wilków.

Ze szczegółami opowiedział o tym, jak podsłuchiwał rozmowy i szperał w dokumentach.

- A najlepsze ze wszystkiego jest to, że przez cały czas Marcus prowadził dziennik. Chowanie go pod materacem było bardzo bystrym posunięciem, nieprawdaż? - spytał sarkastycznie.

Jack zadawał mu pytania o wyniki i treść badań Lemminga i Cartera.

- To Erie opracował nową formułę - powiedział Halpern. - Sądzę, że mógł ją już mieć w pierwszym roku naszych wspólnych badań w Inook. Przypadkiem odkrył jej działanie i to, jak adrenalina zwiększa jej efektywność.

Agencie Mac Alister, już rozmawialiśmy na temat Ricky' ego. Nie pamiętasz, jak mówiłem, że to dojrzały osobnik? Od początku zaczęli na nim eksperymentować. Erie mówił Brandonowi i mnie, że pobierał krew, żeby sprawdzać ją pod kątem różnych mikroorganizmów, ale ja wiedziałem, co tak naprawdę robił. Sam wstrzykiwał coś zwierzęciu, a po pewnym czasie, kiedy Brandon i ja zajęliśmy się studiowaniem innego stada i nie wtrącaliśmy się w sprawy pierwszego, nawet nie trudził się, żeby wracać z próbkami krwi.

Nie wiem, ile zastrzyków dostał Ricky, ale zacząłem dostrzegać drobną zmianę w wilku. Oczywiście udawałem, że niczego nie widzę, a Brandon był zbyt skupiony na sobie, żeby coś zauważyć. Po pewnym czasie Ricky zaczął rosnać w siłę i stawać się większy. - Zachichotał i dodał: - Wilk na steroidach! Dobre, prawda? Tylko że to nie były steroidy. To cudowny lek z niesamowitymi możliwościami i brakiem efektów ubocznych. Po powrocie do Chicago Erie i Marcus kontynuowali swoje eksperymenty na innych zwierzętach. Urządzili 'sobie laboratorium. Wszystko to opisane jest w dzienniku.

- Jaką rolę w tym wszystkim odegrała Sophie Rose? - spytał Alec.

- Kiedy ich pierwszy obiekt badań, William Harrington, został przywieziony na testy, dowiedzieli się, że ona go zna i dużo z nim rozmawiała. Napisała do niego e-mail, zanim

zamknęli jego pocztę. Zostawiła wiadomości na jego telefonie. Nawet poszła do apartamentu, żeby go szukać. Chcieli, żeby ludzie myśleli, że Harrington wyjechał na długą wycieczkę. Tak na wszelki wypadek. Ale ona nie mogła tego tak zostawić. Na dodatek, kiedy Harrington został zabity, znaleziono przy szczątkach jej wizytówkę. Marcus i Erie bali się, że ona może za dużo wiedzieć. Erie szczególnie miał na jej punkcie obsesję, więc Marcus zadzwonił do niej, udając faceta o imieniu Paul Larson po to, żeby dowiedzieć się, jak dużo już wie. Być może zostawiłby ją w spokoju, ale zapytała go o Projekt Alfa. - Wzruszył ramionami. - Byli w to za bardzo zaangażowani, a ona mogła zrujnować pięćdziesięciomilionową umowę, jaką on i Erie zawarli. Trzeba się było jej pozbyć. Im bardziej Jack i Alec dopytywali się o szczegóły, Halpern stawał się coraz bardziej gadatliwy. Jego odpowiedzi przeistoczyły się w wykłady.

- Teraz wyjaśnię wam, jak ściągnąłem Marcusa do magazynu. To było naprawdę bardzo proste. Zadzwoniłem do niego, udając wstawionego i powiedziałem, że kontaktowała się ze mną ta reporterka i powiedziała, że wie o tajnych badaniach naukowych, które były prowadzone w naszym obozie. I że powiedziała mi, że znalazła zaginione nagrania, które mogą tego dowieść. Dodałem, że właśnie jedzie w to miejsce. - Na moment przerwał, przypominając sobie tę rozmowę telefoniczną, a delikatny uśmiech uniósł mu kąciki ust. - Napędziłem mu takiego strachu, że nie mógł doczekać się, kiedy odłoży słuchawkę i popędzi do swojej kryjówki. Nawet nie zapytał, w jaki sposób ona mogła się o tym dowiedzieć.

- W jaki sposób... - zaczął Alec.

- Nie przerywaj mi - wybuchnął. Musiał wziąć głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Zwabienie kobiety nie było żadnym problemem, ale ja chciałem dopaść ją na wolnej przestrzeni i tam ją obezwładnić. I udało mi się. Złapałem ją w parku Nelsona. Mocno ją walnąłem. Nawet nie spodziewałem się, że jestem taki silny. - Spoglądał to na Aleca, to na Jacka. - Straciła przytomność. Przyznaję, że nie przejmowałem się nią zbytnio,



ale kiedy zadzwoniła do mnie do domu, zrozumiałem, że jest najbliższej odkrycia prawdy ze wszystkich agentów, którzy mnie przesłuchiwali. Wiedziałem, że muszę pozbyć się Marcusa, więc dlaczego nie upiec dwóch pieczeni przy jednym ogniu?

- Dlaczego chciałeś pozbyć się Marcusa? Dlaczego zwyczajnie nie doniosłeś na niego policji? - dociekał Alec. Halpern przez chwilę przyglądał się swoim paznokciom, a potem uśmiechnął się.

- Oczywiście chodziło o pieniądze.

- Jakie pieniądze? - spytał Jack.

- Pięćdziesiąt milionów. Wiedziałem, że Marcus próbowałby się mnie pozbyć, gdyby dowiedział się, że trochę pokombinowałem na własną rękę. Jego kontakt w Dubaju z radością przyjął wcześniej formułę i całą dokumentację badań. Nie obchodziło go, kto mu to sprzedaje. - Westchnął i spojrzał w dal. - Pięćdziesiąt milionów... Są w bezpiecznym miejscu i wszystkie są moje.

- Tam, dokąd idziesz, nie będziesz potrzebował pieniędzy - przypomniał mu Alec.

- Ależ, agencie Buchanan, a co ja takiego zrobiłem? - spytał tonem niewiniątka. - Nie zabiłem nikogo. Jeśli kara będzie adekwatna do mojego przewinienia, to z pewnością niedługo będę wolnym człowiekiem. - Przerwał i zamyślił się. - Nie, będę wolnym i bogatym człowiekiem. Taka jest prawda, panowie. Wyrołowalem was. Te pieniądze znajdują się w bezpiecznym miejscu i nigdy ich nie znajdziecie.

Przesłuchanie przeciągnęło się do późna w nocy. Kiedy dobiegło końca, Jack i Alec wypełnili wstępne raporty i ruszyli do domów.

Jack był wykończony. Czuł, że potrzebuje świeżego powietrza. Przydałby mu się też prysznic. A najbardziej teraz pragnął Sophie.

Obudził ją odgłos lejącej się wody. Obróciła się na bok i spojrzała na zegarek: 2:20. Przez chwilę zdawało jej się, że to deszcz, ale potem usłyszała, jak coś upadło w łazience.

- Cholera - to był szept, ale na tyle głośny, że już wiedziała, że to Jack wychodzi spod jej prysznic.  
Telewizor nadal był włączony, ale pilot od niego leżał na drugim końcu stołu. Nigdy go tam nie odkładała, bo nie mogłaby go dosięgnąć.

Jack wyszedł z łazienki. Ziewał i nie miał na sobie nawet skrawka odzieży.

- Obudziłem cię, skarbie?

- Co ty tu robisz?

Wszedł do łóżka i przysunął się do niej.

- Potrzebujesz mnie.

- Już spałam i nie potrzebuję...

- Ja potrzebuję tu być.

Sięgnął po pilota i wyłączył telewizor, a potem wziął ją w ramiona.

- Jak dostałeś się do mojego mieszkania?

- Ciiii. Zaśnij. Musisz odpocząć.

Była bardzo szczęśliwa, że był przy niej. Wtuliła się w jego ciało.

- Jutro zmieniam zamki.

- To nic nie da. I tak się tu dostanę. Nie pozbędziesz się mnie, Sophie.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Mówił poważnie tak, jakby naprawdę chciał z nią zostać. Wiedząc, kim jest, nadal chciał z nią być. Co mu się stało? Dlaczego miałby jej chcieć? Może chodziło o seks? Z pewnością nie robił tego ze względu na to, jak gotuje. Powoli zaczęła odpływać w sen.

Jego głęboki oddech wskazywał, że Jack już zasnął, ale kiedy spróbowała wyswobodzić się z jego ramion, on wzmościł uścisk.

Sophie obudziła się przed południem. Jack głaskał ją po plecach. Odwróciła się do niego i pocałowała go.

- Kocham cię, Jack.

- Ja też cię kocham.

- Z tego może nic nie wyjść. Wiesz o tym?

- Ożenię się z tobą, Sophie. Tyle wiem. Pocałowała go w brodę, a potem w szyję.
- Tatusiowi to się nie spodoba. - Jej dłonie przesuwały się po klatce piersiowej, do brzucha. Uśmiechnęła się, kiedy wstrzymał oddech. - Będzie rozczarowany.

Jack zamruczał z rozkoszy. Doprowadzała go do szaleństwa.

- Wiesz... FBI - mruknęła.

Nie był w stanie skupić się na tym, co do niego mówi. Głaskała go, droczyła się z nim, podniecała go.

- Uzna, że nie jesteś dość dobry dla mnie - ciągnęła Sophie. - i chyba będzie miał rację...

Jack przewrócił ją na plecy, uniósł się na łokciach i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Nikt nie będzie cię kochał tak jak ja. Objęła go i przyciągnęła do siebie.

- Udowodnij to.

Przyjęcie zaręczynowe zorganizowano w hotelu Hamilton, na co bardzo nalegał Aiden. Było ponad siedemdziesiąt gości. Przyjechali bracia Jacka. Jego ojciec zmarł wiele lat temu, a matka była właśnie w czwartej albo piątej podróży poślubnej. Jej synowie nie mogli już nadażyć.

Jack rozmawiał z Alekiem i Gilem, ale nawet na chwilę nie spuszczał Sophie z oczu. Ona gawędziła sobie z państwem Bitterman i ich córką, którą uznała za przemiłą osobę.

- Słyszałaś o ofercie pracy, jaką dostała nasza Sophie? Poważna sprawa - Bitterman zwrócił się do żony. - To nie była jedyna oferta pracy, prawda? Stało się to po tym, jak napisała artykuł o Williamie Harringtonie.

- Czytałam go - powiedziała pani Bitterman. - Był wspaniały. „Zapomniany człowiek”.

- Odrzuciła wszystkie propozycje - powiedział z dumą Bitterman.

- Chyba oszalałam, ale tak zrobiłam - zaśmiała się Sophie. - Tak naprawdę nie zamierzałam zmieniać pracy.

Chciałam tylko usłyszeć inne propozycje.

- Co będzie, kiedy twój ojciec znowu wejdzie w drogę policji? Wiesz, że prędzej czy później tak będzie.

- Jack twierdzi, że weźmie go na przesłuchanie... Jeśli uda mu się go znaleźć.

- Co ty o tym sądzisz?

- Panie Bitterman, zna pan mojego ojca. Nie zdołają go długo przetrzymywać. Wynegocjuje uwolnienie.

- O wilku mowa...

Na przyjęcie wszedł Bobby Rose. Wyglądał wytwornie i ujmująco, a według opinii pani Bitterman i jej córki, przyprawiał kobiety o zawrót głowy.

Dla Sophie był po prostu ojcem. Ruszył w stronę Jacka, ale otoczyli go goście, którzy nieco opóźnili jego dotarcie do celu. Sophie przeprosiła Bittermanów i pośpiesznie zajęła miejsce przy boku Jacka.

Gil stanął obok niej.

- Jak twój ojciec sobie z tym radzi? Jego jedyna córka wychodzi za mąż.

- Nie cieszy go to.

- Och, z pewnością jest zadowolony.

- Nie, nie jest - powiedziała z naciskiem. - Nie lubi Jacka.

- A skąd ty to możesz wiedzieć, Sophie? - zapytał Gil, sądząc, że nieco przesadza.

- Wiem, bo mi powiedział. Sophie, nie lubię Jacka. Alec zachłysnął się drinkiem, a Gil spojrzał zakłopotany.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Sophie. - Jack też nie przepada za moim ojcem, ale jakoś się dogadają.

Parę minut później Bobby Rose zbliżył się do szczęśliwych narzeczonych. Podał rękę Jackowi i ucałował Sophie.

Dołączył do nich pan Bitterman.

- Właśnie mówiłem panu Rose, że słyszałem plotki, jakoby mieli ponownie otworzyć zakłady Kelly's Root Beer.

Bobby przytaknął.

- To dobra inwestycja. - Mrugnął do Sophie. Potem zwrócił się do Jacka: - Czytałem, że Kirk Halpern próbuje wynegocjować jakiś układ.

- Nie ma szans - odparł Jack.

- A czy to prawda, że ukrył gdzieś pięćdziesiąt milionów dolarów? - spytał Gil.

**335**

- Tak - potwierdził Jack. - I twierdzi, że nikt ich nigdy nie znajdzie.

Bobby Rose spojrział na córkę i uśmiechnął się.

- Chcesz się założyć?